

M. JOHN HARRISON

PUSTA  
PRZESTRZEŃ

HISTORIA O DUCHACH

*Empty Space: A Haunting*

PRZEŁOŻYŁ

MICHAŁ JAKUSZEWSKI



*Dla Forced Enta*

„Najważniejsze jest to, że pusta przestrzeń wcale nie jest pusta. W rzeczywistości dochodzi w niej do najgwałtowniejszych zjawisk fizycznych”.

John A. Wheeler

„Nasze instrumenty mają ograniczenia. Ponieważ wiedza o fizycznej rzeczywistości opiera się na wynikach pomiarów, nigdy nie poznamy wszystkiego... Znacznie lepiej jest pogodzić się z faktem, że musi ona pozostać niekompletna”.

Marcelo Gleiser

„W pewnym sensie wszystko jednocześnie znajduje się w każdym miejscu”.

A. E. van Vogt

# SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI .....	4
1 NARZĄDY .....	6
2 TOWARY TRWAŁE.....	12
3 PŁYWAJĄC Z WĘGORZAMI .....	18
4 GIVENCHY .....	24
5 STYL ARCHIWALNY.....	33
6 CZASZKOWE RADIO.....	42
7 MÓWI ANGLIA .....	52
8 RAKIETOWI JEŹDŹCY .....	58
9 EMOCJONALNE SYGNAŁY SĄ CHEMICZNIE ZAKODOWANE WE ŁZACH .....	66
10 W DÓŁ, KU RZECE .....	76
11 PUSTA PRZESTRZEŃ .....	84
12 NIE JESTEM RENOKO!.....	93
13 POŻARTA PRZEZ PSY .....	105
14 STREFY ENANTIODROMICZNE .....	113
15 PRZYPADKOWE AKTY ODGÓRNEJ PRZYCZYNOWOŚCI.....	121
16 SHANGRI-LA W CARSHALTON.....	131
17 STANY SKORELOWANE .....	139
18 TO ZAJMUJE MIEJSCE W PRÓŻNI.....	147
19 KAŻDY MOŻE POPEŁNIĆ BŁĄD.....	156
20 NOWOCZESNA LUMINESCENCJA .....	167
21 KAŻDY JEST DLA KOGOŚ VIP-EM .....	177
22 BRAMA NIEWIDKA.....	188
23 TONY I SZUMY SERCA.....	199
24 SERIA IMPULSÓW .....	207
25 ORBITY NACZEPOWE .....	217
26 JASZCZUROLUDZIE Z GŁĘBIN CZASU.....	227
27 ŚRODEK PRZEKAZU NIE JEST PRZEKAZEM.....	240

28 PRZESTAŃ GRAĆ SWĄ STARĄ MELODIĘ.....	255
PODZIĘKOWANIA .....	266

## NARZĄDY

Anna Waterman przez cały wieczór słyszała odgłosy walki dwóch kotów.

O dziesiątej wyszła do ogrodu, by zawołać swego kocura. Jakies dziesięć lat temu jej córka Marnie - trzynastoletnia i już niepojęta - nadała zwierzakowi imię James. Było późne lato i podstawę rozgwieżdżonego firmamentu na zachodzie rozświetlała zielonkawa luna. Ogród Anny był długi, miał może z pięćdziesiąt metrów na dwadzieścia. Pokryte porostami jabłonie otaczała niestrzyżona trawa, a pochylona altana wyglądała jak coś wywodzącego się z rosyjskich filmów z lat siedemdziesiątych XIX w. - wokół rozpadającego się budyneczku ciągnęły się porośnięte zielskiem rabatki. Walały się na nich przedmioty, których się nie wyrzuca, mimo że są niepotrzebne. Rabatki cechowały się niezdrową witalnością. Rokrocznie - bez względu na pielęgnację bądź jej brak - produkowały mieszanek miejscowych chwastów i kwiatów polnych, a po ociepleniu, które nastąpiło w pierwszych latach dwudziestego pierwszego wieku, również egzotycznych roślin o wielkich płatkach i mięsistych liściach. Wiatr przyniósł tu ich nasiona nie wiadomo skąd.

- James! - zawołała kobieta.

Kocur nie zareagował, ale nie słyszała też odgłosów świadczących o tym, by zadawał śmierć lub ginął w walce. To ją zachęciło. Znalazła go u podstawy żywopłotu na końcu ogrodu. Odkrył coś pośród korzeni oraz suchej ziemi i trzącał to teraz przednią łapą, mruczac cichutko. Pogłaskała go, ale nie zwracał na nią uwagi.

- Ty stary durniu, co znowu znalazłeś?

Na ziemi walały się jakieś luźne galaretowate kawałki. Gdyby nie wielkość i kolor, wyglądałyby jak narządy wewnętrzne. Kształtem przypominały świńskie nerki, ale lekko świeciły. Anna podniosła jeden z nich, ale natychmiast go wypuściła. Był ciepły w dotyku. Zachwycony kot skoczył na niego i zaczął odbijać łapą.

- Jesteś obrzydliwy, James - oznajmiła mu Anna.

Potem włożyła rękawice Marigold, wrzuciła znalezisko do plastikowej torebki, zaniósła je do domu i wysypała na szklany półmisek. Galaretowate obiekty oklapły na nim jak zwykle wnętrzości, nieprzyzwyczajone do podtrzymywania swego ciężaru w świetle

zewnątrznym. Kolorem przypominały buteleczki, jakie w latach młodości Anny można było jeszcze zobaczyć na wystawach aptek - błękitne, zielone oraz intensywnej barwy nadmanganianu - ale wyblakły już i nabrały w blasku halogenowych lamp lekko neonowego odcienia. Anna wzięła swój najlepszy nóż kuchenny firmy Wusthof, po czym odłożyła go na miejsce. Opuściła ją odwaga. Spojrzała na leżące na półmisku obiekty pod innym kątem, a potem poszła zadzwonić do Marnie.

- Czemu dzwonisz? - usłyszała po pięciu minutach głos córki.

- Pewnie chciałam ci powiedzieć, jak bardzo mi się poszczęściło. We wszystkim.

Anna wiedziała, że w pierwszym odczuciu brzmi to absurdalnie. Po dwudziestym roku życia zapadła na anoreksję, miała też za sobą dwie próby samobójcze. Jej pierwszy mąż, Michael, był niewiele lepszy. Pewnej nocy wszedł do morza na Mann Hill Beach, na południe od Bostonu. Ciało nigdy nie znaleziono. Był zdolny, ale niezrównoważony.

- Był utalentowanym człowiekiem, ale za bardzo się wszystkim przejmował - powtarzała ludziom.

Potem jednak wyszła za mąż po raz drugi, urodziła Marnie i żyła normalnym życiem. Z ojcem dziewczyny układało się jej całkiem nieźle, najpierw w Londynie, a potem w tym spokojnym, drogim domu nad rzeką. Michael nie czułby się tu dobrze. Życie musiało być dla niego wysiłkiem, czymś w rodzaju kary.

- Oboje nie wiedzieliśmy, jak żyć - mówiła do słuchawki.

- Anno...

- Miał pewne trudności.

Marnie przyjęła to w milczeniu.

- No wiesz - ciągnęła jej matka. - Seksualne. W tej dziedzinie twój ojciec był znacznie lepszy.

- Anno, nie potrzebuję tak szczegółowych informacji.

Poczęła Marnie pod wpływem poczucia winy pomieszanego z ulgą, po tym jak straciła Michaela - dosłownie go zgubiła - owej nocy na Mann Hill Beach. Zdezorientowana Anna poleciała do Londynu, a potem rznęła się z pierwszym mężczyzną, jakiego spotkała. Tylko tak można to było określić, zwłaszcza po tak długim czasie. Niczego nie żałowała, choć niekiedy owo wspomnienie kazało jej myśleć, że powinna być szczególnie miła dla Marnie. Niespodziewanie przypomniała sobie, jak Michael pochylał się nad nią w ciemności, powtarzając jedno z tych swoich powiedzonek. „Iskry! Iskry we wszystkim!” albo coś w tym rodzaju.

- Anno? Anno, muszę już kończyć. Jest późno. Już północ.

- Naprawdę, kochanie?  
- Jutro masz wizytę u doktor Alpert - przypomniała jej córka.  
- Obawiam się, że zapomniałam szczegółów - odparła Anna zagubionym, lecz buntowniczym tonem.

- Całe szczęście, że wszystko zapisałam.  
- Och, Marnie, mam nadzieję, że lubisz seks - odezwała się Anna, nagle przepełniona lękiem i miłością. - Bardzo bym nie chciała myśleć, że mija cię coś tak cudownego.  
- Rano odwiozę cię na dworzec. Dobranoc, Anno.

„Po co do niej zadzwoniłam?” - zapytała Anna samą siebie. Odpowiedź nie chciała nadejść. Kobieta poszła do kuchni i wyjrzała na dwór. Na pastwisku dzielącym ogród od rzeki zebrała się mgła, głęboka na pół metra, może metr. Anna ledwie dostrzegła nad nią szereg rosnących dalej wierzb. Zawołała kota, dała mu karmę o smaku królika, a potem położyła się spać.

Jak zwykle, sny obudziły ją dziesięć po czwartej rano. Koszulę miała mokrą od potu, a jej uszy wypełniało złowrogie brzęczenie. To był nie tyle dźwięk, ile wrażenie, jak często próbowała wytłumaczyć doktor Alpert.

„To wrażenie ze snu” - mówiła. To było fizyczne doznanie. - „Nie jestem nawet pewna, czy to ja je czuję”.

Wstała z wysiłkiem, czując się zmęczona i chora, a potem zeszła na dół po wodę. Przez szczeliny u brzegów kuchennych żaluzji do środka zakradało się szarawe światło. Przyszło jej na myśl, że mogłaby raz jeszcze przyjrzeć się narządom - czy czym tam właściwie były - ale okazało się, że półmisek jest pusty. James z łatwością mógł wskoczyć na blat i je zjeść, ale Anna miała wrażenie, że po prostu się ulotniły. Została tylko odrobina płynu. Wyglądał jak zwykła woda i bez oporów wylała go do zlewu, postanowiła jednak, że nie będzie już kłaść jedzenia na tym półmisku.

Od chwili, gdy Michael zniknął w morzu, Anna co wieczór wychodziła na dwór, by zawołać kota, przynosiła krzesło z ogrodu, chcąc uchronić je przed wilgocią, i patrzyła w gwiazdy. Gdziekolwiek mieszkała, zawsze wyglądało to tak samo. Co noc nawiedzał ją ten sam sen.

Pomyślała: zadzwoniłam, bo chciałam z kimś porozmawiać.

\*\*\*

Rankiem nie poszła do doktor Alpert, przesiadła się na dworcu Victoria i pojechała przed siebie, mijając kolejne kody pocztowe, aż wreszcie, gdzieś za Balham, odniosła wrażenie, że poznała kształt ulic oplatających wzgórze.



„Tipsy w orchidee” - głosiły tablice przy stacji. - „Klinika dentystyczna »Minty Pearls«”. Anna wysiadła z pociągu i ruszyła naprzód, pogrążona w zamyśleniu, zaglądając w okna pustych domów. Nie miała żadnego planu. Lubiła spokojne willowe ulice oraz budynki w szczególnym pseudotudorowskim stylu, o czterech sypialniach, z wieńcami laurowymi i wąską wstęgą podjazdu z boku frontowego ogrodu. Im obskurniej wyglądały, tym skuteczniej przyciągały jej uwagę. Późnym popołudniem przyszło jej do głowy, że może już być w Sydenham Hill. Pokonała wiele mil w glazurowym blasku, wtargnęła na miejsca parkingowe kilkunastu domów przeznaczonych dla klasy średniej. Czowała się zmęczona. Bolały ją kostki. Zabłądziła. To zdarzyło się jej nie po raz pierwszy.

Okazało się, że to jednak nie Sydenham Hill, ale Norbiton, miejsce o nazwie wywodzącej się z powieści z epoki edwardiańskiej. Anna usiadła w dworcowej kawiarni przy filiżance herbaty i wysypała na stół zawartość torebki. Było w niej wiele typowych śmieci: końcówki szminek, pojedyncza rękawiczka, notes pełen adresów ludzi, z którymi nie utrzymywała już kontaktów, telefon ze swą płaską baterią. Recepty złożone w maleńkie kwadraciki, monety zagraniczne i wycofane z obiegu, a nawet stary zewnętrzny dysk twardy. Wzięła go w rękę.

Miał wymiary jakieś pięć na siedem centymetrów, a łukowate zarysy nadawały mu organiczny wygląd. Na jednym końcu gładką matową powierzchnię mącił szereg wejść FireWire - jeden z tych przedmiotów, które w swoim czasie wydawały się nowoczesne i ekscytujące, a teraz były równie staroświeckie, jak papierośnica. Michael zostawił go jej razem z serią instrukcji. Dotknął ręki Anny swą ciepłą dłonią - byli w dworcowej kawiarni, podobnej do tej - mówiąc z naciskiem: „Nie zapomnisz, prawda?”.

Pamiętała tylko tyle, że się bała. Kiedy ludzie boją się wszystkiego, a zwłaszcza siebie nawzajem, mogą się jedynie rozstać, oddać to drugie światu.

Anna przybyła do Norbiton w przerwie między pociągami. Wypiła drugą filiżankę herbaty i wyjrzała z nieokreśloną dobrą wolą na pusty peron, gdzie wszystko pokrywała gruba warstwa świeżej farby. Po jakichś dwudziestu minutach pracownicy dworca pomogli wejść do kawiarni jakiemuś staruszkowi. Mężczyzna przeżył samego siebie. Jego łysa brązowa głowa wydawała się za duża w stosunku do szyi, a dolna warga koloru surowej wątroby opadała ze znużeniem, zdziwiona, że nadal tu jest. Posadzili go przy stoliku Anny. Uderzył ją laską po łydkach i stopach, przesunął ku niej od niechcenia zawartość jej torebki, a gdy tylko usiadł, zaczął jeść kanapkę z łososiem prosto z papierowej torebki. Na dłoniach miał grube sznury żył pokrytych błyszczącą obwisłą skórą. Jadł łapczywie, lecz jednocześnie z dziwnym brakiem zainteresowania, jakby jego ciało pamiętało, co to jedzenie, ale on sam o tym

zapomniał. Cały czas szeptał coś do siebie. Po paru minutach odłożył torebkę, pochylił się nad blatem i trącił Annę mocno w dłoń.

- Au! - zawołała kobieta.

- Nic nie jest realne - oznajmił. - Rozumie pani? Istnieje tylko kontekst. A czego kontekst? - Przeszył ją intensywnym spojrzeniem i kilka razy odetchnął głęboko przez usta. - Dalszego kontekstu, oczywiście!

Anna, nie mając pojęcia, jak mu odpowiedzieć, wyjrzała gniewnie przez okno.

- Muszę wsiąść do następnego pociągu - oznajmił po chwili staruszek, jakby w ogóle się do niej przedtem nie odzywał. - Czy byłaby pani tak uprzejma, i mi pomogła?

- Nie byłabym - odparła Anna, zbierając swoje rzeczy.

Gdy wróciła do domu, było już prawie ciemno. Marnie nagrała jej na automatycznej sekretarce pełne irytacji wiadomości.

- Odbierz, Anno. Naprawdę jestem na ciebie zła. Już nie pierwszy raz to zrobiłaś.

Anna przygotowała sobie omlet i zjadła go w kuchni na stojąco, szykując jednocześnie odpowiedź dla Marnie. Z nieba znikwały ostatnie resztki światła dnia. James wskoczył na blat, by zebrać o jedzenie. Roztargniona z powodu poczucia winy Anna dała mu więcej omletu, niż było to jej zamiarem.

- Zapomniałam do niej pójść - powtarzała sobie z uporem. - Marnie, po prostu zapomniałam.

Później wydało się jej, że widzi w altanie blask światła. Rozrzedzona nadržeczna mgła przeląła się nad ogrodzeniem i wisiała teraz między jabłoniemi. Trawa była wilgotna. Wszystko pachniało ostro sobą, w tym również kot. Jego wiara w szczodrość świata została potwierdzona i pobiegł szybko naprzód, unosząc ogon, aż wreszcie znalazł pod żywoplotem coś, co go zainteresowało. Anna pociągnęła za drzwi altany i ujrzała w półmroku walające się wewnątrz rupiecie: dwa obite skórą krzesła, rower Marnie, pochodzący z Cambridge, oraz dywan przywieziony przez kogoś z Indii. Grzebiąc w przestrzeni pod oknem, niechcący otworzyła tekturowe pudło. Wysypały się z niego liczne ozdoby, oprawki do fotografii, porcelanowe fragmenty i skrawki jedwabiu, pokryte szelakiem płyty - rodzinne pamiątki Tima, sięgające aż do lat dwudziestych minionego stulecia, rzeczy, które zamierzała wyrzucić już od chwili jego śmierci. Każde pokolenie, pomyślała, zostawia po sobie coś w rodzaju aluwialnego wachlarza rozproszonego w adresach i kredensach, garderobach i szafach grających, sklepach ze starzyzną i miejscach takich jak to.

„Tytan” - powiedział wtedy Michael, wciskając jej w dłonie przenośny dysk. - „Popularny dzisiaj metal”.

Wtedy, przed laty, obiecała mu, że odda dysk jego koledze mieszkającemu w południowym Londynie. Pamiętała jego nazwisko: Brian Tate; ale, choć przypominała sobie, jak wyglądał jego dom, zapomniała, gdzie stał. Poznałaby ten budynek, gdyby tylko go zobaczyła. Gdy była tam ostatnio, wydarzyło się coś strasznego, czy może miało się wydarzyć. „Nigdy tam nie wróciliśmy”, powiedziała sobie. „Za bardzo się baliśmy”.

## TOWARY TRWAŁE

Pewnej deszczowej nocy w Saudade City broker zwany Tonim Reno przemieszczał się Tupolev Avenue w stronę niekorporacyjnego portu kosmicznego, gdzie prowadził swój mały, lecz dobrze prosperujący interes.

Reno nie miał nic przeciwko chodzeniu na piechotę podczas deszczu. Zawsze mógł postawić kołnierz swej roboczej kurtki od Sadie Barnham albo - jeśli znudzi mu się to wrażenie - zatrzymać rikszę. Gdy unosił wzrok, między budynkami widział, że w powłoce chmur pojawiają się już przerwy. Fragmenty Traktu Kefahuchiego jaśniały w nich niczym plan miasta rozpostarty na czystym wilgotnym niebie. Za pół godziny przestanie padać, a ulice szybko osuszy wiatr od lądu. Tymczasem jednak Toni mógł się radować pogodą. Cieszył się, słysząc śmiech mon, zmierzających ulicą do baru, który zwały „Tango du Chat”. Kulili się pod krótkimi futerkami, śmiało stąpając w swych absurdalnych butach, które tak kochały. Nic nowego, nic starego, w to właśnie wierzyli ludzie w czasie spędzonym na świecie przez Toniego: wszystko mieści się w cienkiej, lecz nieskończonej transzy wrażenia między przeszłością a przyszłością. Czekał na światło na skrzyżowaniu Tupolev Avenue i 9., usłyszał sygnał swej dokerki. Kobieta nazwiskiem Enka Mercury, przebywająca na Plaży od czasów poprzedzających narodziny Toniego, żyła. Sygnał był słaby i można by założyć, że Enka mówi do niego z kosmosu.

- Towary, które zamawiałeś, są na miejscu - oznajmiła.
- To świetnie, Enka.
- Naprawdę? - zapytała. - To skurwysyństwo do mnie przemówiło, Toni.
- I co ci powiedziało? - zapytał ze śmiechem mężczyzna.
- Pilnuj swojego nosa. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.
- Hej, może ty mi powiesz - odparł Toni.

Toni Reno wyglądał znajomo nawet dla tych, którzy nigdy przedtem go nie widzieli: typowy trzydziestoletni hipster z dziewczyną ze średniej kadry zarządzającej, wolny od więzów, młody jak na człowieka prowadzącego własny interes. Pięć procent zapewniło mu odnowioną willę w Magellan Ladder oraz dostępne od ręki usługi krawieckie najwyższej

jakości dostępnej w Preter Coeur. W tym czasie, który okazał się szczytowym punktem jego życia, handlował towarami z całej Plaży, czerpiąc znaczącą część zysku z różnic między stopami opodatkowania na różnych planetach. Były one wysokie, skomplikowane i potrafiły się niespodziewanie zmieniać, więc, rzecz jasna, kosztowały go bezsenne noce. Kiedy nie pracował, oddawał się z dziewczyną przyjemnemu nałogowi tankowemu, nad którym w pełni panował. Owo tankowe doświadczenie, zwane *Mosiężną ręką*, dzielili ze swą grupą wiekową na całym Saudade.

- Niech mnie chuj, jeśli kiedykolwiek widziałam coś takiego - rzuciła Enka. - Można by pomyśleć, że to... - Nagle kontakt się urwał.

- Połącz się ze mną, jeśli będzie to konieczne - rzekł Toni Reno do powietrza, na wypadek gdyby dokerka jeszcze go słyszała. - Będę u ciebie o dziesiątej.

Toni rzadko bywał obecny przy odbiorze transportu. Żywe produkty z Perkins Rent albo Peterburga, dzieła obcych kultur z Port Ferry, przechowywane kriogenicznie kontraktowe kultywary z Silicon New Turk, było mu wszystko jedno. Zaciekawilo go jednak, co mogło przestraszyć Enkę Mercury, kobietę, która widziała już wszystko. Dlatego zatrzymał riksę. Pojazd potoczył się z kłopotem wzdłuż Cobain, a potem skręcił na szybką trasę w prawo, ciągnąc za sobą okoliczną muzykę oraz reklamy, przypominające zamazane cmy pastelowych bądź neonowych odcieni. Deszcz przestał padać, ale Toni miał wrażenie, że na jezdni nadal jest pełno wody.

\*\*\*

Towar był tam, gdzie Toni spodziewał się go znaleźć, w długim, poza tym pustym, baraku przy południowym płocie portu.

Zapieczętowana rura o wymiarach mniej więcej trzy i pół metra na jeden, nie w pełni okrągła w przekroju. Na jednym końcu znajdowało się okienko, które ktoś niedawno zamknął grubą przyspawaną wstawką z innego materiału, oraz zepsuty panel świateł. Pozostawiony sam sobie obiekt miał tendencję do unoszenia się na wysokości pasa nad zakurzoną betonową podłogą. Migotanie otaczającego przedmiot powietrza przyprawiało Toniego o mdłości, co jednak nie powstrzymało mężczyzny przed dotknięciem go. Obszedł obiekt wkoło. Jego powierzchnia była matowa i wygładzona przez ablację, jakby rura spędziła pewien czas w pustej przestrzeni. Wyglądała na starą, zgniłą i pełną poczucia winy. W konosamencie, ściągniętym z nadświetlnego routera odległego o trzydzieści pięć świateł, opisano ją jako „towary trwałe”, jednakże, choć samego obiektu nie opatrzone etykietą, łatwo w nim było rozpoznać nielegalny artefakt. Nie było też wzmianki o miejscu jego pochodzenia.

- Enka! - zawołał Toni. - Gdzie jesteś, do chuja?!

Zdawało mu się, że słyszy krzyk dobiegający z wietrznych, pogrążonych w mroku miejsc parkingowych, ale odległość była za duża, by mógł być odpowiedzią, czy w ogóle mieć cokolwiek wspólnego z Tonim.

Procenty Toniego Reno zawsze generowały się w przestrzeni finansowej bardzo odległej od samej fizycznej transakcji. Dla każdego, kto uczestniczył w podobnych układach, było oczywiste, że nie wie, jak jego rola odnosi się do odgrywanej przez innych. W tym przypadku, jak mówiła dokumentacja, zadanie Toniego skończy się w chwili, gdy towar znajdzie się w ładowni frachtowca o nazwie *Nova Swing*. Dlatego, gdy odkrył, że może przemieszczać obiekt, po prostu go popychając, zdecydował, że sam dokona załadunku.

Robota była ciężka, jakby pchał coś pod wodą. Gdy już wyprowadził przedmiot z baraku, zostało mu do pokonania jeszcze sześćset, być może siedemset metrów. W całej południowej części portu wyłączono światła. Znowu zaczęło padać. Chmury w jednej chwili przesłoniły niebo, w następnej zaś pierzchły, odsłaniając lśniący niebieskawym światłem Trakt. Reno pchał przez chwilę obiekt, a potem się zatrzymywał, by zawołać Enkę albo spróbować się z nią połączyć. Następnie znowu się pochylał, by wsunąć dłonie i przedramiona pod koniec rury. Można by pomyśleć, że ją obejmuje. W takiej pozycji najlepiej się pchało. Za każdym razem rura najpierw się pochylała i kołysała lekko wzdłuż długiej osi, nim ruszyła powoli naprzód, jak nasmarowana tłuszczem. W jednej chwili miała większą bezwładność, niż można by się tego spodziewać, w następnej zaś lekki powiew wiatru wystarczał, by zbczyła z kursu.

Sylwetka statku o nazwie *Nova Swing* rysowała się na tle nocnego nieba pośród innych frachtowców zajmujących się przewozami na krótkich trasach - pękaty kadłub lśniący mosiężnym blaskiem oraz trzy stateczniki. Wrota ładunkowe były otwarte. Obok nich stał mężczyzna znany w okolicach portu jako Gruby Antoyne. Popijał z pintowej butelki rum „Black Heart”, a jego rozpiętą skórzaną kurtką pilota oraz nażelowaną fryzurą Pompadour targał wiatr. Ujrawszy Toniego, pomachał do niego ręką. Winda powoli zjechała dwadzieścia pięć metrów w dół z głośnym zawodzeniem serwowmotorów, a potem zatrzymała się z nagłym wstrząsem. Reno objął rurę po raz ostatni i wepchnął ją na pokład.

- Cześć, Gruby Antoyne - odezwał się.

- Cześć - odpowiedział mężczyzna. - Co to jest?

- Nie wiem - przyznał Toni Reno, otrzepując kurtkę od Sadie Barnham.

Czuł chłodny deszcz spływający mu po włosach i po karku. Rura pociemniała od wody, wsiąkającej w każdą porowatą powierzchnię. Z jakiegoś powodu zaskoczyło to Toniego. Obiekt - dostrzegął teraz na nim słabe zarysy jakichś wystających ornamentów,

które dawno już się wytarły, przechodząc w nieokreślone wypukłości - nie sprawiał wrażenia podatnego na działanie aury. Obaj mężczyźni kontemplowali go przez pewien czas, a potem porównali dokumenty, na wypadek gdyby to w czymś mogło pomóc. Gruby Antoyne miał „trupią klatkę”.

- Wiesz, co to jest trupia klatka? - zapytał Toniego Reno.

Toni przyznał, że nigdy nie słyszał tego określenia. Na jego listach przewozowych napisano tylko „towary trwałe”.

Antoyne zachichotał.

- Towary trwałe. To by się zgadzało. Mogę ci to podpisać.

Z bliska można było zobaczyć, że jego spodnie, uszyte dla wygody z diagonalu, mają z przodu tłuste plamy. Powiedział, że został dziś w nocy sam, bo jego załoga poszła się zabawić do swojego ulubionego baru. On jednak za nim nie przepadał. Zaoferował Toniemu drinka, ale ten z żalem odmówił.

- Uważaj na siebie - rzekł mu Reno na pożegnanie. Po jego odejściu Gruby Antoyne zakręcił butelkę i schował ją do kieszeni kurtki.

- Dupek - stwierdził i pociągnął rurę do ładowni numer jeden. - Trupia klatka - dodał z chichotem.

To było określenie, do którego mógł się przyzwyczaić. Dotknął rury i poczuł, że jest zimna. Uklęknął i włożył ręce pod spód, czując lekki opór, jak wtedy, gdy próbuje się zbliżyć do siebie dwa magnesy. Przyjrzał się powierzchni przez lupę działającą w trzech różnych trybach, a potem cmoknął, jakby się zastanawiał. Na koniec wzruszył ramionami - co w końcu wiedział? - umocował bezpiecznie obiekt i wyszedł. Światła w ładowni zgasły, Gruby Antoyne zamknął luk, a potem jego kroki umilkły w oddali. Dopiero wtedy obiekt osunął się nieco na wspornikach. Minęło kilka minut, i kilka następnych. Nagle na panelu przy włączniku zamigotało parę świateł.

\*\*\*

Gdy Reno wrócił do magazynu, by raz jeszcze poszukać dokerki, zobaczył, że unosi się ona w powietrzu około metra nad miejscem, gdzie przed chwilą był artefakt. Kiedy wszedł do środka, zwracała się twarzą ku niemu, a jej plecy wyginały się w łuk, jakby zaskoczył ją w trakcie przerwane go aktu radości, czegoś w rodzaju nieplanowego przewrotu w tył. Była naga.

- Jezu, Enka - odezwał się Toni. Zastanawiał się, czy była tu przez cały czas.

Otoczające ją powietrze przybrało ciemnoniebieską barwę, mimo że światła były włączone. Cienie padały tu pod niewłaściwymi kątami w stosunku do siebie nawzajem oraz

do cieni w pozostałych częściach baraku. Wyglądało to tak, jakby Enkę porywano ze świata zamieszkanego przez ludzi takich jak Toni Reno do innej rzeczywistości, zimniejszej i bardziej skomplikowanej. Jakby, szukając wolności, zamieniła po prostu jeden zestaw ograniczeń na drugi. Jej ręce i nogi nadal poruszały się powoli. Choć z tego powodu wirowała ospale w powietrzu, nie zmieniało to jej pozycji ani ogólnej sytuacji. Na twarzy kobiety widniał wyraz zrozumienia; powolnego uświadamiania sobie niebezpieczeństwa, mającego za chwilę doprowadzić do paniki. W jakimś nieokreślonym momencie poprzedzającym nadejście tego zrozumienia, coś wbiło się z wielkim impetem pod lewą pachę kobiety, przebiło jej ciało na wylot i wyszło na zewnątrz z dołu klatki piersiowej po drugiej stronie. Długi trójkątny płat tkanki zwisający z tego miejsca miał białą rybią barwę, niepasującą do ludzkiego ciała.

Toni wspiał się na palce, wyciągnął rękę i spróbował dotknąć końca owego płata, ale śliska gumowata substancja wymykała mu się z dłoni. Gdy wreszcie zdołał ją mocno uchwycić i pociągnąć, nic się nie wydarzyło. Jeśli nawet nowy stan kobiety zawierał w sobie wystarczająco wiele warunków brzegowych normalności, by ją w niej zakotwiczyć, był też od niej tak odległy, że Reno nie był w stanie dosięgnąć Enki. Nie miał pojęcia, jak mogło do tego dojść.

- Pierdol się, Enka - warknął. - Jak mogłaś się wpakować w coś takiego?

- Nazywam się Pearlant i przybywam z przyszłości - zabrzmiał głos, jakby w odpowiedzi.

Oświetlony łukami elektrycznymi barak był pusty. Enka płynęła z powrotem ku Toniemu przez swą nową rzeczywistość, jak ktoś zawieszony w hologramie niskiej jakości. Mężczyzna uciekł z budynku, przebiegł obok *Nova Swing* - statek był teraz zamknięty i pogrążony w mroku - a potem pognął na łeb, na szyję przez niekorporacyjny port kosmiczny. Zatrzymałby się dopiero w swym domu w Magellan Ladder, gdyby nie kobieta - albo coś, co uznał za kobietę - która wychyłała z bocznej ulicy przy Tupolev Avenue. Zbliżała się do niego bardzo szybko i pod dziwnym kątem, jakby przed zjawieniem się Toniego leżała w cieniu u podstawy budynku. Miał supernowoczesne modyfikacje, ale milisekundę albo dwie po tym, jak się włączyły, jej modyfikacje w jakiś sposób zdołały je wyłączyć. Toni był gotowy - szybkość impulsów nerwowych w całym jego ciele wzrosła, a struktury cząsteczek hemoglobiny przestawiały się w ciągu pikosekund - nie zdążył jednak zadać ani jednego ciosu. To było tak, jakby wpadł na ceglany mur. Nie nadążał za wydarzeniami. Nadal widział, jak kobieta wstaje z chodnika, podczas gdy ona zdołała już otoczyć jego głowę lewą ręką w niemal miłosnym geście i wepchnąć mu pod pachę lufę pistoletu.



- I co chciałbyś teraz zrobić? - zapytała go głosem, w którym pobrzmiewała autentyczna ciekawość.

Gdy Toni poruszył lekko głowę, by móc coś powiedzieć, nacisnęła spust i było po wszystkim. Dwie b-dziewczyny wracające do domu po nocy spędzonej w „Ivory Coast” znalazły go bardzo wczesnym rankiem. Twierdziły, że otaczały go czarne i białe koty.

- Sięgały nam do kolan - oznajmiła policji jedna z b-dziewczyn. - Były śliczne. Ale potem znalazłyśmy tego faceta.

Gdy dziewczyna Toniego dowiedziała się, że zginął nagle, powiedziała, że takiego końca by pragnął. Lubił swój pobyt na tym świecie, ale nie trzymał się go kurczowo. Oznajmiła też, że był przekonany, że gdybyśmy mogli rozciągnąć swe życie do grubości jednego nanometra, trwałoby wiecznie.

- Z naszego subiektywnego punktu widzenia, rzecz jasna - dodała.

## PŁYWAJĄC Z WĘGORZAMI

Saudade, piątek, czwarta rano: dwóch agentów i jeździec przewodów przebywało w celi w piwnicy starego budynku Wydziału Przystępstw Strefowych na skrzyżowaniu ulic Uniment i Poe. Byli zajęci obsługą klienta.

Małe chłodne pomieszczenie miało retromedyczny wystrój złożony z popękanych białych kafelków oraz wielkich i skomplikowanych lamp pod sufitem. Klienta przywiązano pasami do stołu z nierdzewnej stali. Z licznych otworów naturalnych jego ciała sterczały rurki. Wprowadzili przewód do jego mózgu, a kiedy nim poruszali, kilka razy pisnął i zaskomlał ciepło jak szczenię, a jego kończyny zadrżały lekko. Nikt nie liczył na wiele. To była tylko kalibracja. Dżokej przewodów odsuwał się co chwila od zielonych okularów z filcowymi podkładkami, w które się wpatrywał, by pomasować się po krzyżu. Czuł się zmęczony i nawet nie miał pewności czego szuka. Tymczasem klient, Nowy Człowiek z charakterystyczną, jaskraworudą czupryną, przy każdym poruszeniu przewodem wypróbował nowe miny.

Był nagi, przeszedł krótki atak konwulsji i wydzielał szeroki zakres feromonów. Sprawiał wrażenie, że pragnie ich zadowolić. Śmiał się niepewnie, a potem krzywił z bólu albo kierował nagle wzrok ku górze, jakby chciał zajrzeć w głąb własnej głowy, po czym mówił zmęczonym głosem skopiowanym z jakiegoś starego filmu:

- Moja twarz wygląda dziś okropnie.

- Powinniśmy wezwać operatora - zasugerował jeździec przewodów. - Wtedy dowiemy się wszystkiego, co wie ten obcy.

Agenci popatrzyli na siebie nawzajem.

- Ty to zorganizuj - zaproponował jeden z nich.

Nikt nie chciał wzywać operatora. To byłoby przyznaniem się do porażki. Rozmawiając, spoglądali nerwowo na czwartą obecną w pokoju osobę.

Kobieta poruszała się w kurewsko przerażający sposób, dostępny jedynie dla tych, którzy mieli zaawansowane modyfikacje. Włosy biało-blond przystrzygła niemal do zera. Miała posagową sylwetkę i otaczała ją aura szczerzego seksualnego znudzenia, jakby przyszła

tu wyłącznie dlatego, że nie miała nic innego do roboty w piątek nad ranem. Jej kariera zaczęła się rok czy dwa lata temu, pod egidą Lensa Aschemanna - legendarnego, nieżyjącego już śledczego. Choć była jedynie jego asystentką, pozostała po śmierci Aschemanna w strefie zdarzenia Saudade. Plotki mówiły, że ma znajomości, ale nikt nie wiedział, kogo właściwie zna. Żaden z agentów nie miał też pojęcia, dlaczego jest teraz z nimi w piwnicy. Bez sprzeciwów wykonywali jej polecenia, ale nie podobała im się rozbawiona mina, z jaką wpatrywała się w jasne światło i zanieczyszczone powietrze nad głową klienta. Dlatego poczuli ulgę, gdy po godzinie ktoś się z nią połączył.

- Przyślij mój samochód pod wejście - powiedziała. - Chłopaki, musimy to zrobić jeszcze raz - dodała, zwracając się do agentów. - Mówię poważnie.

Gdy była w połowie drogi do wyjścia z budynku, klient zerwał nagle pasy i usiadł. W tej samej chwili wszyscy usłyszeli cichy, rozbrzmiewający w celi głos:

- Nazywam się Pearlant i przybywam z przyszłości.

Sytuacja zmieniła się raptownie. Modyfikacje asystentki włączyły się i przejęły kontrolę nad otaczającą ją przestrzenią, z uwagą powstrzymując wszelką aktywność elektromagnetyczną poza własną. Światła zgasły. Sygnał jeźdźca przewodów zniknął. Agenci przekonali się, że ich modyfikacje dały za wygraną. Sześć i pół tysiąca rezydentnych nanokamer, unoszących się w powietrzu na podobieństwo rybiego nasienia, przepaliło się w jednej chwili. Co by zarejestrowały? Srebrnawe, śluzowate plamy łączące ze sobą różne części pokoju. Po analizie okazałoby się, że to ślady pozostawione przez jedną kobietę poruszającą się z nadnaturalną prędkością. Każdy kontakt z innym obiektem spowalniał ją na ułamek sekundy, nieco zwiększając wyrazistość obrazu, unieruchamiając kobietę w osobliwym półobrocie albo w chwili, gdy spoglądała za siebie przez ramię z górnego kąta pokoju, bądź też, kiedy przekrzywiała głowę pod nieludzkim kątem, a jej twarz rozpromieniał radosny uśmiech. Piętnaście sekund po rozpoczęciu starcia jej modyfikacje się wyłączyły. Agenci leżeli w przeciwległych kątach pokoju, a dżokej przewodów siedział na podłodze, dysząc i sapiąc. Opierał się plecami o ścianę, a nogi wyciągał sztywno przed siebie. Jeden okular zwisał na przewodzie, drugi zaś najwyraźniej wbił mu się w czaszkę. Ciało Nowego Człowieka stoczyło się powoli ze stołu i spadło na podłogę u stóp asystentki. Popatrzyła na nie z góry, jakby się spodziewała, że zdarzy się coś jeszcze, a potem wyszła. Nanokamery włączyły się na nowo. W celi przez chwilę panowała cisza. Potem rozległo się ciche westchnienie, brzmiące jak ostatnie dźwięki wypróżnienia. Dżokej przewodów wyzionął ducha.

\*\*\*

Deszcz padał pionowo z nieba na zaułek przy Tupolev Avenue, gdzie mężczyzna znany jako Toni Reno, odziany w ciemnoniebieską kurtkę roboczą od Sadie Barnham, wykonywał powolne rybie ruchy dwa i pół metra nad chodnikiem. Toni nie żył. Policjanci z sekcji mundurowej przybyli już na miejsce. Ich poczynaniami kierował chudy gliniarz nazwiskiem Epstein. Toni odwracał się od nich, kierując twarz ku deszczowi. Plecy miał wygięte w łuk, a jego kończyny zwisały bezwładnie, jakby były pozbawione kości. Z każdej z nich ściekała woda. Odziani w płaszcze przeciwdeszczowe policjanci strzäsali ją z twarzy jak stado wielkich niekształtnych zwierząt. Wszyscy spojälali w górę.

- Tak właśnie go znaleźliście - zasugerowała asystentka.

- Kiedy zaczął, był niżej.

- Nie da się zacząć wiele niżej niż Toni.

Epstein zignorował te słowa.

- Kiedy tu przybyłem - wyjaśnił - facet leżał na ziemi, jak każdy nieboszczyk. A potem zaczął się unosić. Nie tak szybko, żeby dało się to zauważyć, ale kiedy się odwracałem i po jakimś czasie spojälalem na niego znowu, stwierdzałem, że jest trochę wyżej. To trwa już może ze dwadzieścia minut.

Asystentka spojrziała nań właściwie bez żadnego wyrazu twarzy. Wzruszył ramionami.

- Góra trzydzieści.

- Zaprowadźcie mnie do jednego z tych domów - zażądała asystentka.

- Zwłoki nie unoszą się w powietrzu - nie ustępował Epstein.

Ludzie z sekcji mundurowej łomotali do drzwi, aż wreszcie ktoś ich wpuścił. To był czteropiętrowy dom bez windy, o pomalowanych błyszczącą brązową farbą korytarzach, w których śmierdziało karaluchami. Na zachód od Tupolev Avenue, aż do Radia Marelli, wszystkie budynki wyglądały podobnie: labirynty przeradzające się w rozgałęziające się tunele, a pod spodem zalane piwnice, odwiedzane przez poszukujących kryminalnych atrakcji turystów zafascynowanych gospodarką opartą na tanich mordowniach, futurologicznych spelunkach oraz farmach tanków oferujących pirackie symulacje bytowania rośliny z odległego świata. Asystentka weszła na drugie piętro i otworzyła okno, by przyjrzeć się trupowi.

- Co widzicie? - zapytała.

W powietrzu tuż nad Tonim Reno unosił się bardzo słaby migotliwy blask jasnoniebieskiej barwy, przypominający neon widziany nocą z sąsiedniej ulicy. Kurtka od Sadie Barnham opadła, odsłaniając klatkę piersiową oraz podkreślając jej krzywiznę tuż powyżej przepony. Cokolwiek by o nim mówić, Toni dbał o siebie. Jego woskowata twarz

zastygła w wyrazie zaskoczenia. Nie sposób było określić, w jaki sposób utrzymuje się w powietrzu.

- Widzę, że deszcz spada z niego, ale nie pada na niego - odparł Epstein.

Asystentka uśmiechnęła się.

- To było ambicją Toniego przez całe jego krótkie życie - oznajmiła. - Być może ten fakt pozwoli nam odgadnąć, z jakiego rodzaju przestępstwem mamy do czynienia. - Patrzyła z góry na zwłoki jeszcze przez minutę czy dwie, jakby zastanawiała się nad tym problemem. - Ściągnijcie go na dół, jeśli zdołacie - rozkazała wreszcie. - Gdyby się nie udało, zostawcie tu kogoś, żeby obserwował, co się stanie. Przyślę ekipę z Wydziału Przestępstw Strefowych. Może również operatora.

Myśl o współpracy z operatorem popsowała humor Epsteinowi. Mundurowi pokiwali do siebie głowami. Od początku wiedzieli, że do tego dojdzie. W połowie drogi na dół asystentka nagle się zatrzymała, jakby przypominała sobie o czymś.

- Idźcie dalej sami - poleciła Epsteinowi.

Zaczekała, aż ludzie z sekcji mundurowej opuszczą budynek, a potem weszła do pierwszego pokoju, który znalazła. Jakiś dwunożny obcy, w którego sowej czaszce wywiercono otwory umożliwiające doprowadzenie przewodów, leżał na pryczy, otoczony chmurami własnych piór. Garść małych przedmiotów - para entrefleksowych kości zwróconych ku górze powierzchniami z „Wieżą z Chmur”, tani hologram przedstawiający Trakt Kefahuchiego, garść zdobnie grawerowanych szerokich igieł do biopsji wykonanych z tytanu - ułożono w równe szeregi na stoliku nocnym. Według oceny asystentki, jakieś dwa albo trzy tygodnie temu ktoś zaczął rejestrować to wszystko za pośrednictwem sensorium obcego, ale potem utracił zainteresowanie. W pomieszczeniu unosił się zapach stęchlizny, przywodzący na myśl kryjące się pod mostem gołębie. Asystentka połączyła się z dwoma albo trzema numerami, odbyła krótką rozmowę ze swym biurem, a potem wstała, jak robią to ludzie czekający, aż ktoś przemówi do nich za pośrednictwem holograficznego obrazu. Nic się nie wydarzyło, choć przez chwilę w górnym kącie pokoju migotała jakaś częściowo uformowana sylwetka.

- Jesteś tu? - zapytała zachęcającym tonem.

- Tak - wyszeptał leżący na łóżku obcy. Miotał się przez chwilę, wzbijając w powietrze obłok pierza. - Jestem. Jestem tu.

\*\*\*

Asystentka miała gabinet na piątym piętrze budynku na skrzyżowaniu ulic Uniment i Poe. Miała personel, miała budżet, a w garażu jasoniebieskiego roadstera cadillaca rocznik

1952. Nikt nie wiedział, jak udało się jej odnieść tak wielki sukces. Jej cadillaca często widywano pod barem zwanym „Tango du Chat”, gdzie lubiła spędzać wieczory; dwa albo trzy razy w tygodniu zostawiała go na krawężniku na C-Street, by pójść do Cedar Mountain, luksusowej farmy tanków, w której zachowano dla niej kilka spersonalizowanych immersywnych symulacji artystycznych, opartych na życiu fikcyjnej dwudziestowiecznej gospodyni domowej imieniem Joan.

Jako Joan asystentka przygotowywała posiłki, używała „środków czyszczących” oraz obsługiwała swego mężczyznę w stylu obowiązującym w roku 1956. Z reguły oznaczało to, że bardzo dużo stękał i spuszczał się na jej nogę. Ten element symulacji, choć egzotyczny, bardzo ją uspokajał. Dzisiaj jednak wybrała inną z listy swych ulubionych symulacji: pięciogwiazdkowy *Pokój 121*, oparty na tableau o tej samej nazwie stworzonym przez Sandrę Shen. Asystentka mogła się w nim stać kobietą - bezimienną, lecz być może również dwudziestowieczną - która była „sama” w hotelu. Była tropikalna noc, a ona została w jednoosobowym pokoju. Stała przy oknie, wysoka niebieskooka kobieta w trudnym do określenia wieku, odziana w czarny dwuczęściowy kostium, nieco wywatowany w ramionach, oraz bluzkę w szaro-czarne paski, uszytą z jakiegoś błyszczącego materiału. Strój ledwie ukrywał jej niedbałą seksualność. Nigdy nie robiła tam zbyt wiele. Piła rum i wyglądała przez okno, myśląc, że nocą w mieście zawsze można dojrzeć nad dachem najbliższego budynku lunę światła. Radio grało nastrojową wersję popularnej melodii, *Błękitnej rapsodii*. Wszystko wyglądało tak jak powinno, nieuchronnie prowadząc do chwili, gdy jej ręce wędrowały bezosobowo pod bieliznę. Asystentka odnosiła wrażenie, że uprawia seks nie tyle z samą sobą, ile z pokojem, melodią, hotelem: z każdym obiektem w tym momencie płynnego świata.

Tym razem jednak w pokoju 121 zgasło światło i całe pomieszczenie się przechyliło. Za oknami przemknął milion srebrzystych węgorzy. Wszystkie zakurzone kąty wypełniły szepty. Poczula, że tankowy świat rozpada się wokół niej na ciemne płynące piksele. W następnej chwili wisiała na orbicie parkingowej nad rdzawym artefaktem obcych, wielkim jak brązowy karzeł. Wszystko wymagało wielkiego wysiłku. Płynęła z węgorzami ku pełnej dziobów oraz wyźłobień powierzchni. Gdzieś we fraktalnym labiryncie na dole kobieta podobna do niej leżała na pokładzie z alotropowego węgla, a z kącika jej ust sączyła się biała pasta. Kobietę ledwie można było nazwać człowiekiem. Nie była ani przytomna, ani nieprzytomna, ani żywa, ani martwa. Coś było nie w porządku z jej kośćmi policzkowymi. Czekwała. Przybywała z przeszłości, przybywała z przyszłości i zaraz miała przemówić.

Asystentka miotła się bezładnie. Zagubiona w przestrzeni, starała się odszukać

miejsce równie oddalone od wszystkich obiektów we wszechświecie. Usłyszała w ciemności swój słaby krzyk i ruszyła w stronę, z której dobiegał. Jej usta wypełniła żółtawa oleista ciecz. Potem słuchała ze znużeniem głosu twinkowego tanku naprawiającego jej ciało. Urządzenie oznajmiło jej, że pod wpływem strachu zakrztusiła się tankowym płynem albo „proteomem”. Wyrwała też główny kabel i traciła płyn mózgowo-rdzeniowy. Mogła też później doświadczyć lekkiego krwawienia z neurotypowych punktów energetycznych. Nie było tak źle.

- Coś się tam wydarzyło - oznajmiła.

- Po zanurzeniu nie powinnaś się poruszać ani próbować krzyczeć - przypomniał tank głosem jej prawdziwej matki.

- Nie spodziewałam się, że będę tak się czuła.

Na drugim końcu miasta Epstein i jego żołnierze nadal próbowali ściągnąć Toniego Reno z powrotem na ziemię. Reagował na to raczej bojaźliwie, zwłaszcza jak na umarłego. Gdy tylko któryś z policjantów go dotknął, Toni odskakiwał lekko w bok, wykonując osobliwe elastyczne ruchy pływaka. Wyginał przy tym plecy w łuk, okrążając jakiś niewidoczny środek ciężkości. Ludzie z sekcji mundurowej podskakiwali i machali rękami trzy i pół metra niżej. Wyglądało to dziwnie, a nawet elegancko. Deszcz przestał padać. Tupolev Avenue zatkały poranne korki. Śródmieście było zapchane.

## GIVENCHY

Pozostawiona sama sobie, Anna Waterman zwykle leczyła się czerwonym winem o umiarkowanej cenie. Butelka takiego trunku wypita przed snem pogarszała tylko sytuację następnego dnia, gdy - wypełniona poczuciem winy przypominającym kulę żywych węgorzy, których nie potrafiła rozplątać tak, by wszystkie nie wymknęły się po cichu w mrok - dzwoniła do poradni, żeby zapytać, czy nie zwolniło się jakieś miejsce w kolejce do doktor Alpert. Tak właśnie postąpiła w pół do dziewiątej rano tydzień czy dwa po tym, jak nie przyszła na umówioną wizytę. Jej pierwszy mąż spędził większą część ostatniej nocy na uciekaniu od niej, aż wreszcie dopadła go w tanim hotelu w Kings Cross. W tym śnie Michael nie był zbyt podobny do siebie. Szczerze mówiąc, żadne z nich nie było do siebie podobne. Niemniej Anna czuła się zupełnie tak samo jak wówczas, gdy była młoda, a on jeszcze żył - wyczerpana i wściekła.

- Ciągłe się boisz! - próbowała go przekonać. - Zawsze się przede mną ukrywasz!

Gdy zostali sami w pokoju hotelowym, rznęli się ze sobą raz po raz, ogarnięci ślepa paniką, jakby oboje próbowali się powstrzymać przed myśleniem o czymś innym. Potem wydarzenia potoczyły się przygnębiająco przewidywalnym torem. Jej mąż podekscytował się i znowu uciekł, kiedy spała, zostawiając notatkę, w której pisał o swym „wielkim odkryciu”. W ostatnim płacie snu Anna leżała sama na zimnej, czarnej, lustrzanej powierzchni - tym razem powiedziała doktor Alpert, że to było coś w rodzaju podłogi w hotelowej łazience - w pełnej ech przestrzeni, której natury nie potrafiła opisać. Pomieszczenie było bardzo wysokie, panowała w nim „jednocześnie ciemność i jasność”. Anna czuła strach. Nie widziała zbyt wiele; widziała wszystko, ale nie miała pojęcia, co widzi. Czuła się tak, jakby się w coś zmieniała.

- A co zapamiętałaś najdokładniej z tego snu?

- O nie. Pamiętam suknię, jaką na sobie miałam. Na sobie. Czy to absurd?

- Niezupełnie - zaprzeczyła doktor Alpert, mimo że tak właśnie sądziła.

- Była piękna. - Anna zmarszczyła brwi, jakby dzięki intensywnemu skupieniu mogła przywołać suknię. - Givenchy, z wczesnych lat sześćdziesiątych. Cudowny szary odcień,



jakaś błyszcząca tkanina przypominająca atlas. Nie potrafię powiedzieć nic więcej. - Zamrugła. - Czy Givenchy szyje coś takiego? Czy to brzmi prawdopodobnie?

- Wracając do poprzedniego punktu - odezwała się lekarka - zastanawiam się, co miałaś na myśli, mówiąc, że twoje poczucie winy przypominało kulę żywych węgorzy?

- Widzisz, właściwie nie mówię o poczuciu winy. Nie w tej chwili.

- Może i nie.

Obie kobiety przyjrzały się sobie nawzajem z zamyśleniem, rozumiejąc, że mają do czynienia z różnicą zdań. W tej chwili nie miały sposobu, by ją ominąć. Anna bawiła się zamkiem torebki.

- Obawiam się, że zapomniałam przynieść wyniki badań, o które prosiłaś - odezwała się wreszcie po minucie czy dwóch.

- Nie ma sprawy - odparła z uśmiechem Helen Alpert. - Twoja córka kazała szpitalowi przysłać mi kopie. Bała się, że mogłaś je zgubić w pociągu.

Podsunęła pacjentce leżące na biurku wyniki, trzy albo cztery kartki wydruków w plastikowej koszulce. Anna, która bardzo często gubiła dokumenty, odsunęła kartki na bok, nawet na nie nie spoglądając.

- Marnie nie powinna tego robić - poskarżyła się. - Próbuje kontrolować moje życie. - Nagle poczuła, że jest nielojalna wobec córki. - Nie chcę badań - próbowała się tłumaczyć. - Nie chcę wiedzieć tego wszystkiego o sobie. Pragnę tylko żyć swoim życiem, dopóki nie nadejdzie koniec. Pokolenie Marnie tego nie rozumie.

- Neurologicznie wszystko jest w porządku, Anno. Powinnaś się z tego cieszyć. Są ślady dwóch maleńkich udarów, ale nic poza tym.

Jednakże Anna, obawiając się od początku, że sprawy pójdą w tym kierunku, gdy Marnie straci w końcu cierpliwość, przypomniała sobie Michaela Kearneya, który drżał w jej ramionach, porażony lękiem.

- Nie chcę wiedzieć tego wszystkiego o sobie - mogła jedynie powtórzyć.

Helen Alpert zidentyfikowała to, być może trafnie, jako upartą obronę. Bezradne kobiety znowu patrzyły na siebie bez słowa, aż wreszcie Anna wzruszyła ramionami i spojrzała na zegarek.

- Chyba muszę już iść - stwierdziła.

- Czy jest coś jeszcze? - zapytała lekarka.

- Mój kot przynosi do domu narządy wewnętrzne egzotycznych zwierząt.

- Chodziło mi o to, czy zapamiętałaś coś jeszcze z tego snu.

\*\*\*

Po odejściu Anny lekarka oparła się wygodnie na krześle, pocierając ze znużeniem powieki.

Helen Alpert była wysoką kobietą lubiącą nosić obcisłe dzinsy i płaszcze z miękkiej skóry. Zaczęła karierę od psychologii chronicznego bólu, podczas burzliwego drugiego małżeństwa przerzuciła się na zespół stresu pourazowego oraz pomoc ofiarom wypadków, by w końcu wylądować w Chiswick nad Tamizą jako prywatna konsultantka pomagająca uporać się z życiem wewnętrznym kierownikom produkcji średniej rangi mieszkającym w pobliskich enklawach BBC. Była jakieś dziesięć lat młodsza od Anny i mieszkała po drugiej stronie rzeki, na jednej ze spokojnych ulic wokół Kew Green. Rankiem zawsze biegła brzegiem Tamizy, a w weekendy chodziła po Królewskich Ogrodach Botanicznych albo jechała swym kapryśnym citroenem XM pierwszej generacji do domu we wschodniej Anglii, gdzie spacerowała w deszczu po kamienistych plażach i jadła grochówkę z szynką parmeńską oraz szalotką, a potem pieczoną pierś i confit z nogi małego gołębia w sosie własnym z zieloną soczewicą i ziemniakami à la Parmentier w przerobionym z pubu lokalu uwzględnionym w przewodniku Michelin. Pomimo tego reżimu, a może właśnie z jego powodu, nadal była samotna. Zajmowała się Anną Waterman już od trzech lat. Postępy były powolne. Pracowały nad osobliwym snem Anny, aż wreszcie stał się bogatą i satysfakcjonującą opowieścią, nadal jednak niedopuszczającą żadnej łatwej interpretacji. Nie pasowały też zbyt do siebie nawzajem.

Wiedziała, że Anna jest za młoda, by mogła kiedyś nosić suknię Givenchy z lat sześćdziesiątych, uznała więc, że strój jest symbolem rodzica, i zapisała w historii przypadku słowa „niepomyślane znane?”, podkreślając je kilkakrotnie. Potem raz jeszcze przerzuciła dokumenty. Niektóre części historii Anny było łatwiej zrozumieć niż inne. Urodziła się w roku 1976 jako Anne-Marie Selve. Jej rodzice mieszkali na prowincji i wkroczyli już w wiek średni. Osobowość Anny ukształtowała się wcześniej. W wieku ośmiu lat skupiła się na nauce, a gdy osiągnęła czternaście, przerodziło się to w obsesję. To była typowa historia. Anna rozpoczęła studia w Girton College w Cambridge rok przed swoim rocznikiem, a po następnym roku popadła w anoreksję. Potem nastąpiły samouszkodzenia i pierwsza próba samobójcza. Rodzice - od początku co najwyżej przyjemnie zaskoczeni faktem, że się nimi stali - byli już za starzy, by mogli jej służyć emocjonalnym wsparciem. Co więcej, w opinii psychiatrów nadal istniały jakieś nierozwiązane konflikty między ojcem a córką. Girton pomogło Annie wziąć się w garść. Przez pewien czas pozostawała, jak sama to określiła, ulubioną samobójczynią wszystkich. „Pukali do moich drzwi, gdy myśleli, że jest za cicho”. Wkrótce jednak miejsce rodziców w życiu Anny zajął wizytujący profesor fizyki

matematycznej. Ten człowiek, Michael Kearney, miał własne problemy. Był niekomunikatywny, skłonny do narcyzmu i łatwo popadał w depresję. Szybko się pobrali i jeszcze szybciej rozwiedli, lecz ich związek - być może podtrzymywany przez strukturę intensywnej wzajemnej manipulacji - okazał się trwalszy niż się tego spodziewali. Ciągnął się na swój chaotyczny sposób aż do chwili, gdy, w przeddzień pierwszego dnia nowego milenium Kearney zakończył go, wchodząc do Atlantyku tuż na północ od Scituate w stanie Massachusetts.

Oglądany z tak wielkiego dystansu matematyk okazał się nieidentyfikowalny. Helen Alpert nie zdołała odnaleźć jego rodziny, a Anna twierdziła, że „wszystko zapomniała”. Nie była pewna nawet jego wieku i koloru oczu. Gdy lekarce udawało się ją przekonać, by opowiedziała coś o Kearneyu, mężczyzna przeradzał się w starannie spreparowaną fikcję.

Anna jednego dnia wypowiadała się o nim niejasno, następnego zaś z nic nieznaczącą precyzją. Przedstawiała go jako lukę w swym życiu, mimo że wypełniał je całkowicie.

Publicznie dostępne dane zawierały niewiele więcej. Kearney napisał, być może w charakterze żartu, pamflet na temat losowości i tarota. Rok czy dwa przed śmiercią opublikował topologiczne spekulacje, inspirowane wymianą listów z unikającym kontaktów z ludźmi matematykiem, Grigorijem Perelmanem. Spotkały się one z ostrożną aprobatą środowiska. Poza tym, wkład Michaela Kearneya do nauki ograniczał się do nieukończonego projektu budowy komputera kwantowego. Większość prac nad nim wykonał niezabiegający o sławę fizyk eksperymentalny nazwiskiem Brian Tate. Niedawno rozwiedziony Tate, który nie potrafił sobie poradzić nawet z krótkotrwałym rozgłosem wywołanym samobójstwem Kearneya i zaszkodził mu też drobny skandal finansowy związany ze spółką kapitałową podwyższonego ryzyka MVC-Kaplan, poszedł na dno razem ze statkiem. Nikt nie zdołał powtórzyć uzyskanych przez niego rezultatów. Po śmierci jego współpracownika zapewnienia, że zdołał uzyskać masowe przetwarzanie równoległe na serii tanio zmodyfikowanych pecetów, zlekceważono jako pseudonaukę. Po miesiącu o nim zapomniano. Wszystko to były potwierdzone fakty.

Po rodzicach Anny zostały już wtedy tylko tabliczki wmurowane w ścianę kaplicy gdzieś we wschodnim Cheshire. Nie miała przyjaciół. Obchody nowego milenium dobiegły końca, fajerwerki zgasły. Wszyscy oprócz niej sprawiali wrażenie, że wiedzą, czego chcą. Wróciwszy do Londynu, kupiła sobie poradnik i znowu nauczyła się jeść. Usidliła Tima Watermana i - nadal zdezorientowana, lecz na nowo obdarzona instynktem przetrwania - wzięła się za redukcję chaosu w swym życiu. Waterman był sympatycznym człowiekiem i dobrze mu się powodziło. Często wyjeżdżał za granicę. Podczas jego pierwszego wyjazdu

Anna przekonała się, że potrafi gotować. Przybrała na wadze, bawiła się w pracę w Instytucie Kobiectym, a przekonawszy się, że ma talent do kwiatów, wystartowała w konkursie na najładniejszą wioskę. Tima, który znał ją przelotnie już za czasów Michaela Kearneya, wszystko to trochę bawiło. Starannie wychowywała ich córkę, demonstrując najlepszy humor, na jaki było ją stać, i znacznie poprawiało to jej samoocenę.

Jednakże gdy Helen Alpert odłożyła papiery i zamknęła za sobą drzwi gabinetu, pomyślała, że wszystko jest kwestią języka. Kiedy jechała starym samochodem na zachód zapchaną przez wieczorny ruch ulicą biegnącą wzdłuż Tamizy, przypomniała sobie słowa Anny, która mówiła, że rżnęła się z pierwszym mężem „ogarnięta ślepą paniką”.

- Szczerze mówiąc, zawsze lubiłam taki seks - dodała Anna. - Wtedy wydawał się bardziej istotny, jakby mówił mi coś ważnego o mnie samej. Problem zawsze polegał na tym, co ma wydarzyć się później. - Helen Alpert uniosła brwi. Anna wybuchnęła nagłym śmiechem na ten widok. - Nie próbuj niczego, jeśli nie czujesz się zagubiona albo nie płoniesz. W przeciwnym razie, jak zdołałabyś to zapamiętać?

Poirytowana objazdem przez Mortlake doktor Alpert spoglądała bez zrozumienia na ogromne czerwone słońce zachodzące za szpalerami drzew. Zastanawiała się, czy można to zrozumieć jako cokolwiek innego niż akt brawury. Z początkiem stulecia Anna Waterman wymyśliła siebie na nowo, a teraz przekonywała się, że Anne Selve nadal pozostaje chaotycznym substratem kryjącym się pod tą powłoką. To, co przyciągnęło ją do Michaela Kearneya, po dziś dzień stanowiło podstawę wszelkich jej poczynań.

W jej nawracającym śnie, jej strachu przed neurologiczną chorobą oraz nasilającym się poczuciu niestabilności życia - w jej próbach odrzucenia tego wszystkiego - zaburzenia towarzyszące Annie od samego początku na nowo odnalazły swój głos.

\*\*\*

Nieświadoma tego osądu Anna przyniosła do domu dwie butelki „Fleurie” oraz opakowanie lodów pistacjowych, a potem zadzwoniła do Marnie, by odbyć z nią krótką, ale satysfakcjonującą kłótnię. Po jej zakończeniu obie zgodziły się, że będą bardziej szanować swe uczucia, i Anna wysłuchała wieści o byłym chłopaku Marnie, który znalazł nową pracę. Jej plan na resztę wieczoru wyglądał tak, że włączy pięćdziesięciocalowy telewizor „Sony” i zje całe opakowanie lodów, patrząc, jak postarzały prezenter programów przyrodniczych pluska się w słonawych wodach Morza Północnego z sześcioma wyleniałymi fokami szarymi, żyjącymi jeszcze na Wyspach Szetlandzkich. Okazało się jednak, że w zeszłym tygodniu czwórka zwierząt zaraziła się ludzkim norowirusem i program odwołano. Anna krążyła po domu. Po rozmowie z Marnie miała wrażenie, że jest w nim gorąco i duszno. Wzięła

prysznic. Wyrzała na zewnątrz przez kuchenne drzwi, trzymając w ręce kieliszek wina. Zawołała kota. Nie przyszedł.

- James, ty załamujący zwierzaku - skwitowała ten fakt.

O dziewiątej zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę, myśląc, że to znowu Marnie, ale po drugiej stronie nie było nikogo. Gdy tylko odłożyła słuchawkę, usłyszała elektroniczny drapiący dźwięk, przypominający odgłos szpaków tłukących się w rynnie, odległy głos, który krzychał, jakby do jakiejś trzeciej osoby, jeszcze bardziej odległej niż Anna:

- Nie wchodź tam!

O dziesiątej kot nadal się nie zjawiał i poszła go poszukać. Miała wrażenie, że na dworze jest jeszcze cieplej niż w środku. Księżycy nie było. Na niebie nad nadrzeczną łąką przesuwaly się tylko letnie gwiazdozbiory. Anna ruszyła powoli przed siebie, wyobrażając sobie, że widzi kocie oczy, spoglądające na nią ironicznie spod żywopłotu.

- James?

Nic, tylko szara ziemia, nadal rozgrzebana i rozsypana. Wzdłuż jednego z boków ogrodu biegł pas porośnięty drzewami jabłoni. Pnie pozostawionych samym sobie starych odmian pękały i rozpadały się od środka, a omszałe, pochylone gałęzie dotykały ziemi. Nocą kot często krył się pośród nich; nasłuchiwał przybrzeżnych norników, polował na ćmy. Tym razem jednak nie było go tam. Anna postawiła kieliszek wina w miejscu zgięcia gałęzi i wyszła przez boczną furtkę.

- James? James! - wołała przez całą drogę przez pastwisko aż do miejsca, gdzie rzeka, lśniąca w lasku gwiazd, wiła się między wierzbami kruchymi a gąszczami pokrzyw wyrastających z miękkiej czarnej gleby.

Anna, wciągnięta w zasadzkę i zamyślona, wpatrzyła się w wodę. Za dnia wydawała się ona brązowa i ciężka, a jej powierzchnię pokrywały szkliste turbulencje, teraz zaś robiła wrażenie drobnoziarnistej i nieważkiej. Kobieta musnęła dłonią jej powierzchnię. Zapomniała o kocie. Roześmiała się. Usiadła nagle na brzegu i zdjęła buty. Chciała już się rozebrać, gdy coś - nie była pewna co, to mogła być lekka zmiana światła padającego na liście wierzb - kazało jej odwrócić się i spojrzeć w stronę domu.

Altana płonęła.

Z jej stożkowatego dachu buchały potężne czerwone i złote płomienie. Nie było dymu, a choć ogień palił się wyjątkowo jasno i w blasku na pastwisko padały długie skośne cienie, jego języki wydawały się dziwnie sztywne i wyidealizowane, jak namalowane na karcie tarota. Przez moment Anna widziała na owej karcie również samą siebie, na pierwszym planie, ale daleko z boku (centrum nadal zajmował płonący budynek, który teraz pozostał sam

na polu, tylko z sugestią wałów bądź też czegoś w rodzaju wałów u podstawy) kobietę w trudnym do określenia wieku, odzianą w suknię w kwiaty w stylu lat trzydziestych minionego stulecia. Kobieta biegła z otwartymi ustami, a jej twarz miała paradoksalny wyraz, była maską oddzielonej od rzeczywistości konsternacji. Nie miała butów. Jej powiewające na wietrze włosy przedstawiono jako jednolitą masę. Poruszała ustami.

- Uciekaj. Uciekaj stąd!

Płomienie buzowały bezgłośnie, wznosząc się ku niebu w kaskadzie złotych iskieł. Anna czuła ich żar, grzejący skórę na jej kościach policzkowych. Gdy jednak dotarła do furtki, znowu zapadła ciemność. Pomimo gorąca nic się nie spaliło. Nie czuła nawet zapachu dymu, choć za oknami altany zauważyła coś, co wyglądało na węgielki, nadal tańczące tuż nad podłogą.

Drzwi wypadły z zawiasów już dziesięć lat temu. Anna pociągnęła je ku sobie i ujrzała zbiór mebli i narzędzi ogrodowych wystarczający dla dwóch, czy nawet trzech domów. Timowi podobała się praca w ogrodzie, a Marnie już od wczesnych lat chętnie mu pomagała. Lubili spędzać razem czas pośród rabatek albo nad stawem w kształcie nerki. Anna przyglądała się im z kieliszkiem w dłoni. Leżaki, parasolki, noże ogrodnicze o długich uchwytach. Drogi stół pingpongowy Marnie. Dalej, w cieniu, półki zastawione na wpół opróżnionymi opakowaniami ogrodowych chemikaliów. Chemiczne wonie proszków i pyłów, rozsypanych na ziemi albo zestalonych w swych puszkach bądź torbach. A potem zapach tekturowych pudeł, miękkich od wilgoci, wypchanych wszystkim od albumów ze zdjęciami aż po ozdoby. Coś sypało się z półek fontanną fantastycznych iskieł! Wyglądały zupełnie jak skry fajerwerków! Bładły powoli, ale nie znikwały. Anna podeszła bliżej. Pozwoliła, by przenikały przez jej zwrócone wewnętrznymi powierzchniami ku górze dłonie. Usiadła na podłodze i zaczęła je przesiewać jak dziecko. Światło skapywało z jej palców jako miękkie w dotyku węgielki, przedmioty przypominające chłodne saszetki żelu. Miały neonowe kolory, takie same jak narządy przyniesione przez kota. Anna przerzucała przedmioty, obracając je w palcach bez zrozumienia. Znalazła pudełko na buty, zielone, z firmy, której ufała, i wsypała do niego obiekty. Gdy otworzyła drzwi altany, wydało się jej, że słyszy jakieś dźwięki, śmiechy i muzykę, czuje woń smażonych potraw, alkoholu oraz ludzi bawiących się nocą nad brzegiem morza. Potarła wewnętrzną powierzchnię lewej dłoni kciukiem prawej. Po chwili wyszła na dwór i spojrzała na nadrzeczne pastwisko. Biegając tu znad rzeki, pozostawiła na gęstej rosie nie do końca prosty ślad.

- Michael? - zawołała cicho. - Michael? - powtórzyła. - Czy to ty? To twoja sprawka? Michael, to ty, prawda?

\*\*\*

Spała głęboko i nic się jej nie śniło. Rankiem wypila filiżankę słabej zielonej herbaty, zjadła łyżeczkę miodu dodaną do greckiego jogurtu, a potem wysypała na blat kuchenny zawartość pudełka, przyglądając się podskakującym, turlającym się przedmiotom. Były małe i miały intensywne kolory. Wyglądały tandetnie i zwyczajnie. Anna pomyślała, że z pewnością należały kiedyś do Marnie. Gapiła się na obiekty, rozrzucone na blacie niczym kolorowe guziki. Niektóre rzeczywiście były guzikami o rozmaitych kształtach oraz rozmiarach. Inne przypominały raczej staromodne emaliowane odznaki - symbole czyjejs wojskowej kariery albo życia poświęconego pracy pielęgniarki, bądź też prowadzeniu autobusów, nim we wczesnych latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku położył mu kres wylew albo zapalenie trzustki. Były tam też przedmioty przypominające klocki Lego, wykonane z półprzezroczystego materiału, zbyt masywnego, by mógł być plastikiem; dwa albo trzy tombakowe pierścionki ozdobione interesującymi symbolami; garść maleńkich porcelanowych różyczek, które można było przypiąć do sukienki; paciorki, amulety, tatuaże do przyprasowania, poźółkłe kości do gry oraz plastikowe usta ułożone w ciup. Miniaturowe karty do gry wysypujące się z tekturowego pudełka. Plastikowy kubek z lustrzanym dnem, w którym można było ujrzeć własną twarz podczas picia. Maleńkie walentynkowe serduszko z diodami, które nadal się świeciły, gdy Anna nacisnęła guzik z tyłu, choć jeden Bóg wiedział, ile mogło mieć lat. Takie przedmioty można znaleźć na tackach na pchlich targach. Sztuczna biżuteria, która trzydzieści lat temu wysypała się z bożonarodzeniowej petardy z niespodzianką. Anna była zafascynowana. Zadzwoiła do Marnie i znowu doszło między nimi do sporu.

- Spróbuj sobie przypomnieć - nalegała Anna. - Małe trójwymiarowe obrazki! I emaliowane odznaki, takie jakie nosiłaś w Cambridge.

- Anno - odparła Marnie. - Jest piąta rano.

- Naprawdę, kochanie? - zdziwiła się starsza kobieta. - Myślałam, że to przedmioty, jakie mogłoby zbierać dziecko - próbowała się tłumaczyć. - Myślałam, że to cię zainteresuje. Wiesz co? - dodała. - Niektóre z nich są ciepłe!

- Odlóż słuchawkę, Anno - poradziła jej Marnie. - Ja to robię.

Anna gapiła się na przedmioty jeszcze przez kilka minut, jakby nadały jej życiu nowy sens. Potem przyniosła z korytarza torebkę i grzebała w niej przez pewien czas, aż wreszcie znalazła kieszonkowy dysk twardy Michaela Kearneya. Położyła go obok innych przedmiotów, by światło odbijało się w jego śliskiej tytanowej powierzchni. Gdy się mu przyglądała, przyszedł kot James i zaczął się ocierać o jej łydki. Słyszała jego głośnie

mruczenie, zdyszane, a zarazem mechaniczne. Nagle podszedł do miski i zaczął pożerać tuńczyka tak łapczywie, jakby od tego zależało jego życie. Mleczarz zostawił pod drzwiami mleko. Usłyszała pociąg jadący Valley Line. Znowu zadzwonił telefon. Anna zastanawiała się, co naprawdę wydarzyło się nocą w altanie. Wszystko działo się zupełnie bezgłośnie, pomyślała, jak pożar na niemym filmie. Zadała sobie pytanie, co się z nią stało. W końcu wsypała wszystko z powrotem do pudełka, schowała dysk do torebki i wsiadła do najbliższego pociągu do Londynu. Zamierzała poświęcić kolejne popołudnie na obwąchiwanie domów obcych ludzi. Choć raz cieszyła się na tę myśl.



## STYL ARCHIWALNY

W dniach swojej chwały Gruby Antoyne Messner latał wieloma małymi frachtowcami podobnymi do *Nova Swing*. Wszystkie miały nielegalne napędy, pojemne ładownie i niejasny przebieg służby: zarejestrowano je na planetach o fikcyjnych nazwach. Zapewniał, że zajmował się tymi statkami w imieniu wielu sław z Halo, takich jak Emmie-Lou Parang, Impasse van Sant, Margot Furstenburg czy Ed Chianese. Nigdy nie wyjaśniał, dlaczego gwiazdy sportu raketowego albo sławni entradiści mieliby korzystać z usług zardzewiałego frachtowca, choć mogli się tarzać w inteligentnym węglu oraz kadłubach z kompozytów BMG, z pochodzącą z odzysku maszyną obcych przyśrubowaną po drugiej stronie grodzi pilota. Być może chodziło o transport części zamiennych. A może towarzystwo grubasa poprawiało im samopoczucie.

Bez względu na wiarygodność owych opowieści jedno było pewne: Antoyne nie był już nieudacznikiem, który utkwiał w Saudade City, uskarżał się na pecha, złopał rum „Black Heart” i mógł co najwyżej zdobywać małe punkty na pograniczu gry, służąc jako chłopiec na posyłki drobnym cwaniaczkom, takim jak Vic Serotonin czy Pauli DeRaad. Miał własny statek. Miał dobre oko do interesów. Nie był już nawet gruby.

O czwartej rano, po spotkaniu z Tonim Reno, Antoyne odbył kilka nadświatlnych rozmów i w ich rezultacie wrócił do ładowni numer jeden, by ponownie przyjrzeć się ładunkowi, który dostarczył Toni. Na listach przewozowych napisano: „Dostarczenie, ubezpieczenie, fracht, dokumenty do wglądu”. Nie było tego wiele. Z uwagi na swe poprzednie zajęcia Antoyne z zasady nie ufał wszelkim dokumentom wystawionym przez władze portowe. Jeśli chodzi o sam ładunek, technologia powiedziała mu o nim już wszystko, co leżało w jej możliwościach. Dlatego Antoyne skoncentrował się na eliptycznym okienku ulokowanym na jego przednim końcu. Opalizująca szyba z kwarcowego szkła miała trzy cale grubości. Żeby zajrzeć do środka, Antoyne musiał wyłączyć odbijające się w niej halogenowe światła. Był też zmuszony co chwila wycierać szmatką skraplającą się na szybie wilgoć. Jeśli osłonił twarz dłońmi, był w stanie dostrzec jakiś zielonkawy przedmiot, przypominający coś żywego oglądanego pod fotowzmacniaczem o niskiej mocy. Obiekt się poruszał. A może nie?

Antoyne'owi nie spodobało się to, co zobaczył. Nie był zadowolony, że siedzi tu po ciemku razem z obiektem, niepokoił go też fakt, że w głównej ładowni *Nova Swing* było cieplej niż zwykle, niepokoiły go także karminowe LEDy zapalające się od czasu do czasu wzdłuż boku trupiej klatki.

\*\*\*

Przed dwoma laty prowadzona przez Antoyne'a firma Fracht Luzem, znana też jako Napęd Dynaflow-DF, zdobyła półroczny kontrakt na holowanie statków na orbitę kwarantannową wokół Świata Very Rubin. Antoyne zostawił *Nova Swing* w domu, wynajął holownik, webera z serii 18/42 o nazwie *Kieszonkowa Rakieta*, stary, lecz nadal w pełni sprawny, i kierował całym interesem, siedząc w barze przy lądowisku znanym jako „Wschodniouralski Rezerwat Przyrody”. Wynajął na ten czas pokój przy Gravuley Street, nieopodal lądowiska i jadał z innymi kwarantannowymi psami we franczyzowej restauracji „Faint Dime”. Podobało mu się światło odbijające się w chromowanych panelach za ladą, imitujących styl art deco. Wczesnymi wieczorami stawał za oknem w swym pokoju, by podziwiać neapolitańskie barwy późnego zachodu słońca i czekać na zapalenie się neonów. To było złożone z dwupiętrowych budynków miasteczko położone na jednozadaniowej planecie. Miejskowa wizja dobrego stylu składała się z żółtych marynarek typu „Argyll” i czarnych mokasynów. Gravuley Street ciągnęła się bez końca, zwłaszcza nocą. Tydzień po przybyciu Antoyne zauważył coś dziwnego, co wylaniało się z zabitego deskami budynku nieopodal „Faint Dime”: nagie ciało niemowlęcia powiększone do dorosłych rozmiarów, o oliwkowym kolorze, takim samym jak fasada domu. W pierwszej chwili, gdy unosił wzrok, spoglądając z chodnika na drugie piętro, pomyślał, że to jakaś reklama. Co jednak mogłoby zachwalać ogromne niemowlę? Nie miał pojęcia. Małe dzieci były dla Antoyne'a całkowitą tajemnicą. Nie przepadał za nimi zbyt. To dziecko wyglądało na około trzech miesięcy. Sterczało z okna pod dziwnym kątem i jego tłuste nóżki rozchylały się szeroko. To była dziewczynka. Antoyne odwrócił wzrok, jakby ujrzał pornograficzny obraz, który nie przypadł mu do gustu. Wydało mu się, że słyszy cichy, drapiący szelest. Uniósł spojrzenie i zobaczył, że niemowlę wysunęło się na zewnątrz o kolejny milimetr albo dwa. Wdzierało się do świata Antoyne'a.

- Byłeś kiedyś wewnątrz kwarantannowego statku? - zabrzmiał bez żadnych ostrzeżeń czyjś głos tuż obok.

Należał on do MP Renoko, mężczyzny, którego często można było spotkać we „Wschodniouralskim Rezerwacie Przyrody”, gdzie zwykł rozpoczynać rozmowę pytaniem: „Zgadza się, że nie ma potrzeby mieszać praktycznego narzędzia z teorią świata?”. Renoko

pojawiał się i znikał, ale zawsze stawał wszystkim kolejki.

- Cieszę się, że cię widzę - rzekł Antoyne. - Z powodu tego.

- Z powodu czego?

- Tego - odparł Antoyne, wskazując w górę.

Niemowlę zniknęło. Uniósł wzrok, rozejrzał się wkoło, spojrzął za siebie: nic. Gravuley Street w niczym mu nie pomagała. Po lewej miał ciemność i pustą planetę, po prawej agresywnie oświetlone okno „Faint Dime”. Dostrzegał każdy szczegół dekoracji wnętrza, z tłoczonych stali w nieskazitelnych cukierkowych kolorach. Ktoś pił ovaltine z rumem. Ktoś inny jadł wielką kanapkę z szynką, a do tego frytki. Antoyne otarł usta. Włoski zjeżyły mu się na karku. Pierwsza w nocy; lekki wietrzyk niósł środkiem ulicy smugi pyłu.

- Coś tu było - zapewnił. - Czemu by się nie napić?

- Ja stawiam - oznajmił MP Renoko. - Mam wrażenie, że przeżyłeś lekki szok.

Renoko wyglądał jak zdjęcie Antoniego Czechowa, gdyby Czechow postarzał się nieco bardziej i zapuścił wąską białą bródkę. Poza tym, jego wygląd z powodzeniem łączył ze sobą używane płaszcze przeciwdeszczowe z szarymi spodniami z samodziału za krótkimi o pięć cali. Jego włosy - białe, zaczesane do tyłu i opadające na brudny kołnierz - zawsze wydawały się pełne światła. Miał drobne kości i niezmiennie sprawiał wrażenie skupionego. Na ubraniu miał plamy od niemodnych potraw, takich jak tapioka i „zupa”. Na nogach nosił popękane jasnobrązowe buty od garnituru, bez skarpetek. Nieodłączny element jego starannie podtrzymywanego wizerunku stanowiły niemyte kostki u nóg. Gdy tylko usiedli z Grubym Antoyne'em we w miarę bezpiecznym wnętrzu „Wschodniouralskiego Rezerwatu Przyrody”, Renoko natychmiast wrócił do poprzedniego tematu, jakby nie opuszczał go nawet na chwilę.

- W Halo powtarzamy sobie nawzajem, że każdy z nas jest swym własnym projektem ewolucyjnym. Wybacz, to z pewnością element kulturowej autodramatyzacji, nawet w obecnych czasach. - Jego uśmiech świadczył o tym, że jest gotowy się z tym pogodzić. - Ale jeśli nowy gatunek naprawdę istnieje, być może w tych kwarantannowych statkach...

Gruby Antoyne przyznał, że nie rozumie.

- Rozumiesz - zapewnił z uśmiechem Renoko.

Pewnej nocy nawigacyjne nano, które wyciekło na zewnątrz, bądź też jedenastowymiarowy kod obrazujący, wnika komuś do odbytu i odkrywa, że może działać na substracie białkowym. W taki sam sposób na wolność uciekają reklamy, memy, choroby i algorytmy. Mogą funkcjonować na twoich neuronach albo wewnątrz twoich komórek. Wykonują domyślną konwersję. I nagle zjawiają się gliniarze z megafonami. „Nie wychodź z domu! Zostań w środku!”. Ale wtedy jest już za późno. Na twojej ulicy, w twoim domu,

wszystko rozplywa się nagle w niezaplanowane błoto nanourządzeń, na wpół zmodyfikowanych wirusów i ludzkiego tłuszczu. Twój mąż, twoje dwie córeczki w identycznych sukienkach i ty.

- Populacje całych planet konwertują się w tę substancję - ciągnął Renoko. - Czy to stan końcowy? - Uniósł nad głowę małe rączki. - Nikt tego nie wie! Czy to nowe środowisko? Nikt nie chce powiedzieć! Jest piękne jak woda w ostrym blasku słońca, ale śmierdzi jak wytapiany tłuszcz i w czterdzieści sekund może pochłonać dorosłego człowieka. Statki są tego pełne, a na kwarantannowej orbicie jest pełno statków. O bezpieczeństwo dbają ludzie tacy jak ty.

Przestarzałe frachtowce kursujące ongiś po linii Carlinga, wycofane z obiegu statki z napędem Alcubierre'a, dorównujące wielkością planetozymalom, wszystko, co miało gruby kadłub, zwłaszcza jeśli łatwo można go było wzmocnić jeszcze bardziej. Gruby Antoine ujrzał nagle oczyma duszy wyraźny obraz owych sfatygowanych wraków unoszących się w międzyplanetarnym mroku - stare statki, po których kadłubach wędrują tajemnicze światła ostrzegawcze oraz zderzaki cząstkowe, mknące na łeb, na szyję po prawie chaotycznych orbitach kontrolowanych przez operatory. Potrząsnął szklanką i przyglądał się, jak warstwy ponownie się rozdzielają.

- Nie ja - zaprzeczył. - Ja tylko podpisałem sześciomiesięczny kontrakt na ich przemieszczanie, nic więcej.

- I jak ci się podoba ta robota?

Antoine odpowiedział uniwersalnym gestem oznaczającym pieniądze.

- Bardzo - pochwalił się. - Ale większość pracy wykonuje moja pilot. Spotkałeś ją tutaj. Używa nazwiska Ruby Dip. - Nagle przyszło mu do głowy, by o coś zapytać. - Dlaczego o tym rozmawiamy?

- Dlatego, że gdy już zada się wszystkie pytania, pozostaje tylko jedno. Czego pragnie ten nowy gatunek?

Renoko pochylił się nad blatem i spojrzał ze skupieniem w oczy Grubego Antoine'a.

- Czy twoja pilot zgodziłaby się zabrać na orbitę pasażera? Czy to w ogóle wchodzi w grę?

Gdy tylko zgłosił tę sugestię, natychmiast wybuchnął śmiechem. Obaj wiedzieli, że posunął się za daleko. Wydział Kwarantanny nieustannie sprawdzał tu wszystkie papierki i pozwolenia. Co więcej, nadzorowali go też ludzie EMC. Fragmentaryczne orbity ich statków owijały się wokół Świata Very Rubin ciasno niczym linie sił paranoidealnego pola magnetycznego.

- Zanim mi odpowiesz - podjął Renoko, starając się rozładować napięcie - pozwól, że jeszcze raz postawię ci tego twojego dziwnego drinka.

Antoyne pokręcił głową i wstał. Niektórzy mówili, że MP Renoko jest uzależnionym twinkiem i orbitalnym górnikiem, jego prawdziwe nazwisko brzmi „Remy Kandahar” i jest przestępcą poszukiwanym na wszystkich tych zużytych planetach Jądra. Inni sądzili, że jest wszystkim, co pozostało z osławionego Cyrku Patheta Lao, znanego też jako Obserwatorium i Hodowla Wrodzonej Karmy Sandry Shen. Ponoć żył z jego majątku od chwili zniknięcia Sandry Shen przed pięćdziesięciu laty. Gruby Antoyne, który nie wierzył w żadną z tych teorii, wyjął holograficzną wizytówkę firmy Napęd Dynaflo-DF i położył ją na stole obok pustej szklanki rozmówcy.

- Przewozimy wszystko - zapewnił. - Tak brzmi nasze hasło. Jeśli chodzi ci o interes w tym rodzaju, znajdziesz nas na Carver Field, na Saudade. Wystarczy, że nawiążesz kontakt. Dziękuję za drinka - dodał. - Był mi potrzebny po tym, co zobaczyłem.

\*\*\*

- To skłania do myślenia - oznajmił później tej samej nocy, gdy bez dalszych incydentów odnalazł na zwodniczej Gravuley Street pokój Ruby Dip.

- Wiem, co ja o tym myślę - odparła kobieta.

Była niska, szeroka w barach i muskularna, liczyła sobie jakieś pięćdziesiąt lat. Skórę Ruby pokrywały nie tylko tatuaże opowiadające całą historię jej życia w Halo dzięki napisom takim, jak „Tienes mi Corazon” czy „Inwazja z planety E!”, lecz również mapy wskazujące drogę do ukrytych skarbów; fragmenty tajnego kodu, które, przy swobodnej interpretacji, mogły każdemu wskazać drogę do domu; inteligentne czerwone robaki światła, które wędrowały przez jej pokaźne cycki aż do pach, jak iskierki na brzegu płonącej kartki. Choć Ruby miała swoje pasje, lubiła pasmo nieustannej rozrywki, jakim było życie raketowego jeźdźca, i nie widziała powodu, by pragnąć czegoś więcej. Jej włosy były krótką szczecina barwy żółceni kadmowej. Ubierała się w kuse, wytarte dżinsowe stroje, pachniała *Kieszonkową Rakieta* i kolekcjonowała antyczne tamburyny ozdobione wszędzie intensywnie czerwonymi różami oraz fragmentami nutowych zapisów, a do tego rozświetlone od wewnątrz. Kilka takich tamburynów leżało teraz na tanich meblach albo wisiało na ścianach.

- Ale czy byłaś kiedyś w środku takiego wraku? - nie ustępował Gruby Antoyne, który z pewnością potrafił okazywać upór w najmniej odpowiedniej chwili. Ruby musiała przyznać, że to ją dziwi.

- Kochanie, ja je tylko popycham - odparła i spojrzała na niego. - A teraz chodź trochę mnie popchać. Gruby Antoyne, pośpiesz się!

A poza tym, zapytała, gdy już skończyli sapać oraz stękać, i przetoczyła się, by wpatrzeć się w sufit, skąd mu się wzięły te wszystkie pomysły? Wdrapała się na kibel ulokowany w kącie, posiedziała na nim chwilę i wreszcie zlazła z niego zniecierpliwiona. Poskarżyła się, że nie będzie się teraz mogła odlać przez pół godziny, jakby to była wina Antoyne'a.

- Ruby, przynajmniej spuść wodę.

- Nigdy nie widziałam nikogo mniej ludzkiego niż MP Renoko.

Jeśli chciał usłyszeć, co Ruby o tym sądzi, to Renoko był chłopakiem - cieniem. Jedną z tych tajemniczych, niemal metafizycznych istot, które władały Halo przed przybyciem Ziemi i których motywy po dziś dzień pozostawały niejasne.

- O ile w ogóle mieli motywy takie jak my.

- I o ile w ogóle istnieli - przypomniał jej Antoyne.

Ruby Dip zbyła jego słowa machnięciem ręki.

- Tylko zaczekaj, aż będziesz winien chłopakom-cieniom pieniądze. Wtedy się przekonasz, że istnieją! Będziesz im również winien połowę własnego mózgu. Pewnego dnia przyjdą po swoją należność - zapowiedziała. - To są gangsterzy, to są gliniarze, rzecz w tym, że nie wiadomo, kim właściwie są. Nie rozumiesz? Wyglądają tak samo jak ty czy ja!

Antoyne wzruszył ramionami.

- Hej, nie ma sprawy.

Jeśli tego właśnie chciała Ruby Dip, odparł, nie miał nic przeciwko temu. Zdążyli już wtedy wrócić do łóżka.

- Nie, chcę w ten sposób - rzekła.

Okazało się, że jej nierozsądna złość na Renoko wywodzi się z kłótni, jaką odbyli kiedyś przy obiedzie w „Faint Dime”. Spór dotyczył natury kiczu. Renoko uważał, że kicz jest produktem wydarzenia, które zwał „postmodernistyczną ironizacją”. Przed jego nadejściem nie mógł istnieć. Obiekty, które opisujemy obecnie jako kicz, były jedynie zwykłą tandetą.

- Bez poddania tandety działaniu ironii nie byłoby kiczu - utrzymywał. Dla niego postmodernistyczna ironizacja była czymś w rodzaju końca historii albo nadchodzącej osobliwości. - Ona wszystko zmieniła. Nic już nie mogło być takie samo. Miała cechy nieodwracalnej transformacji, przypominającej wniebowzięcie.

Był też przekonany, że postmodernistyczna ironizacja nadal zachowała te cechy.

Ruby, pasjonująca się body artem i kolekcjonująca tamburyny, nie mogła pozostawić tego bez odpowiedzi. Była przekonana, że kicz sformalizował się jeszcze przed nadejściem

wieku ironii.

- To wyobrażenie sztuki niskiej o sztuce wysokiej - oznajmiła. - Estetyka ludzi pozbawionych gustu. Jego myślą przewodnią był sentymentalizm, nie tylko w pomyśle, lecz również w realizacji. Tandeta w jej opinii była czymś zupełnie innym, i to z nią Ruby czuła się jak w domu. Prawdziwa sztuka niska, tandeta, była estetyką ludzi pozbawionych estetyki, a jej wykorzystanie można było niemal określić jako użyteczne.

- We wszystkich swych postaciach - upierała się w swej rozmowie z MP Renoko - i na każdej platformie medialnej tandeta ma ukazywać i wysławiać seks, a przede wszystkim prowadzić do uprawiania go. To sztuka sobotniej nocy.

- I co się wydarzyło, kiedy to powiedziałaś? - zapytał Antoyne, drapiąc się po głowie.

- To, że zaraz zaczęła się bijatyka, w którą szybko wciągnęli się wszyscy goście w „Faint Dime”. Z czasem ten incydent obrósł legendą.

- Uważam, że to niewystarczający powód - stwierdził.

- Na tym właśnie polega wielka różnica między nami, Gruby Antoyne.

Ruby była przekonana, że z uwagi na swą niesamowicie ponurą pracę kwarantannowe psy są dumne ze swych poglądów i twardo się ich trzymają. Łatwo było przewidzieć, że Antoyne nie będzie podchodził do tych spraw z równie wielką pasją, jak ona. Dlatego zapewne lepiej się stało, że ich związek zachował tymczasowy charakter.

Stali pod „Faint Dime”. Była dziewiąta piętnaście rano. Ze środka dolatywał zapach kawy z cynamonem - specjalności tej franczyzy - oraz jajeczniczy. Na popękany asfalt padał blask poranka, przedostający się przez szczeliny między budynkami. Cała reszta Gravuley Street kryła się w ziarnistym cieniu. Wyglądało to jak czarno-biała fotografia, pomijając tylko triumfalne odcienie dekoracji z tłoczonej stali, błyszczących w snopie słonecznego blasku - jak ujęła to Ruby - „jak ta prawdziwa przyszłość, w której żyjemy, przedstawiona w trójwymiarze z niewiarygodną dokładnością rzeczywistości, w języku algorytmicznej tekstury mapy obrazu!”.

Kilka tygodni później skończyli robotę i Antoyne nigdy już nie ujrzał Świata Very Rubin, „Wschodniouralskiego Rezerwatu Przyrody” ani Ruby Dip.

Nigdy nie ujrzał też ogromnego niemowlęcia, choć jego wspomnienie wywołało sny, w których był pewien, że dziecko w końcu przebiło się ku niemu przez ściany domów na Gravuley Street. Żałował też, że dał wizytówkę MP Renoko. Ów gest również go prześladował, ponieważ Renoko ją zachował i potem skontaktował się z Antoyne'em za pośrednictwem Toniego Reno, powszechnie znanego jako pizda. Tak właśnie trupia klatka trafiła w ręce Grubego Antoyne'a.

\*\*\*

Piąta rano, Saudade: za wcześnie na rano, za późno na noc. Gruby Antoyne stał na rampie załadowniczej i gapił się na świt wstający nad niekorporacyjnym portem kosmicznym. Na niebie, nad charakterystyczną sylwetką Kościoła Rocka, pojawiały się już pierwsze jasnozielone i łososiowe pasma. Wytarł ręce. Szmata, która kiedyś była białą bawełnianą koszulką Irene, skąpą i ozdobioną napisem HIGGS, wprawiła go w podniecenie i wypełniła niemal nostalgicznym poczuciem winy. Po krótkiej chwili, jakby chciała dodatkowo podkreślić stan, w jakim się znalazł, pojawiła się sama Irene. Szła wyzywającym krokiem po betonowej powierzchni wietrznego portu, trzymając się pod rękę z Liv Hulą. Kobiety pochylały się ku sobie, by zachować równowagę - a także lekko ku przodowi, ponieważ szły pod mocny wiatr - i śpiewały. Irene miała na sobie bolerko Vinci Nintendino ozdobione długimi na trzydzieści centymetrów lotkami jakiegoś obcego, zabarwionymi na różowo. W jednej ręce trzymała swą charakterystyczną półprzezroczystą kosmetyczkę, a w drugiej parę butów na dwunastocentymetrowych obcasach. Wykonano je z czerwonej lakierowanej skóry i lśniły własnym, pozaświatowym blaskiem.

- Hej! - zawołał Gruby Antoyne.

Pomachały do niego rękami.

- Hej! Gruby Antoyne! Gruby Antoyne! - odpowiedziały, jakby bardzo się zdziwiły, widząc go o piątej rano w rakiecie będącej wspólną własnością ich trojga.

Po wejściu na pokład kobiety włączyły Radio Retro i w powietrzu uniosły się dźwięki starych hitów, w tym również *Ya Skaju Tebe* i oszczędna, lecz ponadczasowa wersja *Jaszczuroludzi z głębin czasu* nagrana przez Frenchiego Haye'a. Obie były senne, lecz od czasu do czasu wypełniały je niewytłumaczalne przyływy energii, podczas których sypały zupełnie nowymi pomysłami na temat w zasadzie wszystkiego. Wkrótce - zaspane, lecz skłonne do chichotania - również przyjrzały się ładunkowi.

- Gruby Antoyne, to jest wielkie - skonkludowała Irene.

- Tak myślisz? - sprzeciwiła się Liv Hula. - Spodziewałam się, że będzie większe.

Mężczyzna gapił się na nie ze zdziwieniem.

- Mógłbym wam zrobić jajecznicę - zaproponował. Obie kobiety często myślały, że to zagadka, w jaki sposób Antoyne zachowuje nową, szczupłą sylwetkę, bez przerwy jedząc. - Moglibyśmy ją zjeść w sterowni. A do tego kawę i chleb z rodzynekami.

Irene zarzuciła mu ramiona na szyję. - Albo... Gruby Antoyne, posłuchaj! - zawołała. - Liv, posłuchaj! Moglibyśmy wziąć riksę na Retiro Street i zatańczyć! Zjedlibyśmy tort!

Liv tymczasem pochyliła się i zajrzała do wnętrza artefaktu.



- Nie zachęcaj go - rzekła.

- Teraz moja kolej - odezwała się Irene, odpychając ją na bok. - Co to właściwie jest trupia klatka?

- Nie widzę tam zbyt wiele - poskarżyła się Liv Hula. - Czy można włączyć światło? - Znalazła listy przewozowe. - MP Renoko - przeczytała. - Towary trwałe. Depozyt ubezpieczony. Dokumenty do wglądu. - Dokąd mamy to zabrać?

- Da Luz Field - odparł Antoyne. - W jakimś miejscu zwanym Światem X. Pięćdziesiąt światel stąd.

- Wszystko leży pięćdziesiąt światel stąd, Gruby Antoyne.

## CZASZKOWE RADIO

Asystentka wynajęła pokój od znajomej kobiety nazwiskiem Bonaventure, która prowadziła bar na Straint Street, nieopodal strefy zdarzenia. Nocą startujące rakiety rozświetlały wnętrze ciepłego pomieszczenia jak w nieprzyjemnej tankowej symulacji. Psychiczne echo silników przywoływało myśli i uczucia ludzi mieszkających tu przed nią. Pokrywały one ściany pokładami potu o wirujących kolorach, przypominającymi kolejne warstwy graffiti. Mapy, artefakty, motyle z innego świata, wszelkie tego typu rzeczy. Z jakiegoś powodu asystentce w ogóle to nie przeszkadzało. Była do tego przyzwyczajona, a nawet sprawiało jej to przyjemność - choć tego ostatniego słowa raczej rzadko używała, opisując własne doświadczenia. Czasami zastanawiała się, czyje sny ją nawiedzają.

Wieczorem owego dnia, gdy po raz pierwszy usłyszała słowo „Pearlant”, mężczyzna o nazwisku Gaines wszedł do środka przez ścianę pokoju. Natychmiast zrozumiała, że ten człowiek nie wywodzi się z żadnej ze znanych jej opowieści. Przestraszył ją jego wygląd. Jej modyfikacje natychmiast uaktywniły się w odpowiedzi, ale coś, co potrafił zrobić - czy może coś, czego nawet nie potrzebował robić - zaraz je wyłączyło. Wstała z łóżka szybko i gwałtownie, a potem zatrzymała się nagle pośrodku własnego pokoju, czując się naga i zagubiona, jak dziecko, które popełniło błąd i za późno zdało sobie z tego sprawę. Mężczyzna okrążył ją i podszedł do okna, jakby była nieruchomym przedmiotem, czymś niemal interesującym, co zobaczył w sklepie, czymś co nie stało mu na drodze.

- To osobliwe miejsce na mieszkanie - zauważył, spoglądając z góry na ulicę, która na krótki czas zdołała przyciągnąć klasę średnią, ale obecnie znowu podupadała.

Bary i lokale nuevo tango otwierały się jeden po drugim, ich pełne neonów fasady pulsowały kusząco. Chodnik patrolowały reklamy o cichych dziecinnych głosach. Ściany dudniły od basowych rytmów, jakimi cechował się raketowy dub. Ulica otwierała się jak szklany anemon pod wpływem narastającego nocą gradientu żywności.

- Czy czasami nie pragniesz odpoczynku od tego całego kulturowego bełkotu?

- Tego po prostu chcą ludzie - odparła asystentka. Nie była pewna, czego właściwie chcą.

- Błędnie biorą to za istotę rzeczy.

- Nie rozumiem, co to znaczy.

Gaines poinformował ją, że to znaczy, że pod tym wszystkim ukrywa się coś innego.

- To znaczy, że świat nie składa się tylko ze znaków i powierzchni.

Wskazała na ściany pokoju, nadal pokryte nachodzącymi na siebie migotliwymi halucynacjami, gęstym potem, nieudanymi lub częściowo udanymi próbami komunikacji z innych światów.

- Jak mogłoby istnieć coś innego? - zapytała. - Cokolwiek stałego? We wszechświecie tej fizyki?

Odszedł od okna i stanął przy asystentce, oglądając ją od stóp do głów z nowym, wykalkulowanym zainteresowaniem.

- Hej - odparł. - Wiem, że istnieje, ponieważ to widziałem. - Roześmiał się. - A teraz to pragnie zobaczyć ciebie - dodał.

Był jednym z tych mężczyzn, w przypadku których trudno określić, czy są starsi, czy młodszy, niż wyglądają. Miał zdrową cerę i uśmiech, który jakby odzwierciedlał satysfakcję ze wszystkich niedoskonałości postrzeganego przezeń świata. Był pełen głębokiej, palącej goryczy i wydawało mu się, że potrafi ją ukryć. Dość długie, posiwiałe włosy opadały mu w lokach na kark. Być może nazelował je lekko, żeby trzymały się na miejscu. Spodnie khaki i koszulka polo, lekkie płócienne buty pobielane kaolinowym pyłem - zdawała sobie sprawę, że ten strój coś oznacza, odwołuje się do czegoś, czego nie wiedziała. Gaines miał starannie przystrzyżoną siwą bródkę, wywołującą wrażenie, że dolna część jego twarzy wysuwa się ku przodowi. Miał też ładny nos. Jednakże w półmroku rozjaśnianym dogasającym już blaskiem startu rakiety najważniejszymi częściami jego twarzy były zuchwa i spokojne niebieskie oczy.

- Jesteś z EMC - domyśliła się asystentka.

- Myśl sobie, co chcesz.

- Zastanawiam się, czy w ogóle tu jesteś.

Na te słowa uśmiechnął się znowu.

- Będę w kontakcie. - Jego głos dobiegał z opróżnionej części pokoju.

\*\*\*

Po zniknięciu Gainesa asystentka podeszła do okna i wyjrzała na ulicę, próbując zobaczyć to samo, co on. Wcześniej tego dnia doszło do ucieczki matematyki z pętli kontrolnej czerpaka jednego ze statków wycieczkowych, wielkiej jednostki należącej do Creda Starline. Kod potomny, działający na substracie nanomaszyn i ludzkich białek, wniknął do węzłów chłonnych jakiegoś pechowego raketowego jeźdźca. Mężczyzna przeszedł przez

punkt kontrolny u wyjścia z portu, nim kod zaczął go zmieniać, a potem krążył po Saudade, kichając i pijąc w barach. O świcie pojawiają się pierwsze przejawy zmian behawioralnych. Port zamknięto, a ludzie z sekcji mundurowej krążyli z dźwiękowym sprzętem po jego północnych peryferiach, radząc ludziom, by nie opuszczali domów.

- Jeśli dotykaliście tylko samych siebie, nic wam nie grozi. Jeśli dotykaliście tylko samych siebie, nic wam nie grozi.

Podali numer centrum pomocy, z którym można się było połączyć, jeśli ktoś myślał, że jest zakażony - nikomu nawet by się nie śniło, żeby tam pójść, ponieważ w średnio długim terminie musiałyby to oznaczać orbitę kwarantannową.

\*\*\*

Tymczasem Gaines składał meldunek swym współpracownikom z projektu Alef. Jako specjalista EMC o zadowalająco szerokim zakresie obowiązków, zamieszkiwał rozmaite rodzaje przestrzeni, przede wszystkim elektroniczne; powtarzał nieraz, że część spraw, jakimi się zajmuje, toczy się za szybko dla normalnych kanałów. Pewne czynności, które wykonywał, i środki, do których posiadał dostęp, miały niewiele wspólnego z fizyczną stroną rzeczywistości. Meldunek składał jednak w zwyczajny sposób, jako holograficzny obraz przekazywany przez system prywatnych routerów nadświetlnych.

- Nie utrzymuje z tym kontaktu - stwierdził na koniec raportu. - A jeśli to utrzymuje kontakt z nią, używa jakiejś części swej osobowości, której jeszcze nie zbadaliśmy.

Nasłuchiwał przez chwilę, wpatrzony w pustkę, a potem się roześmiał.

- Mieszka w takim pokoju - podjął. - Szkoda, że go nie widzieliście. Nie, nie ma pojęcia, czym sama naprawdę jest. Ja też nie mam, jeśli już o tym mowa. Nosi strumień danych sprzed dziesięciu lat, wyświetlający na jej przedramieniu oceny prawdopodobieństwa. Słucham? Tak, to jakiś tani system używany przez miejscową policję. Co powiedziałaś? Witaj w Halo, człowieku. - Znowu się roześmiał, a potem jego głos utracił wszelką barwę. - Nie - odparł. - Jest za wcześnie na urządzenie spotkania.

Mimo to, następnego ranka znowu pojawił się w pokoju asystentki. Przyniósł dwa plastikowe kubki z kawą - jedna mokka i jednak po amerykańsku - a także trochę ciastek. Tym razem miał na sobie lekki, krótki płaszcz przeciwdeszczowy, mokry od deszczu, oraz spodnie wory z diagonalu. Jego nagą pierś porastały posiwiałe włosy, skóra wokół sutków marszczyła się nieco, a uwydatniające się pod nią mięśnie robiły wrażenie włóknistych, ale potężnych. Jeśli rzeczywiście był młodszy niż na to wyglądał, spotkało go coś dziwnego.

- Może usiedlibyśmy na łóżku? - zaproponował.

Trudno jej było go zrozumieć. W łóżku spała, a siedziała na krześle. Nie usiadła na

nim.

Gdy wreszcie jej wszystko wytłumaczył, podał jakieś skomplikowane współrzędne. Nawet dla asystentki sugerowało to obiekt posuwający się w stronę Traktu Kefahuchiego.

- Jeśli spotka cię coś dziwnego - mówił, gdy jedli ciastka - albo jeśli coś dziwnego w ogóle się wydarzy, to czy mogłabyś się ze mną połączyć? Albo jeszcze lepiej - dodał - skorzystać z tego?

Wyjął z kieszeni płaszcza coś, co wyglądało jak tanie pudełko z tłoczonej blachy z umieszczoną wewnątrz czaszką. Pojemnik miał przednią ścianę ze szkła, a czaszka była mała, jak u dziecka. Chwilami wydawało się, że ma też ciało, jakby niemowlęce, częściowy homunkulus wystający na zewnątrz przez tylną ścianę pudełka. W innych chwilach go nie było.

- Czaszkowe Radio - wyjaśnił Gaines. - Odbiera większość ważniejszych częstotliwości. Jakby sączyło wszechświat przez szeroką słomkę. Jeśli zdarzy się coś dziwnego, cokolwiek, połącz się ze mną przez nie.

- A po co? - zapytała.

- Dlatego że sama siebie nie rozumiesz - odparł, uśmiechając się do niej. - Dlatego że czujesz się znudzona. Zostawię ci mokkę, dobra?

Kiedy był zadowolony, sprawiał wrażenie biernego i wyluzowanego.

Asystentka przyglądała się, jak znikał w ścianach. Przemknęło jej przez głowę, że krople deszczu na jego płaszczu nie wyschły. Do końca pozostały świeże. Jak holograficzny obraz mógł przynieść kawę? Gdy zniknął niemal do końca, odsunęła pudełko tak daleko od siebie jak tylko mogła, aż spadło z łóżka na podłogę. To jej się nie spodobało. By się upewnić, że Gainesa już nie ma, zaczekała, aż jej modyfikacje wrócą do normy. Potem wypila kawę, otworzyła bezpieczną linię łączącą ją z Wydziałem i poleciła jednemu ze swych operatorów-cieni wyszukać nazwisko Gaines.

- Przyślij mi też samochód - zażądała.

Odbyła jeszcze kilka rozmów i w rezultacie jednej z nich pojechała cadillakiem do niekorporacyjnego portu kosmicznego, zwanego przez miejscowych Carver Field. Mijała małe trampy, aż wreszcie dotarła do magazynów, gdzie, czterdzieści godzin po zbrodni, ujrzała trupa dokerki Toniego Reno.

\*\*\*

Enka Mercury uniosła się jakieś pięć, sześć stóp w górę od chwili, gdy znalazł ją Toni Reno, ale Epstein, chudy gliniarz, który sprowadził tu żuraw wysięgnikowy, by lepiej przyjrzeć się ciału, uważał, że proces wznoszenia się spowalnia. Podobnie jak Toni, kobieta

nadal radośnie orbitowała wokół jakiegoś niewidzialnego punktu, ale w przeciwieństwie do niego zaczęła powoli zanikać. Epstein oznajmił, że kolor odpływał z niej niemal na jego oczach. Jednocześnie stawała się przezroczysta. Za dzień albo dwa może zniknąć całkowicie. Nie osiągnął z Enką większego sukcesu niż z Tonim. Nie sposób było jej złapać. Czegokolwiek by próbował, zawsze była poza jego zasięgiem. Policjant wzruszył przepraszająco ramionami, stojąc w zimnym magazynie.

- Wygląda na to, że ją zastrzelono - dodał, wskazując na płat skóry zwisający spod pachy ofiary.

Asystentka weszła do klatki żurawia i okrążyła w niej trupa Enki Mercury. Z zaworów maszyny od czasu do czasu buchały obłoczki gazu. Po pięciu minutach kobieta wróciła na ziemię.

- Co wam dał mój operator? - zapytała Epsteina.

Policjant wzruszył ramionami. Podobnie jak jego współpracownicy, bał się przez cały czas spędzony przez operatora-cienia w zaułku odchodzącym od Tupolev Street. Nawet doświadczeni funkcjonariusze wycofali się, pozwalając, by sam wykonał swoją robotę. Woleli cały dzień stać w deszczu na skrzyżowaniu niż zbliżyć się do operatora-cienia. Gdy ten ujrzał trupa, z jego ust popłynęło oślepiające światło.

- To bardzo interesujące - stwierdził, przyglądając się, jak Toni Reno wykonuje kilka kolejnych obrotów niczym świetnie wyćwiczony akrobata.

Następnie operator-cień zwymiotował jeszcze trochę światła i podszedł do Epsteina. Musiał wspinać się na palce, by z nim porozmawiać. Policjant pochylił się z niechęcią, by go usłyszeć.

- Mam małą tajemnicę - wyszeptał mu do ucha operator.

To było wszystko. Powiedział, że ma małą tajemnicę, a potem umknął zaułkiem, odwracając się na chwilę, by pomachać nieśmiało ręką - być może raczej Toniemu Reno niż gliniarzom - nim zniknął w jednym z budynków. Mgliste powietrze wokół niego zalśniło opalizującym blaskiem, jakby reagowało na jakieś przejście fazowe. Dzisiejszego ranka operator działał na siedmioletniej dziewczynce - miejscowym szkrabie, odzianym w zwyczajową sukienkę z białego atlasu, sięgającą ziemi, wyszywaną w muślinowe wzory i ozdobioną kremową koronką, a obutym w coś, co wyglądało jak błyszczące szpilki ukradzione matce - ale jego głos miał trzy albo cztery odrębne elementy, przeważająco męskie.

- Jaka może być korzyść z operatora? - zapytał asystentkę Epstein.

- One kierują się własnymi prawami - zgodziła się kobieta. - Czy to był ten, który

używa imienia Morze?

- Nie mam pojęcia, który to był - odparł Epstein tonem świadczącym o tym, że nie chce tego wiedzieć.

Asystentka uśmiechnęła się półgębkiem.

- Miał czerwone kurewskie szpile - odgadła. - Siedmioletni dzieciak w ślubnej sukni i czerwonych dwunastocentymetrowych szpilach z lakierowanej skóry. I co ty na to, bohaterze?

Połączyła się ze swoim biurem i kazała przysłać holograficzny obraz ciała Toniego Reno, by móc go porównać ze zwłokami dokerki. W obecnej sytuacji oboje wydawali się niezbyt realni. Enka Mercury była całkowicie bezbarwna, pomijając lekko sinawy odcień twarzy i dłoni, Toni zaś sprawiał wrażenie niedoskonale przedstawionego w tonach brązu, czerwieni i żółci. Kobieta wydawała się równie nieuchwytna jak zawsze, natomiast mężczyzna był jedynie zakonserwowany i błyszczący, jak wykonany z drewna. Jeden z mokasynów ręcznej roboty firmy Fantin & Moretti spadł mu z nogi. Ciało obracały się z różnymi prędkościami do chwili, gdy otaczająca je przestrzeń tak jakby dostosowała się do nich i osiągnęły synchroniczność nieosiągalną dla nich za życia.

- Zauważyłaś? - odezwał się Epstein. - Można by pomyśleć, że postrzegają się nawzajem.

- Ta myśl cię niepokoi?

Raz jeszcze wzruszył ramionami.

- Jak to się dzieje? - zapytał.

- Może to miłość? - zasugerowała asystentka. - Dziewięćdziesiąt procent tego, co widzimy codziennie, to artefakt jakiegoś innego procesu - dodała po chwili. - Tego, co dzieje się naprawdę.

Epstein nie potrafił na to odpowiedzieć.

- Nie sądzisz? - ciągnęła. - Śledczy zawsze musi brać ten fakt pod uwagę.

Przystanąła na chwilę tuż obok niego, wspierając ręce na biodrach, i rozglądała się po prawie pustym pomieszczeniu, jakby zabrudzone ropą naftową podłogi i fluoryzujące pasy ostrzegawcze wydawały się jej niezwykle fascynujące. Epsteinowi nie podobał się jej zrelaksowany spokój. Z bliska wydawała mu się równie niepokojąca jak operator. Za trudno było jej unikać. Jej modyfikacje wypełniały magazyn jak odrębna osobowość: interesowały się wszystkim, od chwilowej zmiany w rytmie oddechu Epsteina, aż po dźwięk kroków w odległości niespełna kilometra. Za każdym razem, gdy przenosiły uwagę na jakiś inny obiekt, policjant czuł mocną, ekscytującą woń hormonalnych gradientów. Asystentka uśmiechała się do niego z tego wszystkiego, jakby przypominała sobie coś seksualnego, co przeżyli razem.

Po wewnętrznej powierzchni jej przedramienia, od łokcia aż po nadgarstek, płynęły chaotyczne strumienie piktogramów przypominających znaki z historycznych czasów. Była żywą wizją przyszłości jakiegoś taniego krawca.

- Chcę się dowiedzieć, kiedy Enka zniknie - oznajmiła mu.

Z tego samego powodu radziła, by mieli oko na Toniego Reno. Jej zdaniem, dodała, znaleźli się z tą sprawą w dziwnym miejscu.

- Ale nie będziemy wiedzieli, jak dziwnym, dopóki nie wydarzy się coś jeszcze.

Nie mogli zrobić wiele więcej, chyba że Morze coś odkrył. Zwróciła się do swego biura z pytaniem, czy Reno przedstawił przed śmiercią władzom portowym jakieś dokumenty. Dowiedziawszy się, że tak było, poszła zbadać sprawę. Epstein odprowadzał ją spojrzeniem, zadając sobie te same pytania, co jej współpracownicy w budynku na skrzyżowaniu ulic Uniment i Poe. Różnica? Perspektywa Epsteina nie była tą, która obowiązywała w Wydziale Przestępstw Strefowych. To była perspektywa gliniarza. Dla niego asystentka przypominała toksyczną jednorazową osobowość, jedną z tych, jakie dzieciaki wgrzywają sobie na ulicy Carmody w sobotni wieczór.

\*\*\*

Nieświadoma tego surowego osądu asystentka szła po zmoczonym deszczem betonie niekorporacyjnego portu kosmicznego. Ślad z papierów Toniego Reno - głównie listów przewozowych z domieszką zapisów pozaplanetarnych rozmów nadświatlnych - prowadził do statku o nazwie *Nova Swing*, będącego własnością załogi krótkozasięgowego frachtowca z napędem HS-SE, dobrze znanego władzom portowym jako coś, co w dzisiejszych czasach zwano „małą mrówką”. Jak wszystkie podobne statki, widywano go we wszystkich portach na Plaży; dzisiaj asystentka znalazła go na południowym skraju Carver Field, gdzie czekał na ładunek pochodzący z jakiegoś miejsca odległego o dwa albo trzy światła. Znała załogę starego frachtowca o trzech statecznikach i błyszczącym jak mosiądz kadłubie z barów na Straint Street. Co być może ważniejsze, przynajmniej jej zdaniem, wszyscy troje odegrali pewną rolę w ostatniej sprawie Lensa Aschemanna: portowa kurwa imieniem Irene, która wcześniej przyjęła pakiet mony i dobrze na tym wyszła; były przemytnik, nadal zwany przez wszystkich Grubym Antoyne'em, mimo że zrobił się teraz szczupły i zgrabny, opalony w blasku odległych słońc, których planety odwiedzał; oraz Liv Hula, emerytowany raketowy jeździec. To właśnie z tym trzecim członkiem załogi spotkała się asystentka w sterowni. Liv Hula była sama i właśnie podłączała się do matematyki statku.

Chuda, posiwiata kobieta w wieku około pięćdziesięciu lat leżała na kozetce pilota, rozebrana do białej bawełnianej koszulki oraz prostych, nieco na nią za dużych spodenek. W



jej usta wciskała się gruba na pięć centymetrów wiązka różnobarwnych przewodów. Liv Hula zwracała głowę na bok, jakby chciała ułatwić ten proces. Jej oczy wpatrywały się biernie w dal. Przewody wiły się i pulsowały, przechodząc zgrabnie przez podniebienie miękkie do dolnych części mózgu. Kiedy się połączyły, przez ciało kobiety przebiegła intensywna fala drżących ruchów, przypominająca początki orgazmu. W odpowiedzi, na konsolach kontrolnych z pomalowanego na szaro bakelitu pojawił się chaotyczny strumień światła. Pomieszczenie wypełnił smród gorącej izolacji.

- Naprawdę wszyscy powinni tego spróbować - odezwały się nagle pokładowe głośniki, tworząc zdumiewająco dokładną imitację głosu Liv Huli. - Seks nigdy nie zawodzi.

- Za żadne pieniądze - odparła asystentka. - Najpierw włożą ci do ust, a potem wciskają się nocą do ucha? I umierasz?

Liv Hula roześmiała się. W jakimś fenomenologicznym sensie była teraz jaźnią *Nova Swing*, jego tożsamością. Dbała o jego silniki i systemy, obserwowała odległe wydarzenia za pośrednictwem jego zmysłów. Mawiała niekiedy, że gdy była statkiem, czuła się wolna od brzemienia własnej osobowości.

- To tylko maleńka matematyka dla dzieci - pochwaliła się asystentce. - Powinnaś zobaczyć, czego potrafi dokonać ta dla dorosłych.

Gdy wypowiadała te słowa, w jednej z termojądrowych szalup włączyły się ki-gazowe zapłoniki. Serwomotory wydały z siebie lepki wysoki dźwięk, który jednak zaraz ucichł.

- Niech to chuj - poskarżyła się Liv Hula. - Turbulencja warstwy granicznej. Antoyne?! - zawołała. - Jesteś tam? Ta twoja pierdolona antyczna maszyna znowu zdechła. Odpowiedzi nie było.

- Widziałas może Antoyne'a po drodze tutaj? - zapytała asystentkę. - Jak widzisz, jestem zajęta. Tym razem on mógłby ci pomóc lepiej ode mnie.

Kiedy mówiła, przewody brzęczały niewyraźnie, jakby nadal próbowała kształtować słowa ustami, jak zwykli ludzie. Jej dłonie wykonywały drobne, przypadkowe ruchy, a ciało sprawiało wrażenie zmęczonego i oklapniętego.

- Mogłabyś czymś mnie przykryć? Zimno mi.

Asystentka skinęła z uśmiechem głową. W kabinie było czterdzieści stopni ciepła i panowała wilgoć.

- Interesują mnie wasze kontakty handlowe z Tonim Reno.

Liv Hula zapewniła, że nie zajmuje się tą stroną ich przedsięwzięcia. Dodała, że Toni Reno był powszechnie znany jako pizda, a do tego nie potrafił się ubrać.

- Powinnaś zapytać o niego Grubego Antoyne'a. Jeśli nie spotkałaś go po drodze tutaj,

zapewne uprawiają seks w swojej kabinie. Zwykle to robią o tej porze dnia.

- Kapitanie, chciałabym się dowiedzieć, czy załadowaliście ostatnio na pokład jakiś towar od Toniego?

Znowu włączyły się ki-gazowe zapłoniki. Tym razem termojądrowy silnik obudził się do życia. Rozległ się niski, żalorny jęk, wstrząsający wytrawionym przez promienie gamma kadłubem.

- Nie jestem kapitanem! - zawołała ze śmiechem Liv Hula i wyłączyła silnik. - Ojciec udzielił mi bardzo dobrej rady - dodała, gdy zrobiło się cicho. - Nie rozkazuj drugim ani nie przyjmuj rozkazów od drugich. Wspólnie zdecydowaliśmy, że *Nova Swing* obejdzie się bez kapitana.

- To są dokumenty ładunku Toniego Reno. Może je poznajesz?

- Mogłabyś mnie czymś przykryć? - zapytała po raz drugi Liv Hula.

Asystentka podeszła do drzwi sterowni, a potem spojrzała w jedną i w drugą stronę korytarza, jakby tam mogła znaleźć to, czego potrzebowała. Kiedy dotykasz czegoś na rakiecie takiej jak ta, na palcu zostaje ci uniwersalny talk innych światów.

- Widuję was w barach na Straint Street! - zawołała, oglądając się przez ramię. - Współpraca świetnie się wam układa. Można mnie tam znaleźć wieczorami, dwa albo trzy razy w tygodniu. Po zniknięciu Aschemanna to ja odpowiadam za te bary. - Aschemann bardzo jej pomagał. Jego duch, żyjący wśród operatorów-cieni skupiających się w rogach jej gabinetu, nie był już tak użyteczny. Najczęściej pojawiał się tylko jako twarz. Często odnosiła wrażenie, że ostrzega ją przed czymś. - Nauczył mnie spoglądać wewnątrz, w miejscach takich, jak „Tango du Chat”, a także na zewnątrz, ku gwiazdom, w miejscach takich jak to. Ale nigdy nie potrafię zdecydować, co naprawdę widzę. - Wreszcie znalazła u podstawy kozetki pilota różowy, luźno tkany pled. Pachniał tak, jakby ktoś owinął w niego jakieś zwierzę.

- Nie zapomnij poprosić Grubego Antoyne'a, żeby skontaktował się ze mną, by porozmawiać o sprawie Toniego Reno. Zawsze jestem dostępna i zawsze zainteresowana tym, co robicie. - Delikatnie otuliła pledem ciało Liv Huli. - Teraz cieplej? - zapytała. - Kosmiczny kapitan, taki jak ty, może sobie pozwolić na lepsze spodnie, kochanie - dodała, zatrzymując się przed wyjściem w drzwiach.

Asystentka uważała się za kogoś, kto nie boi się spojrzeć we własne oczy. Robiła to codziennie, ale niekoniecznie coś w nich znajdowała. Jej życie toczyło się przewidywalnym torem, czy to w pracy, czy w czasie wolnym. Koło południa można ją było spotkać, gdy chodziła między budkami w Preter Coeur. Świetnie знаła wszystkich zawodników, krawców

oraz ich sztuczki. Byli dla niej jak dawni zbieracze „znaczków” albo „obrazków z paczek papierosów”. Wczesnym rankiem parkowała swą wielką różową reprodukcję cadillaca na Placach Saudade, gdzie strefa zdarzenia przechodziła we własną otoczkę, i często można było wyczuć coś wielkiego, lecz nie do końca widocznego, co przemieszczało się pośród strzępków mgły. Wieczorem przychodziła kolej na bary na Straint Street albo farmy tanków na C-Street. W inne dni siedziała w swym pokoju w GlobeTown i przeglądała się w lustrze albo wyglądała przez okno, patrząc, jak fizyka portu raketowego wypelza za ogrodzenie, i wypróbowała różne imiona dla siebie. Wypróbowała „Sekhet” i „Słodziutka”, „Różyczka”, „Radtkę” i „Emily-Misere”, „Złamane Serce!”, Imogen” i „LI Dominette”.

- Jest za ładna, żeby miała nie wyjść za mąż - mówiła na koniec, przyglądając się sobie w lustrze.

## MÓWI ANGLIA

W Londynie pogoda się zmieniła. Anna Waterman przesiadła się na Clapham Junction do pociągu odjeżdżającego o dwunastą dziesiątą do Epsom i wysiadła z niego na stacji Carshalton Beeches. Stamtąd ruszyła pieszo na południe. Niebo wyglądało pogodnie, a jednocześnie deszczowo. Szła przez podmiejski krajobraz, długie gęste szeregi wolno stojących domów oraz bliźniaków - każdy ze stoma metrami kwadratowymi ogrodu oraz starym omszałym garażem z drewna - ciągnące się ku Banstead. Nieopodal więzienia Downview znalazła ulicę, którą skądś pamiętała, i weszła na teren ogrodu pierwszego z domów. Miał trzy piętra, okna na poddaszu od frontu, ściany pokryte pobielanym tynkiem kamyczkowym oraz czyste szyby w wykuszu na parterze. To ostatnie nie wyglądało zachęcająco. Anna była przekonana, że okna w domu, którego szukała, były brudne i robiły wrażenie nieużywanych, jakby jego mieszkańcowi nie zależało zbytnio na wyglądaniu na dwór. To był dom zwracający się do wewnątrz.

Niemniej wyjęła na wszelki wypadek przenośny dysk z torebki i trzymała go w ręce. Jeśli ktoś ją zatrzyma, zamierzała pokazać go na dowód swych dobrych intencji.

- Przyszłam to oddać - mogła powiedzieć, i to byłaby prawda. Przyzwyczyła się już do wchodzenia do cudzych ogrodów. Nigdy jej na tym nie przyłapano.

Krótki, zarośnięty zielskiem podjazd prowadził do garażu, a w ogrodzie od frontu ostrokrzew i stare róże zieleniły się w niepewnym blasku słońca. Zatrzymała się przy oknie na parterze, osłoniła oczy dłońmi, by wyeliminować odbicia, i ujrzała pokój pełen częściowo rozpakowanych pudeł oraz pokrytych zaskorupiałym pyłem pokrowców, jakby przed laty ktoś zaczął tu się wprowadzać, ale nie zdążył uporać się z tym do końca. Pod ścianą stały rozmaite meble, w tym niepasujące do siebie krzesła oraz szpitalne łóżko. Zwisały z niej wąskie trójkątne pasy tapety, sztywnej od starej farby. Na podłodze wały się niewłączone do kontaktu przewody. Górne powierzchnie wszystkiego, od szczebli drabin aż po nieosłoniętą żarówkę wiszącą pod sufitem, pokrywał brudny kurz, który zawsze się zbiera w porzuconych londyńskich domach, pokrywając wszystko twardniejącą z roku na rok warstwą przypominającą wyspecjalizowaną przemysłową powłokę. Pokój sprawiał wrażenie

porzuconego, nim jeszcze zaczęto w nim mieszkać. Z tyłu znajdowały się drzwi, otwarte wystarczająco szeroko, by wpuścić do środka trochę światła, ale nie na tyle szeroko, by można było zobaczyć, czy reszta domu jest podobnie zaniedbana. Anna wzruszyła ramionami i zaczęła się odsuwać, gdy nagle usłyszała czyjeś kroki na betonowym chodniku. Zza rogu budynku wyszedł chłopak w wieku około szesnastu lat, oglądający się przez ramię, jakby sprowadził go tu jakiś podejrzany cel. Miał na sobie obcisłe džinsy podwinięte w kostkach, za mały T-shirt oraz sznurowane buty, poplamione czarną i różową farbą emaliową. Żel wprowadził w jego krótkie blond włosy tak wiele nieporządku, że przypominały starą szczotkę do szorowania. Na widok Anny drgnął, zaskoczony.

- Nie wiem, co pani sobie myśli, ale przychodzę czytać kobiecie, która tu mieszka - oznajmił pośpiesznie. - Czasami przynoszę jej film, ale najczęściej czytam.

Anna nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, więc zachowała milczenie. Chłopak patrzył na nią wyczekująco. Był niższy od niej, a jego twarz wyglądała na ogorzałą, jakby żył na porywistym wietrze, którego nie czuł nikt oprócz niego. Być może próbując przekonać Annę, uniósł trzymaną w ręce książkę w miękkiej oprawie, grubą, powyginaną i zbrązowiałą na brzegach stron.

- To starsza kobieta - wyjaśnił. - Mieszka tu od lat. Niektórzy ją lubią, a inni nie. Robi zakupy w Carshalton. Chętnie ogląda filmy, ale to zawsze musi być coś staroświeckiego, tylko takie filmy lubi. - Wzruszył ramionami. - Czasem człowiek chce obejrzeć coś nowocześniejszego, prawda? Ale oczy mi się męczą od tego ciągłego czytania. To przez kurz. On się osadza na twarzy.

- Przyszłam coś oddać - odezwała się Anna.

Chłopak sprawiał wrażenie, że jej nie słyszy.

- Pani też mógłbym poczytać, jeśli pani chce! Świetny pomysł! Mógłbym przyjść do pani domu i poczytać pani tę książkę.

Uniósł ją znowu i Anna, pełna strachu oraz niesmaku, zobaczyła, że to bardzo stary egzemplarz *Zaginionego horyzontu*. Strony były pozlepiane i pofałdowane w miejscu, gdzie książka dawno temu wpadła komuś do wanny. Z tyłu brakowało okładki. Tom z łatwością mógł pochodzić z pokoju, do którego przed chwilą zaglądała.

- Chybabym tego nie chciała - odparła. - Do widzenia.

- Nigdy nie korzystam tu z toalety - zawołał za nią chłopak - nawet jeśli bardzo mi się chce. To stara fleja, ta kobieta.

Anna weszła na klomb, a potem ruszyła przed siebie po trawie. Chłopak szedł za nią, ale miała wrażenie, że właściwie nie stara się jej dogonić. Gdy tylko wyszli na ulicę, oddalił

się truchtem w kierunku szpitala Royal Marsden.

- To dobra książka - usłyszała jeszcze jego głos. - Czytałem ją więcej niż raz.

Przyśpieszyła kroku, zmierzając w przeciwną stronę, aż wreszcie dotarła, zdyszana, do stawów Carshalton, dwóch dziwnych, płytkich, bezużytecznych zbiorników wodnych o przemysłowym wyglądzie, ciągnących się pod niebem barwy ołowiu. Od ulicy oddzielała je jedynie barierka, dom dla kłótliwych kaczek i mew. Anna okrążyła je dwukrotnie. Już się uspokajam, pomyślała, zdumiona, że tak szybko regeneruje siły. To był tylko chłopak. Tak samo winny jak ja. By zademonstrować sobie własny spokój - odegrać go - kupiła kanapkę z tuńczykiem i jabłko w supermarkecie na High Street. Zjadła je na ławce nad wodą, mając przed sobą młode matki, z mniejszą lub większą cierpliwością zachęcające swe małe dzieci do karmienia kaczek. Słońce pojawiło się i zniknęło, a potem zaczął padać deszcz. Anna czuła woń stęchlizny, być może pochodzący od samej wody, pokrytej cienką jak pajęczyna warstwą pyłu utrzymywaną w całości przez napięcie powierzchniowe, albo od kręcących się obok ptaków. Miała nadzieję, że nie chodzi o dzieci.

W Carshalton są dwa dworce. Chcąc zredukować szanse spotkania chłopaka, postanowiła, że nie pójdzie na Carshalton Beeches, i ruszyła North Street ku temu drugiemu. Zresztą i tak był bliżej.

\*\*\*

Po godzinie czy dwóch wróciła do domu i znalazła w ogrodzie Marnie, wpatrującą się ze zdziwieniem w kwiaty rosnące pod altaną.

- Nie wiem, skąd one się wzięły. Ty je zasiałaś?

Anna, która liczyła na to, że będzie miała dom tylko dla siebie, i czuła się rozczarowana, z początku zapewniła, że nie ma pojęcia, potem jednak doszła do wniosku, że powinna zademonstrować swój autorytet, mimo że nie pracowała w ogrodzie od lat.

- To egzotyczne rośliny, kochanie. Chyba przyjęły się całkiem nieźle, nie sądzisz?

Miała rację. Choć żadna z roślin nie była wysoka, okupowały wąski pas ziemi otaczający altanę z intensywną wiarą w siebie. Dominowały obwisłe kwiaty podobne do maków, ale można też było zobaczyć jakąś odmianę miesięcznicy oraz coś, co po rozwinięciu się mogło się okazać przerośniętą cantedeską etiopską. Płatki maków miały osobliwą, metalicznie brązową barwę. Zwiślały bezwładnie z mięsistych jasnozielonych łodyg, pochylających się niczym łodygi anemonów, jakby nie były przystosowane do dźwigania takiego ciężaru. Ziemię między nimi porastały gęste jak trawa i splecione niczym włosy łonowe rośliny, ciemne i pierzaste, podobne do krwawnika, ale o delikatniejszej konstrukcji, która powtarzała się w każdej skali, aż wreszcie Anna się w niej pogubiła. Nie było sensu

przyznawać, że jeszcze wczoraj nie było tu żadnych maków.

- Wyglądają jak zrobione z papieru - zauważyła Marnie, rozchylając płatki palcami i odsuwając łydgi na boki, by zobaczyć, co się kryje pod spodem, jakby miała z początku zamiar je kupić, ale właśnie zmieniała zdanie. - Myślisz, że pachną? Mają bardzo sztuczne kolory.

Marnie odsunęła się i spojrzała na altanę, wyraźnie zamierzając powiedzieć coś jeszcze.

- Zanim zaczniesz - ostrzegła ją Anna - nie zamierzam jej odnowić, rozebrać ani przerobić na mieszkalną przybudówkę. Jej córka była wyraźnie rozczarowana, ale odpowiedziała tylko bardzo ustępliwym wzruszeniem ramion. Stały tam jeszcze przez chwilę czy dwie, słuchając melodyjnego głosu kosa, śpiewającego wczesnowieczorną pieśń w jabłoniowym sadzie, po czym podjęły wspólną, choć niewypowiedzianą na głos decyzję powrotu do domu.

- Pomyślałam sobie, że mogłybyśmy zrobić omlety - odezwała się Marnie po drodze.

- Mam nadzieję, że przyniosłaś wino. W przeciwnym razie pieprz się.

Podczas gdy jej córka smażyła omlety, Anna zajęła się robieniem sałatki.

- To pudło ze starociami, które znalazłaś, zaniiosłam z powrotem do altany - oznajmiła Marnie. - To tylko stare odznaki i rzeczy z uniwerku. - Roześmiała się. - Bóg wie, jaka wtedy byłam. Studia magisterskie z nauk społecznych w stylu wczesnych lat osiemdziesiątych minionego stulecia, spóźnionym o pięćdziesiąt lat. Można by pomyśleć, że przez tak długi czas świat bardziej się zmieni. Ale pewnie zabrakło pieniędzy - dodała, wspominając swą karierę w ekonomicznej historii współczesności. Była przekonana, że nie może być pieniędzy bez zmiany ani zmiany bez pieniędzy. Pogrzebała w głębi lodówki, gdzie Anna przechowywała, przez okres od czternastu dni do trzech tygodni, maleńkie porcje resztek: połowę gotowanego ziemniaka odmiany Maris Bard, czy dwie łyżki deserowe grochówki, zakrzepłej na spodku.

- Co jest w tym okropnym papierze?

- To ser, kochanie. Nie krzyw się tak, proszę. Kupiłam go ze względu na nazwę. Ale potem zapomniałam, jak się nazywał. „Sto jardów” albo coś w tym rodzaju - zdecydowała. - To ser. Kupiłam go w wiosce, w sklepie z nabiałem.

Po posiłku dopiły butelkę wina. Marnie włączyła telewizor i skakała bez przekonania po kanałach. Obejrzała kawałek reality show, w którym ludzi zachęcano do ustawiania się w kolejce po rzeczy, na które nie mogli sobie pozwolić, potem przestawiła na *Lód się topi!* - to był już piętnasty sezon - nim zdecydowała się ze zniecierpliwionym westchnieniem na drugą

połowę filmu dokumentalnego, opisującego historię powolnego upadku wielkich chińskich miast przemysłowych w drugiej dekadzie dwudziestego pierwszego stulecia Annie przypomniały się obrazy Detroit i Prypeci, popularne na początku wieku, gdy schyłek i kryzys - szybki albo powolny, ekonomiczny bądź też wywołany katastrofą - wydawały się czymś przejściowym, nienormalnym, a nawet odrobinę ekscytującym.

Długie snopy światła padające z ukosa na ogromne, wypełnione gruzem wnętrza fabryk, z których zabrano już wszystko od drzwi aż po przewody ciepłone; pastelowe od dymu światy w porzuconych sztandarowych osiedlach mieszkaniowych, gdzie narkomani ustawiali się cierpliwie w kolejce po poranną działkę; roślinność porastająca obwodnice zamknięte dla ruchu przed niespełna dziesięcioma laty, wyblakłe nieczytelne graffiti: ukołysana przez te nierealne wizje upadku Anna poczuła, że zapada w sen.

- Kiedy byłam w altanie - odezwała się nagle Marnie - zdawało mi się, że słyszę, jak coś się tam rusza.

- Ach, ten James! - poskarżyła się Anna.

- Nie sądzę, żeby to był on. Nie widziałam go, odkąd tu jestem. Jeśli to cię nudzi, Anno, zawsze możemy obejrzeć jeden z tych starych filmów, które tak lubisz.

Starsza kobieta zadrżała.

- Nie sądzę, kochanie.

Pomyślała, że zawoła kota i położy się spać. Dzisiejszy dzień to było dla niej za wiele. Przede wszystkim nie mogła zapomnieć o chłopaku - to było tak, jakby przyłapała go na zakradaniu się do jej własnego domu - ale na tym nie koniec... Po południu, gdy siedziała na peronie, czekając na pociąg, który miał zawieźć ją z Carshalton z powrotem do centrum Londynu, i obserwowała deszcz padający z jasnego nieba, na przeciwległy peron wjechał nagle pociąg z dworca Waterloo.

- To jest Carshalton. To jest Carshalton - poinformował dworcowy głośnik wszystkich pasażerów.

Potem pociąg ruszył w dalszą drogę, pozostawiając na peronie garstkę ludzi. Anna rozpoznała wśród nich starego mężczyznę, którego spotkała kilka dni temu w kawiarni na dworcu Norbiton.

Staruszek wyglądał na zdezorientowanego. Choć inni pasażerowie dawno już odeszli, stał, drżąc, na peronie i rozglądał się niepewnie wkoło. Dolna warga opadała mu bezwładnie, a łysa czaszka lśniła w blasku popołudniowego słońca. Płaszcz przeciwdeszczowy miał rozpięty. W jednej żylastej dłoni trzymał laskę, w drugiej zaś brązową papierową torbę, wyglądającą na wilgotną. Co chwila ofiarował ją pustemu powietrzu, jakby się spodziewał, że



ktos ją od niego weźmie. W końcu jacyś dwaj mężczyźni spróbowali mu pomóc. Natychmiast zaczął się z nimi kłócić, choć wyglądało na to, że ich zna. Gdy próbowali go przekonać, by opuścił peron, Anna przeszła przez halę biletową i zatrzymała się na chodniku na zewnątrz. Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego to zrobiła. Na postoju czekała samotna taksówka. Po jakichś pięciu minutach pracownicy dworca wyprowadzili staruszkę - uwolnionego już od papierowej torby - i wsadzili go do pojazdu, grzecznie, ale stanowczo. Przez minutę czy dwie nie wydarzyło się nic poza tym, że mężczyzna opuścił szybę i zaczął patrzeć na deszcz.

- Znalazł pan coś realnego?! - zawołała niespodziewanie Anna.

Obrzucił ją zimnym czujnym spojrzeniem, a potem zamknął okno.

Kierowca odwrócił się, by z nim porozmawiać, ale staruszek najwyraźniej mu nie odpowiadał. Taksówka skręciła w prawo, wjeżdżając na North Street, i ugrzęzła w korku. Gdy tylko samochody ruszyły z miejsca, pojazd zniknął jej z oczu, zmierzając w stronę Grove Park. Anna wyobraziła sobie, jak staruszek siedzi sam na tylnym siedzeniu i spogląda z boku na bok, nasłuchując cichego szumu własnej krwi, podczas gdy taksówka przemyka między stawami Carshalton. Zastanawiała się, dokąd jedzie. Wyobraziła sobie, jak odwożą go do domu przypominającego ten, który dzisiaj widziała. Wyobraziła sobie, że mężczyzna spotyka się tam z chłopakiem o brzydkich włosach, i choć ta wizja nie miała sensu, przekonała się, że zapisała się w jej wizji świata równie mocno, jak samo Carshalton.

Po kilku minutach na parking znowu dobiegł płynący z megafonu głos:

- To jest Carshalton. To jest Carshalton.

Mdły, ale w pełni świadomy siebie akcent łatwo można było rozpoznać jako ton fikcyjnego spikera radiowego z lat czterdziestych minionego stulecia, przepojonego poczuciem ważności i niezwykłości tego nowego urzędowego medium. To brzmiało, próbowała teraz wytłumaczyć córce, jakby spiker uczestniczył w castingu do po dziś dzień nienakręconego filmu Powella i Pressburgera. Jednakże Marnie, która nigdy nie przepadała za Powellem i Pressburgerem, nie dała się przekonać.

- Czy możemy to wyłączyć, kochanie? - zapytała poirytowana Anna. - To mnie dołuje.

- Mówi Anglia. - To właśnie spodziewała się usłyszeć z głośnika. Mówi Anglia, do nocy, niepogody i złego odbioru. Anglia pyta, z tą desperacką, lecz niemal niedostrzegalną pytającą intonacją dwóch ostatnich sylab. - Jest tam kto?

## RAKIETOWI JEŹDŹCY

*Nova Swing* miała swoją historię. Jej wnętrze wypełniało znużone światło, przypominające gościom zdjęcia ze Starej Ziemi. Jej architektura pachniała metalem, elektrycznością, zwierzętami. Zawierała w sobie bardzo wiele czasu, jak na statek zbudowany przed zaledwie stu laty. Można było odnieść wrażenie, że to rezydualny czas, pozostałość po jakiejś nieprawdopodobnej, niedokończonej podróży. Nawet gdy napęd dynafłow nie był włączony, płyty kadłuba wypełniała przyprawiająca o mdłości wibracja o niskiej częstotliwości, jakby statek nieustannie musiał skądś wracać, by załoga mogła go zamieszkiwać. Liv Hula miała wrażenie, że to samo odnosi się do jej życia. Wszystko, czego nauczyła się na samym początku, nadal się do niej przebijało i w konsekwencji wszelkie czynności, nawet gdy już je kończyła, wydawały się jednocześnie opóźnione i eksperymentalne. A gdy jesteś pilotem, znaczna część twojej jaźni i tak przebywa na zewnątrz - w statku, w polach dynafłow - i może mieć narastające trudności ze znalezieniem drogi do domu. „Domem” w tym przypadku nazywamy jakąś bezpieczną lokalizację osobowości w przestrzeni i czasie. Niewykluczone, że właśnie owo poczucie dyslokacji ją uwrażliwiało.

Z początku można to było dostrzec jedynie jako nieład w schematach. Podczas rozruchu, nadal czując w ustach intensywny, zużyty smak złącza pilota, odebrała raporty o błędach od pomniejszych systemów kontrolnych. Doszło do fluktuacji mocy, ledwie wykrywalnych.

- Gdybyśmy mieli przewody, przegryzałyby je myszy - poskarżyła się Grubemu Antoyne'owi.

Później, gdy wyprowadzała statek z orbity parkingowej, wydawało się jej, że widzi kogoś, kto wszedł do kabiny za jej plecami - mroczna sylwetka o płynnych oleistych ruchach pojawiła się i zniknęła, nim Liv zdążyła się zorientować, kto to jest. Postać była szybka, ale z jakiegoś powodu nie robiła takiego wrażenia.

- Kurwa, Antoyne - rzuciła Liv z roztargnieniem w głosie.

- Słucham? - zapytał mężczyzna, który stał trzydzieści metrów poniżej i wyglądał przez bulaj na Trakt Kefahuchiego, słuchając szeptu Irene:

- Nigdy mi się nie znudzi to wszystko, co oglądamy!

Podczas lotu cień trzymał się blisko ładowni. Pokładowe kamery kilkakrotnie zarejestrowały go, gdy przemykał przez czwartą albo szóstą, ale Liv zawsze zjawiała się na miejscu za późno, by zobaczyć, co go rzuciło. Zdarzały się też poruszenia na szczycie zejściówki albo w centralnym szybie wentylacyjnym. Później udawało się jej go wytropić również w części mieszkalnej, ale tylko dzięki odbarwieniu powietrza albo wytarciu graffiti pozostawionego tam przed czterdziestu laty przez jakiegoś znudzonego pasażera. To były tylko izolowane incydenty. Lot z Saudade na Świat X jak zwykle był mozolny i wywoływał dezorientację. Irene rznąła się z Antoyne'em. Antoyne rznął się z Irene. Na zewnątrz przemykały śluzowane struny materii niebarionowej, przypominające krew Chrystusa spływającą po firmamencie. Liv Hula zwróciła się ku mediom z Halo, ale podawane przez nie wiadomości nigdy nie były dobre. Po dwóch dniach postawiła statek pionowo i posadziła go zgrabnie w odległości niespełna trzydziestu metrów od budynku władz portowych na da Luz Field. Leżała potem w kabinie pilota, zbyt zmęczona, by się rozłączyć, słuchając tykania i zgrzytania stygnących silników termojądrowych.

Obudziła się po półgodzinie i przekonała się, że jest sama. Wypluła złącze pilota, wymiotując razem z nim garść żółci, i usiadła z przygnębieniem na leżance; splotła ręce na brzuchu. Monitory obudziły się do życia. Nanokamery wykryły coś w ciemnym przejściu między korytarzami - na wpół ukończoną sylwetkę, jakby ktoś zaczął malować człowieka w wypełniającym korytarz powietrzu, ale potem utracił zainteresowanie. Głowa, pierś i ramiona były obecne, choć wymagały dalszej pracy; niżej postać stawała się umowna, aż wreszcie, w okolicy pępka, pozostawała tylko garstka barwnych strzępów i taśm. Wzrost sugerował, że stoi na podłodze, ale nogi nie były widzialne. Przynajmniej nie dla Liv Huli. Gdy sylwetka zaczęła się zwracać ku niej, kobieta zauważyła, że strzępy i taśmy nie są farbą, lecz ciemnymi fragmentami luźno zwisającego ciała. Postać była realna. I pusta w środku. Rozpruta i przypalona. Liv wybiegła ze sterowni, wyciągając przed siebie ręce i unosząc dłonie wewnętrznymi powierzchniami do przodu.

- Irene! Antoyne! - wołała na cały głos.

Nikt jej nie usłyszał, i to dało jej czas, by mogła się poczuć jak głupia. Stała na pomoście załadunkowym w oślepiającym blasku. Nocą przyśnił się jej dawny przyjaciel, Ed Chianese, z całą pewnością wielki raketowy jeździec swojej epoki. Działo się to rankiem po sławnym zejściu Liv do fotosfery. Ed leżał obok niej. Byli w hotelu Venice, gdzie mieszkały wszelkie odmiany maniaków raketowego sportu, a zwłaszcza jeźdźcy hiperskoczków, w przerwach pomiędzy próbami nurkowania w fotosferze Marnej Szansy IV. Do pokoju

napływały gęste strumienie fotonów, z reguły pochodzących z tejże fotosfery, nadając ścianom przesadnie żółty odcień, co skłoniło Liz do zastanawiania się na głos, jaka jest dziś pogoda w komórkach Benarda. Czuła się taka szczęśliwa. Ed pomyślał o śniadaniu. W tej samej chwili snu zaczął spadać - tak samo jak spadała Liz, osłonięta tylko cienkimi jak papier ścianami *Saucy Sal* - na Marną Szansę IV.

- Ed! Ed, spadasz! - zawołała, na wypadek gdyby o tym nie wiedział.

Wokół niego szalał gorący gaz, na atrakcyjne kości policzkowe padały ostro rysujące się cienie. Uwieczony w zstępującym strumieniu plazmy o temperaturze czterech i pół tysiąca kelwinów hiperskoczek utracił wiarę w siebie i zaczął się rozpadać. Te statki były jak nerwica z silnikiem. Ed odwrócił powoli głowę i uśmiechnął się do niej.

- Nigdy się nie zatrzymam - oznajmił. - Będę spadał wiecznie.

Liz obudziła się wilgotna.

\*\*\*

Spędzili kilka dni na oczekiwaniu na kontakt Antoyne'a. Jedyne kontynent Świata X, opuszczony piętnaście lat temu po niewytłumaczalnej zmianie klimatu, której towarzyszyły nagłe przesunięcia w częstości i zasięgu występowania miejscowych gatunków, przerodził się w handlową czarną dziurę. Pastelowe fabryki sprzętu spintronicznego oraz obserwatoria częstotliwości fal radiowych finansowane przez EMC zamknięto, a wraz z nimi również noclegownie dla kadry kierowniczej niższego szczebla oraz kurorty. Port da Luz Field nadal był czynny, ale ruch znacznie osłabł. Władze portowe utrzymywały tu ekipę nadzorczą. Jedyne mały bar i ciastkarnia, „L'Ange du Foyer”, był niewiele więcej niż garstką ostemplowanych aluminiowych stolików ustawionych w gorących promieniach słońca. Każdego ranka po śniadaniu za jednym z nich można było zobaczyć monę Irene. Miała wielkie czarne okulary przeciwsłoneczne i popijała mrożoną kawę latte o smaku marcepanowym. Dokumenty Toniego Reno, przyciśnięte pustym kubkiem, powiewały na ciepłym wietrze. Trzeciego dnia zrobiły się brudne od dotykających je rąk i pokryte brązowymi pierścieniami, czwartego zaś wyglądały jak przestarzałe połączenie z innym światem.

Irene piła. Antoyne naprawiał silniki termojądrowe. Wszyscy byli znudzeni. Liv Hula spacerowała niespokojnie po okolicy. Da Luz otaczało kilka akrów wypalonych słońcem krzewów oraz placów porzuconych przed ukończeniem budów. Polowały tam chude czarne i białe koty, gromadzące się wśród gruzów i potłuczonego szkła. Liv czuła się niezwykle skupiona, w wyjątkowym stopniu była sobą, lecz jednocześnie nie potrafiła się uwolnić od poczucia, że podąża za nią jakiś duch. Na północy, w przedmieściach portu, mieszkała garstka

Nowych Ludzi, traktujących parterowe białe domy jak węzły mrowiska. Rozmnażali się radośnie, ale - cisi i przybici, niepewni, co robić dalej - nie przekraczali granic dawnego przedmieścia. Populacja utrzymywała stały poziom. Mężczyźni leżeli na patkach, masturbując się w nieubłaganym blasku słońca, nocami zaś krążyli po dobrze rozplanowanych ulicach, pokonując za jednym razem piętnaście do dwudziestu kilometrów swym długim miarowym krokiem. Nie byli pewni, czego właściwie szukają. Piątego dnia pobytu *Nova Swing* w da Luz, we właściwym porcie pojawiła się grupa kobiet. Stały cierpliwie pod budynkami terminalu. Liz pomyślała, że wyglądają, jakby czekały na turystów, którzy już tu nie przylatywali. Gdy powiedziała to na głos, Irene uśmiechnęła się szeroko.

- To my jesteśmy turystami, kochanie - rzekła. Zdjęła ciemne okulary, rozejrzała się wkoło z satysfakcją i znowu włożyła je na nos.

Kobiety przyprowadziły ze sobą chłopca, wyglądającego, według oceny Liz, na sześć, może siedem lat. Był chudy, białoskóry i miał wielką głowę, w porównaniu z którą jego twarz była zbyt drobna i delikatna. Otwierał szeroko oczy, a jego mina sprawiała wrażenie jednocześnie zwróconej ku wewnątrz i otwartej na świat. Chłopiec grzebał przez chwilę w pokrywającym lądowisko pyłe, aż wreszcie znalazł coś, co wyglądało na martwego ptaka, wstał i podszedł tak blisko do „L'Ange du Foyer”, jak tylko się odważył.

- Cześć - przywitała go Liv. - Jak masz na imię?

- Uważaj, kochanie - ostrzegła ją Irene.

Chłopiec usiadł przed nimi i zaczął się bawić truchłem, od czasu do czasu unosząc wzrok, jakby prosił o aprobatę. Ptak był szary i wyschnięty, a jego lekko rozchylony dziób zamarł w bolesnym bezruchu. Bezoka głowa opadała bezwładnie na bok. Po rozłożeniu na skrzydłach pojawiły się opalizujące pasy zielonej i ciemnoniebieskiej barwy. Łaziły po nich setki maleńkich pasożytów.

- Jezu - odezwała się Irene.

Kobiety zatrzymały się w odległości dwudziestu metrów od „L'Ange du Foyer” i przyglądały się apatycznie temu widowisku dziejącemu się w upalne popołudnie. Wtem jedna z nich podeszła do chłopca, ujęła go pod pachy i odciągnęła, mówiąc coś, czego Liv nie zrozumiała. Najwyraźniej próbowała odebrać mu ptaka. Chłopiec opierał się nieustępliwie, a gdy postawiła go na ziemi, uciekł.

Potem wszystkie sobie poszły.

- Zrobiło się chłodniej - zauważyła Irene. - Czemu by nie zjeść lodów?

Jeszcze później, gdy zachód słońca rozgościł się na niebie nad centralnym masywem, dzieciak wyszedł z kryjówki. Nim Liv zdążyła cokolwiek powiedzieć, położył ptaka u jej stóp

i zwiął. Podążyła za nim, nie do końca świadoma, dlaczego to robi. Mona Irene odprowadzała ich spojrzeniem, kręcąc głową.

\*\*\*

Chłopiec szybko przemieszczał się ulicami przedmieść, zatrzymując się co chwila, by skinać ręką na Liv. Stopy miał bose. Jakies dwa, trzy kilometry na południe od da Luz ciągnęła się seria stromych, wklęsłych klifów, beżowych strażników jakiejś starodawnej kopalnej plaży. Dzieciak przez minutę biegał w tę i we w tę u podstawy urwisk, szukając wejścia na górę. Znalazłszy je, odwrócił się i zamachał rękami.

- Nie tak szybko! - zawołała Liv.

Chłopiec zniknął. Klify pochłonęły ostatnie resztki światła. Ruszyła zlebem ku szczytowi. Dzieciak spoglądał na nią z góry. Widziała tylko zarys jego głowy.

- Infierno - odezwał się cicho w pewnym momencie. - Infierno.

Nad urwiskami wznosiły się długie grzbiety żółtej ziemi, biegnące ku suchemu centralnemu masywowi, gdzie w południe powietrze w pełnych pyłu aromatycznych zlebach i nad skalnymi półkami dźwięczało od upału. Teraz jednak w tunelach lawy przesywających okolice na podobieństwo zapadniętych żył dmuchały łagodne nocne wietrzyki. Przystanąła u wylotu *jameo*, nasłuchując szumu wody, spływającej po skalnym rumowisku dziesięć metrów niżej. W świetle gwiazd lśniły ścieżki, tak sprytnie wykorzystujące ukształtowanie terenu, że po pewnym czasie odniosła wrażenie, że sama znajduje drogę bez pomocy chłopca. Nadal ją prowadził, ale jego obecność nie była już tak oczywista. Widziała go od czasu do czasu, przykucniętego na skale albo jako bladą, odległą o blisko kilometr plamkę dostrzegalną na tle stoku. Jeśli droga stawała się za trudna, zawracał; w przeciwnym razie musiała sama sobie radzić w świetle gwiazd. W ten sposób zaprowadził ją na usiany gładzi płaskowyż. Był tam tylko jeden budynek, niski i popadający w ruinę - niekształtne fragmenty wyblakłego drewna, kamienie ułożone jeden na drugim, drzwi stukające głośno na wietrze - usytuowany nad końcem *jameo*.

- Nie wejdę tam - zapowiedziała Liv Hula.

Chłopiec uśmiechnął się do niej, a potem się odwrócił, ściągnął portki i odlał się głośno na kamienie. Wzdychał co chwila, rozstawiając szeroko nogi oraz zaciskając pośladki, i oglądał się na nią z uśmiechem. Wydawało się, że trwa to dość długo. Kiedy wreszcie skończył, jego mały biały penis zwisał luźno.

- Schowaj to - poleciła Liv.

Roześmiał się.

- To tutaj - rzekł. Skinał na nią ręką i otworzył drzwi.

- Nie wejdę tam - powtórzyła kobieta.

Potem - jakby przybyła na Świat X wyłącznie w tym celu; jakby logika każdej podróży, jaką w życiu odbyła, w tym również krótkiego i bezsensownego nurkowania w fotosferze Marnej Szansy IV, prowadziła ją tutaj - odepchnęła go na bok. W środku były schody prowadzące od krawędzi *jameo* na podstawę tunelu lawy o średnicy około sześciu metrów. Patrzył na nią Nowy Człowiek. Rozpościerał szeroko ramiona, był wysoki i szczupły, a jego klinowatą czaszkę porastała nastroszona ruda czupryna. Jego kończyny zginały się w sposób charakterystyczny dla tego gatunku - drewniane w jednym stawie, a giętkie w drugim. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego, jak ktoś, kto próbuje odgrywać w dobrej wierze emocje, które zna wyłącznie z zestawu instrukcji.

- Halo? - odezwała się Liv Hula.

- Zejdź na dół! - zażądał Nowy Człowiek. - Wejdź do środka!

Wiatr zamknął drzwi za jej plecami, a potem znowu je otworzył.

- Jeśli szukasz kutasa, to dobrze trafiłaś! - zawołał.

Faktycznie trzymał go w ręce. Liv popatrzyła na organ, potem na twarz Nowego Człowieka, aż wreszcie rozejrzała się po jego domu. Nierówne ściany - pełne wnęk, bielone i gdzieś tam uszczelnione pękami roślinnych włókien - sprawiały wrażenie czystych i suchych. Za półki gospodarzowi służyły stare krawędzie płytowe. Na pozbawionym obrusa stole stały miska oraz dzban. Nowi Ludzie kolekcjonowali podobne przedmioty, sądząc, że pochodzą one z ich zaginionej ojczystej planety - może były to dzieła sztuki, a może tylko zabawki albo ozdoby. Na jednym końcu zasłona, a na drugim materac, przy którym ułożył czyste ręczniki, świece oraz olejki aromatyczne w dzbanuszkach ręcznej roboty.

- Jesteście ostatnią atrakcją dla turystów - stwierdziła Liv Hula.

- Tak - odparł. - Przylatują tu dla naszych kutasów. Popatrz, popatrz. Są trochę inne od waszych.

- To prawda - zgodziła się kobieta.

- Ale funkcjonują całkiem nieźle. Odpowiadają wam.

- Jestem pewna, że tak.

- Możemy cię wyruchać - oznajmił, jakby cytował slogan reklamowy.

Bił od niego ciepły żywiczny zapach Nowych Ludzi, przypominający nieco woń kreozotu, ale nie do końca nieprzyjemny. Jego kutas, gdy już się do niego przyzwyczaiła, nie różnił się zbyt wiele od innych. Liv podobał się zaskakujący spokój, który poczuła dzięki Nowemu Człowiekowi, choć on również ulegał licznym lękom, coś w rodzaju chwilowego wymazania jej życia, które nie miało nic wspólnego z seksem. Uwolniła się od pamięci o

sobie. Zważywszy wszystko razem, pomyślała, może rzeczywiście po to tu przyszłam. Gdy obudziła się rano, tunel lawy był pusty. Zza zasłony dobiegał szum spływającej wody. Liv umyła się w niej, a potem przeszła wzdłuż półek pływowych, jakby była w sklepie. Brała w ręce różne przedmioty, a potem odkładała je na miejsce. Zostawiła pieniądze na stole. Dziecko pojawiło się znowu i zaprowadziło ją z powrotem do portu raketowego da Luz. Ujrzała go już z daleka w chłodnym powietrzu i delikatnym drobnoziarnistym blasku, ze zdumieniem połączonym z poczuciem własności. Nova Swing wspierała się na statecznikach, jakby były latającymi przyporami małej mosiężnej katedry! W świetle dnia krajobraz nie był tak opustoszały, jak się jej zdawało. Żleby i tunele lawy wypełniała chłodna zielona roślinność; snopy słonecznego blasku padały na wszechobecne strumyczki i strużki wody. Wkrótce wyprzedziła chłopca, najwyraźniej zaprzątniętego już czymś innym.

\*\*\*

Tuż przed południem wyszła na betonową nawierzchnię portu i w migotliwym od upału powietrzu ujrzała Grubego Antoine'a oraz Irene. Oboje stali przed „L'Ange du Foyer”, rozmawiając z niskim człowieczkiem o dziwnym wyglądzie. Zapewne był to MP Renoko. Żadne z nich nie usiadło. Mówili podniesionymi głosami i gestykulowali żywo. Antoine machnął dokumentami Toniego Reno i coś powiedział. Niski człowieczek pokręcił głową. Miał na sobie krótki jednorzędowy płaszcz przeciwdeszczowy, narzucony na poźółkłą wełnianą koszulkę, a na nogach zwiężające się ku dołowi czerwone spodnie, kończące się w połowie długości łydek, oraz czarne mokasy. Oznajmił, że umowa, którą zawarł z Tonym Reno, przewidywała, że nikt nie dostanie pieniędzy, dopóki wszystkie obiekty nie zostaną dostarczone w nieokreślone dotąd miejsce. Na razie miał tu drugi. Tak to wyglądało. Irene wyrwała Antoine'owi papier, spojrzała MP Renoko prosto w oczy i rozdarła dokument na dwie części. Mężczyzna wzruszył z uśmiechem ramionami. Z przesadną ostrożnością położyła kawałki papieru na jednym z aluminiowych stołów, a potem się oddaliła. Liv Hula, nie chcąc się do tego mieszać, weszła do lokalu, unikając spojrzeń wszystkich trojga, i zamówiła mrożony jogurt. Irene przystanęła za jej plecami.

- Ja też taki sobie wezmę, tyle że z wódką.

Usiadły za stolikiem i obserwowały, jak Gruby Antoine i MP Renoko oddalają się ku skrajowi lądowiska, nie przestając się klócić.

- Za kogo ten mały zasraniec się uważa? - zapytała Irene.

Liv odpowiedziała, że nie ma pojęcia.

- Ja mam - oznajmiła mona, jakby właśnie zwyciężyła w sporze. - Tak jest.

- Nie podoba mi się ta jego broda.



- A komu się podoba? - zapytała Irene. - Dobrze się bawiłaś w nocy?

Liv uśmiechnęła się i spojrzała na jogurt. Było już w nim pełno much.

Potem wszyscy troje udali się do głównej ładowni *Nova Swing*, by przyjrzeć się temu, co zostawił im Renoko. To była kolejna trupia klatka, metr albo dwa dłuższa od poprzedniej, unosząca się kilkanaście centymetrów wyżej nad podłogą, zwężająca się na obu końcach i znacznie bardziej poobijana.

- Powinno być okienko, ale go nie znalazłem - poskarżył się Gruby Antoyne.

MP Renoko wyjaśnił, że podobne obiekty można było zobaczyć w starych cyrkach wędrownych. Były hermetycznie zamknięte. Cyrkownicy zapewniali, że w środku kryje się obca istota. Ludzie płacili za zajrzenie do środka, może też ich dzieci waliły w pojemnik kijami, i wszyscy byli zadowoleni. Ten pojemnik, nitowany jak stare ocynkowane wiadro, naznaczyły na bokach smugi korozji, siarki sublimowanej oraz sadzy, jakby niedawno przeżył niskotemperaturowy pożar albo poddano go jakiemuś nieudanemu procesowi przemysłowemu. Według słów Grubego Antoyne'a, owo wydarzenie z pewnością wyprodukowało tak niewiele energii, że ledwie by jej starczyło do zagotowania wody w czajniku. Potem klatkę przechowywano w jakimś wilgotnym pomieszczeniu. Było ją trudniej przemieścić niż tę pierwszą. A gdyby ktoś włożył dłoń pod spód - czego nikomu nie radził robić - usmażyłyby ją mikrofałe.

Liv Hula zadrżała.

- Są chwile, gdy nienawidzę tej roboty - oznajmiła.

Irene zaśmiała się złowieszczo.

- Nieokreślone dotąd miejsce - powtórzyła. - Ta pizda, Toni Reno, znowu nas wrobiła.

## EMOCJONALNE SYGNAŁY SĄ CHEMICZNIE ZAKODOWANE WE ŁZACH

Ostatni użytkownik popadającej w zapomnienie metody, ze specjalizacjami w dyplomacji, archeologii wojskowej i zarządzaniu projektami, R. I. Gaines - znany młodszym współpracownikom jako Rig - wślawił się jako częściowo stowarzyszony specjalista od informacji podczas jednej z małych wojen prowadzonych przez EMC. Był przekonany, że choć paliwem tej organizacji jest nauka, jej silnik działa w królestwie wyobraźni.

- Wewnątrz tej metafory zawsze znajdziecie politykę - powtarzał często swej ekipie, celowo mieszanej grupie, złożonej ze stażystów politycznych, byłych entradistów oraz uczonych czujących się wygodnie w szerokim zakresie dyscyplin. - Działanie ma charakter polityczny, czy tego chcemy, czy nie.

Niektóre projekty wymagają jedynie elektronicznej obecności. Inne domagają się bardziej namiętnego udziału. Dzisiaj Gaines wyruszył w teren na Panamax IV, gdzie miejscowa przedstawicielka, Alyssia Fignall, odkryła dziesiątki miejsc wyglądających na pierwszy rzut oka na opuszczone miasta. Mikrochemiczne analizy wybranych miejsc aktywnych przekonały ją jednak, że to nie tyle miasta, ile - jak to nieprecyzyjnie określiła - „silniki duchowe”, masowe miejsca składania ofiar, które sto tysięcy lat przed przybyciem chłopaków z Ziemi pracowały dniem i nocą przez co najmniej tysiąclecie, by spowodować zmiany albo - co bardziej prawdopodobne - powstrzymać je.

- W pobliżu Traktu takie miejsca spotyka się na co dziesiątej planecie - oznajmiła. - Można stworzyć mapę frontu traumatycznego, ściśle korespondującą z astrofizyką.

Stali na niskim wzgórzu, piętrzącym się na niesamowicie płaskiej równinie o obszarze obejmującym nieco ponad hektar, pokrytej grubą warstwą pyłu, choć latem dęły tu gwałtowne wiatry. Widniały na nim zaokrąglone przez erozję pozostałości architektury. W alejach biegnących między zigguratami widziało się tu i ówdzie skupiska roślinności - kępy małych czerwonych kwiatków oraz gaje cienistych drzew, pod którymi ludzie Alyssii zbierali się podczas każdego posiłku, by poćwiczyć ekscytację oraz optymizm. Codziennie znajdowali coś nowego. Na błękitnym niebie, nad górami na południu, piętrzyła się coraz wyżej biała

wieża z chmury. Z pobliskiego wzgórza, wyglądającego, jakby prowadzono na nim jakieś inne wykopaliska, biła w górę smuzka dymu. Gaines pomyślał, że wszystko, co można by rzec o rytualnych ofiarach, byłoby tylko kolejnym aktem kulturowego zawłaszczenia, mówiącym więcej o tobie niż o historii.

- A czym to miejsce różni się od innych? - zapytał Gaines.

Alyssia Fignall odwróciła wzrok, uśmiechając się pod nosem.

- Tu się udało - wyjaśniła. - Przesunęli planetę.

Nagle spojrzała Gainesowi prosto w oczy, szukając kontaktu z jego duszą. Jej oczy były szeroko rozwarte z zachwytu.

- Rig, tutaj wszystko jest zupełnie nie w porządku. Dlatego cię wezwałam! Sto tysięcy lat temu, posiłkując się wyłącznie składaniem ofiar - myślimy, że to była masowa strangulacja, być może nawet połowy populacji - mieszkańcy tej planety przesunęli jej orbitę o dwadzieścia minut świetlnych. Jesteśmy przekonani, że chcieli ją utrzymać w ekosferze. Są dowody świadczące, że jasność gwiazdy wzrosła... - Wzruszyła ramionami. - Choć, patrząc na sprawę realistycznie, nie do tego stopnia, by mogło to wiele wyjaśnić. W tekstach, które odnaleźliśmy, mieszkańcy najwyraźniej nie potrafili opisać dokładnie, czego właściwie się boją. Wkrótce potem dali za wygraną i wzmianki o nich znikają z historii.

- Może mieli wyrzuty sumienia - zasugerował Gaines.

- Nie w takim sensie, o jaki zapewne ci chodzi.

Przez chwilę spoglądali bez słowa na równinę.

- Byli czymś w rodzaju diapsydów - dodała po chwili kobieta.

- Alyssio, to już jest jakiś rezultat.

- Dziękuję.

- Czego potrzebujesz?

- Dofinansowania - odparła ze śmiechem.

- Mogę ci dać więcej ludzi - zaproponował.

Nagle połączył się z nim projekt Alef. Alyssia odsunęła się uprzejmie, wzbijając nogami tumany brązowego kurzu o wysokiej zawartości drzewnego popiołu i zmielonych na wietrze kości. Jej ludzie znaleźli grube warstwy tej samej substancji w próbkach arktycznego lodu, posklejane dzięki zawartości tłuszczu.

Nadal była podekscytowana. Dziś rano, wiedząc, że spotka się z Rigiem po raz pierwszy od wielu lat, włożyła zrobiony na drutach sweter z krótkimi rękawami z czerwonej wełny merynosów, zapięty na ramieniu na szereg maleńkich guziczków z fałszywej masy perłowej, a do tego rozkloszowaną, sięgającą łydek spódnicę z bawełnianego diagonalu barwy

wyblakłej zieleni. Szczupłe opalone stopy świadczyły o tym, że przekroczyła już czterdziestkę, ale blask słońca oraz strój podkreślały jedynie młodzieńczy entuzjazm. Gaines gapił się na nią z nieokreśloną przyjemnością, kiedy upiorne oddziaływanie na odległość wypełniło nadświetlny kanał i usłyszał znajomy głos:

- Przed jakąś godziną mieliśmy niekontrolowany okres podwójnej długości, a po nim coś w rodzaju konwulsji w głównych kratownicach. Potem całość przeskoczyła do nowego stanu stabilnego.

- Czy nadal pyta o policjantkę?

- Jak nigdy dotąd.

- Coś jeszcze?

Zapadła pełna zażenowania cisza.

- Chce wiedzieć wszystko o kotach domowych - padła wreszcie odpowiedź. - Czy powinniśmy mu w tym pomóc?

Gaines roześmiał się w głos.

- Mówcie mu, co zechcecie.

Minęło już tyle lat, a oni nawet nie wiedzieli, czym naprawdę jest Alef. Może programowali komputer, a może rozmawiali z bogiem. Nie byli też pewni, dla kogo pracują w EMC, ale Gaines był zwolennikiem skomplikowanej profesjonalnej filozofii wszystkich dobrych ekspertów.

- Róbcie swoje - rozkazał. - W sytuacji takiej jak ta wszystkie możliwe korzyści osiąga się na początku. Potem pomyślimy, jak się uporać z konsekwencjami.

Większość projektów wydaje się nieważka i trywialna: wielkie czy małe, tanie i radosne czy finansowane na poziomie planetarnym - zawsze pozostają nieprzejrzyste dla świata rzeczywistego. Inne rozkwitają wtedy, gdy najmniej się tego spodziewasz. Stają się twoimi. Zagnieżdżają się w twoim sercu.

- Dajcie mi K-statek - zażądał.

\*\*\*

Wydział Przepływów Strefowych, piąte piętro, skrzyżowanie ulic Uniment i Poe: powoli nadchodzący ranek. Snopy światła wnikające do środka przez szpary w żaluzjach padały na ramiona policjantki niczym ciężkie brzemiona. Operatory-cienie lepiły się do siebie w kątach sufitu. (Raz czy dwa razy na tydzień można też było tam zobaczyć ducha jej dawnego szefa, ale ta zjawia nie okazała się dla niej tak użyteczna, jak na to liczyła. Składała się tylko z oblicza - twarz starego Alberta Einsteina jak na fotografii widocznej pod wodą, wylupiaste oczy, usta otwierające się i zamykające bez sensu - odnosiła wrażenie, że próbuje

ją przed czymś ostrzec). Na jej biurku leżało mnóstwo raportów. W Saudade City sama topologia jest zbrodnią. Podczas gdy reszta planety nie oferuje nic bardziej dziwnego niż gwałty i morderstwa, Wydział Przepływów Strefowych - nieudolna ludzka próba zaprowadzenia porządku w strefie, której nie sposób zrozumieć - musi się zmagać z przesunięciami granicy, nagłymi mgłami halucynacji, codziennym nielegalnym ruchem na granicy strefy, przemytem ludzi, memów oraz artefaktów, których nikt nie potrafi opisać. Asystentka pogрузyła się w pracy nad tymi zagadkami. Z oddali dobiegał słaby dźwięk dzwonów. Około jedenastej czterdzieści w korytarzu na zewnątrz rozległy się krzyki. Wzywano ją do jednego z pokoiw przesłuchań mieszczących się w piwnicy. Dwa albo trzy dni temu doszło tam do straszliwych wydarzeń zarejestrowanych przez niedawno naprawioną nanokamerę. Na piątym piętrze krążyło mnóstwo relacji - potwierdzonych i nie.

- To śmierdzi świeżym mięsem - zapewniał ktoś.

Ktoś inny mówił, że to było tak, jakby w ich budynku wybuchła wojna.

Tak czy inaczej, każdy chciał się czegoś dowiedzieć. Zabrzmiały alarmy. We wszystkich windach do asystentki uśmiechały się wewnętrzne ekipy strażackie, obciążone bronią termobaryczną oraz pasami na naboje z amunicją do chambersów. Poszła schodami. W połowie drogi wydarzyło się coś tak niezwykłego, że nie dotarła do piwnicy. W pełnej ech klatce schodowej otworzyły się nagle drzwi ewakuacyjne i na pomost tuż przed asystentką wyszła jakaś kobieta. Była wysoka, muskularna, miała ogoloną głowę i oglądała się przez ramię. Kończyła właśnie jakieś zdanie słowem, które brzmiało jak „Pearlant”. Asystentka uniosła rękę.

- Stój! - zawołała.

Jej modyfikacje się włączyły, ale nie chciały osiągnąć prędkości operacyjnej. Widziała teraz świat pod lekko niewłaściwym kątem, jakby była kimś innym. Klatką schodową spływał oślepiający strumień zwiastującego światła. Kobieta odwróciła się, spoglądając na asystentkę, otwierając usta w śmiechu, którego ta nie potrafiła zinterpretować.

- Nie skacz, kochanie! - wyszeptowała.

Na wpół ślepa i wypełniona niewytłumaczalnym strachem policjantka przyglądała się, jak nieznajoma znika za zakrętem schodów. Kroki ucichły w oddali. Drzwi na dole zatrzasnęły się z hukiem. Nic więcej. Asystentka usiadła, dysząc ciężko. Dręczyły ją mdłości spowodowane przez chemiczne odpady z jej przeciążonych systemów. Nie zablokowano ich z zewnątrz. Po prostu uległy emocjom i popadły w dezorientację. Teraz już były w porządku.

Asystentka opuściła budynek. Potem widziano ją w „Oстрыm Szyciu”, tanim zakładzie krawieckim przy Straint Street. Jego właściciel, który trafił do Saudade City po wypadku, jaki

wydarzył się we franczyzowym zakładzie Wujka Suwaka bliżej galaktycznego jądra, spojrzął na nią tylko raz i oznajmił:

- Nie potrafię pomóc komuś takiemu jak ty.

Tymczasem jego poranni klienci - szóstka dzieci-śmieci z plażowych enklaw na Przylądku Samobójców kupujących średnio kosztowny bloker wzrostu o nazwie *7-4eva* - wychodzili tylnymi drzwiami. W odległości półtora metra od asystentki można było wyczuć ciężkie metale w jej krwi, przechwycone protokoły transportu ATP, dodatki do układu odpornościowego. To by wystarczyło, żeby odstraszyć każdego. Oprócz innych darów, jej naturalny słuch sięgał do pięćdziesięciu kiloherców, a asystentka mogła powiększyć ten zasięg do tysiąca za pomocą dzielnika częstotliwości, heterodyny oraz systemów rozbudowy. Produkt ich działania prezentowano jej jako jedną z setki nakładek wizualnych w czasie rzeczywistym. Skóra kobiety, wrażliwa na podczerwień, przekazywała informacje do biologicznych chipów, rozmieszczonych pod skórą na metamateriałowej siatce. Tego rodzaju udoskonaleń nie oferowała policja ani nawet Wydział Przystępstw Sportowych. We wszystkich biologicznych skalach na asystentce napisano „Preter Coeur”. Bił od niej zwierzęcy zapach walk, jej łzy były pełne chemikaliów. Zachęciła krawca do wyjścia zza lady i podeszła do niego.

- Spróbuj - rzekła.

\*\*\*

Patrzył wszędzie, tylko nie na nią - przez okno, na całą witrynę. Jego własne hormony zaczęły działać w jakiejś na wpół zapomnianej reakcji. Starał się zwalczyć bezradność.

- Widziałem cię na ulicy - mówił. - Te twoje modyfikacje to nie jest zwykła francyzowa robota.

Uśmiechnęła się i zapytała, jak ma na imię. Przedstawił się jako George. Powiedziała mu, że nie powinien się umniejszać. Dodała, że właśnie takiego eksperta potrzebuje. Dodała, że myśli, że to może być tylko problem z kanałem jonowym.

- Powinnaś pójść do Preter Coeur - próbował ją przekonać. - Tutaj zajmujemy się tylko tanimi dodatkami.

Spojrziała mu prosto w oczy. Poszedł po sześciokalową lupę, która wyglądała jak dziecinna zabawka z pradawnych czasów umożliwiająca stereoskopowe widzenie. Asystentka wskoczyła na jeden ze stołów krawieckich, by mógł wprowadzić jej sondy.

- Nie znam większości z tych rzeczy - stwierdził po minucie albo dwóch. - Gdybym spotkał cię na ulicy, byłbym przerażony i zbity z tropu.

- George, już taki jesteś.

- Nie ruszaj się - ostrzegł ją. - Jezu - dodał po kolejnej minucie. - Podłączyli wszystko przez ciało migdałowe. Zdarza ci się, że coś zrobisz i nie wiesz dlaczego? Często płaczesz? Używasz metafor? Kto ci to zrobił? - Pogrzebał w jej kanałach jonowych. - Zapomnij, że o to pytałem - dodał. Potem powiedział, że może już wstać i przez jakiś czas będzie się czuła, jakby miała niski poziom cukru we krwi, ale to nic groźnego. - Masz problemy z ekspresją Kvl2.2. Kiedy nastawiali ci bramki neuronowe, by udoskonalić orientację przestrzenną, dodali przyspiesznik do Kvl2.2. On od czasu do czasu się wywala i wtedy dochodzi do tłumienia kanału potasowego. To prowadzi do nadmiernej emisji impulsów przez neurony.

Asystentka gapiała się na niego bez zrozumienia.

- To miło, że opowiadasz mi o takich rzeczach - powiedziała.

- Zamontowali ci pętlę sterowania, ale ktoś taki jak ja jej nie rozplącze. Czy słyszysz głosy, gdy dochodzi do awarii? Mówisz językami? Widzisz coś dziwnego?

- Wszystko, co widzę, jest dziwne.

- Kvl2.2 to bardzo stary gen - stwierdził krawiec i poszedł umyć ręce w zlewie na zapleczu. - Nawet ryby go mają. Zabijesz mnie?

- Nie dzisiaj, kochanie. - Wyszła, ale niemal natychmiast wróciła. - Hej, popatrz, „Tango du Chat” jest po drugiej stronie ulicy! - zawołała, jakby dopiero teraz odkryła ten fakt.

Zakład znowu wypełnił się jej intensywną wonią. Słońce rozgrzewało wszystkie obskurne frontony na ulicy, jego promienie padały na wyłączony neon nad barem, przedstawiający dwa koty tańczące na tylnych łapach, czarnego i białego. Dwie mony w długich, wąskich spódnicach i nylonowych pończochach plotkowały na skrzyżowaniu ulic Straint i dos Santos. W zakładzie krawieckim były tylko matowe czarne ściany i kurz. Unosił się tu zapach stęchłych lipidów bijący z tanków proteomowych z ich szeregami LEDów oraz podartymi plakatami reklamującymi walki sprzed lat i dawno już nieżyjących zawodników. Krawiec, zeszywniały z niepokoju, ze wszystkich sił starał się na nią nie patrzeć. Jego strach nagle przerodził się w depresję.

- Masz wszędzie na sobie napisane „Preter Coeur”, ale nikt się nie podpisał pod tą robotą - stwierdził. - Gdyby chodziło o sportowca, na pewno by to zrobili. Masz w sobie też wojskowe modyfikacje.

- Chcesz, żebym ci czasem postawiła drinka, George?

- Nie. Dziękuję.

- Chcesz - skwitowała asystentka.

\*\*\*

Później, nie rozumiejąc własnych motywacji lepiej niż te, które kierowały innymi,

zostawiła go w barze, gdzie słuchał Edith Bonaventure grającej sentymentalne solo akordeonowe z *Ya Skaju Tebe* - najpopularniejszej piosenki lat dwa tysiące czterysta pięćdziesiątych - i pojechała przed siebie Straint Street, mijając kolejne obszary pełne przemysłowych ruin, aż wreszcie dotarła na Place, gdzie cicho zaparkowała swojego cadillaca rocznik 1952 wśród samochodów, które stały już na spękany, porośniętym zielskiem betonie, tworząc długi łuk zwrócony ku strefie zdarzenia.

Od pory obiadowej chmury wisiały nisko na niebie. Nadchodził popołudniowy deszcz w Saudade City. Pięćdziesiąt metrów za granicą mroku widziała gruz i zwisający luźno drut kolczasty. Dalej krajobraz czołgał się bez końca, jakby był niezadowolony z siebie albo jakbyś patrzyła na niego przez wodę spływającą po szkle. Jeszcze dalej można było zobaczyć tajemnicze przedmioty podrzucane w górę przez milczącą, ale gwałtowną siłę. Owej siły, choć nadawano jej wiele nazw, nie sposób było zrozumieć, jako że same obiekty o absurdalnej skali - gigantyczne naczynia kuchenne, ogromne buty, ozdoby i biżuteria, błękitne ptaki i tęcze, maleńkie mosty, karłowate statki i lilipucie budynki publiczne - były tak bardzo niezależne od kontekstu, że wydawały się nie tyle przedmiotami, ile obrazami, połączonymi w kolaż z większym malowidłem przedstawiającym złą pogodę i spustoszony krajobraz. Wznosiły się, zawisały w powietrzu i spadały, jak ciśnięte ręką niewidzialnego, niegrzecznego dziecka-giganta. Na tę myśl asystentka potrząsnęła głową. Wokół niej przejeżdżały samochody, coś wielkiego przebiło powłokę chmur i na moment spoczęło nieopodal. (Przyniosło ze sobą zwiększone ciśnienie powietrza, a także gorąco, poczucie wtargnięcia, smród metamateriałów oraz inteligentnych nanożywic. Potem zniknęło). Po chwili asystentka włączyła silnik i pojechała przed siebie spacerowym tempem.

Każde popołudnie wyglądało tak samo: riksze i limuzyny zjeżdżały się z całego miasta, by wziąć udział w tym pokazie duszy Saudade. O trzeciej na Placach robiło się tłoczno. Powietrze nad każdym pojazdem wypełniał roztrzepotany rozproszony cyrk przypominających ćmy reklam. Na tylnych, pogrążonych w mroku siedzeniach ktoś zawsze miał spódnicę w kwiaty uniesioną do talii. Ludzie śmiali się i stękali, otoczeni zapachem luksusowej skóry, podczas gdy ich prowadzący samochód znajomy parkował gdzieś w rogu. Nikt już nie bał się strefy. Przyjeżdżano tu otwarcie, by rznąć się w otocze dziwaczności. To był kwantowy seks, jak mówiły media. Niewykluczone nawet, że dobrze działał na zdrowie. Niektórzy posuwali się wręcz do tego, że opuszczali pojazdy i wędrowali po pustych ulicach, pośród mgły za drutem kolczastym, zbierając przedmioty, które ich zdaniem mogły być dobrymi pamiątkami. Mówiąc ściśle, nie było to przestępstwem. Co więc miała zrobić?

\*\*\*



Po jakimś czasie do drzwi jej pokoju załomotał R. I. Gaines.

Kiedy mu otworzyła, śmiał się i przyglądał włosy dłońmi. Ramiona jego płaszcza były mokre. Tym razem wyglądało to autentycznie.

- Hej! - zawołał. - Nie znoszę deszczu. Założę się, że ty również.

W porcie za jego plecami panowała gorączkowa aktywność. Na lądowisko wylały się cienie i światła obcych, dramatycznie ze sobą sprzecznych teorii wszystkiego: trzy statki lądowały jednocześnie. Jeden z nich to był pasażerski liniowiec General Systems typu „Nowy Świat”, *Pantoponowa Róża*, wracający z czterotygodniowej podróży na Boudeuse, O’Dowd i Feduccię XV. Gaines sprawiał wrażenie, że on też przed chwilą skądś przybył. Opalił się trochę. Na szyi miał skrawek jaskrawoczerwonej bawełny służący jako apaszka, a w dłoni trzymał luźny pęk zakurzonych kwiatów tego samego koloru. Na podłodze przy jego nodze stała mała tania walizka, jakby przed chwilą ją tam postawił. Asystentka, która nie miała żadnego zdania na temat deszczu, stała w drzwiach, gapiąc się na mężczyznę.

- Najpierw otwierasz drzwi, a potem wpuszczasz mnie do środka - zachęcił ją Gaines.

- A dlaczego?

Podał jej kwiaty.

- Dlatego że coś ci przyniosłem.

Po chwili przyjęła kwiaty i odwróciła je w dłoniach. Nigdy jeszcze nie widziała takiej czerwieni, ale łodygi były cienkie i kruche, a do tego zdążyły już wyschnąć. Jeden czy dwa kwiaty spadły na podłogę.

- Usiądę na łóżku - zaproponowała. - Ty spocznij na krześle.

Obrzucił ją czujnym spojrzeniem.

- Czyżbyś odkryła ironię? - zastanowił się na głos.

W kontraście z panującym w porcie chaosem, w pokoju asystentki jakiś ulotny fragment fizyki oczyścił światło i uczynił je łagodniejszym. Gaines ostrożnie postawił walizkę na łóżku: jej zamki otworzyły się z trzaskiem, skomplikowane pola obudziły się do życia, radarowa zieleń na aksamitnie czarnym tle rozwijała się w nieskończonych spiralach wokół dziwnego atraktora. Na dodatek walizka zawierała spory odcinek szorstkiego gumowanego przewodu oraz parę bakelitowych słuchawek, z pewnością dodanych na pokaz.

- Zajrzyj do środka - odezwał się Gaines. - Widzisz?

- Tym razem jesteś tu naprawdę?

- Najpierw zajrzyj do walizki - odparł mężczyzna. - Później będziemy mogli o tym porozmawiać.

Zajrzała i natychmiast poczuła, że przeniesiono ją na odległość tysiąca światel od

Saudade City, gdzieś do Zatoki Radiowej. Znajdowała się w placówce EMC tak tajnej, że nawet Gaines miał trudności z jej odnalezieniem. Jej punkt widzenia koziółkował z wielką prędkością. Obraz był nieciągły i pełen zakłóceń. Gdy wreszcie się ustabilizował, wyglądał dziwnie sztucznie, jakby złożono go z trójwymiarowych warstw. Oto co zobaczyła asystentka: drżąca szara przestrzeń pełna ech, sugerująca, że gdzieś bardzo daleko są ściany, i zawieszona w niej pojedyncza perfekcyjna łąza światła tak jasnego, że kobieta musiała odwrócić wzrok. Trwało to tylko króciutką chwilę. Nawet jej modyfikacje nie były w stanie jej przedłużyć. Łza, nieruchoma, ale nieustannie spadająca, tak jasna, że nie można jej było naprawdę zobaczyć. Potem z góry opadła ciemność, punkt widzenia przechylił się gwałtownie i powrócił obraz łązy. Za trzecim czy czwartym powtórzeniem „łąza” przerodziła się w umyśle kobiety w „rozdarcie”: wtedy wszystko się zatrzymało, jakby zrozumienie samo w sobie mogło być wyłącznikiem.

Wypełniało ją uniesienie.

- Nie wiem, co to było! - zawołała. - A ty?

- Nikt nie powinien przyznawać, że o tym wie. Ani ty... - Gaines uśmiechnął się ironicznie - ...ani nawet ja. Nazywamy to Alefem. Sądzimy, że jest bardzo stare. W chwili, gdy je znaleźliśmy, nikt nie zbliżał się do niego przez milion lat. Być może nawet dłużej. Kiedy pytamy je, czym jest, pyta o ciebie.

Powiedział jej, że to artefakt liczący sobie co najmniej milion lat, najtrudniejszy problem, na jaki dotąd natrafiono w Zatoce Radiowej: o ile potrafili to zrozumieć, był to sztuczny konstrukt, maszyna zbudowana w nanometrowej skali. Jej zadaniem było zawierać w sobie fragment Traktu Kefahuchiego.

- Widzisz Alef w ten sposób, jako serię powtórzeń, ponieważ chwytny go w czasie Plancka - wyjaśnił. - Nie można go oglądać dłużej, ponieważ już jest we własnej przyszłości, już stał się czymś innym. Przerwa między obrazami to opóźnienie, czas, gdy nasze instrumenty śledzą go, kwant po kwancie.

Dodał, że Alef był pochowany wewnątrz porzuconego narzędzia badawczego wielkości małej gwiazdy i ostatnio najczęściej pytał o asystentkę. Kobieta spojrzała na niego, a potem przeniosła wzrok na walizkę.

- Czy on jest w środku?

Gaines potrząsnął głową.

- Myślał przez tydzień, a potem zapytał o policjantkę na planecie, o której nikt nigdy nie słyszał.

- Nie rozumiem, co widziałam.

- Sądźmy, że na razie rozsądniej jest trzymać was z dala od siebie - odparł Gaines i zamknął walizkę. - Biorąc pod uwagę dziwaczność całej tej sytuacji. - Przerwał na chwilę. - Kiedy mówimy „konstrukt” - dodał, jakby mimochodem - nie wykluczamy możliwości, że sam się skonstruował. - Znowu przerwał na chwilę. - Trudno nam było cię odnaleźć na podstawie jego opisu - zakończył.

## W DÓŁ, KU RZECE

Anna Waterman wstała wcześniej i ruszyła przez wioskę Wyndlesham w stronę wzgórz. Woląca, gdy wioska była pusta. O tej porze roku tuż po świcie łagodne ziarniste światło ogrzewało jej kryte dachówką holenderską dachy, krzemienne fasady oraz ogrodowe ścieżki kryte cegłą ułożoną w jodełkę. Nie ruszało się tu nic oprócz kota.

Za kościołem skręciła na błotnistą drogę. Potem wspięła coraz bardziej stromymi kredowymi ścieżkami, biegnącymi wśród głogów, ku ruinom drugiej, dawno opuszczonej wioski, które rozpościerały się przed nią niczym element krajobrazu, seria przytulnych zagłębień porośniętych przyszyżoną przez owce trawą. Stare mury porosły olchami. W czymś, co w pierwszej chwili wyglądało jak kredowa skarpa, głęboko przecięta wydeptaną w trawie ścieżką, nagle ukazywały się końce cegieł z okresu georgiańskiego. Anna uwielbiała to początkowe poczucie ciasnoty, a potem, w miarę jak posuwała się w górę zbocza, nagle odstaniały się przed nią szerokie trawiaste kliny, długie wzniesienia usiane samotnymi krzewami głogu oraz kępami róż gęstokolczastych. Zachwycało ją, jak wiatr wszystko otwiera i przemieszcza. Gdy dotarła do Western Brow, słońce już wzeszło. Skowronki wznosiły się i opadały w przejrzystym powietrzu niczym windy; czuła też zapach morza, choć zasłaniały je wapienne wzgórza; na północy Low Weald ciągnęło się w stronę Londynu, usiane widocznymi w porannej mgiełce wioskami - Streat, Westmeston, St Johns Without, a potem samo Wyndlesham, zbudowane wokół zakrętu na B2112, nieopodal Lewes Road. Wioska z pewnością obudziła się już do życia. Często ją odwiedzano, ponieważ leżała blisko wzgórz, ale poza granicą ich cienia. Wyndlesham było osadą, w której wszyscy, pomimo trudnej sytuacji ekonomicznej, mieli rodowodowe psy rasy australian cattle dog, na murach gospody „The Jolly Tinker” można było zaś podziwiać podbarwione reprografie przedstawiające robotników rolnych z czasów wiktoriańskich, z ich imponującym zarostem oraz wiejską maszyną. Jednakże w niedzielne południe tylko dyrektorzy oddziałów, emerytowani prezesi koncernów oraz bankierzy wszelkiej maści, zwłaszcza inwestycyjni, którzy dorobili się majątku przed rokiem 2008, mogli sobie pozwolić na to, żeby tam pić. Ich terenówki oglądały błoto tylko podczas rajdów, a żony, choć potrafiły dobrze jeździć i nosiły

obcisłe spodnie do konnej jazdy oraz wypastowane buty, nie pochodziły z rodzin, w których jeździło się konno. Otwarte okno sypialni lśniło w blasku słońca. Właściciel miejscowej kawiarnioksięgarni o nazwie „Dainty Dot” podszedł do drzwi i strzepnął dywanik. Dwa albo trzy kucyki, nagle zachwycone życiem, biegały po padoku. Spoglądając z góry na pochyłe dachy i chaotyczną główną ulicę o ósmej rano w tak idealnie się zaczynający dzień, trudno było znaleźć coś, co mogłoby się nie spodobać. Nagle pojawiła się furgonetka dowożąca tu imponujący zestaw francuskich serów - dwa razy w tygodniu dostarczanych drogą lotniczą tak szybko, że nadal pokrywała je rosa - z których słusznie słyndł miejscowy sklep z nabiałem, i można było zobaczyć, że choć Wyndlesham tęskniło za minionymi wartościami, dawno już wyeliminowało z rynku wszelkich ich przedstawicieli, oferując niższe ceny. Anna zwróciła się plecami do Ditchling Beacon oraz wiejącego od strony wyżyn wiatru i ruszyła na wschód, gdzie, obok szerokiej, kamienistej, wytartej stopami niezliczonych wędrowców South Downs Way, na odcinku między Western Brow i Plumpton Plain, natknęła się na kępę brązowych maków, takich samych jak te, które skolonizowały jej ogród. Tutaj wyrosły wyższe i miały więcej wigoru. Zamiast dać się pokonać wiatrowi, wręcz na nim rozkwitały. Ich łodygi postukiwały głośno o siebie. Kwiaty pięły się w górę, ku snopom słonecznego blasku. Anna wyjęła komórkę, by sfotografować je dla Marnie, ale ogarnął ją nagły niepokój i schowała telefon. Dotykała przypominających miedzianą folię liści z zachwytem i zdumieniem. Wydało się jej, że coś słyszy. Uklękła i wyteżyła słuch. Nic. A przynajmniej nic, czego mogłaby być pewna. Mimo to, zadrżała. Potem pozwoliła, by wiatr i gloria skowronków zaprowadziły ją na niżej położone tereny, z których po godzinie - nadal w dziwnym, pobłogosławionym nastroju - wyłoniła się pod niespodziewanym kątem, zgubiwszy drogę. Schodziła po stromym kredowym gruncie na podmokłą łąkę oraz leżące w zagłębieniu pastwisko, tu i ówdzie porośnięte ostami, psią różą oraz wszędobyłskimi jeżynami. Obraz psuł jedynie dom stojący przy pastwisku. Nowy budynek o czterech sypialniach pochodził z lat dziewięćdziesiątych minionego stulecia. Zbudowano go z niestrudzonych jasnych cegieł i po dziś dzień wyglądał jak architektoniczny szkic. Cegły nie zwietrzały. Nie wyróżniał się niczym szczególnym, ale z pewnością nie był bungalowem. Miał też patio, przypominające miejsce parkingowe dla maszynierii. We wszystkich oknach widniały białe kraty, z oddali wyglądające jak przyklepione taśmą. W blasku słońca lśniły ogniwa słoneczne i kolektory cieczowe, ulokowane na lekko spadzistym dachu. Jedyna cecha charakterystyczna znajdowała się na końcu długiego asymetrycznego ogrodu: kilka drzew odziedziczonych po jakimś poprzednim, bardziej autentycznym domostwie. Każdej wiosny energiczne skrzeczące rozmowy gniezdzących się w rynnach szpaków mogły przydawać budynkowi coś w rodzaju

życia. Poza tym przypominał on Annie tanią zabawkę porzuconą na dywanie: coś, co nie mogło się zestarzeć z uwagi na celową sztuczność materiałów użytych do jego wyprodukowania. Uświadomiła sobie, że wydaje się jej znajomy dlatego, że to jej własny dom.

\*\*\*

- Nie jestem pewna, czy podoba mi się to bardziej - oznajmiła po południu, w rozmowie z doktor Alpert. - Nie potrafię wyjaśnić dlaczego.

W rzeczywistości jednak potrafiła. Zbyt wiele pokoiw przypominających gipsowe pudełka. Za dużo mebli, które się postarzały, ale nigdy nie zyskały charakteru. Ubrania, których już nie nosiła. Samochód, którym nigdy nie jeździła. To był nie tyle dom, ile miejsce, w którym przechowywała rzeczy.

- Każdy pokój jest pudełkiem - skarżyła się.

- Jesteś pewna, że to o twoim domu mówimy?

- Mam trzy toalety - odparła ze śmiechem Anna. - Jedną w przybudówce, drugą w domowej łazience, a trzecią na dole. Komu są potrzebne aż trzy? Kiedy się budzę nocą, zastanawiam się, z której skorzystać. Żałuję wtedy, że nie mieszkam już w jednopokojowym mieszkaniu. Doskonale wiem, czego chcę. Często to sobie wyobrażam.

To zainteresowało doktor Alpert.

- Opowiedz mi o tym pokoju, który sobie wyobrażasz - poprosiła.

- Dlaczego?

Dlatego że to była nudna sesja, pomyślała lekarka. Równie dobrze mogłybyśmy umówić się gdzieś na herbatę. Dlatego że po obiecującym poranku nadeszło deszczowe popołudnie. Dlatego że woda w Tamizie sięga aż do poziomu drogi, pomyślała, wyglądając przez okno gabinetu na Chiswyck Eyot, a potem znowu przenosząc spojrzenie na biurko, gdzie otwarta teczka Anny, wazon z jasnożółtymi narcyzami oraz pudełko z jednorazowymi chusteczkami wyglądały w plamie deszczowego światła jak coś więcej niż to, czym były w rzeczywistości. Nie ma nic bardziej przygnębiającego niż deszcz nad kanałem pływowym. Dlatego że sprawiasz dziś wrażenie sympatycznej zwyczajnej kobiety.

- Dlatego że to ciekawe - odparła. - Och, daj spokój, Anno, zabawmy się!

- Chciałabym, żeby był drewniany - wyznała pacjentka. - Ale raczej jak domek na plaży niż szopa w ogrodzie. A gdyby był z cegieł, chciałabym, żeby miał boazerię.

Białą boazerię sięgającą jej do ramienia, a wyżej, ściany pomalowane na kolor gołębi. Nagie deski podłogowe o tym samym kolorze. Jedno spore okno z grubymi białymi zasłonami z płótna, w cienkie pionowe paski w kolorach lodów; podobna zasłona w drzwiach,

żeby powstrzymać przeciąg. Żadnych obrazów na ścianach. To wszystko, co widziała. Na tym kończyła się jej wyobraźnia. Oczywiście musiało tam być łóżko i krzesło. One nie zajęłyby zbyt wiele miejsca. Nic, co byłoby zbyt natrętne, pomyślała, być może narzuta albo dywanik, coś jaskrawego, co przyciągałoby wzrok.

- Chciałabym mieć półkę z książkami albo dwie, ale nie więcej. - Przez jej pokój przechodziłoby bardzo wiele książek, ale tylko nieliczne zostawałyby tam na dłużej. - Gdybym nie mogła mieć za oknem widoku na morze, chciałabym dostać spokojny ogród. Mógłby należeć do innych ludzi, którzy nigdy by go nie odwiedzali. Znałabym ich, ale nie utrzymywałabym z nimi kontaktu. Kiedy o nim myślę - ciągnęła - najczęściej wyobrażam go sobie jesienią albo na wiosnę. Zimą wolałabym przebywać gdzie indziej. Gdzieś, gdzie jest ciepło.

Uświadomiła sobie, że opisuje letni dom czy może jego wyidealizowaną wersję. Wyobrażała sobie, że dożyje tam swoich dni. Zalała się łzami. Nie mogła się uspokoić.

- Czuję się taka głupia! - zawołała. Helen Alpert przyglądała się jej przez parę chwil z satysfakcją na twarzy o ostrych rysach. Potem przesunęła pudełko chusteczek na drugą stronę biurka.

- Weź sobie, ile chcesz, Anno - poradziła.

Przez resztę dnia Anna wybuchała niesprovokowanym płaczem: na peronie w Clapham Junction i w domu przed telewizorem. Wycieńczona tym kobieta wcześniej położyła się spać. Śniło się jej, że czuje igłę wnikającą w dłoń. Owo wrażenie trudno było zinterpretować: było nie tyle bolesne, ile wyraźne i inwazyjne. Wiedziała, że jeśli pomyśli o igle, poczuje ją również w innych miejscach. Igła wędrowała tam, gdzie Anna kierowała swą uwagę. Czuła, jak wnika jej wysoko w pierś i dotyka obojczyka - to nie było ukłucie, a tylko dotyk - wysuwając się na zewnątrz, muskała lekko kość. Kobieta nie miała pojęcia, dlaczego jej to robią, choć była przekonana, że to jej wina. Jej usta wypełniła ślina, jakby Anna czuła smak igły - jakby był on odgałęzieniem, możliwością lub konsekwencją jej dotyku. Ta myśl spowodowała jeszcze większy ślinotok. Anna obudziła się w blasku księżyca - zmęczona bardziej niż kiedykolwiek dotąd i przekonana, że przed chwilą ktoś coś powiedział. Zeszła do kuchni.

- Oddałabym wszystko - oznajmiła kotu Jamesowi - za noc wypełnioną pięknymi snami, w których ktoś by mnie pragnął.

James, krążący wzdorliwie wokół jej nóg, dał do zrozumienia, że chciałby wyjść na dwór. Anna otworzyła tylne drzwi i kot pognął w stronę jabłoniowego sadu, unosząc ogon.

Po jakiejś minucie, nie rozumiejąc powodu, dla którego to robi, włożyła buty i poszła

za nim. Wkrótce zniknął jej z oczu pod konarami jabłoni - James?

Zostawiła go tam, nasłuchującego odgłosów dobiegających z małych tuneli w trawie, i podeszła do tylnego płotu, by popatrzeć na nadrzeczną łąkę.

Przez cały wieczór nad Europą utrzymywał się korzystny układ pogody. Ciepłe powietrze napływające z Maroka otulało południowe hrabstwa na podobieństwo szala. Noc lekko pachniała cynamonem. W powietrzu często unosiły się delikatne mgiełki. Blask księżyca w kwadrze padał na pole jak na jakimś drzeworycie - zapomnianym jeszcze przed czasami młodości Anny - na którym cienie rzucane przez postacie na ziemię są nieco zbyt głębokie. Ostre światło wzmacniało zarysy wszystkiego, a zwłaszcza trawy. Annie wydało się, że widzi mały podłużny cień, przemykający nagłym sprintem albo w susach między kępami ostu. Opuściła ogród i zeszła do rzeki, ku której wszystko się wyciągało.

Woda, czarna i lśniąca, uwidaczniała się w krótkich serpentynowych odcinkach między wierzbami i olchami. Miękką skarpe, zdeptaną przez pokolenia kaczek, co rano przekopywały na nowo łatwo się ekscytujące labradory. Anna stała tam przez chyba dość długi czas - jak ktoś, kto słucha. Zdjęła buty, ściągnęła przez głowę białą nocną koszulę, a potem zwinęła ją, położyła razem z butami w niewidocznym miejscu i weszła do rzeki, zatrzymując się dopiero, gdy poczuła, że prąd szarpie ją mocno za górną część ud. O kurczę, pomyślała. Kto pływa sam nocą? Doktor Alpert uznałaby to za interesujące. Marnie - która w wieku siedmiu lat składała się tylko z żylastych, opalonych na brąz ścięgien odzianych w czerwony kostium kąpielowy i uwielbiała, gdy ojciec holował ją przez rzekę, tak bardzo, że latem zawsze spóźniała się na posiłki - uznałaby to za przejaw nieodpowiedzialności. Anna postawiła jeden chwiejny krok w stronę brzegu, a potem znowu zmieniła zdanie, uklękła i skoczyła przed siebie, uważając, by nie nabrać wody do ust. Rzeka ją przyjęła. Była cieplejsza, niż Anna się spodziewała, a nurt był powolny i sympatyczny. Pośrodku lśniła wąska, ledwie widoczna strużka odbijającego się w wodzie nieba. Cienie jednak były głębokie i przypominały samoistne przedmioty. Anna powoli przepłynęła pięćdziesiąt metrów, a po trzydziestu dalszych obróciła się na plecy. Potem rozpostarła ręce, złączyła nogi i pozwoliła, by prąd niósł ją swobodnie. Minęła szereg topoli, kilka ciemnych domów, wpłynęła na teren wioski, a wreszcie zostawiła ją za sobą. Wyndlesham było skąpane w świetle gwiazd, ale potępiały je jego własne przyjemności: śmieci i psie kupy, wyrzucone serwetki, posepna, spalona słońcem murawa boiska, białe jak kość słupki bramek, betonowy przepust, zużyta prezerwatywa zwisająca z gałęzi nad wodą, długie ogrody, z których dobiegały ciche głosy albo nagła głośna muzyka. Za tą zamieszkaną przestrzenią, na obszarach porośniętych trzcina i sitowiem, między długimi polami opadającymi lekko ku



lasowi, to nie była już rzeka, którą znała. Prąd stał się silniejszy. Woda, wyraźnie kierująca się własnymi motywami, była teraz mroczniejsza i bardziej wzburzona. Anna nie dała się jej unieść, ale z pewnością nabierała prędkości. Marokańskie powietrze zrobiło się jeszcze cieplejsze, a noc, już przedtem jasną i pogodną, wypełniła pochodząca nie wiadomo skąd poświata barwy neonowego różu. Najpierw była różowa, potem niebieska, później obu tych kolorów, a wreszcie żadnego z nich. Ta ostatnia barwa była tak blada i pozbawiona źródła, jak blask neonu widzianego z odległości przecznicy albo dwóch. To było tak, jakby same pola lśniły łagodnym blaskiem. Maki koloru miedzi rosnące na brzegach kołysały się na ciepłym suchym wietrze. Stopniowo Anna zaczęła dostrzegać pewne rzeczy. Długie cienie niskich obiektów, padające na okolicę niczym wyciągnięte palce - kamienie, proste, szare, strzaskane, nadal pionowe, pochylone pod różnymi kątami. Potem wielkie, izolowane sylwetki, sprawiające wrażenie dwuwymiarowych, całkowicie nieruchome, rozmieszczone w dziwnie precyzyjnych odległościach od brzegu niczym jakieś ćwiczenie z perspektywy. Ich skomplikowane zarysy można było zinterpretować jedynie jako siedemnastowieczne podobizny satyrów, mężczyzn o nogach koni. Kutasy też mieli końskie. Naprawdę wielkie. Głowy widoczne w rzucie trzy czwarte zamarły w stylizowanej pozie zasłuchania. Nie chcieli jej zrobić krzywdy. Nie była nawet pewna, czy zdają sobie sprawę z jej obecności. Za ich plecami działo się bardzo wiele - ruchliwe miejskie ulice, hałasy przywodzące na myśl plac budowy, potężne wiązki światła omiatające horyzont, który odsunął się już na znaczną odległość i nie przestawał się oddalać. Anna podejrzewała, że to jest miejsce, w którym wszystko się zmieni, nagle i całkowicie. Gdyby wyszła z wody i tam poszła, mogłaby zdobyć wiedzę, której wolałaby nie posiadać. Nad sobą widziała pulsujące delikatnie gwiazdy: potężny nierówny łuk to przyciągał, to odpychał chaos na czarnych wiatrach radiowych, o których Michael Kearney opowiadał tak elokwentnie, nim utopił się w morzu. Michael Kearney, który bał się wszystkiego, ale seks zmieniał go w niemalże zwyczajnego człowieka, przez krótką chwilę zdolnego do posiadania uczuć. Nauczył ją, że pod każdą powierzchnią, we wszystkich warstwach, kryją się obce, nieludzkie sprawy. Wystarczy, że wnिकiesz pod powierzchnię, a zobaczysz, jak obce dla nas jest wszystko.

- Zapomnij o tym całym antropicznym syfie - powtarzał uparcie. - Nic z tego nie stworzyło się dla nas.

Potem przerażały go własne rady i znowu chciał się rznąć. Anna zawsze odnosiła w takich sytuacjach wrażenie, że to ona jest tu rozsądna.

- To ja byłam mniej popaprana z nas dwojga - powiedziała sobie teraz, spoglądając na gwiazdy, a potem na satyry z ich niewytłumaczalnym krajobrazem.

Wszystkie zerknęły na nią kącikami oczu, z widocznym z ukosa słabym błyskiem inteligencji, świadomości, samozrozumienia. Zostawiała je już za sobą. Znowu wydały się jej małe. Po jakichś pięciu minutach noc stała się ciemniejsza i chłodniejsza. Pola znowu były polami, wypranymi z tajemnic. Rzeka była teraz szersza i mniej wartka, przybierała kształt długiego kieliszka, być może do szampana. Noc wypełniał głośny miarowy szum. Anna wyszła na brzeg i wyteżyła słuch. To była woda spływająca ze starej korony przelewu w Brownlow, o ponad metrowej wysokości, leżącej może z półtora kilometra za wioską. Potem rzeka skręcała na wschód, by poszukać wśród wzgórz drogi ku morzu. Szybko jednak traciła pewność siebie i kilka kilometrów dalej, powyżej Barcombe Mills, rozpuszczała swą tożsamość w Ouse. Anna siedziała z zadowoleniem na ciepłej płyciźnie, wsparta częściowo o brzeg, i pozwalała, by woda unosiła jej nogi tak, że kołysały się tuż pod powierzchnią, lśniąc w świetle gwiazd. Obok przeleciała mała szara ćma. Anna czuła woń pachnącej nocą kaliny, dobiegającą z jakiegoś odległego ogrodu i przebijającą się przez ciężki, obfity, drożdżowy zapach niezliczonych ton wody przelewającej się przez koronę. Nie czuje się nawet w najmniejszym stopniu zmęczona, pomyślała. Spoglądając na siebie z zewnątrz z czymś w rodzaju czulej wesołości, zastanawiała się, co zrobi teraz. Po minucie czy dwóch szła już przez rzekę, z wysiłkiem stawiając krok za krokiem. Trzymała się górnej granicy korony, ogłuszona przytłaczającym hukiem wody, poruszała nogami, walcząc z potężnym niezmiennym naciskiem uderzającego w nią z boku prądu. W połowie drogi coś kazało jej się zatrzymać. Zanurzyła dłoń w błyszczącym nurcie w miejscu spadku. To było tak, jakby popchnęła kłęb jakiegoś wielkiego spokojnego zwierzęcia i poczuła jego opór. Cóż innego mogłam zrobić? - zadała sobie później pytanie. Gdy już zrozumiesz, że coś jest wykonalne, cóż ci pozostaje, jeśli nie spróbować tego dokonać? Drżąc z podniecenia i śmiejąc się głośno, gdy woda popychała jej dłoń, wygramoliła się z rzeki po drugiej stronie i w mokrych majtkach pokonała półtorakilometrową drogę do domu, idąc wzdłuż brzegu. Straszliwie chciało się jej siku. Było ciemno i w końcu kto ją zobaczy? Czuła się bardzo spokojna i usatysfakcjonowana nawet wtedy, gdy, wlokąc się przez pastwisko z mokrymi butami w dłoni, zobaczyła, że altana znowu się pali. Potężne bezgłośnie płomienie żółtej i pomarańczowej barwy wznosiły się nad dachem pod takim samym dziwnym kątem jak poprzednio. Nie było dymu. Nie było zapachu dymu. Altana wyglądała na wyższą, jakby odchyłała się od Anny. Migoczące od żaru powietrze nadawało jej przysadzisty stożkowaty kształt, jakby była wiatrakiem. Olśniewające kaskady iskier niosły się na silnym wietrze, mimo że na dole panowała martwa cisza. Ich blask rozświetlał korony jabłoni. Annie wydało się, że słyszy wołający ją głos, przebijający się przez ryk płomieni.

- Michael? - wyszeptala. - To ty? Jesteś tu?

Odpowiedź nie nadeszła, ale kobieta uśmiechnęła się, jakby ją usłyszała. Wypuściła buty i rozpostarła ramiona.

- Michael - błagała. - Możesz bezpiecznie wrócić.

Jeśli to jednak rzeczywiście był on, to bał się jak zwykle. Gdy Anna otworzyła furtkę i weszła do środka, unosząc ogrzaną płomieniami twarz, pożar skończył się nagle. Zamarła w ciemności między jednym ruchem a drugim, między jednym uczuciem a następnym - aż wreszcie, niedługo przed świtem, usłyszała budzące się ptaki i wróciła do domu.

## PUSTA PRZESTRZEŃ

*Nova Swing*, lot z Saudade przez da Luz Field na Świecie X ku niewymienionemu celowi. Przegryzała sobie drogę i wyszukiwała ją. Jej kadłub drżał od dynowej gorączki. W głównej ładowni statku spoczywały trupie klatki - stare i obce. Lepiej było ich unikać. Wpadły w coś w rodzaju synchronii. Gdy tylko Liv Hula zmieniała kurs, obracały się powoli, by odzyskać wyjściową orientację. Sprawiały wrażenie wzajemnie świadomych swej obecności. Tak przynajmniej mówiła Liv, ale nikt nie chciał jej uwierzyć. Wyglądały na nieruchome, dopóki nie doszły do wniosku, że nikt na nie nie patrzy. Nie chciała chodzić sama do ładowni. Wolny czas spędzała podłączona do statku. Sprawdzała dane nadzoru wewnętrznego. Mona Irene wyglądała tymczasem przez bulaje, zachwycając się cudami kosmosu. Można było usłyszeć, jak mówiła:

- Nie wiesz, Gruby Antoyne, że trzej starcy w białych czapeczkach grają w kości o losy wszechświata?

Nie, zaprzeczył Gruby Antoyne, nigdy o tym nie słyszał.

- Nazywają się Dziwaczne Żarcie, Pan Wolność i Święty. Jeszcze jedno: ci trzej grają nie tylko o losy wszechświata, lecz również o indywidualne przeznaczenie każdego z jego mieszkańców. Wyjaśniła, że zależnie od dnia używają różnej liczby kości, a przy każdym rzucie wypowiadają różne rytualne frazy, na przykład „Rach-ciach-ciach!”, „*Douce France Treneta*” albo „Obok ciebie, malutki!”. Czasami mówią je pojedynczo, a w innych przypadkach wszyscy razem. Jeden albo wszyscy klaszczą też sarkastycznie w dłoń albo dmuchają na palce, jakby się oparzyli. Czasami też dwóch uśmiechnie się znacząco do trzeciego i powie: „Masz przejebane, synku”. To przynajmniej normalny człowiek potrafi zrozumieć.

- Widziałeś tych graczy? - zapytał Antoyne.

- Tak, Gruby Antoyne. W snach. A kiedy ci to mówię, lepiej nie patrz na mnie w ten twój precyzyjny sposób, zapowiadający, że zaraz mnie wyśmiejesz. W snach też jest prawda.

Antoyne parsknął śmiechem i zepchnęła go z łóżka.

- Płacą i grają, Gruby Antoyne. A co się dzieje, jeśli przestaną grać? Ich twarze się

marszczą i ci starcy płaczą.

Antoyne pragnął się dowiedzieć dlaczego.

- Dlatego - odpowiedziała - że wtedy spoglądają w tę samą ciemność, co ty i ja.

Gruby Antoyne popatrzył na Irene i pomyślał, że ją kocha. Żałował, że nie potrafi być jej bardziej wierny. Ona również.

- To, co widzą, jest piękne, ale mroczne - mówiła - i nikt nie może odgadnąć, co to właściwie jest, nawet oni.

W tej właśnie chwili w całym statku zabrzmiały ciche sygnały alarmowe i z głośników popłynął głos Liv Huli.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła, dodała jednak, że nie wie, co to za miejsce.

\*\*\*

Współrzędne podane przez MP Renoko, motek cyfr i symboli kompresujących jedenaście wymiarów do pojedynczego punktu w ciemnej międzygwiazdnej przestrzeni, w pierwszej chwili nie odsłoniły niczego. Potem pojawiła się osierocona planetoida, dryfująca ku Traktowi, który pochłonie ją po nieciekawej podróży trwającej niespełna pół miliona lat.

- Wokół niej krąży jakaś struktura - zdołała potwierdzić Liv Hula. - To wrak - dodała po chwili.

Potem, gdy ruszyła w ciemność w skafandrze próżniowym, na tle żółtawej obwódki planetoidy zapaliło się bez wyraźnego celu pojedyncze światło kotwiczne. W instrumentach jej hełmu rozbłysły dane.

- Nie stwierdza się aktywności - oznajmiła.

Spodziewała się tego. Wewnątrz wraku, blisko dziobu, wykrywało się bardzo stary reaktor jądrowy. Miał lekkie osłony i zbudowano go bez urządzeń kontrolnych i części ruchomych, jako pojedynczą masę, coś w rodzaju reaktora z Oklo. Przy rufie ulokowano silniki chemiczne oraz napęd dynafłow: sprzęt pierwszej klasy zamontowany tam niespełna pięćdziesiąt lat temu. Wyglądało na to, że ktoś próbował uruchomić wrak, budując nowe części w bazie umieszczonej na planetoidzie, a potem dał za wygraną, gdy testy przyspieszenia złamały statek na pół.

- Nie mam pojęcia, jak zdołali go znaleźć. Nowoczesna kosmologia mówi nam, że jeśli wszechświat kończy się gdzieś od dupy strony, to zapewne tutaj. - Coś kliknęło. - Zbliżam się do szczeliny.

Potem przez pewien czas łączność była słaba. Ekran na pokładzie *Nova Swing*, wyświetlające przekaz z kamer zamontowanych na hełmie, przestały na moment działać, po czym pokazały serię nieruchomych, niemożliwych do zinterpretowania obrazów płyt kadłuba,

oddzielonych elementów struktury oraz niespodziewanych pustych miejsc, sugerujących całkowicie odmienną relację przestrzenną z planetoidą. W próżnię wysuwały się kilometry przewodów.

- Przepraszam - odezwała się Liv Hula. - Mamy jakieś zakłócenia.

- Jestem w środku - oznajmiła po chwili.

Przekrój wraka ujawniłby kruche struktury o organicznym wyglądzie, złożone z kanalików i włókien w wyblakłych odcieniach błękitu, fioletu, różu i brązu. W środku jednak było ciemno. Korytarze dzieliły osobliwe pochyłe speleotemy, które w końcu ustąpiły miejsca bardziej rozpoznawalnej architekturze.

- Nie wiem, czym było to z początku, ale z pewnością nie statkiem. Myślę, że to mogło być zwierzę. Kanały i przewody poprowadzono ręcznie. Nawet kadłub dodano później. Zbliżam się do reaktora. - Nastąpiła długa przerwa. - Jezu. Dziury - odezwała się wreszcie Liv.

Pięćdziesiąt milionów kandel wypełniło drżącym blaskiem nieokreśloną przestrzeń. Cienie filarów padały na ściany pod dziwnymi kątami.

- Widzicie to? - Znajdowała się w jakiejś komorze. W którąkolwiek stronę spojrzała, widziała wywiercone w starożytnej organicznej masie proste tunele o średnicy pół metra i idealnie okrągłym przekroju. Ściany pokrywało szklivo utworzone przez wysoką temperaturę. - To jest nowe. Wydarzyło się mniej więcej w tym samym czasie co próba przemieszczenia obiektu, albo nieco wcześniej. Kurwa. Co to jest? Co to jest?

Światło przemknęło po ścianach, a potem zgasło. Znowu zapadła cisza.

- Antoyne? Antoyne? Odbierasz to? Antoyne, coś tu jest ze mną.

\*\*\*

Operatory-cienie kręciły się po kabinie pilota *Nova Swing*, unosząc dłonie do twarzy.

- Co zrobiła tym razem? - szeptały. - Och, co zrobiła tym razem?

Gruby Antoyne wyszedł z kajuty dla załogi i bez zastanowienia usiadł w fotelu pilota.

- Akceptuję - oznajmił systemom i w chwili, gdy złącze wniknęło w jego podniebienie miękkie, powodując kichanie, a potem wymioty bez ostrzeżenia, przypomniał sobie, że jest człowiekiem, który przysięgał, że już nigdy nie będzie pilotował statków.

Systemy wypełniły go całkowicie, gdy tylko to wyczuły. Przez chwilę, gdy usiłował wyłączyć oprogramowanie nawigacyjne, odnosił wrażenie, że widzi w zbyt wielu kierunkach jednocześnie. Utracił tożsamość. Zdawało mu się, że wymiotuje bez końca. Wszystko śmierdziało gumą, a potem - gdy statek starał się go uspokoić - środkami powstrzymującymi odruch wymiotny oraz jakimś tanim inhibitorem wychwytu zwrotnego noradrenaliny, pompowanymi do jego żył.

- Niech cię chuj, po prostu mnie podłącz - wybełkotał do statku.

W ciemności włączyły się silniki pSi. W tej samej chwili próżnia nabrała wyglądu zjonizowanej. Przez inteligentny gaz nanomaszyn przebiegły zmiany fazowe. Miliardy maleńkich kamer napłynęły w przestrzeń między dwoma statkami niczym rybi mlecz. Mimo to, Gruby Antoyne pozostawał ślepy. Jego złącze nadal było niepewne i nieustabilizowane.

- Hej, Liv - odezwał się. - Liv?

Nic. Potem usłyszał zakłócenia i odległy hałas brzmiący jak *gak, gak, gak*, dźwięk Galaktyki rozmawiającej ze sobą w nadświetlnych impulsach.

- Halo? Antoyne?

- Ja pierdolę.

- Antoyne, przepraszam. Tu nic nie ma. Straciłam orientację.

Znużony Antoyne zaczął zamykać złącze pilota.

- Witaj w klubie - rzekł do Liv Huli.

- Antoyne! Ciała! Ciała!

\*\*\*

Sądząc po nazwiskach namalowanych przez szablon na szybach hełmów, była tu jedna trzecia ekipy poszukiwaczy, która znalazła wrak. MENGER siedziała w pozycji elementu instalacji albo prymitywnej figury woskowej, której nazwa mogła brzmieć *Miejsce śmierci XIV* albo *Ostatnia wyprawa*. Rozstawiała szeroko nogi i garbiła plecy, wsparta o podstawę ściany, hełm skafandra kosmicznego pochylał się, a dłonie wspierała lekko na udach. SIERPIŃSKI klęczał niezgrabnie na jednym kolanie, jakby się oświadczał, okazało się jednak, że pisze na przedramieniu swego skafandra słowo „krzywizna”.

Czyżby to była nie tyle informacja, ile ostrzeżenie? - pomyślała Liv Hula.

- Na obojgu nie widzę żadnego znaku - poinformowała statek.

Które z nich umarło pierwsze? Kobieta z pewnością sprawiała wrażenie schwytej w chwili dawania za wygraną. Czy w tym, jak pochylał się ku niej SIERPIŃSKI, był element troski, a nawet czułości? Tunel zwięzał się w tym miejscu i dzielił na trzy części przy dziwnie marmurkowanych opływowych kolumnach, zakrzywiających się nad ich głowami na podobieństwo zamarzniętej fali. Liv nie chciała zaglądać w zmatowiałe szyby, sądząc, że zmieniliby to odkrycie w podglądactwo, bała się nie tego, że zobaczy MENGER i SIERPIŃSKIEGO, tylko raczej, że ich nie zobaczy, że skafandry okażą się puste i porzucone. Ominęła je i poszła dalej. Połączenie nadal było otwarte, lecz milczało.

- Cały wrak wielokrotnie penetrowano z zewnątrz - zauważyła nagle Liv. - Trudno określić kiedy.

Im bardziej zbliżała się do reaktora, tym więcej otworów znajdowała. Tu i ówdzie przez któryś z nich do środka przedostawał się snop żółtego światła Traktu, padający z ukosa na rury albo pęki przewodów. Słabe promieniowanie jonizujące sprawiało, że wszystko emitowało niebieskawą poświatę. Słyszała własny oddech, w jego tle Grubego Antoyne'a, który kasłał i krztusił się, próbując się uwolnić od systemów statku, w tle Antoyne'a zaś znajome nadświelne zakłócenia, które każdy opisuje inaczej. Liv zawsze słyszała je jako odległe, pełne strachu krzyki.

- Mam przed sobą reaktor.

Pojemnik wielkości domu próbowała porosnąć oryginalna substancja statku. We włóknistą krystaliczną masę wnikały liczne rury.

- Pompowali wodę do brei z uranu 235, a po pięciu godzinach ona wychodziła na zewnątrz jako przegrzana para. - Liv skonsultowała się z instrumentami. - Analiza wskazuje, że reaktor ostatni funkcjonował w okresie dewonu, według rachuby Starej Ziemi. Nie ma żadnych urządzeń odprowadzających energię. Jeden Bóg wie, do czego służył. Wszystko, co kiedykolwiek zrobił, to podniesienie własnej temperatury o dwieście stopni. Myślę, że to mogło być środowisko dla tego, co pierwotnie tu żyło.

Odbiorcy na *Nova Swing* doświadczyli długiej przerwy.

- Antoyne, słyszę ten sam hałas, co poprzednio.

Monotonne buczenie o częstotliwości wystarczająco niskiej, by wywoływać wrażenie, że nie tyle wtargnęło do jej układu nerwowego, ile zastąpiło go. Towarzyszyły mu zawroty głowy oraz metaliczny smak w ustach. Później chaotyczne ujęcia kamer jej hełmu ukazywały jedynie niebieskawą śluzowatą plamę.

- Wracam. - Kiedy się odwróciła, by opuścić to miejsce, stało się oczywiste, że coś rzeczywiście było tu z nią przez cały czas. - Antoyne? Odbierasz to?

Obraz zniknął całkowicie. Przez minutę czy dwie odbiorcy słyszeli tylko urywane frazy: „błyszczący lakier”, „kopulasta głowa”, i raz po raz: „Antoyne?”.

Liv wlokła się ze swym sprzętem przez korytarze o włóknistych ścianach. Czuli się tak, jakby zabłądziła wewnątrz jakiegoś wielkiego narządu. Z tyłu nadal słyszała artefakt przebijający się beznamiętnie ku niej przez przypominający pumeks budulec wraku. Wypadał z jednej ściany tylko po to, by natychmiast zniknąć w następnej. Wyobrażała sobie, jak czekał tu przez czterysta milionów lat. Czy polował na poszukiwaczy tak samo, jak teraz na nią?

\*\*\*

Mona Irene, choć kochała przestrzeń kosmiczną, często się zastanawiała, co skłania ludzi do wychodzenia w nią. Gdyby ją o to zapytać, odpowiedziałyby, że liczą się właściwie



tylko widoki. Czasami wieże skłębionego gazu rozświetlone hiacyntowym blaskiem i targane frontami uderzeniowymi pochodzącymi od eksplodujących kwazarów, czy jak je tam zwał, były piękne, a czasami wydawały się jedynie monstrualne. Irene wołała ciepłe miasta z solidnych materiałów, gdzie w deszczowy dzień okna wszystkich retrosklepów i salonów krawieckich lśniły osobistymi opcjami. Wołała światła, saksofonową muzykę, różowe i fioletowe reklamy przypominające émy, dusze rwące się do kontaktu z twoją duszą. Wszystko to było fałszywe i piękne. Pozostawało też jednak prawdą to, że nie mogła w pełni stać się domatorką. Ktoś musiał się zajmować finansowymi i aspiracyjnymi stronami przedsięwzięcia o nazwie Fracht Luzem - Saudade, nie wspominając już o zasobach ludzkich!

- Dlatego tu jestem - powiedziała sobie na głos - pośród gwiazd i galaktyk. Muszę przyznać, że wyglądają prawie tak samo imponująco, jak para nowych kurewskich szpilek od Minnie Sittelman.

Mniej więcej w tej samej chwili w pokładowych głośnikach zabrzmiało jej imię.

- Irene, Irene.

Potem usłyszała hałas, brzmiący jak *gak, gak, gak*.

Antoyne'a znalazła w kabinie pilota. Spoczywał na leżance, otoczony kałużą wymiocin. W obu rękach ścisnął pęk wielobarwnych przewodów złącza pilota. Drżał, podciągając kolana do piersi. Irene była przekonana, że jeśli jej kochanek ma jakąś tajemnicę, to taką, że nie za dobrze radzi sobie sam. Zdarzały się jednak dni, gdy nie radził sobie za dobrze nawet mając obok kogoś, kto się nim zajmował.

- Kochanie - odezwała się, unosząc jego głowę i odłączając delikatnie przewody. Na ich złotych końcówkach widziała maleńkie kropelki substancji mózgowej. - Ta robota naprawdę nie należy do ciebie, a poza tym powinieneś się ogolić.

Antoyne znowu zwymiotował i stoczył się z leżanki.

- Czy tu jestem? - zapytał.

- Tak, Antoyne, z pewnością tu jesteś.

Ekran w kabinie pilota obudziły się nagle do życia. Oto, co ujrzała na nich Irene: odpryski blasku podskakujące urywanym ruchem wzdłuż tuneli o żebrowanych, wyglądających na śliskie ścianach; cienie ujrane w chwilach panicznego spoglądania za siebie; wprowadzające w błąd obrazy rejestrowane przez gaz nanokamer wypełniający teraz wrak. Wszystko przetwarzano, by wydawało się „realne”, układano w spójną narrację prowadzoną z wybranych punktów widzenia, komputerową psychodramę, w której Liv Hula wlokła się korytarzami, otoczona przez powolne eksplozje kabli zerwanych ze ścian przez ekipę poszukiwaczy wraków. Za szybą skafandra można było zobaczyć, jak usta kobiety

otwierają się i zamykają, choć nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Za nią ze ściany tunelu wylaniało się coś wyraźnie widocznego, lecz trudnego do zrozumienia.

Irene, która nie miała zamiaru w żadnej sytuacji wpuszczać statku do środka siebie, poświęciła chwilę na przestudiowanie opcji filtrowania ręcznego. Potem potrząsnęła Grubym Antoyne'em, żeby go obudzić.

- Kochanie, potrzebuję cię.

Antoyne przesunął się w tył na leżance i odchrząknął głośno.

- Kurwa, chciałbym, żebyśmy mieli na to czas. Naprawdę bym chciał.

Wyregulował obraz, ale wkrótce dał sobie spokój z próbami interpretacji tego, co widział.

- Czemu wierci we wszystkim dziury? - zapytał.

- Nikt z nas nie może tego wiedzieć, Gruby Antoyne.

\*\*\*

Liv Hula dotarła do rozgałęzienia, które rozpoznawała. Tunel dzielił się na trzy części. MENGER klęczał opiekuńczo przy SIERPIŃSKI, ale pisał słowo „krzywizna”, jakby myślał o czymś innym. Natomiast SIERPIŃSKI wpatrywała się w podłogę, jakby ta ją zdradziła. Zginęli śmiercią, jakiej spodziewali się wszyscy entradiści, robiąc to, co chcieli robić, a teraz rzucali po trzy albo po cztery cienie w tym tableau przedstawiającym eskalację pecha. Krótko mówiąc, to był typowy dla entradistów przejebany syf, wspomniany przez Liv z głęboką pogardą.

- Wiecie co? - zwróciła się do nich, oglądając się przez ramię. - Wszyscy tu są winni.

Dokładnie cztery minuty i trzydzieści dwie sekundy później odezwała się nagle:

- Kurwa, Antoyne, wróciłam do reaktora.

Czuła się zmęczona. Jej zmysły traciły ostrość. Kończyło się jej powietrze. Jeśli wkrótce czegoś nie zrobi, skafander próżniowy wykona awaryjne nakłucie rdzenia, zmniejszając jej metabolizm o dwadzieścia albo trzydzieści procent, a potem zacznie wysyłać nadświetlny sygnał alarmowy, czekając na ratunek. Znajdą ją siedzącą na podłodze z opuszczoną głową i rozłożonymi nogami. Napis na szybie jej skafandra będzie głosił HULA. Kolejna identyczna porażka w domu rozrywki. Za reaktorem odkryła resztę poszukiwaczy. Wszyscy leżeli na stosie. Ich instrumenty powiedziały Liv, że ich ciała wykazują wysoki poziom radioaktywności, czego nie mieli MENGER & SIERPIŃSKI. Byli wyposażeni w ręczną broń termobaryczną, ale nic nie wskazywało na to, by próbowali jej użyć. Wsparła się o obudowę reaktora, zbyt zmęczona, by podejmować jakieś dalsze czynności. Obserwując mruganie dozymetru niskiej jakości w kąciку oka, raz jeszcze spróbowała się połączyć z

*Nova Swing.*

- Halo? Słyszycie mnie? - Nastąpiła dwuminutowa przerwa, podczas której kobieta szeptała do siebie z irytacją. - Chryste! Reaktor znowu się nagrzewa!

Żółte światło przerodziło się dla Liv w niebieskie. Usłyszała głucho buczenie, nie tyle dźwięk, ile wibrację wypełniającą jej ośrodkowy układ nerwowy. Przez chwilę czuła zawroty głowy. Potem ze ściany tunelu obok niej wyłonił się ukradkiem obiekt o średnicy pół metra i długości dwóch, wykonany z jakiejś czarnej gładkiej ceramiki. Na jego bokach można było zauważyć dziwaczne odbicia otaczającej ich przestrzeni, tworzące kaligrafię ledwie widocznych niebieskich plam. Przedmiot wysunął się ze ściany na wysokości niespełna metra. Sprawiał wrażenie ślepego, ale otaczała go aura inteligencji. Zdawał sobie sprawę z obecności Liv. Był już u jej łokcia. Gdy odwróciła wzrok, dotknął jej uda i pchnął. Całe ciało kobiety wypełnił smak metalu. Odwróciła głowę i spróbowała zwymiotować tak, by nie zanieczyścić szyby skafandra. Nie wydarzyło się nic więcej, poza tym, że gdy wreszcie ruszyła się z miejsca, artefakt czujnie podążył za nią w pustą przestrzeń. Jego tępy nos ani na moment nie oddalał się od jej lewego biodra na więcej niż dwadzieścia pięć centymetrów. Gdy tylko opuściła wrak, łączność nawiązała się znowu. Pierwszym, co usłyszała, był głos Antoyne'a.

- Jezu, Liv, gdzie byłaś? Liv, jeśli mnie słyszysz, jesteśmy przekonani, że wysłano nas tu właśnie po ten obiekt, który widziałaś.

- Pierdol się, Gruby Antoyne.

\*\*\*

Spróbowali umieścić go gdzie indziej, ale nowy ładunek przewiercił się przez ściany do głównej ładowni i zawisł w powietrzu między dwoma pozostałymi obiektami. Odbicia pokrywające jego powierzchnię nie do końca zgadzały się z rozkładem światła. Sprawiał wrażenie nowszego od tamtych, a z pewnością był mniej poobijany.

- Jak prosto ze sklepu! - skonkludowała mona Irene.

Oblizła palec i dotknęła obiektu. Leciutkie elektryczne doznania! Podobał się jej z uwagi na błyszczącą skorupę oraz - gdy już można było przyjrzeć mu się dokładniej - ledwie widoczne, gładkie organiczne odchylenia od cylindrycznego kształtu, czyniące z jego przedniego końca radosną falliczną metaforę. Gruby Antoyne traktował go ostrożniej i choć obiekt pozwalał się zbadać za pomocą standardowej sześciokalowej lupy, nie dowiedział się w ten sposób zbyt wiele. Oznajmił, że nie jest w stanie określić jego wieku. Był obcy. W całości wykonano go z ceramiki, choć głęboko w jego wnętrzu Antoyne wykrył regularne zaburzenia gęstości o złożonej strukturze, które uznał za urządzenia wykorzystujące efekt

wysokotemperaturowego nadprzewodnictwa.

- Nigdy się tego nie dowiemy - stwierdził, sugerując, że komuś innemu może się to udać.

Liv Hula - nadal była wstrząśnięta i zlna potem; jej poziom elektrolitów poleciał na łeb, na szyję - nie chciała wejść do ładowni. Wolała się zamknąć w kabinie pilota, gdzie rozpoczęła intensywny program nawodnienia, połączony z kilkoma kolejkami rumu „Black Heart” bez lodu. Oznajmiła, że te zagadki mają dla niej tak koszmarne znaczenie, że wolałaby nie przyłączać się do dyskusji. Zrewidowała jednak swą ocenę wieku obiektu.

- Myślę, że poszukiwacze przywieźli go ze sobą.

Niemniej nie miała pojęcia, co właściwie zamierzali z nim zrobić. Jeśli prawdę mówiły plotki, że MP Renoko zaczął w mniej więcej tym czasie wyprzedawać majątek Obserwatorium i Hodowli Wrodzonej Karmy Sandry Shen, być może kupili go od niego, jak kota w worku, co często zdarzało się przy nielegalnych transakcjach. A może to była jakaś maszyna górnicza.

- Jeśli zaś chodzi o to - dodała, przywołując niewyraźny obraz reaktora z wraku - co mam na ten temat sądzić? - Po czterystu milionach lat przestoju ten prymitywny artefakt wznowił pięciogodzinny cykl pracy, wypuszczając gorącą parę w pustą przestrzeń w nieznanym ludziom celu. - Myślę, że nie mają ze sobą nic wspólnego.

Od tej chwili sny Liv nawiedzali MENGER i SIERPIŃSKI. Machali do niej rękami zza radioaktywnej łuny, a za szybami skafandrów mieli enigmatyczną pustkę.

## NIE JESTEM RENOKO!

R. I. Gaines zabrał walizkę i wyszedł.

W następnych dniach asystentka próbowała zapomnieć o tym, co widziała. Rutyna była dla niej tak samo ważna, jak zawsze. Kobieta siedziała w samochodzie, siedziała w gabinecie, siedziała wyprostowana w tanku na C-Street, obserwując własny orgazm. Wszędzie, dokąd zaprowadziła ją praca, wymyślała dla siebie nowe imiona. Wypróbowała „Ysabeau”, „Mirabelle” i „Rosy Glo”. Wypróbowała „Słodziutka” i „Pak 43”. Była policjantką, na ulicy i w samochodzie, gdy spoglądała w lusterko i włączała lewy bądź prawy kierunkowskaz. Dniem i nocą otaczało ją miasto, a wraz z nim elementy jej zawodu: dzieci-śmieciami krążące w cieniach, krawcy o rękach zanurzonych po łokcie w czarnym sercu ludzkości, towary przemycane tu z gwiazd; ciche intuicje, niejasne podejrzenia. Robiła notatki, pisała raporty. Siedziała za biurkiem, a po jej papierach łąziły operatory - cienie, przypominające stare pajęczyny i zakurzone, niedokończone dłonie. Wypróbowała „Shacklette”, „Puxie”, „Temeraire”, „Stormo!” i „Te Faaturuma”. Połączyła się z sekcją mundurową i zapytała o Epsteina.

- Ten frachtowiec, na którym byłeś, dawno już opuścił Carver Field - poinformował ją. Otworzyła na jednej ścianie dokumenty dotyczące *Nova Swing*. Na drugiej pojawił się obraz twarzy Epsteina.

- Co to jest „trupia klatka”. Tu jest napisane, że załadowali na pokład „trupią klatkę”.

- To ty masz tu wykształcenie - odparła twarz Epsteina.

Cały ranek spędził w budynku władz portowych, pijąc kawę po jawańsku z papierowego kubka. Potem poszedł do samego portu.

- Enka Mercury nadal tam jest - oznajmił.

Wisiała teraz pod samym sufitem magazynu. Miała kolor oleistego, smolistego dymu i była przezroczysta jak mydło. Nadal miała dziurę pod pachą. Nadal nie żyła. Płat zwisającej skóry z daleka przypominał oddarty pas tkaniny.

- Jeśli wjedziesz na górę w żurawiu wysięgnikowym, poczujesz coś, co nazwałbym słabym, ale wyraźnym zapachem.

- Nadal kręci się wokół osi?

- I Toni Reno też - potwierdził gliniarz. - Choć on dzisiaj chyba trochę zwolnił. Mogę ci pokazać obraz.

Asystentka powiedziała mu, żeby dał sobie z tym spokój. Kazała mu poczekać, aż przestuduje manifest ładunkowy. Ładunek określono jako mieszany. Port wyjścia: Saudade. Port docelowy: New Miass, na jakiejś skale zwanej Kunene, sto światła bliżej Traktu.

- Tu jest coś dziwnego - odezwała się nagle. - Nadawca, odbiorca i miejsce dostarczenia ładunku to jedna i ta sama osoba.

Niejaki MP Renoko, prowadzący interesy jako FUGA-Orthogen, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, cechująca się całą kwantową niepewnością, jakiej można się spodziewać w Halo. Jeśli wiedziałaś, kto nią kieruje, nie mogłaś wiedzieć, czym się zajmuje, i *vice versa*. Zapytała Epsteina, co o tym sądzi, i odpowiedział jej, że nie ma zdania. Okazało się, że FUGA-Orthogen handluje głównie dokumentami - prawami do twarzy nieżyjących pomniejszych celebrytów, czy znaków firmowych, które nie przyciągały już żadnych klientów - ale jest również właścicielem reszty majątku popularnego ongiś cyrku wędrownego znanego jako „Obserwatorium i Hodowla Wrodzonej Karmy Sandry Shen” albo „Cyrk Patheta Lao”.

- Ten Renoko przed pięćdziesięciu laty kupił rzeczy pozostałe po cyrku - poinformowała Epsteina - a teraz transportuje je po Halo pod przykrywką handlu.

Czytała dalej. Najwyraźniej jednym z należących ongiś do cyrku obiektów był frachtowiec z napędem HS-HE, przed pięciu laty sprzedany z widocznymi wadami przez pośrednika firmie o nazwie Fracht Luzem - Saudade, która przemianowała go na *Nova Swing*.

- Gruby Antoyne, tajemniczy z ciebie gość - powiedziała asystentka.

Zapytała Epsteina, czy był kiedyś na Kunene. Odpowiedział, że nie był, ale miał wrażenie, że to niedaleko stąd wzdłuż Plaży.

\*\*\*

Nieświadomy tej zdawkowej rozmowy Rig Gaines odwiedził jeden ze swych mniej wymagających projektów. Skorodowany cylinder długości około piętnastu metrów i średnicy siedmiu - wystarczająco zimny, by chłodzić w nim szynkę, pachnący wewnątrz hydrazyną i niemytymi nogami - znany Gainesowi jako „Łajba” zmierzał w stronę K-Traktu z prędkością ledwie przekraczającą minimalną, pilotowany przez starego sojusznika i znajomego Gainesa, Impasse'a van Santa. Gaines lubił Łajbę, choć rzadko produkowała coś, co dałoby się sprzedać. Chętnie spędzał tu ranki, pijąc piwo „Giraffe”, podczas gdy pilot przekazywał mu najnowsze wiadomości.

Pamiętając o panującej w EMC kulturze wymagającej bycia na bieżąco z modą - nie wspominając już o preferencji tej organizacji do umiarkowanie zadłużonych spółek mieszanych z miejscowymi partnerami - Gaines zachowywał w tajemnicy swe związki z Impsem van Santem. Ostatnia z autentycznie ludzkich istot, Imps spędzał swe dni w sandałach pod prysznic oraz szerokich szortach, a często także w T-shircie ze sloganem DORWAŁA CIĘ, STARY albo 3MAJMY SIĘ 1EM (wymawiane „trzymajmy się razem”). W dodatku pielęgnował cały zestaw dwudziestowiecznych dolegliwości od zapalenia dziąseł aż po wysuszoną skórę, a z biegiem lat utył. Właśnie to staromodne podejście Gaines najbardziej lubił u Impsa: jego pracę trudniej było zgłębić. Połowa eksperymentu - zaprojektowanego jako gotowy do użycia przed stu laty, by identyfikować niezwykle materiały w wielkich obłokach pyłu i frontach ekspansji na granicach Traktu - przestała funkcjonować, natomiast reszta produkowała dane nie pochodzące ze świata zewnętrznego, ale z wewnątrz, przekazując van Santowi nieustanny komentarz na temat swego stanu, który zaczął opisywać w raportach jako „wołanie o pomoc”. Igły latały po tarczach, raptownie przekraczając czerwoną linię, aż wreszcie operatory-cienie Łajby budziły się i szeptały:

- To nie w porządku, moja droga.

Albo:

- To zbyt wiele.

Gdy Gaines przybył tego ranka na cotygodniowy rytualny przegląd celów, van Sant walił kłębem dłoni w cynkowe pudełko o bokach długości około trzydziestu centymetrów, pokryte zieloną emalią. Z pojemnika zwisały dwa niezależne okulary na sznurkach z izolacją z tkaniny.

- Kiedyś potrafiłem coś w nim zobaczyć.

- Zapomnij o tym syfie - poradził mu Gaines - i daj mi piwa.

- To był widok na góry - oznajmił van Sant. Wyrzebał kwartę piwa „Giraffe”, a potem znowu walnął w pudełko. - W jednym okularze góry, a w drugim coś innego. Zapomniałem co. Nie, chwileczkę. Jezioro! Tak przynajmniej to dla mnie wyglądało.

- Naprawdę?

Gaines powątpiewał w jakość tych obrazów. Nie wierzył też, by same w sobie zawierały wartościowe informacje. Instrument, nabyty bardzo tanio na zwyczajowej wyprzedaży po pożarze Motelu Splendido, był strojony przez operatory: istniał jakiś sposób pozwalający zobaczyć obraz, coś, co działo się w głowie, jakiś rodzaj korelacji krzyżowej. Choć Imps van Sant wyteźzał wzrok ze wszystkich sił, nigdy nie opanował tej sztuczki. Nie miał potrzebnych modyfikacji, choć wrodzona bystrość pozwoliła mu zauważyć:

- To te dodatki wszystko zmieniły.

- Lepiej się tym nie gryź - ostrzegł go niejasno Gaines. - Odkryliśmy coś w tym tygodniu?

- Twoje domysły są warte tyle samo co moje.

Wypili piwo, a potem zegrali w ping-ponga w kwaterach dla załogi, używając nowej piłeczki przywiezionej przez Gainesa. To był wariant gry, który sam wymyślił, jego przypominające przepisy struktury oraz warunki brzegowe zmieniały się za każdą wizytą. Gaines wygrał. Wkrótce potem poziom dwutlenku węgla w całym wnętrzu Łajby podniósł się nagle. Zabrzmiały alarmy. Van Sant musiał włożyć skafander i wyjść w przestrzeń - gdzie nieustanne napady szalu prawdopodobieństwa same niwelowały się do próżni - by dwa razy uderzyć w coś kluczem. Potem byli zmuszeni wyrzucić szklarnię i założyć nową. Później Gaines musiał już opuścić to miejsce.

- Biologia - stwierdził z chichotem. - Nie żałujesz, że nie możesz się bez niej obejść?

- Bardzo zabawne.

Gdy przyjaciel już go opuścił, zmęczony Impasse van Sant usiadł, nadal mając na sobie dolną połowę skafandra.

- Nienawidzę wychodzenia w przestrzeń - powiedział. - Czuję wtedy, że ta rzecz na mnie patrzy.

Miał na myśli K-Trakt. Zdawał sobie sprawę, że Gaines jest o nim innego zdania. Tak samo jak wszyscy, Imps wiedział bardzo niewiele o tym, jakie miejsce zajmuje w planach przyjaciela, czasami jednak odnosił wrażenie, że Rig odwiedza Łajbę dlatego, że tylko tu może się odprężyć. Gaines uwielbiał przebywać w mroku, z dala od wszystkiego co ludzkie. Van Sant czuł się raczej skrepowany tą myślą. Jakiś czas temu - być może zbyt długi - uświadomił sobie obecność Traktu, który wisiał przed nim od lat niczym ogromna gotująca się twarz - surowy, nagi, usiany globulami Boka i smugami pyłu, spłaszczony i rozciągnięty na boki przez słabo rozumiane efekty relatywistyczne, kipiący emocjami, których nie sposób było rozpoznać.

Ten widok rutynowo budził w van Sancie niepokój. Czuł się przez niego samotny. Dlatego, gdy tylko się upewnił, że Rig Gaines go opuścił, otworzył wszystkie kanały komunikacyjne i wyszeptał w pustą przestrzeń:

- Hej, kochanie. Jesteś tam?

Dziś nie otrzymał odpowiedzi.

\*\*\*

Asywentka zarezerwowała bilet na Kunene. Glob zawsze zwracał się ku lokalnemu



słońcu tą samą stroną, która prażyła się w jego promieniach, podczas gdy drugą skuwał lód. Planeta o średnich rozmiarach położona kilka światel w głąb Zatoki miała tylko jedną nadającą się do zamieszkania strefę czasową, znaną jako „Magiczna Godzina”. Tlenki ziem rzadkich pozwoliły Kunene wkroczyć w pierwszą fazę gospodarczego rozwoju, ale to Magiczna Godzina, ze swymi stałymi fazami zachodu słońca i ich subtelną gradacją, zwabiła tu inwestorów: pustkowia, miasta widma oraz usiane wrakami półki szelfowe przyciągały turystów oraz korporacyjnych specjalistów od wizerunku, czyniąc Kunene najpopularniejszym w Halo miejscem do wszystkiego, od amatorskich zdjęć ślubnych, poprzez „egzystencjalne porno”, aż po najśmielsze kampanie reklamowe.

Każdy, kto lubi zachody słońca, pragnie, by nigdy się nie kończyły. Broszury zapewniały, że na Kunene to życzenie mogło się spełnić.

Przez pół dnia asystentka wyglądała przez okienka frachtowca *Puit Puit Maru*, obserwując strumień wywołanych przez napęd dynafłow halucynacji, przypominających wodorosty widziane z łodzi podwodnej.

- Nie lubię podróży - powtarzała sobie. - Nie lubię tych tanich miejsc.

Nikt nie siedział obok niej.

Władze portowe z Kunene nigdy nie słyszały o *Nova Swing*, ale nazwa FUGA-Orthogen wydawała się im znajoma. Niektóre z biur turystycznych nadal sprowadzały maszynię spoza planety, a ponieważ ludzie we władzach portowych byli przepracowani i czuli się niedoceniani, a po sprawdzeniu jej tożsamości nawet policjanci nie chcieli usiąść obok niej, wysłali ją do interioru. Tam - daleko od starannie mierzących oświetlenie kurortów oraz sekssafari, a bliżej wiecznego dnia, w którym krajobraz zaczynał się rozpląwać w warstwach fioletowych i szarych jak kość w niegościnnym blasku późnego popołudnia - dawna Strefa Ekonomiczna Kunene zmieniła się w linię ledwie funkcjonujących zakładów przetwórczych ciągnącą się na przestrzeni dwudziestu tysięcy kilometrów z północy na południe, a tu i ówdzie skupiającą się w nędzne miasteczka o nazwach takich jak Douglas czy Skelton. Przed pięćdziesięciu laty, w szczytowym punkcie boomu na lantanowce, wiele z tych osad miało własne porty raketowe. To w jednym z nich znalazła się teraz asystentka. Wahadłowiec, którym tu przybyła, zostawił po sobie tylko szybko zanikającą smugę jonizacji na zielonkawym niebie.

Administracja zajmowała plac o obszarze dwóch i pół hektara, gęsto pokryty kilkupiętrowymi budynkami. Markizy w niebieskie i białe pasy łopotały na wietrze. Straszliwie złuszczone tablice reklamowały od dawna niedostępne towary. Wszystko wydawało się opustoszałe, ale w recepcji parterowego budynku, będącego kopią zadaszzonego

parkingu z przedmieść z roku 1959, asystentka spotkała niskiego chudego staruszka w czapeczce golfowej, luźnej koszulce i brązowych poliestrowych spodniach z zaszewkami. Mężczyzna rzucał od niechcenia entrefleksowe kości na polerowany drewniany kontuar. Na ścianie wisiał tysiąc wyblakłych listów przewozowych. Wylączony neon głosił: PERDIDOS E ACHADOS.

- Hej - przywitał ją mężczyzna. - Niecynne.

- Pokonałam sto lat świetlnych, żeby to usłyszeć.

- Sytuacja wszędzie jest trudna - odparł staruszek i znowu rzucił kości. Wyrzucił Wegańskie Oczy Węża, Eskadrę Levy'ego i Wieżę z Chmury.

- W przyszły czwartek minie pół stulecia od chwili zamknięcia - dodał. - Ale jeśli chcesz się ze mną napić, naprzeciwko jest bar.

Roześmiała się.

- Tak wygląda twoje marzenie? Pragniesz stawiać drinki kobiecie z innego świata?

- Każdy musi mieć jakieś marzenia - odpowiedział. - Faktycznie bardzo przypominasz moje.

Dodał, że kierował tym biurem przez cały czas trwania boomu na lantanowce.

- Przede mną właścicielem był człowiek nazwiskiem Renoko. To było tak, jakbyś miała kopalnię, tylko nie trzeba się było tyle narobić. Nasze życie wyglądało wtedy inaczej.

Wsparł łokcie na kontuarze i ułożył kości w szeregu, zwrócone najwyżej punktującymi ściankami ku górze. Białka jego oczu pożółkły od wieku, a dłonie - wielkie i miękkie, o pomarszczonych kostkach i dobrze utrzymanych paznokciach - nigdy nie pozostawały w bezruchu.

- To były piękne dni. Ale przecież nie muszę ci tego mówić.

- Szukam statku - poinformowała go asystentka.

W odpowiedzi zdjął z półki zielone tekturowe pudełko i wysypał na ladę jego zawartość. Setki kości do gry - niektóre obce, a inne ludzkie; niektóre pojedyncze, a inne w parach - odbijały się z grzechotem od drewna. Miały najróżniejsze kolory i wykonano je z wszelkich możliwych materiałów, od kości po rubinowy plastik. Lśniły od uwięzionych świateł i wbudowanej fizyki. Przesunął nad nimi dłonie i nagle wszystkie wskazywały zwycięstwo. Zwracały się tymi samymi ściankami ku górze.

- To siebie przegrywamy - oznajmił. Zgarnął kości z powrotem do pudełka, a potem rzucił nimi znowu. - Widziałem bagaż i obrazy. Paczkę z zardzewiałymi nożami. A raz coś, co wyglądało jak but, ale okazało się, że żyje. Odbierałem zaginione dzieci, zgubione płaszczki i utracone antyki, w tym również, jak widzisz, kości do gry najprzeróżniejszych

rodzajów. - Wzruszył ramionami. - Ale rakieta jest za duża na to biuro.

Asystentka położyła ręce na jego dłoniach, trzymając je nieruchomo.

- Nie bój się mnie - poprosiła. - Lubię rum „Black Heart”. Zawsze delektuję się jego aromatami palonego cukru. Statek, o który mi chodzi, nazywa się *Nova Swing*.

Staruszek popatrzył na nią.

- Zaczekaj tu - odezwał się.

- Znaleziono kości! - zawołała za nim. - Przynoszą pecha!

\*\*\*

Czekała dziesięć minut, potem dwadzieścia.

Po drugiej stronie kontuaru panował porządek: tylko pudełko na półce i pożółkłe dokumenty na ścianach. Wszędzie było bardzo czysto. Na zapleczu był zamknięty pokój i drzwi, za którymi ujrzała nowe widoki na Strefę Ekonomiczną Kunene. Po półgodzinie asystentka opuściła budynek i zaczęła krążyć po okolicy, wołając: „Halo?!”. W intensywnym popołudniowym blasku na puste aleje między budynkami padały cienie. Na końcu jednej z tych milczących uliczek można było zobaczyć wzgórze z ziem rzadkich, na końcu drugiej zaś splekany beton lądowiska. Kobieta znalazła się w labiryncie: cichym i niezmiennym, we wszystkich kierunkach wyglądającym tak samo. Aurę tymczasowego zamieszkania uczyniły permanentną siły komercji i psychologicznego schyłku. „Halo?!”. Identyczność wszystkich miejsc zbijała kobietę z tropu. Jej modyfikacje zaczęły tworzyć omamy, wizje obiektów większych niż zajmowane przez nie miejsca. Przełączyła je na tryb oczekiwania. Po kilku minutach zobaczyła staruszkę, przecinającego skrzyżowanie pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt metrów przed nią. Pchał przed sobą jakiś długi ciężki przedmiot w kształcie rury, pochylając się ku niemu, jakby szedł pod wiatr. Słyszała, jak stęka z wysiłku. Na jej widok podskoczył lekko, zaskoczony.

- Nie jestem Renoko! - zawołał. Koszula powiewała za nim.

Gdy dotarła na skrzyżowanie, mężczyzna zdążył już zniknąć. Potem zobaczyła go tylko z oddali. Wydawał się maleńki na tle labiryntu, a jego próby ucieczki wyglądały komicznie, jak wyświetlane w zwolnionym tempie. Po pewnym czasie usłyszała stłumione jękliwe wycie, jakby w najdalszym zakątku lądowiska doszło do jakiegoś bolesnego wypadku. W tej samej chwili wyszła z za rogu i zobaczyła staruszkę. Wisiał dwa i pół metra nad ziemią, powoli kreśląc luźną podwójną pętlę. Zgubił gdzieś białą czapeczkę. Uśmiechał się. Był martwy. Pchany przez niego przedmiot zniknął.

Zgubiony i znaleziony, pomyślała asystentka.

- Cześć, nazywam się Pearlant i... - wyszeptał nagle głos w jej uchu.

Modyfikacje uaktywniły się w jednej chwili. Kontekst się zamazał.

Asystentka poczuła chemię celu, zmodyfikowane kairomony, charakterystyczny zapach, słodki i smrodliwy zarazem. Potwór taki sam jak ona, dzieło krawców o typowej dla nastolatków wizji przyszłości, uciekał przed nią, zmieniając losowo kierunek w manewrach unikania. Śmierdział nadmierną aktywnością przyśpieszacza, emitował częstotliwości, które potrafiła wykryć, ale nie wyprodukować - 27 do 40 GHz w jakimś miejscowym medium nadzoru - wysyłając nieskupiony nadświetlny krzyk do odbiorców, których asystentka nie potrafiła zidentyfikować. Pojedynek między budynkami trwał jakieś trzydzieści, czterdzieści sekund i nie przyniósł rozstrzygnięcia. Gdy asystentka zatrzymywała się, wyęzając słuch, stworzenie nieruchomiało i wyłączało systemy. W innych chwilach trzymało się w cieniach, nie tracąc rozpędu. Wchodziło do jednego budynku i z pozoru w tej samej chwili wylaniało się z następnego, rozwalalo drzwi i natychmiast wypadało z odległej o dwadzieścia metrów ściany, otoczone zawieszoną w powietrzu eksplozją fragmentów desek poszycia zewnętrznego. Było szybsze od niej. I bardziej gniewne. Nie próbowało się identyfikować ani walczyć z asystentką. Wydawało się raczej, że toczy spór samo ze sobą. W końcu policjantka dała sobie z tym spokój. Nasłuchiwała łoskotu gniewnych kroków cichnących w oddali, tam gdzie pochylone wraki statków kosmicznych - ofiar zarówno wahań cen na rynku, jak i wysokoenergetycznej astrofizyki Zatoki Radiowej - zapadały się w osadowe warstwy pustkowi, pełne nieodsłoniętej rudy. Stworzenie przemknęło między nimi, wzbijając fontanny zmurszałej gleby, a potem zniknęło pośród niskich wzgórz odległych o dwa, może trzy kilometry. Nie ucieka, pomyślała asystentka, raczej próbuje powstrzymać własne reakcje. Wróciła do trupa.

Słońce prażyło bezlitośnie. Wzdłuż całej alei obluźowane azbestowe panele łomotały na wiejącym bezustannie popołudniowym wietrze. Staruszek wspierał się na ciepłym powietrzu - wyciągał jedną rękę i zginał przeciwległą nogę, jakby demonstrował, jak się pływa stylem bocznym - zostawiając za sobą słaby kojący ślad torowy. Uniósł się trochę wyżej. W jego uśmiechu było coś tajemniczego. Wydawało się, że mężczyzna wyteża wzrok, próbując obejrzeć się przez ramię. Wokół jego głowy orbitowały dwie albo trzy kości do gry. W dodatku przyciągnął reklamę, przygnaną tu z jakiegoś odległego o osiemdziesiąt mil półprofesjonalnego obrazowego safari na granicy strefy zmierzchu. Krążyła teraz i trzepotała, tworząc kontrpunkt do kreślonej przez niego leniwie horyzontalnej ósemki.

- Pośród odwiecznych cieni terminatora - informowała go, gdy nadeszła asystentka - nie brakuje technicznych wyzwania zarówno dla amatorów, jak i dla profesjonalistów, ale dla tych, którzy najlepiej potrafią się dostroić do jej subtelności, Złota Godzina Kunene jest

miejszem, gdzie najłatwiej odnaleźć urzekające, niekiedy niepokojące nastroje, jakie najbardziej kochamy.

\*\*\*

R. I. Gaines nadal był dla niej tajemnicą.

- Czaszkowe Radio odbiera większość ważniejszych częstotliwości - oznajmił asystentce, jednakże, gdy zaglądała do wnętrza urządzenia, które jej zostawił, widziała tylko tanią pamiątkę. Nie powiedział jej, jak się nim posługiwać, a operatorzy-cienie nic nie wykryły.

- Chętnie ci pomagamy, moja droga, z pewnością tak - zapewniały, ale jeśli jego nazwisko brzmiało Gaines, nikt nie posługiwał się nim od roku 2267, w którym zaczynały się ich zapisy. - Bardzo chętnie ci pomagamy.

Tymczasem EMC okazało się nieprzeniknioną ścianą. Żadna inna agencja nie przyznawała się do Gainesa. Był człowiekiem o poczuciu stylu wywodzącym się z innej epoki. Przenikał przez ściany. Asystentka siedziała na łóżku w swym pokoju, unosząc radio do poziomu oka. Mała dziecięca czaszka spoglądała na nią, otoczona czerwoną koronką i unoszącymi się w powietrzu cekinami.

- Halo? - odezwała się asystentka.

- Hej! - odpowiedziało radio podekscytowanym głosem R. I. Gainesa.

Potem rozłożyło się w jakiś sposób, otaczając kobietę, choć nadal czuła je jako solidny przedmiot trzymany w dłoni. Słyszała jakąś muzykę. Cekiny wypadały z ust czaszki i przenikały przez asystentkę, dostając się do jej pokoju, gdzie pochłaniały je ściany i podłoga. To był jakiś proces. Wkrótce przyplął sam Gaines. Sprawiał wrażenie podenerwowanego. Nie widziała dokładnie, co się dzieje za nim, odnosiła jednak wrażenie, że rozgrywa się to w bardzo rozległej przestrzeni.

- Hej! - powtórzył mężczyzna, a potem dodał, że jest raczej zajęty.

- Coś się wydarzyło - oznajmiła mu asystentka.

Czaszkowe Radio, sięgające w przestrzeń na falach eteru, wykorzystujące wszystkie podstawowe sprzeczności wszechświata, ogrzało się w jej dłoniach do temperatury ciała. Miała wrażenie, że dziecko na nią patrzy. W głębi pudełka widziała dalsze części jego ciała. Było mniej kościste, niżby tego chciała - ciało tłustego niemowlęcia zwisało z pudełka, rozstawiając nogi.

- Czy wiesz coś o stworzeniu zwanym Pearlant?

Zapadła długa cisza.

- Jezu - odezwał się wreszcie Gaines. Opowiedziała mu o sprawie Toniego Reno, o

tym, że załoga *Nova Swing* ją okłamała, a także o tym, co się wydarzyło na lantanowcowych pustkowiach Kunene. Gaines rozejrzał się wkoło.

- Wciskasz mi kit - rzucił cicho.

W tej samej chwili pole zapadło się w sobie i Czaszkowe Radio znowu stało się tanią blaszaną zabawką. Asystentka poczuła ulgę z tego powodu. Po chwili Gaines osobiście wszedł do jej pokoju przez ścianę, przynosząc ze sobą zimny podmuch. Miał na sobie spodnie wory marki Hampton, klasyczny sweter marynarski, na który narzucił dmuchaną puchową kurtkę w kolorze oleistej żółci.

- Jezu Chryste, czy masz w sobie coś więcej, niż widać na pierwszy rzut oka? - oskarżył asystentkę. - Pozwól, że cię zapytam: co ty właściwie kombinujesz?

Kobieta odparła, że nic nie kombinuje. Gaines westchnął i otworzył połączenie z projektem Alef.

- Dajcie mi kogoś z projektu zamknięcia.

Nastąpiła przerwa, podczas której przyglądał się asystentce, jakby decydował, że jednak jej nie kupi.

- Lubisz ciastka? - zapytał. - Mam na nie ochotę. - Nim zdążyła się zastanowić nad odpowiedzią, jego uwagę przyciągnął sygnał następnego połączenia. - Wiem - rzekł. Potem słuchał uważnie przez trzydzieści pięć sekund, zanim przerwał rozmówcy. - Coś wydostało się na wolność, a wy nawet nie wiecie, co to jest, skurwysyny! - Komuś innemu powiedział: - Myślę, że może utrzymywać z nią kontakt. - To sprowokowało długą odpowiedź, która jednak nie ukoiliła jego widocznego lęku.

Asystentka podeszła do okna, by popatrzeć na ludzi chodzących po ulicy.

- Nigdzie nie odchodź - ostrzegł ją Gaines.

Lekki popołudniowy deszczyk z GlobeTown przestał już padać. Otwierały się pierwsze kluby muzyczne i naleśnikarnie. Później otoczenie portu wyleje się na obszar właściwego Saudade i te ulice opustoszeją. Na razie dziewczyny i chłopaki śmiali się i całowali pośród woni żywności i perfum. Wonne, odnowione powietrze rozświetlał blask neonów; tymczasem w pokoju Gaines nadal zwracał się plecami do asystentki. Kobieta gapiała się tępo na piktogramy maszerujące po wewnętrznej powierzchni jej przedramienia. Czasami powodowały swędzenie. Czasami odnosiła wrażenie, że pod jej skórą poruszają się realne obiekty.

- Nie wiem - usłyszała głos Gainesa. - Nikt na razie nic nie wie. Przerwał połączenie i zwrócił się ku asystentce.

- Powinniśmy ci pozwolić zająć się tą sprawą, ale zgodziliśmy się, że nie chcemy tego

robić - oznajmił na początek. - Hej, czy lubisz ciastka? Miałem na nie ochotę przez całe popołudnie!

Poszli do dobrze znanego straganu ze słodyczami, „Ou Lu Lou”, znajdującego się na wzgórzu nieopodal mrowisk Nowych Ludzi w okolicach Retiro Street, gdzie na chodniku roiło się od ludzi spożywających wszechobecną tartę, słuchających muzyki i pijących z małych szklaneczek kawę espresso albo likier anyżkowy, podczas gdy ciepłe powietrze wypełniały swym migotliwym blaskiem światła miasta oraz neonowe skrypty - listy miłosne od odległych, otwartych przez całą noc lokali przy ulicach Tupolev i Mirabeau.

- Popatrz! Eklerki! Rożki! - Gaines zatarł dłonie. - Wyglądasz jak ktoś, kto lubi ciastka.

- Nie lubię niczego, co jest z bitą śmietaną - odparła asystentka.

Roześmiała się. Od czasu wypadków na Kunene z każdą chwilą coraz bardziej czuła się jak imitacja samej siebie - imitacja człowieka. Gaines próbował namówić ją do tańca. Nie umiała tańczyć. Tłum wyglądał na zaniepokojony. Niektórzy ludzie postanowili się oddalić.

- Dajcie spokój! - wołał za nimi Gaines. - To tylko zabawa!

Tych, którzy zostali, zapytał, czy nie sądzą, że asystentka jest piękna.

- Spójrzcie na nią! - wołał.

Wypił pięć albo sześć likierów, ale w końcu nie zjadł ciastka. Zamiast tego żartował ze wszystkimi i pilnował, by asystentka dostała wszystko, czego zapagnie. Później, gdy wrócili do jej pokoju, usiadł na łóżku, rozstawiając szeroko kolana i splatając dłonie między nimi.

- Problem z życiem polega na tym, że gdy coś zrobi się źle, nie można wrócić do punktu wyjścia - oznajmił bez żadnych wstępów.

Dodał, że istnieją dwa rodzaje ludzi: ci, którzy całe życie spędzają w przeciągającym się momencie paniki, od chwili gdy po raz pierwszy uświadomili sobie, że „Nie mają pojęcia, gdzie są drzwi, nie wspominając już o tym, jak je otworzyć, gdyby je znaleźli”, a potem zawsze już miotają się pod wpływem tego, co nazwał „zaburzeniami powstałymi w chwili, gdy usłyszeli trzask zamykających się za nimi drzwi”. Ten drugi rodzaj, po krótkim straszliwym bólu, „jednym pośpiesznym spojrzeniu za siebie”, decyduje, że trzeba się cieszyć tym, co się ma.

- Ci ludzie nie rezygnują - zakończył. - Nadal mają nadzieję na coś dobrego.

Asystentka nie potrafiła na to odpowiedzieć. Nic z tego, o czym mówił, nie wchodziło w zakres jej specjalności. Nic z tego nie dotyczyło kogoś takiego jak ona. Nie była zresztą pewna, czy chciał, żeby mu uwierzyła.

- Z pewnością w tym świecie możemy się stać, czym tylko zechcemy - stwierdziła wreszcie, ale Gaines zlekceważył tę odpowiedź jako zbyt prostą.

- Kiedy po raz pierwszy zająłem się tą grą, miałem córkę - kontynuował takim tonem, jakby dopiero przed chwilą odkrył ten fakt albo jakby właśnie dowiedział się tego o kimś innym. - Małą dziewczynkę - dodał po chwili. - Miałem dwadzieścia lat - dorzucił po kolejnej.

Wydawało się, że to już cała historia. Tak czy inaczej, nie miał nic więcej do powiedzenia, jakby od owych czasów spoglądał na te fakty z ukosa - jakby ich nie widział, ale przy odrobinie wysiłku mógł je ze sporą dozą pewności wydedukować z jakichś innych danych. Wzruszył ramionami.

- Przeprowadź śledztwo w sprawie tych tajemniczych śmierci, jeśli tego pragniesz - zasugerował - albo tej rakiety zwanej *Nova Swing*, ale odtąd to jest gra zespołowa. Dla nas wszystkich. Zgoda?

Nie miała pojęcia, o co mu chodzi. Zauważyła jednak, że po każdym wypitym likierze jego uśmiech tracił nieco na wyrazistości.

- Zawsze przekazuj mi swoje ustalenia - dodał. - I nigdy nikomu o tym nie wspominaj.

Asystentka otworzyła usta, by się zgodzić, ale nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, wyszedł przez zamknięte okno i zniknął po jego drugiej stronie, zostawiając ją z wrażeniem, że widok z jej pokoju namalowano na szkle. Jakby struktura świata była stylem sztuki i tylko Gaines oraz ludzie jemu podobni posiadali klucz do zrozumienia go.



## POŻARTA PRZEZ PSY

Sypialnia Anny Waterman była wyposażona w coś, co kobieta uważała za łazienkę dla samobójców z przybudówką - wielkie lustro nad zlewem i wanną, a we wszystkich innych miejscach czarne płytki z imitacji marmuru. Ściany miały taki sam kolor jak podłoga i nie było tu naturalnego światła. Żarówki w kierujących światło ku górze kloszach dawały tylko słaby żółtawy blask, przy którym można się było wysikać, natomiast po włączeniu trzystuwatowych jarzeniówek lepiej było, gdy zasłaniała oczy, by nie zobaczyć żalosego stworzenia - odwracającego się jednocześnie z nią, krzywiącego się boleśnie i unoszącego rozpostarte dłonie ku okrutnemu blaskowi - jakim stała się z upływem lat. W tak bezlitosnej łazience nawet najszczęśliwsza kobieta mogłaby rozbić o podłogę butelkę jacka danielsa. W takiej łazience można było umieścić dowolnie wiele miseczek z wyschniętymi płatkami róży, ale po zmianie prześcieradeł kąpielowych brzoskwiniowej barwy i otworzeniu nowego naturalnego mydła z dodatkiem oleju konopnego nadal często ustawiałaś przy umywalce szklankę wody i opakowanie temazepamu albo siadałaś na zbyt niskiej muszli klozetowej, by zastanawiać się nad tym, gdzie poprowadzić pierwsze cięcie. Cięcia zawsze wydawały się konieczne, w każdym klimacie finansowym czy emocjonalnym. Jakąś częścią jaźni Anna szukała w łazience dla samobójców pocieszenia, a przynajmniej poczucia bliskości tego co znane. Ta część cieszyła się ową ideą podobnie jak samym miejscem, podstawową teorią na temat świata, jaką wyznawała od lat młodości, psychicznym azylem będącym jednocześnie miejscem egzystencjalnego przerażenia, czymś, co zawsze będzie tam na nią czekało. Część nie jest jednak całością i o ósmej rano, po powrocie z pływackiej wyprawy, reszta Anny zabrała się radośnie do demolowania łazienki.

Marnie znalazła ją tam tuż po południu. Jej matka skuliła się pod zlewem w kombinezonie sprzątaczkii. Włosy miała ukryte pod batikową chustką.

- I co myślisz? - zapytała Anna.

Opróżniła łazienkę ze wszystkiego, co dało się przenieść, i zwała to na stos w sypialni. Częściowy sukces z marmurową wykładziną zachęcił ją do oderwania jednej z większych sekcji lustro. Wyrzuciła je przez okno sypialni na kwietnik, gdzie leżało - nie

potłukło się, tylko ukruszyło w jednym rogu - wśród lobelii i margerytek wyglądających tak, jakby sadziło je dziecko. Rury i zagłębienia odsłonięte przez te czynności pomalowano na złoto albo na srebrno, w zależności od nastroju.

- Potem namaluję na nich rybki - dodała. - Rozgwiadzy. Małże. Bańki powietrza. Takie tam rzeczy.

Większe powierzchnie pokryła już pierwszą warstwą, ciemnoniebieską farbą emulsyjną z domieszką bieli wystarczającą, by zasugerować coś w rodzaju hiszpańskiego lazuru, zastosowanego pośpiesznie za pomocą wałka i kielni. Gdy tylko farba wyschnie, Anna zamierzała dodać więcej bieli w postaci suchych grzbietów mających sugerować pianę. Farba zadowolająco pokryła ściany, ale miejsca po lustrach będą wymagały czegoś więcej.

- Mam zamiar zachować te pastelowe zielenie i błękity - oznajmiła córce - we wszystkim poza detalami. - Z myślą o detalach przygotowała trzy albo cztery najmniejsze pędzle, jakie udało się jej znaleźć, piękne pędzelki do modelowania, z włosia sobola. - Ale jeśli zdołam dodać do nich trochę światła, zrobię to.

Marnie stała w drzwiach, przyglądając się z twarzą bez wyrazu stosom ręczników i połamanej armatury; torbom na zakupy wypchanym ociekającymi wodą kosmetykami pod prysznic firmy Molton Brown, podartym czarnym torbom na śmieci wypełnionym do połowy trójkątnymi fragmentami fałszywego marmuru o bokach nieprzekraczających długością ośmiu centymetrów. Na szarobrazowym marokańskim dywaniku leżącym pod drzwiami łazienki Anna otworzyła wszystkie opakowania farby znajdujące się w domu, od maleńkich puszcerek eleganckiej farby emaliowej aż po pięciolitrowe puszki profesjonalnej emulsyjnej farby kryjącej. Marnie spoglądała na to wszystko z niedowierzaniem. Znalazła drogę do otwartego okna i spojrzała na leżące na kwietniku lustro. Po chwili przesunęła dłoń przed twarzą i zapytała:

- Anno, co ty wyprawiasz, na Boga?

- Dekoruję, moja droga. I jak to wygląda? - Schowała niesforny kosmyk włosów pod chustkę. - Możesz mi pomóc, jeśli chcesz.

- Napijmy się herbaty - zaproponowała Marnie ze znużeniem w głosie.

Anna pomyślała, że to świetny pomysł.

- A może pomogłabyś mi wynieść te torby na śmietnik? - zasugerowała.

Marnie uparła się, że powinny zrobić obiad - grzanki z serem i sałatkę - a potem przejść się po ogrodzie. Obcięły główki niektórym co smętniej wyglądającym różom. Podniosły wyrzucone lustro i oparły je o ścianę garażu. Marnie pomyślała, że wygląda tam niemal jak celowo umieszczona ozdoba, coś w rodzaju zwierciadła mającego powiększyć

przestrzeń narożnika jakiegoś dobrze znanego ogrodu położonego gdzieś koło Glyndebourne. Nie pamiętała jego nazwy.

- Widzę, że pozbyłaś się maków - zauważyła, gdy zbliżyły się do altany.

Anna, która nie była w stanie przyznać przed córką, że maki zniknęły w jedną noc, pozostawiając po sobie pas ziemi tak ubitej i suchej, że nic tam nie wyrośnie przez wiele lat, potwierdziła, że je wykopała.

- Ale nie widzę, gdzie je wrzuciłaś - zdziwiła się Marnie. - W kompoście ich nie ma.

- Och, gdzieś, kochanie. Na pewno gdzieś je cisnęłam.

Marnie ujęła matkę pod rękę. Gdy tylko zbliżały się do domu, zawsze zmieniała kierunek.

- Mamy dziś bardzo ładny dzień - mówiła. Albo: - Opary farby na pewno są niezdrowe. - Albo: - Och, mamu powąchaj to! - Zataczała z zachwytem krąg ręką, by wskazać z wyraźnie czytelnym podtekstem na różę, sad jabłoniowy i samo sierpniowe powietrze.

Anna zgodziła się ostrożnie, że dzień faktycznie jest cudowny i obiad bardzo jej smakował, ale teraz musi wrócić do pracy.

- Nie wiem, po co to robisz - powiedziała oskarżycielskim tonem Marnie.

- Ostatnimi czasy sama nie wiem, po co robię różne rzeczy - odparła Anna, próbując skłonić córkę do śmiechu. - Och, kochanie, czy nie możesz mi dać trochę luzu?

- Pod warunkiem, że nie posuniesz się za daleko.

Tym razem to Anna się rozgniewała.

- To znaczy, jak daleko? - zapytała. - To miejsce zawsze było dość zwyczajne, Marnie. Dla twojego ojca było w sam raz. Tobie też wystarczyło, kiedy dorastałaś. Ale teraz pragnę czegoś innego.

Gapiąc się na altanę, ujrzała przelotnie siebie sprzed trzydziestu lat, w łazience w zachodnim Londynie o drugiej w nocy. Rybki namalowane na ścianie, bursztynowe mydło z różyczką uwięzioną wewnątrz jak przeszłość kogoś innego - przeszłość, którą będzie miała, gdy tylko znajdzie się w przyszłości. Jest początek milenium albo blisko niego. Dwanaście wonnych świec, przyklejonych własnym tłuszczem do obramowania wanny, pali się migotliwym blaskiem, w którym na przetarte szmatką ściany padają cienie gałązek stojących w wazonach pokrytych fałszywą śniedzią. Woda wokół twoich sutek stygnie, ale nadal można w niej wytrzymać, pod warunkiem, że nie ruszasz się zbyt często. Jest druga w nocy i na schodach słychać odgłos stóp Michaela Kearneya. Jego klucz zgrzyta w jej zamku.

- Chodź ze mną, Marnie - rzekła Anna. Zaprowadziła córkę na górę i kazała jej obejrzeć nową łazienkę. - Tego chcę. Miałam to kiedyś i chcę mieć znowu.

- Mamo, ja...

- Byłam młodsza niż ty teraz, kiedy ostatnio miałam łazienkę, która mi się podobała. Ty masz miłe stabilne życie, Marnie, ale ja takiego nie miałam. Nie oddam ci domu. Nie oddam ci tego pierdolonego domu i nie zamieszkać w jakiejś szopie.

Zapadła długa bezradna cisza.

- Anno, co ty gadasz?

\*\*\*

Anna nie była pewna. Każda próba wyartykułowania tego kończyła się dla niej poczuciem niepowodzenia. Przygotowywała dom na przybycie Michaela, choć zdrowy rozsądek, coś w rodzaju nieśmiałości, powstrzymywał ją przed powiedzeniem tego na głos. Kilka następnych dni spędziła na malowaniu. To była ciężka praca. Okazało się, że ściany potrzebowały trzech warstw, a miejsca po lustrach czterech. Pewnego popołudnia zostawiła farbę, żeby schła, i wybrała się na przechadzkę do pubu o nazwie „de Spencer Arms”. Liczyła na to, że będzie mogła usiąść przy swym ulubionym stoliku na dworze - w miejscu nieco zbyt wietrznym, ale przyjemnie nasłonecznionym - i przyglądać się, jak emeryci z Londynu wjeżdżają na parking swoimi jaguarami. Okazało się jednak, że jej miejsce zajął chłopak z dwoma psami. Miał na sobie wełnianą koszulę roboczą, luźny pulower, a na wierzchu ciepłą kurtkę. Jego dzinsy były ciasne i nosił je już nieco zbyt długo. Końcówki nogawek przydeptały obcasy czarnych sznurowanych butów, wyglądających na niewygodne. Każdy element stroju był brudny od błota albo poplamiony farbą. Chłopak siedział niedbale za stolikiem obok pustej pintowej szklanki, machając nogami i pogwizdując.

- Czy mogę się przysiąść? - zapytała Anna.

- Przejdę do innego stolika, dobra? - odparł chłopak. - Ten jest tu najczystszy. Dlatego przy nim usiadłem.

- Twoje psy są takie piękne.

- Nie zrobią ci krzywdy - zapewnił chłopak. - Niektórzy mówią, że one są niebezpieczne, te psy, ale ja wiem, że to nieprawda.

Stały czujnie przy jego nogach, dwoje identycznych zwierząt, i odwracały od niego głowy, kierując je pod wiatr. Miały sylwetki greyhoundów - choć były trochę mniejsze - jasnoniebieskie oczy, porastała je długa, ostra, szara sierść i cechowały się nerwową, gotową do akcji czujnością. Od czasu do czasu ciało któregoś z nich przebiegał dreszcz. Każdy ruch przyciągał ich uwagę. Kierowały wzrok w tę samą stronę, co chłopak, a potem spoglądały na niego w poszukiwaniu potwierdzenia tego, co zobaczyły.

- Wypiłbym jeszcze jedno piwo, ale nie znoszę tego eleganckiego baru -

poinformował Annę. - Nie musisz się bać tych psów, one nikogo nie skrzywdzą.

- Co to za psy?

- Pracujące - odparł chłopak, obrzucając ją chytrym spojrzeniem. - W większość nocy poluję z latarką, z tymi z pól. Oni co noc tam wychodzą, z latarkami i z psami. Mają bardzo ostre psy.

Anna przyznała, że nie wie, na czym polega polowanie z latarką. Chłopak zrobił zdziwioną minę. Zorientowała się, że jest to tak wielka część jego życia, że miał za dużo do powiedzenia i nie wiedział, od czego zacząć. Wskazała na pub, z jego zapadającym się ładnie dachem krytym dachówkami z kamienia z Horsham, z jego glicynią i winobluszczem.

- Postawię ci piwo, jeśli nie chcesz wchodzić do środka - zaproponowała.

Młodzieniec skrzywił się z niezadowoleniem.

- Nie chcą, żeby te psy wchodziły do baru - wyjaśnił. - Nadziane chłopaki - dodał z pogardą. - Mają rowery górskie za tysiąc funtów i pchają je na te wzgórza. Pchają je przed sobą!

W rzeczywistości w barze było pełno byłych pośredników handlu nieruchomościami oraz ich żon, którzy ignorowali kwaśną woń dywanów, pijąc dzin z tonikiem tak szybko, jak tylko mogli - pomarszczeni mężczyźni w obszernych marynarkach zarzuconych na ramiona pochylające się pod dziwnymi, niezależnymi od siebie kątami; oraz kobiety z nienaturalnym entuzjazmem w oczach, o policzkach czerwonej barwy, jaką niekiedy widuje się u bażantów, i włosach usztywnionych chemicznie na odległość nanometra od granicy ich wytrzymałości, gotowych w każdej chwili się złamać. Anna postawiła chłopakowi pintę piwa „Harveys Mild”, a dla siebie kupiła karton szprycera. Przyszło jej też do głowy, że ucieszyłby się z paczki sera i czipsów z cebulą. Sprawiała jej radość myśl, że będzie mogła znowu z nim porozmawiać. Może pozwoli jej pogłaskać psy? Gdy jednak wyszła z baru z zakupami w rękach, oddalał się już przez parking ze spuszczoną głową, pochylonymi nerwowo barkami i rękami w kieszeniach. Długi spokojny krok sugerował, że dwie połowy jego ciała nie mają ze sobą nic wspólnego. Psy szły u jego boków, tak blisko, że niemal dotykały głowami jego kolan. Ich sztywne nogi sprawiały wrażenie łamliwych. Odwrócił się i pomachał ręką do Anny.

- Twoje piwo! - zawołała za nim.

Pomachał do niej raz jeszcze i oddalił się w stronę Wyndlesham.

Anna zjadła ser i chrupki, gapiąc się na wzgórza. Wypiła szprycer, a potem piwo. Nie śpieszyło jej się. Przedstawiony na szyldzie herb de Spencerów, na cześć którego nazwano pub, każdemu miał do zaoferowania coś miłego - krzyże, słupy, szewrony - przedstawione w

witrażowych kolorach, intensywnych jak w katedrze. Niektóre z tych barw były dziwnie nowoczesne, przenikliwe, elektrycznie niebieskie.

\*\*\*

Przez całe popołudnie swobodny krok chłopaka prowadził go szlakami i ścieżkami do konnej jazdy otaczającymi Wyndlesham. Plamy lasu dzieliło tylko pięćdziesiąt metrów od ogrodów na tyłach domów.

Wyschnięte koleiny pośród odrostów przybrały kolor słomy. Rozświetlone blaskiem słońca, zakurzone pola, na których gruba na trzy centymetry gleba wysychała już w kwietniu, ustąpiły miejsca hektarom nagiej kredy, a potem szerokiej trawiastej pochyłości, opadającej stromo między bukami. Unoszące się na powietrznych prądach myszołowy i tymczasowy ołtarz z betonowych płyt pod wysokim staromodnym jednołukowym mostem kolejowym w Brownlow. Nigdy nie opuszczał małego obszaru o powierzchni sześciu, góra ośmiu kilometrów kwadratowych. Czekał, aż się ściemni, by zejść na nisko położone pola między Wyndlesham a Winsthrow, spuścić psy i pozwolić im biegać w blasku latarki. Były odrobinę za ciężkie, jego psy, ale wytrzymają całonocne polowanie. Uwielbiał patrzeć, jak pędzą ścieżką ze światła. Cieszył się, gdy upolowały królika, ale najbardziej lubił zające.

- Zając zmusza je do wysiłku, te psy - powtarzał sobie. - Muszą się wybiegać.

To był wspaniały widok. Wystarczała minuta albo dwie, żeby było po wszystkim. Czasami ekscytował się tak bardzo, że widział wszystko w zwolnionym tempie, jakby zając i psy płynęły w mrocznym powietrzu, niesione ekstazą. Jego serce wybiegło daleko ku nim! Czuł jego uderzenia, poruszające całym ciałem. Potrafił odtworzyć w pamięci pościgi za każdym zającem, którego złapały, jakby miał je nagrane w głowie.

- To wspaniały widok - mówił, gdy ludzie go o to pytali. Nie wiedział od czego zacząć z nimi rozmowę. Przyjeżdżali tu co weekend ze swymi rowerami górskimi.

Ci z pól nie zjawili się dzisiaj, więc ruszył na polowanie sam. Już na początku psy wytropiły szarego zająca. Jego sierść miała w blasku latarki barwę popiołu. Chłopak nigdy jeszcze nie widział czegoś takiego. Zając nigdzie się nie śpieszył, jakby czekał, aż przyciągnie jego uwagę. Wreszcie psy zerwały się do biegu. Wszystko odbyło się tak szybko, że nie mógł nadażyć ze światłem latarki.

- Nigdy nie widziałem czegoś takiego - powiedział.

Po drodze po domu psy zachowywały się dziwnie spokojnie. Nie były pewne, co właściwie złapały. Zając okazał się raczej niebieski niż szary. Choć nie było w nim życia, na ciele nie zostały żadne ślady. Gdy chłopak odbierał go psom, odnosił wrażenie, że oczy zwierzęcia wpatrują się w niego.

- Ruszaj się - powiedział do suki, próbując dodać jej otuchy. - No, biegaj. Trzymała się jednak tak blisko, że czuł, jak jej głowa dotyka jego nogi. W chatce, w której mieszkał z psami - daleko za wioską Ampney - było zimno. Gdy wszedł do środka, przez chwilę wydawało mu się, że widzi na wszystkim warstwę szarej pleśni. Później w nocy obudził się ze snu o kobiecie, z którą rozmawiał po południu. Nie przypominał sobie, kim właściwie była, a teraz pochylała się nad nim w łóżku, naga, i szeptała jakieś słowa, których nie mógł zrozumieć. Jej siwe włosy opadały luźno, cycki miała chude i białe, a oczy niebieskie jak jego pies. Nie podobało mu się to, w jaki sposób próbowała przyciągnąć jego uwagę. Dlatego się obudził. Stał mu, twardy jak drewno, i nie chciał opaść. Chłopak pragnął kogoś przerznąć. Kogokolwiek.

- Mógłbym przerznąć wszystko - powiedział.

Na polach zbierały się już widmowe kosmyki mgły. Sięgał wzrokiem aż do stodoły Arborów w Winsthrow. Mgła podchodziła aż do jej drzwi. Jeszcze dalej zauważył coś, co wyglądało jak pożar jakiegoś wysokiego budynku, ale okazało się, że to było tylko coś w kąciaku jego oka. Kiedy odwrócił głowę, ogień zniknął.

- Chciała się dowiedzieć o was wszystkiego - drażnił się z psami.

Przysunęły się do niego i przez cały dzień wszędzie za nim łączyły, ciche i niezaradne.

- Ruszcie się wreszcie - mówił im. - Ruszcie się wreszcie oba.

\*\*\*

Tymczasem Anna Waterman spędziła resztę popołudnia w „de Spencer Arms” i wróciła do domu dopiero około piątej. Do szóstej zdążyła już dwukrotnie zadzwonić do Marnie, nagrywając na automatyczną sekretarkę chaotyczne wiadomości.

- Przykro mi, kochanie - zaczęła, ale nie przychodziło jej do głowy nic więcej. W pewnym sensie nie tyle było jej przykro, ile uległa panice. - No cóż, tak czy inaczej, zadzwoń do mnie.

Biedna Marnie! Potem Anna obeszła mieszkanie z odkurzaczem i otworzyła okna, by pozbyć się zapachu farby. Po pewnym czasie kot James zaczął łązić w obie strony po oparciu sofy, ocierając się głową o jej twarz, gdy siedziała przed telewizorem.

- James, jesteś uciążliwy - oznajmiła mu, skubiąc bez zainteresowania tuńczyka z pieczonymi ziemniakami.

Kot odpowiedział jej zgrzytliwym zdyszonym dźwiękiem. Anna położyła się wcześniej i doświadczyła niespokojnych snów, w których jej nowa łazienka została przeniesiona do budynku dworcowego na stacji Waterloo, gdzie późnopołudniowi pasażerowie zbiegali się ją oglądać jak tłum idący na mecz. Łazienkę wypełniła woda, w jej lazurowych głębiach

plywały prawdziwe ryby. Anna obudziła się w środku nocy, zaplątana w mokrą od potu koszulę nocną. Była przekonana, że dziwne światło i ciepło, a także pojawiająca się i znikająca czerwień chromowa oraz żółć słonecznikowa za jej oknem zgasły w chwili, gdy otworzyła oczy. Czując się tak, jakby ktoś się na nią gapił, zwlokła się z łóżka, podszła do tylnych drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Jedynie trawa i kwietniki, zawieszane w chłodnym mlecznym mroku późnego lata: ale w oddali, gdzieś po drugiej stronie rzeki, słyszała przeciągłe ujadanie psów. Chłodne powietrze muskało jej kostki. Wszystko było całkowicie nieruchome. Siedzący na trawie James wyglądał jak ilustracja. Odwrócił głowę i spojrzał na kobietę, a gdy wyszła na dwór, przeciągnął się i poszedł sobie. Ujadanie psów stało się wyraźniejsze. Melodyjny, lecz niewytłumaczalny dźwięk, pozbawiony związku ze wszystkim, co mogłoby się wydarzyć zwyczajnej nocy, odległy, a zarazem bardzo bliski. Nie dobiegał z drugiego brzegu rzeki, lecz z altany w ogrodzie Anny.

Budynek pierwotnie pomalowano na kolor zwany przez Tima Watermana serbską żółcią, ale z biegiem lat farba wyblakła do bledziutkiego cytrynowego odcienia, ledwie widocznego wśród włókien drewna. Altana miała splukany szary kolor jak domek na plaży. U jej podstawy znowu rozkwitły egzotyczne kwiaty - ogromne, przypominające naparstnicę dzwony o barwie półprzezroczystego, pastelowego różu albo brązu. Wokół nich krążyły setki białawych ciem.

- Jakie to piękne! - pomyślała Anna, choć ujadanie psów było już bliskie i głośnie.

Zawieszona między zachwytem a lękiem, podszła do altany i pociągnęła za klamkę. Drzwi z początku się zacięły, ale po chwili ustąpiły. Miała jeszcze czas, by ujrzeć halucynacyjną wizję bezkresnego falistego krajobrazu porośniętego wysoką trawą i oświetlonego na sposób przywodzący na myśl okładkę powieści science fiction, a także usłyszeć głos mówiący: „Odejdź stąd. Odejdź stąd, Anno!”. Potem opadły ją psy. Trudno je było policzyć. Tłoczyły się wokół niej, kłapiąc zębami, odsłaniały białe kły i wywalały języki. Ich długie, gorące, muskularne ciała pokrywały płowe albo fioletowe cętki. Trudno było dostrzec, co to za psy. Nim zdążyła się zorientować, ich ciężar i silny zapach pozbawiły ją równowagi. Zatoczyła się do tyłu, oddalając się od drzwi, a potem padła na plecy pośród ciemności. Śmiała się i dyszała, gdy ją lizaly.

- Nie! - wołała ze śmiechem. - Nie, zaczekajcie!

Było już za późno. Podciągnęły jej koszulę do talii.



## STREFY ENANTIODROMICZNE

Halo jest bogate w duchy takiego czy innego typu. Zajmują one wiele różnych rodzajów przestrzeni.

Dwa z nich odbyły krótkie spotkanie w głównej ładowni *Nova Swing*. Pierwsze zjawilo się jestestwo znane jako MP Renoko. Mimo że Renoko obecnie kierował swoimi poczynaniami za pomocą nadświatelnego przekazu z bankomatu w restauracji Faint Dime na południowej półkuli Nowego Wenusportu, nadal uważał się za człowieka i w chwili, gdy przeszedł przez ścianę ładowni, z pewnością przypominał - łącznie z takimi szczegółami jak biały zarost, krótki brudny płaszcz przeciwdeszczowy i gołe kostki - to samo indywiduum, które zleciło zadanie Grubemu Antoine'owi, obraziło zmysł biznesowy Irene i z pasją spierało się z Ruby Dip o naturę kiczu.

Na samym początku Renoko sprawdził trupie klatki, które przywitały go z czymś w rodzaju zgodnej płochliwości. Pogłaskał je jak rasowe psy, którymi w pewnym sensie były, cały czas pogwizdując niemelodyjnie w typowy dla cyrkowców sposób. Od czasu do czasu kiwał głową na znak aprobaty.

- Widzę, że wróciłeś do starych sztuczek! - powiedział ze śmiechem do najmniejszego z pojemników. Potem rozpostarł ramiona, jakby mógł objąć wszystkie trzy jednocześnie. - Tak się cieszę, że znowu widzę was razem!

Kręcił się po ładowni, używając oddechu i rękawa płaszcza, by tu wytrzeć bulaj, a ówdzie jakiś mosiężny element. Po chwili jednak usiadł nagle w kącie ładowni. Zarówno jego twarz, jak i mowa ciała utraciły wszelki wyraz. Sprawiał wrażenie gotowego czekać. Trupie klatki się uspokoiły. Trudno byłoby odtworzyć stan jego świadomości podczas tego okresu. Identyfikował się jako człowiek, ale nie można go było za niego uważać. Oparty na kilku liniijkach kodu, które ostatnio posiadały niezależną świadomość w dniach chwały cyrku Sandry Shen, był obecnie emergentną właściwością w pełnym sensie tego słowa: nie pojedynczym bankomatem ani nawet nie restauracją, lecz funkcjonującą w całym Halo siecią Faint Dime (która sama w sobie była częścią FUGA-Orthogen), w tym również jego oprogramowaniem księgowym i kierującym sprzedażą hurtową, jego wydziałami transportu i

konstrukcji, jego zasobami ludzkimi, a zwłaszcza codziennymi dawkami napływających do niego wirusów. Postępy zarażenia zmodyfikowanym herpeswirusem personelu danej restauracji wpływały na generację, podtrzymywanie i ekspresję MP Renoko w równym stopniu, jak postępy w wysyłaniu zamówień na keczup albo decyzja o budowie nowego lokalu. Owe wydarzenia najróżniejszych rodzajów implikowały go, składały się na niego, tworzyły go. W pewnym sensie był jedynie listą instrukcji pozostawioną przez madame Shen, gdy opuszczała cyrk. Nie można jednak funkcjonować przez pięćdziesiąt lat, nie zdobywając przy tym swego rodzaju tożsamości. Renoko czasami wierzył, że to swoista gwarancja, choć nie był pewien, co mu ona gwarantuje.

Po być może godzinie, w przeciwnym kącie ładowni coś zaczęło się dziać. Tuż nad podłogą pojawiło się kilka bladezielonych drobin światła, które jednak zaraz zniknęły. Po chwili wróciły i zaczęły zbliżać się leniwie do siebie, krążąc razem jak muchy w upalne popołudnie. Oddalały się od siebie, a potem znowu zbliżały, aż wreszcie po kilku minutach połączyły się w prostą, lecz rozpoznawalną sylwetkę. Postać, o wielkości nieco przewyższającej naturalną, wisiała w powietrzu, jej barki znajdowały się niespełna dwa metry nad płytami pokładu. Przypominała kompromis między człowiekiem, kilkoma płatkami mięsa i zwęglonym płaszczem. Miała ręce, ale nie nogi.

- Hej - odezwała się cicho.

Trupie klatki obudziły się, usłyszawszy jej głos. Zaczęły się trącać nawzajem, a na ich bokach rozblęły niespokojnym blaskiem LEDy wszelkich możliwych kolorów. Renoko oczarował ich obce serca, ale nowy przybysz naładował je dziwną, niecierpliwą, nerwową energią. Ładownię wypełniła mieszanina elektromagnetycznych stylów i motywów tak niejednorodna, że MP Renoko zjeżyły się włosy. Poruszył się i usiadł. Umysł powrócił z odległych stron, w których przebywał. Na jego twarzy pojawił się zamyślony uśmiech. Przez chwilę niemal przypominał człowieka.

- Hej - odezwał się. - Kopę lat.

- Pamiętam cię, stary. Okropnie wyglądasz.

- Obaj wyglądamy okropnie - odparł MP Renoko - ale ty wyglądasz na trupa.

- A poza tym, jak leci? - odparł ze śmiechem przybysz.

Renoko zatoczył ręką krąg, wskazując na wnętrze ładowni.

- Nie najgorzej. Jak widzisz, trochę nie nadażamy z harmonogramem.

- No wiesz, właściwie to nie mamy harmonogramu.

Renoko usiadł wygodniej w swym kącie.

- Ale wolałbym już mieć to z głowy - stwierdził. - Ostatnio czuję się trochę zmęczony.

- Pięćdziesiąt lat to sporo czasu, stary.
- Można by tak powiedzieć. Nie mogę się doczekać wakacji.
- Na chwilę od tego odskoczyć - zgodził się przybysz. - Zapaść w dane.

Podczas rozmowy pracował nad otworzeniem panelu w kadłubie jednej z trupich klatek. Pochylił się teraz nad nią i wsadził głowę z ramionami do środka. Łokcie nadal były widoczne. Pracował nad odsłoniętym silnikiem. Zmarszczki efektów pola przebiegły przez ładownię jak luminescencja po falach przyboju. Zarysy wszystkich trzech trupich klatek zamazały się, powietrze wypełniła mgła fizyki. Gdy wymieniały dane, było słycać rozmaite muzyczne dźwięki. MP Renoko postrzegał obce stany materii przesuwające się po ścianach jako symbole, halucynatoryczne światła, obrazy z własnej przeszłości. Znaczna część tego, co się działo, sprawiała, że czuł się jeszcze bardziej zmęczony niż zwykle. Pomasował lewą dłoń prawą, a potem wstał powoli. Nagle przypomniał sobie cyrk o świcie, w jakimś porcie kosmicznym na zapomnianej planecie. Każdy poranek był inny, każdy poranek był taki sam. Ostre światło padające na beton, powietrze przesycone solą i wonią smażeniny. Małeńka kobieta wyglądająca jak Chinka, o wysoko upiętych rudych włosach, odziana w obcisły szmaragdowy cheongsam, kołysała się jak miraż, przesłonięty rozedrganym powietrzem między budkami cyrku. Przyciągała wszystkie spojrzenia, ludzi i obcych.

- Czy kod może lubić seks? - pytały zawsze media. MP Renoko przypominał sobie coś mniej łatwego do opisania.

- Widujesz ją czasem? - zapytał cicho, jak duch ducha.

Przybysz chrząknął, zaskoczony, i pokręcił głową. Ten prosty ruch przeniósł się na zwisające luźno pasy ciała składające się na jego dolną połowę, aż zakręciły się niczym spódnica.

- Nikt się z nią nie widuje, stary. Ona ma za dużo roboty. Pracuje dla innych.
- Tak tylko pytałem.
- Wszyscy mamy teraz dużo roboty.

Wkrótce potem opuścił ładownię.

- Wrócę po ciebie, Jack - zapowiedział. Najwyraźniej wydało mu się to zabawne.

MP Renoko, który nigdy nie miał na imię Jack ani nawet nic w tym rodzaju, roześmiał się z poczucia obowiązku. Zaczekał, aż trupie klatki się uspokoją, a potem również się oddalił, tą samą drogą, którą tu przybył. Nieświadoma tych wydarzeń - pomijając tylko zlokalizowane skupisko awarii urządzeń nadzoru wewnętrznego - załoga *Nova Swing* spała, jadła, rżnęła się i podziwiała przez bulaje cuda kosmosu, zbliżając się do następnego miejsca przeznaczenia: gwiazdy typu widmowego G, znanej nawigacyjnej matematyce jako

jedenastowymiarowy węzeł współrzędnych, natomiast pokoleniom tych, którzy żyli i umarli w jej blasku, jako Scinde Dawk. W tym czasie wszyscy już byli wszystkim poirytowani: Liv i Antoyne kłócili się o to, kto powinien posprzątać bałagan w kabinie pilota; znudzona Irene z nieobecny wyrazem niebieskich oczu projektowała dla siebie stroje w coraz to radykalniejszych odcieniach różu. Ku konsternacji operatorów-cieni nosiła je tylko po piętnaście minut, po czym wybuchała niewytłumaczalnym płaczem i zaczynała ciskać nowymi ubiorami. Po czterdziestu ośmiu godzinach wszyscy troje znaleźli się na orbicie parkingowej wokół jedynej nadającej się do zamieszkania planety układu Scinde Dawk. Kunene zawsze zwracała się ku słońcu tą samą stroną i musieli odnaleźć położone w strefie zmierzchu porzucone miasto przemysłowe - jak określiła to Irene „jakaś dziurę zwaną Mambo Rey”. Liv Hula włączyła silniki hamujące, przeszła przez trzy pobieżne cykle hamowania aerodynamicznego, by zaoszczędzić paliwo, a potem posadziła ich na zwyczajowym ogonie z zielonego płomienia. W tej samej chwili instrumenty statku wykryły jakąś aktywność wokół portu raketowego Mambo Rey.

- Gruby Antoyne - odezwała się Hula. - Coś tam się dzieje.

Antoyne zainteresował się, dlaczego mu o tym mówi.

- Nie strój fochów! Nie strój fochów, Antoyne! Kurwa, ja tu muszę pracować! Moje miejsce pracy nie powinno śmierdzieć czyimiś rzygowinami!

Antoyne wyraził opinię, że nic nie mogłoby śmierdzieć gorzej niż koc, który tu trzymała.

- Pierdol się, Gruby Antoyne.

- Prawda często boli.

- Antoyne, czasami jest z ciebie równie wielka pizda, jak z Toniego Reno.

Z kabin dla załogi dobiegł ironiczny śmiech.

- Nikt nie jest taką pizdą jak Toni Reno - stwierdziła Irene.

- Wszyscy czujemy prawdę zawartą w tych słowach - przyznała Liv Hula. - Tak więc, Antoyne - dodała najbardziej pojednawczym tonem, na jaki mogła się zdobyć - pomóż mi. Nie mam pojęcia, co właściwie widzę.

Antoyne również nie wiedział. Między niskimi wzgórzami otaczającymi port unosił się koguci ogon ze wzbitego w górę pyłu. Na jego początku można było zauważyć gorejącą drobinę energii. Systemy *Nova Swing* wykrywały krótkozasięgowe sygnały radiowe, średniozasięgowe transmisje nadświetlne oraz jakąś postać impulsów radaru. Niczego jednak nie można było zrozumieć. Kurs punktu również był pozbawiony logiki. Obiekt przywodził na myśl iskrę biegnącą wzdłuż niestarannie ułożonego lontu albo jakąś przewidywaną przez

dziwaczną naukę splątaną cząstkę kreślącą pętle przez niewidoczne pola. Oddaliwszy się na jakieś pięćdziesiąt kilometrów, zniknął nagle nad pustkowiami. Pył opadał powoli na ziemię. Antoyne wielokrotnie odtwarzał nagranie, ale nadal nie pojmował, co właściwie się stało. Obiekt był za mały na pojazd i za szybki na człowieka.

- Nie rozumiem tego - wyznał wreszcie.

Byli już wtedy na ziemi. Irene odwiedziła pięćdziesiąt planet, nim ukończyła czternaście lat, i wiedziała, jak wygląda dziura. Mambo Rey było miejscem, którego nikt nie chciał odwiedzać, chyba że po to, by zrobić sobie w egzotycznym oświetleniu hologram podczas uprawiania seksu na tle rozsypującego się przemysłowego baraku. To był nie tyle świat, ile rekwizyt stylu życia.

- Świetnie się różniśmy, żałuj, że cię tam nie było!

Temperatura trzydzieści pięć stopni, wilgotność zero. Metaliczny smak wypełniający usta: pył metali ziem rzadkich, zaczynający się rozsypywać już w chwili uwolnienia się od starożytnych warstw geologicznych, niesiony wiatrem nad pokrytym betonem lądowiskiem, osadzający się w kątach drewnianych budynków terminalu. Wskutek powolnej erozji otaczające port płaskowyże stopniowo odsłaniały pozostałości wczesnych form życia w tej części Halo - ogromne, nagie, tajemnicze, radioaktywne szczątki przypominające jakieś twory architektury. W innych punktach cechującej się łagodną gradacją strefy zmierzchu Kunene na horyzoncie można było zobaczyć ogromne halucynatoryczne owady kroczące na długich kruchych nogach.

- Jezu - skwitowała Irene - planeta karaluchów. - Pochyliła się nagle. - Hej! Znalazłam kamień w kształcie serca!

Po krótkim sporze z Liv, która twierdziła, że to tylko ząb wyplukany z jakichś pradawnych osadów aluwialnych, podarowała go Grubemu Antoyne'owi i obie kobiety ruszyły na poszukiwanie baru „Snakebite”. Antoyne obserwował je, gdy oddalały się po gorącym betonie. Szły obok siebie, nie przestając się sprzeczać. Blask wiecznego popołudnia nadawał temu obrazowi niemal niemożliwą do zniesienia ostrość. Potem Antoyne wrócił do *Nova Swing*, by przyjrzeć się kamieniowi. Był różowy, półprzezroczysty i pełen maleńkich pęcherzyków zawieszonych w sieci zamglonych płaszczyzn złamania. To nie był ząb. Antoyne potarł go kciukiem, a potem połączył się z MP Renoko.

- Jesteś tu - oznajmił.

- Halo! - odpowiedział mu jakiś głos. - Halo!

Odbiór był kiepski. Jeśli to rzeczywiście był Renoko, wyglądało na to, że już rozmawia z kimś innym.

- Jesteś tam? - zapytał Antoyne.

- Halo! Przez chwilę myślałem, że zniknąłeś!

- Czy to Renoko?

- Kto mówi? To ty, Antoyne?

- Możemy dostarczyć ten twój towar. - W tym momencie odniósł wrażenie, że uwaga rozmówcy nagle przesunęła się gdzie indziej. - Halo?

- Znajdziesz nas w starym biurze rzeczy zagubionych. - Jesteś tu?

- No cóż - odparł Renoko. - Zależy co masz na myśli. Czy będę ci tam potrzebny?

- Jesteśmy na Mambo Rey - mówił Antoyne. - Gdzie ty jesteś?

- Antoyne? - przerwał mu Renoko. - Odbiór jest bardzo kiepski, Antoyne. Halo?

Kolejna przerwa.

- Znajdź biuro rzeczy zagubionych - polecił. - Ktoś się tobą zajmie.

- Jestem tutaj - powtórzył Antoyne. - Gdzie ty jesteś?

- PERDIDOS Y ACHADOS! - krzyknął Renoko.

Nastąpiły wskazówki dotyczące kierunku, po czym połączenie się zerwało. Antoyne rozejrzał się po sterowni, z jej znajomymi zapachami wymiotów, smażonych potraw oraz pól elektrycznych. Zastanawiał się, co miał na myśli Renoko, mówiąc, że jest „tutaj”. Zerwał się nagle i przeszukał cały statek od góry do dołu. Minęła godzina, nim sprawdził wszystkie zejściówki. Chwilami uznawał, że musi wrócić i zajrzeć również do przewodów wentylacyjnych. Dopiero gdy się upewnił, że *Nova Swing* jest pusta, uznał, że może bezpiecznie opuścić statek.

Głęboko na terenie zajmującej ponad trzy hektary Strefy Postindustrialnej Mambo Rey, w dziwnie podobnym kompleksie budynków, odnalazł biuro rzeczy zagubionych. Drzwi pozostawiono otwarte. Od tygodni nie było tu nikogo. Kurz pokrywał podłogę i zbierał się cienką warstwą w fałdach oraz rysach pożółkłych listów przewozowych przypiętych do ścian.

- Halo! - zawołał Antoyne.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, usiadł na krześle i zaczął czekać. Przeczytał część listu przewozowego. „Ambo Danse VI, depozyt ubezpieczony, dokumenty do wglądu”. Ktoś na tym napisał: „Fedy chce wiedzieć, gdzie to jest!”. Na ladzie leżało chyba z tysiąc rozsypanych kości do gry. Niektóre z nich coś rozświetlało lekko od środka, kiedy przesuwał nad nimi dłoń. Antoyne siedział, obracając w palcach kamień w kształcie serca, i słuchał wiatru, który łomotał drzwiami, jakby coś zgubił. Sam fakt obecności tutaj wypełniał go niepokojem. Znalazł drugą izbę: nic. Wysunął głowę na zewnątrz przez drzwi na zapleczu, trzymające się

tylko na górnym zawiasie, i rozejrzał w obie strony. Nic.

Spróbował się połączyć z Renoko.

- Hej! - powiedział, ale usłyszał wyłącznie dźwięk przypominający bardzo odległy śpiew kanarków.

- Renoko?

W połowie popołudnia dał za wygraną i wyszedł w aleje między budynkami. Wszystko jakby wisiało w powietrzu w przedwieczornym świetle, nieruchome i usmażone. Nawet sam Antoyne poruszał się z niechęcią. Strefa Postindustrialna Mambo Rey odarła go z pretensji, zamieniła we wcześniejszą wersję samego siebie. To była historia jego życia. Wszystkie budynki były zaniedbane, a niektóre w dodatku dziwnie uszkodzone. Rozszczepione drewno, zdeformowana aluminiowa oblicówka. Popękane azbestowe panele stukwały na wietrze. W każdym przypadku wyglądało to tak, jakby coś wtargnęło do budynku w jednej alei i wyłoniło się z niego w następnej. Antoyne czuł zapach połamanego drewna, Wędrował bez celu, aż wreszcie znalazł się na skraju strefy. Po drugiej stronie pasa porośniętego chwastami betonu znajdowały się szkielety baraków oraz rdzewiejące kosze samowyladowcze opuszczonego zakładu oczyszczania rudy lantanowców, ciągnącego się między pustymi salinami oraz złomowiskami wypełnionymi ilem tak bardzo, że pradawne statki wyglądały, jakby sterczały pod różnymi kątami z mlecznoszarego morza. Światło było pokrywającą wszystko żywicą.

Antoyne wlaź z wysiłkiem na jedną zakurzoną pochylnię i zszedł z następnej. Wyciągał szyję, spoglądając na ogołocony kadłub statku pasażerskiego linii „Creda” wychylający się z okna na drugim piętrze fabryki. Szukał miejsca, gdzie mógłby się wysrać. Niektórzy już we wczesnym okresie życia szli do krawca po modyfikacje, dzięki którym nie musieliby tego robić, ale Antoyne do nich nie należał. Dla niego sranie było sranieniem. Zawsze powtarzał, że lubi tę czynność, aczkolwiek, spoglądając na jej rezultat, czasami zadawał sobie pytanie, co właściwie dzieje się wewnątrz jego ciała. Przykucnął między jakimiś porzuconymi maszynami i stękał przez parę minut, aż wreszcie uświadomił sobie, że coś jest tu razem z nim. Było bardzo blisko. Być może nawet klęczało przed nim, niemalże ocierając się o jego bark. Czymkolwiek mogło być, cuchnęło gorzej niż produkt kiszek Antoyne’a. Bawił je jego widok. Porażony biernym przerażeniem mężczyzna odwrócił wzrok od miejsca, gdzie jego zdaniem mogło być, dopóki nie odeszło. Wciągnął portki i zapiął pas, a potem poszedł do kąta, by się wyrzygać. Następnie opuścił fabrykę i spojrzął na morze pyłu. Na horyzoncie unosiły się rozpadające się płaskowyzę barwy gołębih skrzydeł. Seks, pomyślał. Śmierdziało seksem. W pyłe nie zostały żadne ślady poza jego własnymi. Nic nie zauważył ani nie

usłyszał. Wracając na statek przez Strefę Postindustrialną Mambo Rey, spostrzegł obiekt, który mieli zabrać. Wisiał nieruchomo w powietrzu nad odległym skrzyżowaniem ulic. Miał kolor kości, biel z domieszką żółci. Bliższe oględziny wykazały, że ma trzy i pół metra długości, na dwóch trzecich tego odcinka naznaczyło go podłużne żebrowanie, a po jednej stronie zwięża się do tępego zakończenia. Wyglądał, jakby był zrobiony z porcelany, pokrywała go brązowa krakelura cienkich niczym włos nitek, jak stary pisuar. Był bardzo ciepły w dotyku, jak coś, co zostawiono na popołudniowym słońcu. Antoyne pchał przed sobą przedmiot po alejach, szukając lądowiska. Praca nie była trudna, lecz nie była też łatwa. Wkrótce spotkał Liv Hulę. Stała pośrodku ulicy, gapiąc się na trupa wiszącego w powietrzu nieco ponad metr nad jej głową.

- I co o tym myślisz? - zapytała, gdy Gruby Antoyne podszedł bliżej.

Antoyne przestał pchać trupią klatkę i otarł czoło grzbietem dłoni.

- Nigdy nie widziałem czegoś takiego - przyznał.

- Trupy się widuje, ale one nie latają - zgodziła się Liv Hula.

To były zwłoki starego, elegancko ubranego mężczyzny - w luźną koszulę wyłożoną na brązowe plisowane pumpy do kolan, białą czapkę golfową i jasnobrązowe mokasyny. Nie miał skarpetek. Na jego twarzy widniał słaby uśmiezek, jakby mężczyzna chciał powiedzieć: „Śmierć znaczy dla mnie mniej niż wam się zdaje”. Pływał w powietrzu, jak instruktor jakiejś nowej medytacyjnej dyscypliny, powoli kreśląc symbol pełnego gracji motyla. Dwie albo trzy kości do gry okręwały powoli jego głowę po luźnych orbitach. Wyświetlona reklama jednego z sekskurortów położonych dalej w głąb strefy zmierzchu próbowała wciągnąć go w rozmowę na temat fotografii. Wzdłuż ulicy przebiegały gorące podmuchy dmącego w obie strony wiatru. Poza tym panowała absolutna cisza.

- Przepraszam, że porzygałem się na twojej leżance - odezwał się Antoyne i wręczył Liv kamień w kształcie serca, który dostał od Irene.

Przyjęła go roztargnionym gestem, nie odrywając spojrzenia od trupa.

- Pomóc ci z tym cholerstwem? - zapytała.

Podeszli razem do zaokrąglonego końca trupiej klatki i zaczęli pchać. We dwoje było to znacznie łatwiejsze. W połowie drogi przez lądowisko Liv oddała mu kamyk.

- To się nie uda, Antoyne - oznajmiła, spoglądając nań bardzo bezpośrednio.



## PRZYPADKOWE AKTY ODGÓRNEJ PRZYCZYNOWOŚCI

Saudade: jesień, o ile można to było określić. A przynajmniej deszcz.

W Wydziale Przepęstw Strefowych rozmawiano o wojnie. Nastycy - którzy byli sojusznikami przez dzień czy dwa gdzieś w połowie dwudziestego piątego wieku - posiadali teraz nową fizykę oraz hybrydową kosmologię lepsze niż znane innym i wyruszyli ze swych baz w Delta Carinae. Krążyły pogłoski, że EMC zakupiło do swego arsenału najlepszy sprzęt, udoskonalany obecnie na podstawie obcych planów w tajnej bazie naukowej na planetoidzie ukrytej w cieniu samego Traktu. Nikt nie wiedział, co to jest. Nazywano go bronią „polową” albo „nieabelową”. Tymczasem duch Lensa Aschemanna wisiał w kącie na piątym piętrze. Nie żał mi umarłych, pomyślała asystentka, nie, kiedy tak uparcie nie chcą odejść. Dwa piętra niżej powszechnie sądzono, że bez niego byłaby bezradna. Piętro wyżej mówiono, że brak jej osobowości. Co asystentka sądziła o tych opiniach, jeśli w ogóle o nich wiedziała, pozostawało tajemnicą. Wykonywała swe obowiązki. Obserwowała, jak Toni Reno i jego dokerka powoli znikają. Jak ujął to Epstein - ten chudy gliniarz - nie było chwili, w której można było bezpiecznie powiedzieć „już ich nie ma”, ale po dziesięciu dniach pozostały jedynie zarysy. Tymczasem, mimo że asystentka ostrzegła władze portowe w całym Halo, *Nova Swing* zdołała się wymknąć i co dziwne nikt jej od tej pory nie widział. Asystentka była zmuszona do czekania na dalsze wydarzenia w obu tych sprawach i wreszcie przestała się obawiać tajemnicy, jaką był R. I. Gaines, postanowiła więc bliżej się przyjrzeć masakrze w piwnicy. Pracowała w gabinecie, studiując wykonane na miejscu hologramy. Leżące w nieprzystojnych pozach ofiary można było oglądać ze wszystkich możliwych kątów. Zreplikowano nawet ich zapachy. Czterdzieści osiem godzin po ataku, w powietrzu nadal unosił się słaby aerozol chłonki. Wnioski ekipy rzeczoznawców: ktoś ich załatwił. Potem sama przyczynowość wyciekła, tworząc przewidywalne łańcuchy niejasności: każda przyczyna ostateczna okazywała się w innym kontekście przyczyną bezpośrednią, aż wreszcie wszystko odchodziło tanecznym krokiem w metafizykę. Niewątpliwie była to zbrodnia powiązana z Preter Coeur. W pokoju było pełno świadczących o tym wskazówek: znikające

cechy charakterystyczne hormonalnej przekładni, rany identyfikowalne jako zadane biomineralną bronią - samoostrzącymi się polikrystalicznymi mozaikami wywodzącymi się z masy perłowej. Być może objawiały się jako paznokcie? Ponieważ w chwili popełnienia zbrodni nanokamery przestały przekazywać jakiegokolwiek informacje, oczekiwano, że asystentka uda się tam osobiście, choćby po to - jak ujęto to na szóstym piętrze - by zapoznać się z miejscem przestępstwa. Nie zrobiła tego jednak. Pamiętała wydarzenie, do którego doszło na tylnych schodach, i myśl o piwnicy wypełniała ją niepokojem, towarzyszącym jej nawet w tanku w firmie Cedar Mountain na C-Street, gdzie jako Joan, gospodyni domowa z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku, śniła o tym, że niemowlę przeniknęło przez ściany i weszło do jej nowej, jasnej, przestronnej kuchni pomalowanej na jasnożółto. Na początku z farbą zaczęły się dziać dziwne rzeczy. W górnych kątach przybrała matowooliwkową barwę, potem na samych ścianach pojawiły się plamy tegoż koloru, które powiększały się, aż wreszcie pokryły całość. Potem zauważyła, że na półkach starannie przez nią ustawione puszki z anchois i szynką parmeńską ustąpiły miejsca zepsutym kanapkom zawiniętym w papier oraz kawałkom niedojedzonych owoców. Poczula niesmak połączony z lękiem. Jej mąż, Alan, mógł w każdej chwili wrócić i to zobaczyć! W kuchni nie było już jednak drzwi, a jej okno wychodziło na porośnięty zielskiem plac, na którym zawsze padał deszcz. Wilgoć wniknęła w tanie szafki pokryte plastikowym laminatem, na których pojawiły się włókniste pierścieniowate plamy. Joan uniosła wzrok, spoglądając na ścianę, i ujrzała, że na podobieństwo grzyba wyłoniła się z niej pochwa wielkości nieco większej niż naturalna. Jej kolory nie były do końca prawidłowe. Wargi sromowe miały żółtobrązowy odcień i były sztywne, jak w drewnianym modelu. Do pochwy było przytwierdzone ciało, ale wyłoniła się tylko jego niewielka część. Wciąż się wyłaniało, ale bardzo powoli. Joan miała wrażenie, że miną lata, nim w całości przesączy się do kuchni. Choć pochwa niewątpliwie należała do dorosłej kobiety - Joan była taka zawstydzona! - ciało było znacznie młodsze. Nadal zachowało tłusty brzusek i niedorozwiniętą klatkę piersiową niemowlęcia. Pochwa była widoczna w pionowej płaszczyźnie ściany, ale ciało oraz twarz wydawały się skrócone i odchylały się od niej pod nieprawidłowym anatomicznie kątem. We wszystkich punktach ciało łączyło się ze ścianą bez żadnych spoin. Joan widziała tylko mały fragment twarzy, lecz widniał na niej uśmiech.

W sobotę rano zawsze robiła ciastka. Mąż często zastawał ją w kuchni. Nadal miała ręce uwalane po łokcie mąką albo może kręciła „regulatorem” nowego pieca kuchennego firmy Creda. Radio grało lekką muzykę klasyczną. Brał ją w ramiona, pocierał lekko, unosił jej spódnice, a potem spuszczał się bezradnie, nadal próbując wśliznąć się od tyłu w jej czyste

majteczki.

- Och! - mówiła mu Joan. - Kocham te nasze wspólne chwile.

To był ich poranny sobotni rytuał. Za każdym razem udawało mu się ją zaskoczyć. Zawsze była dla niego gotowa, ale z jakiegoś powodu nigdy nie była przygotowana. Dzisiaj jednak zaprzętała jej głowę jedynie myśl, jakie to będzie okropne, kiedy przyjdzie i zobaczy wysuwającą się ze ściany pochwę. Gdy tylko o tym pomyślała, zaraz się zjawił. Po przybyciu Alana ściany powoli odzyskały oryginalny kolor. Trwało to cały ranek, ale wszystko znowu stało się rzeczywiste. Gdy trzymali się za ręce na swój sposób, gapiąc się razem na ściany, Joan i Alan czuli przez tydzień albo dwa, że się zmienili. Znali sekret nieznanego nikomu innemu. Choć był straszliwy, czuli dzięki niemu, że znaleźli drogę do lepszego zrozumienia życia. Joan mówiła obrzydliwe słowa. Alan unosił jej spódnice i rznął ją, aż oboje robili się czerwoni i obolali. Potem się dowiedzieli, że wszyscy ich znajomi również znają sekret. To był żal, którego każdy musiał doświadczyć.

Asystentka zaczęła walić głową o ścianę tanku. Wydała z siebie pełen rozpaczony odgłos. Słyszała się, ale to jej nie powstrzymało. Technicy również ją słyszeli, ale było jeszcze za wcześnie, by unieść pokrywę. Potem zlikwidowała subskrypcję w Cedar Mountain i otrzymała zwrot pieniędzy. Tym razem, nikt nie potrafił wyjaśnić, co poszło źle.

\*\*\*

Panamax IV:

- Nie męczycie cię ten kulturowy hałas? - zapytał Alyssię Fignall R. I. Gaines.

Schowali się przed blaskiem południa w kostnym krużganku, może z półtora kilometra od morza i kilka razy dalej wzdłuż doliny od szczytu wzgórza. Łuki krużganka znajdowały się w cieniu, ale na wyschniętą fontannę pośrodku, na jasne riolitowe kolumny i suchą brązową roślinność między brukowcami padał pełen blask słońca. Kobieta próbowała mu wyjaśnić, jak bogato zdobiony był krużganek w czasach, kiedy farba jeszcze się nie złuszczyła. To podważyło jego wyobrażenie tego miejsca jako nagiego, cichego i niekomunikatywnego: cechującego się niemal geologicznym spokojem.

- Chodzi mi tylko o nagi kamień, odarty ze wszystkiego. - Wzruszył ramionami. - I może jeszcze o wrażenie niekończącego się popołudnia.

Uśmiechnęła się. Dotknęła jego dłoni.

- Jesteś zmęczony, Rig.

- Zostanę jeszcze chwilę - odparł. - Statek zjawi się dopiero po zmierzchu. Możesz mi opowiedzieć o tych swoich ofiarnych maszynach.

- One nie są moje - odparła.

Później, gdy zrobiło się chłodniej i niebo na wschodzie zasnuły chmury, miejscowe dzieci przechodziły przez plac miejski, przebrane za lwy, tygrysy, niedźwiedzie, wróżki ze skrzydłami i mitycznych mieszkańców Starej Ziemi.

- Co to jest? - zapytał.

- Dzieci odgrywają jedną z ludowych opowieści o miejscowej rzece. Pływy docierają w jej górę jeszcze kilka mil poza to miejsce. Po każdym przypiływie na brzegu pozostaje kilka czarnych kawałków drewna. Te fragmenty, nasiąkłe nie tylko wodą, lecz również wiekiem, są darami rzeki dla ładu.

Żadne z dzieci nie miało więcej niż cztery lata, ale nosiły swe różdżki i girlandy z lamety - a także chorągiew z napisem *Los Ninos de Camapasitas* albo coś w tym rodzaju - z godną podziwu powagą. Przyglądali się im przybyli z Halo turyści w pewnym wieku, głównie kobiety ubrane w puchate kombinacje szortów z bluzami, nadające im wygląd małych dzieci.

- Przynoszę ci je - mówi rzeka łądowi. Łąd odmawia, nie musząc odzywać się ani słowem. Rzeka wzrusza ramionami, a potem próbuje znowu. - To skomplikowana opowieść.

- Sporo traci w tłumaczeniu - przyznała Alyssia.

Nadeszła ciemność, delikatna i ciepła. Zjedli kolację w jednej z kawiarni na skraju placu. Powiedziała mu, że jest za chudy. Że powinien zwolnić. Rig, jej zdaniem, zawsze był w drodze między planetami, między wojnami, między skonfliktowanymi formami istnienia: sardoniczne spojrzenie na świat, którego do końca nie rozumiał.

- Ale inni ludzie patrzą na ciebie inaczej - ciągnęła. - Widzimy, jak mocno jesteś zraniony. Widzimy, że twoja osobowość uwięziła cię w EMC, w wizji nieustannej wojny, którą ma zakończyć twój Alef. Zadaj sobie pytanie, dlaczego go tak nazwałeś, Rig. Alef! Naprawdę, zapytaj!

- Inni ludzie? - zapytał, uśmiechając się szeroko.

Opuściła wzrok, spoglądając na talerz.

- Ja - była zmuszona przyznać. - Widzę, że to ci się podoba.

Rig ze swej strony opowiedział o tym, co zwał bezużyteczną tajemniczością wszystkiego. Wyjaśnił, że nie może się nią nasycić. Alyssia jednak nie znosiła podobnych fraz.

- W ostatecznym rozrachunku może to ona nasyci się tobą - stwierdziła.

W tej samej chwili coś weszło z głuchym łoskotem w górne warstwy atmosfery. Bryzgi zjonizowanej plazmy zamigotały pośród chmur niczym wywołane upałem błyskawice. Alyssia Fignall westchnęła. Znała ten statek. Wszyscy go znali. Plac wypełnił ciepły wiatr, a wraz z nim pojawił się K-statek *Uptown Six* z Nowego Wenusportu, zajmujący się szarymi

operacjami dla Eskadry Levy'ego, jednej z najlepszych ekip w EMC. W owym czasie w całym Halo nie było bardziej szarego operatora niż R. I. Gaines. Statek miał zaledwie sześćdziesiąt metrów długości, ale bez ładunku ważył dziesięć tysięcy ton. Jego matowoszary kadłub pokrywało mnóstwo wypukłości silników oraz rur wlotowych. *Uptown Six* pochylił tępo zakończony dziób, jakby zanurzał go w placu. Cuchnący maskującymi pokryciami, niezwykłą fizyką oraz egzotycznie gęstą materią ułożoną w warstwach między trującymi kompozytami kadłuba statek wisiał za drzwiami kawiarni z pochylonym dziobem niby zły sen, pełen inteligencji kapitana, samookaleczającego się trzynastolatka imieniem Carlo, który spędzi resztę życia w wypełnionym płynem tanku gdzieś w pobliżu rufy.

- Przyleciał twój chłopak - stwierdziła Alyssia.

- Zachowuj się grzecznie - odparł i objął ją. - To tylko przejazdka.

- Obiecuj, że niedługo wrócisz, Rig.

Obiecał. Ściskali się przez długą chwilę, a potem Gaines wypuścił ją z objęć. Nim zdążył postawić trzy kroki, stał się częścią ciemności. Statek jakby wessał go do środka, nie otwierając żadnej części kadłuba, choć coś spowodowało, że jego transformacyjna optyka włączyła się na krótką chwilę, przekształcając postrzegany przez Alyssię obraz kadłuba w wizję srebrzystego, lecz kleistego płodu. Przez niektóre jego fragmenty widziała budynki po drugiej stronie placu.

- Będziesz tym zachwycony! - zawołała za nim z goryczą, unosząc głowę, by popatrzeć na błyskawice szalejące między chmurami.

\*\*\*

Po dziesięciu minutach lotu wszyscy byli poobijani.

- Nadchodzi - odezwał się rzeczowym tonem Carlo.

To nie było ostrzeżenie, tylko uprzejmość. Nim wypowiedział ostatnią sylabę, było po wszystkim. Dwa krążowniki średniej wagi, intensywnie blokujące swe emisje, wśliznęły się w dziesięciowymiarowy sześcian jego świadomości o boku długości parseka i wystrzeliły ze wszystkich swych broni, aż po dysruptor substratu znany K-kapitanom jako „łups”. Przekonawszy się, że cel jest nieobecny już od milisekundy albo dłużej, a ślad turbulencji w lokalnej piance kwantowej dawno zniknął, wycofały się pośpiesznie, tylko po to, by natknąć się na czekający na nich *Uptown Six*, którego matematyka analizowała może z miliard możliwości nawigacyjnych na nanosekundę.

- Hej, wy - odezwał się Carlo. - Zdawało się wam, że możecie się ukryć, ale gdziekolwiek uciekniecie, będę tam na was czekał. - Wystrzelił z własnej broni. - Życzę miłego dnia. Chyba toczy my wojnę - dodał, zwracając się do Gainesa.

Nie potrafił powiedzieć z kim, bo zdążył już utracić zainteresowanie. Wyświetlane w starannie uwolnionych z przykrych zapachów, przeznaczonych dla ludzi kabinach *Uptown Six* przekazy z piętnastu różnych planet pokazały szybko następujące po sobie przejawy nowoczesnego konfliktu: demonstracje uliczne, zaburzenia na rynkach finansowych, szeregi najnowocześniejszego sprzętu EMC czające się na parkingowych orbitach wzdłuż całej Plaży. Po godzinie wszystkie strony nadawały już informacje o popełnionych przez przeciwnika zbrodniach wojennych, tak szybko, jak tylko można je było sfabrykować. Zaczęła się szalona psychodrama.

Wszyscy podawali się za prześladowaną mniejszość. Wszyscy zapewniali, że ich pretensje są starsze i ważniejsze od zgłaszanych przez nieprzyjaciela. Budynki o symbolicznym znaczeniu zmieniały się w słupy dymu. Uśpione geny wprowadzone do całej populacji z wyprzedzeniem trzech albo czterech pokoleń uaktywniały się nagle jako epidemie ideologicznych zmian. Wszędzie na Plaży niewinnych dyrektorów naczelnych, opiekunów marek i celebrytów porywali, a następnie wykorzystywali seksualnie prowokatorzy niemający pojęcia, dlaczego nagle zaczęli się zachowywać w tak neliberalny sposób. W południe wyczerpane reklamy szturmowe unosiły się już nad ulicami wszystkich stolic w Halo. Gaines przyglądał się temu z czymś w rodzaju przerażonego zniecierpliwienia. Poza wojną medialną nigdzie nie oddano ani jednego strzału. Tylko tutaj.

- Zostaw ich w spokoju, Carlo - odezwał się po minucie ze zmęczeniem w głosie.

- Hej, ja tego nie zacząłem.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- No dobra, jest za późno, Rig. Przykro mi, że już ich zabiłem. Przykro mi, że zrobiłem to dla twojego bezpieczeństwa, a ty w zamian obciążasz mnie syficznym poczuciem winy. I, nie, wysłuchaj mnie Rig, wysłuchaj mnie... to się zdarzyło dwie i pół minuty temu, tak? Dręczysz się czymś, co się wydarzyło dwie i pół minuty temu? Przykro mi, że ich zabiłem, bo to zapewne byli sympatyczni ludzie, ale, wybacz, oni próbowali nas zabić pierwsi.

*Uptown Six* wszedł w stacjonarny wir w radiacyjnej sygnaturze tria gwiazd neutronowych i - uznawszy, że jest bezpiecznie ukryty na jakieś trzydzieści dwie minuty i czterdzieści osiem sekund - zwiększył podawaną Carlowi dawkę atypowych środków antypsychotycznych, usypiając go jednocześnie na dwadzieścia minut. Zapadła cisza. Gaines wyłączył kanał wiadomości i skupił się na obrazach przekazywanych z głównego projektu. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Otworzył połączenie nadświetlne.

- Kurwa, co tu się dzieje? - zapytał.

\*\*\*

Dla chłopaków z Ziemi przybycie na Plażę radykalnie zmieniało sytuację. Wszystko mogło się teraz wydarzyć. W stertach odpadów pozostawionych przez obcych czekały nowe wszechświaty, zwinięte niczym maleńkie wymiary wewnątrz każdej porzuconej technologii. Inżynieria wsteczna stała się chlebem powszednim. Każdy mógł znaleźć coś potencjalnie użytecznego, od eksperymentalnego nadprzewodnika wielkości planety aż po detektor fal grawitacyjnych zmontowany z całego układu planetarnego. Cokolwiek byś znalazł, zawsze można było odkryć coś większego. A na drugim końcu skali: syntetyczne wirusy, nowe białka, nanoprodukty wszelkich rozmiarów, aż po stabilne, bogate w neutrony izotopy o niesferycznych jądrach. Dziesięć procent tego wszystkiego nadal funkcjonowało. W dziesięciu procentach tych przypadków można było snuć szalone przypuszczenia, co to właściwie są za funkcje. Skąd to wszystko się wzięło? Cały ten wysiłek sugerował trwającą pięć milionów lat epidemię lęku wywołaną przez zagadkę, jaką był Trakt. Każdą formę inteligentnego życia, która tu przybyła, już po pierwszym spojrzeniu ogarniało zwątpienie. Chłopaków z Ziemi nic to nie obchodziło, nie z początku: dla nich Plaża była interregnum, chwilą odpoczynku od zdrowego rozsądku, radosnym celebrowaniem bardzo wielkiego i bardzo małego, bardzo starego i bardzo nowego, ogromnej, nadzwyczajnej, panoramicznej chwili, w której mieli szczęście żyć; chwili, w której wszystko, co wydarzyło się dotąd, spotykało się z tym, co wydarzy się w przyszłości, i w jakiś sposób tworzyło melanż. To był punkt, w którym znane spotykało się z niepoznawalnym, zwierciadło pragnień.

Krótko mówiąc, była to szansa, by trochę zarobić.

Rok 2410: dwaj entradiści z Motelu Splendido natrafili przypadkiem na obcy instrument badawczy wielkości brązowego karła, posuwający się chwiejnie niczym brudny balon wzdłuż jakiejś grawitacyjnej niestabilności na gorącej krawędzi Traktu. Nazywali się Galt i Cole. Przelecieli raz obok instrumentu, przyjrzeni się wszystkiemu i doszli do wniosku, że to się da zrobić. Dwa dni później ich wyprawie położył kres wir Kelvina-Helmholtza położony nieco głębiej. Cole, któremu alarmy uniemożliwiły myślenie, zginął razem ze statkiem. Galt, chwilowo odarty z ambicji przez chmurę gazu o temperaturze jedenastu milionów kelwinów, widoczną jedynie w skrajnym ultrafiolecie, zdołał wrócić do instrumentu badawczego w szalupie ratunkowej. Po pięciu latach jego nadświatlny sygnał przyciągnął uwagę dalekozasięgowego frachtowca firmy Macon 25, transportującego na Beta Hydrae dziesięć tysięcy ton pograżonych w katatonii Nowych Ludzi, ułożonych w ładowniach jak worki z organami do przeszczepów, którymi de facto byli. Do tego czasu Galt zamienił się już w osobliwym świetle w wapń. Kilka strzępów tkaniny i wygładzona czaszka. Kto wiedział,

gdzie mógł się podziąć jego partner? Galt pozostawił autobiografię, czy może ostatnie słowa, a może tylko nazwę, jaką postanowili nadać tej nieruchomości, wydrapaną na kamieniu - PEARLANT. Dwaj entradiści umarli na progu fortuny, jak wszyscy nieudacznicy, ale nazwa się przyjęła. Pod pełną dziobów i zadrapań powierzchnią, pokrytą pyłem zbierającym się przez Bóg wie ile milionów lat, leżało to, co potem nazwano Labiryntem Pearlant.

Dwa pokolenia entradistów utorowały sobie w końcu drogę do jego wnętrza. Samo w sobie było to frapującą opowieścią. Zaginione wyprawy, dziwaczne gorączki, śmierć. Każdy boczny tunel wypełniony starożytną maszyną budził silne poczucie niesprawiedliwości. Musieli rywalizować z zarodnikami grzybów, zapadaniem się ścian, nieabelowymi cieczami zalewającymi tunele w temperaturze pokojowej. Do szaleństwa doprowadzało ich wrażenie, że są obserwowani. Co gorsza, labirynt - z pewnością również stanowiący swego rodzaju eksperyment - zaprojektowano w tak niesamowicie fraktalny sposób, że słowo „środek” mogło jedynie wprowadzać w błąd. Przestrzeń doświadczalna, w której czasowe anomalie odzywały się i rozjarzały w bezpośredniej reakcji na wydarzenia zachodzące w głębi traktu („Jakby zbudowano go po to, by mierzyć tam czas” - powiedział ktoś), zawsze zawierała większe odległości, niż pozwalała na to zewnętrzna powierzchnia. W końcu ekipa specjalistów od labiryntów z FUGA-Orthogen - filii EMC specjalizującej się w jądrowych materiałach wybuchowych, która zbiła kapitał na Nowym Wenusporcie na sprzedaży maszynierii nieco starszej niż sam labirynt - przedarła się do ogromnej, słabo zdefiniowanej komory, znanej później jako Stara Sterownia. Ich cienie rozbiegły się - roztrzęsione i wystraszone po absolutnie płaskim pokładzie z alotropowego węgla. Zebrali się w bezpiecznej odległości. Zdjęli hełmy i wypuścili z rąk termobaryczne elektronarzędzia, podziwiając migotliwy opalizujący blask Alefa, wiszącego w kołysce z pól magnetycznych. Wiedzieli, że są bogaci.

\*\*\*

Po piętnastu latach trójwymiarowe obrazy owego skarbu przesłano Gainesowi. Zatarły się nieco z powodu odległości, nie wspominając już o przejściu przez trzy konkurencyjne rodzaje fizyki.

W czasie, gdy Gaines przebywał w krużganku z Alyssią Fignall, Alef eksplodował, powiększając się od nanoskali niczym kieszonkowa nowa, kipiał i migotał, aż wreszcie zmienił się w coś innego. Tam, gdzie przed chwilą znajdowała się maszyna tworząca obudowę bezpieczeństwa, pozostał tylko sam pokład. Leżał na niej artefakt nieznanego pochodzenia. Wyglądał jak kobieta nieco nadnaturalnej wielkości, ubrana w suknię z szarych metalicznych tkanin. Kobiętę ledwie można było nazwać człowiekiem. Nie była ani



przytomna, ani nieprzytomna, ani żywa, ani martwa. Z kącika jej ust sączyła się biała pasta. Coś było nie w porządku z jej kośćmi policzkowymi. Gaines gapił się na nią. Jej kończyny oraz tułów pojawiały się i znikaly, jakby widział ją przez płynącą wodę, spoglądała na niebo bez wyrazu, jej oczy były wyprane z emocji, a twarz nieruchoma. Cokolwiek widziała, nie znajdowało się to w tej komorze. Jakichkolwiek wysiłków dokonywała, nie miały one nic wspólnego z Gainesem, lecz trwały w milczeniu, zawzięte, zdeterminowane i niedefiniowalne, jakby nigdy nie miała zrozumieć, co się z nią działo, ale nigdy też nie miała dać za wygraną. Pomyślał, że kobieta wygląda jak ktoś, kto stara się nie umrzeć.

- Nie sądzę, by takie założenie miało nam w czymś pomóc - odezwał się szef nadzoru, mężczyzna nazwiskiem Case. - Dostrzega wartości tam, gdzie może nie chciałbyś ich zobaczyć.

Case zaczynał karierę jako poważny fizyk, a potem, gdy czasowa konwulsja w labiryncie postarzyła go o sześćdziesiąt lat w ciągu jednego dnia, przeszedł do kierownictwa. Żył dla pracy, napisał też powieść o życiu Galta i Cole'a, zatytułowaną *Te brudne gwiazdy*. Choć był pozbawiony wyobraźni, świetnie sobie radził z multidyscyplinarnymi ekipami.

- Dla mnie to jest nie tyle osoba, ile problem.

- Jak to się stało? - zapytał Gaines. - Jak coś takiego mogło się stać?

Nikt nie był skłonny do zgadywania.

- Mniejsza z Alefem - skwitował Case. - Sam labirynt ma milion lat. Nie mamy pojęcia, do czego właściwie miał służyć. Nigdy nie wiedzieliśmy, z którym z nich rozmawiamy.

Obrazy w nanoskali pokazywały, jak pole załamuje się w czymś w rodzaju topologicznego samobójstwa. Po paru pikosekundach Alef przypominał zapadającą się gumową piłkę, najpierw składającą się w komiczne usta, a potem umykającą szybko poza wszelką reprezentację.

- Nie patrzysz na samo zdarzenie - ostrzegł Gainesa Case. - Tylko na to, co udało się nam odebrać.

Całą nanosekundę po zakończeniu deflacji obudowa bezpieczeństwa zaczęła mięknąć, a potem się rozplýwać - zarejestrowały to w czasie rzeczywistym kamery pracujące na zewnątrz całego kompleksu - aż wreszcie zamieniła się w światło. Z tego światła wyłonił się artefakt, ale samej chwili owego wydarzenia nie można było zaobserwować. Case uważał, że to ważne.

- Bez względu na to, w jakiej skali czasowej odtwarzamy te nagrania jak bardzo je spowalniamy - nie sposób wykryć ciągłego procesu. - Najpierw był Alef, a w następnej chwili

kobieta. Jej walka już się zaczęła. - O ile nam wiadomo, równie dobrze może być artefaktem w innym sensie tego słowa - ciągnął. - Produktem naszych metod zbierania danych.

- Wydaje się tak bardzo żywa.

- Ludzie z ksenobiologii już nazywają ją Pearl - dodał Case, by pokazać, że to rozumie.

- Ale co to oznacza dla broni polowej?

- Broni polowej? - Case popatrzył na Gainesa jak na wariata. - To przejebana sprawa. Cały ten kierunek badań chuj strzełił. Nie sądzę, by kiedykolwiek istniało coś takiego jak broń polowa, Rig. - Patrzył za jego plecy, w mrok starej sterowni. - Myślę, że labirynt od początku miał własne plany.

- Nie pozwól, by naczelne kierownictwo się o tym dowiedziało.

## SHANGRI-LA W CARSHALTON

- Mam dziwne sny - oznajmiła Anna Waterman kilka dni po incydencie z psami. Spóźniła się na rozmowę z doktor Alpert, ponieważ uciekł jej autobus, lecz mimo to, była z siebie zadowolona. Natychmiast usiadła i, w żaden sposób nie okazując, że zamierza zmienić temat, zapytała: - Wiesz, gdzie chciałabym mieszkać, gdybym miała wybór?

- Nie wiem. Gdzie?

- Na zadaszonym moście nad peronami na dworcu Clapham.

- Ale czy tam nie ma przeciągów?

- Zrobiłabym z niego jedno wielkie pomieszczenie. Co jakiś czas można by się było natknąć na dywan, kilka krzeseł, łóżko. Moje meble! Zachęcałabym pociągi, żeby dalej tam kursowały - zdecydowała, jakby powiedziała: „Zachęcałabym ptaki do przylatywania do ogrodu”. - Po prostu dla towarzystwa - dodała po chwili zastanowienia. - Ale Clapham nie byłoby już dworcem. Ludzie musieliby to zrozumieć.

Uśmiechnęła się, rozsiadając się wygodnie. Mowa jej ciała sugerowała, że właśnie złożyła bardzo korzystną ofertę i oczekuje zgody. Helen Alpert odwzajemniła jej uśmiech.

- Myślałam, że jesteś teraz zadowolona ze swego domu? - zapytała.

Anna skinęła głową. - Mniej niezadowolona niż przedtem - zgodziła się.

Lekarka zanotowała to.

- A Marnie? - zapytała. - Jak się układają stosunki z Marnie?

Po sprawie z łazienką, z którą wiązały się głębsze problemy, Marnie i Anna odnosiły się do siebie z uprzejmą ostrożnością. Córka zadzwoniła następnego dnia, pragnąc ją przeprosić. W odpowiedzi Anna wysłała kartkę z zimorodkiem wynurzającym się z wody z małą srebrzystą rybką w dziobie. Podczas następnej wizyty Marnie przyniosła kwiaty, wielką wiązanek białych lewkonii, niebieskich ostróżek oraz słoneczników. Następnie wspólnie ułożyły je w wazonie. Został im jeden słonecznik i Anna umieściła go w dzbanku w nowej łazience. Gdy tylko szła do klopa, czuła promieniujące od niego ciepło i światło. Wypełniało ją wówczas powolne leniwe szczęście, do jakiego była przyzwyczajona w dzieciństwie, nim wszystko się popsuło. W Annie zrodziło się podejrzenie, że problem z Marnie polega na tym,

że dla niej nic nigdy naprawdę się nie popsuło.

- Nie jestem pewna, czy Marnie naprawdę jest tak dorosła, jak się jej zdaje.

Lekarka zaczekała chwilę, na wypadek gdyby Anna chciała coś dodać.

- Co to za sny? - zapytała wreszcie, gdy to się nie stało.

- Są koszmarnie.

W ciągu kilku ostatnich dni widziała wszystko. W połowie przypadków nie była nawet pewna, czy rzeczywiście śpi. We śnie, którego była najpewniejsza - tego, który najbardziej przypominał sen - znowu znajdowała się wśród wzgórz. Widziała siebie z zewnątrz i nieco z góry - kobieta ściskająca w ramionach dziecinnie płaszczyk, jakby był dzieckiem. Zginała się w pasie, pochylona, i spoglądała najpierw na widoczne w średniej odległości białe kredowe ścieżki, a potem znowu na płaszczyk. Jej twarz nie wyrażała ani wesołości, ani zadumy. Śpiewały skowronki. Zbocze poniżej gęsto porastały głogi. Na długim, wzniesionym ku górze horyzoncie pojawiali się i znikali ludzie. Na ziemi rosły maleńkie niebieskie kwiatuszki. Anna opuszczała bardzo powoli pole widzenia i znikła gdzieś za bezkresnym horyzontem. Niosła dziecko. Może był to sen o Marnie, a może nie. Jeśli ktoś opowiedział w gabinecie lekarskim taki sen, do czego jeszcze mógł się przyznawać? Nigdy nie wiadomo. Dlatego Anna zachowała go dla siebie. Zawsze jednak mogła szczerze opowiedzieć o swym standardowym śnie.

Nieznana kobieta leżała na czarnej marmurowej posadzce w jakimś ogromnym, pełnym echem pomieszczeniu, ubrana w suknię Givenchy; ktoś bardzo stary, niezmienny, ale niebędący jeszcze sobą; krótko mówiąc, ktoś, kto czeka na zmianę. Czasami było słychać ciężkie brzęczenie, nie do końca dźwięk, raczej coś, co wnikało w nią podczas snu. W innych przypadkach z głębi podłogi dobiegał wysoki, odległy ton dzwonów, coś w rodzaju szumów usznych rozbrzmiewających w sercu wszechrzeczy. Niekiedy pojawiała się wrażenie, że ktoś słucha. Ktoś - może ty, a może nie - zaczął myć zęby w hotelowej łazience, a potem podciął sobie żyły, ale jeszcze później uniósł wzrok i ujrzał rzędy zajętych krzeseł niknących w ciemności, jak w uniwersyteckiej auli. Te szalone, ale samoograniczające się wizje potrafiła przez cały dzień rzucać jak patyki do aportowania dla Helen Alpert. I pacjentka, i lekarka mogły się w ten sposób przynajmniej rozruszać. Dzisiaj Anna zaczęła więc tworzyć nową wersję snu, który nawiedził ją po raz pierwszy, gdy Michael jeszcze żył.

Przedstawiony w fałszywych kolorach obraz Traktu Kefahuchiego - nowego odkrycia astronomicznego na początek nowego milenium - odklejał się w nim od ekranu telewizora i wypływał w ciemność ich pokoju w motelu w Bostonie, unosił się w powietrzu niczym biżuteria w taniej iluzji, a wreszcie bladł i znikał. W owej chwili pokój stał się już ogromny.

- To ekscytujące! - zawołała doktor Alpert.

Gdy była dzieckiem - ośmioletnim i pełnym radości - uwielbiała obrazy Traktu Kefahuchiego tak bardzo, że do dziś pamiętała czarny, ociążały, kineskopowy telewizor, na którym ujrzała je po raz pierwszy. To były nie tyle obrazy, ile obietnice dotyczące natury świata, nagrody za naukę. Anna - która zapamiętała owo wydarzenie inaczej, o ile w ogóle je pamiętała - mogła jedynie wzruszyć ramionami.

Dla postmodernistycznych kosmologów z pokolenia Michaela Kearneya, uwięzionych w odwołujących się jedynie do siebie matematycznych grach i notorycznie mylących spekulacje z nauką, Trakt w pierwszej chwili był nowym rodzajem zagadki, tak zwanym obiektem Penfolda, osobliwością bez horyzontu zdarzeń. Dla samego Kearneya był to po prostu kolejny artefakt dwudziestoczworgodzinne go cyklu produkowania wiadomości, dane przerobione w fantazjowanie na użytek mediów, nie sama nauka, tylko jej public relations. W dniu, gdy NASA/ESA opublikowały zdjęcia elementów składowych Traktu - wielkich wiszących wież przypominających czarne słupy dymu w oceanicznym rowie, świetliste różowe wachlarze i skupiska gazu, fale uderzeniowe o aluminiowym połysku, krążące w gazowym środowisku jako dźwięki pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt oktaw niższe od środkowego C; wszystko to skompilowane z obserwacji zbieranych od roku przez kilka umieszczonych poza Ziemią instrumentów (żaden z nich nie działał w zakresie światła widzialnego) - Kearney zeszywniał jak kot, któremu się wydaje, że widzi coś za oknem, a potem odprężył się równie nagle.

- Nigdy nie wierz we własną propagandę - wyszeptał. - Równie dobrze mógłby to ogłosić facet w płaszczu i w cylindrze na głowie - dodał po chwili z uśmiechem.

Pokolenie później, siedząc w gabinecie doktor Alpert, Anna zapytała samą siebie: „Czym właściwie są sny?”. Jakby te dwa pojęcia coś ze sobą łączyło.

No właśnie, czym? - pomyślała lekarka po jej wyjściu. Pacjentka niekiedy wykraczała poza granice wiarygodności. Helen Alpert obejrzała notatki, roześmiała się i przełączyła urządzenie nagrywające na odtwarzanie, by raz jeszcze wysłuchać paru zdań, które ją zaintrygowały.

\*\*\*

Tymczasem pacjentka, nadal podekscytowana, zwlekała chwilę czy dwie na schodach, obserwując falę przyływu zmierzającą w górę rzeki niczym długi brązowy pies. Potem, mając przed sobą całe popołudnie, pojechała dwoma autobusami i jednym tramwajem do Carshalton. Wrzesień, miesiąc cieplarni, owinięte w folię, odbarwione, mgliste przestwory wokół Streatham Vale i Norbury, gdzie srebrzyste strugi ulewy - nadchodzącej bez

ostrzeżenia z bezchmurnej niebiesko-brązowej mgiełki - parowały na rozgrzanych chodnikach równie szybko, jak spadały na ziemię. Nic nie łagodziło wilgotności. Na drugim końcu Carshalton leżało na wznak, pogrążone w snach, gdy Anna wracała ostrożnie do domu przy The Oaks. Tym razem zmierzała do niego przez Banstead i przecięła błonia na piechotę. Przeszła obok murów więzienia - kryjącego się w lesie niewinnie jak zamknięte osiedle - i weszła do labiryntu długich podmiejskich ulic w połowie odległości między szpitalem a cmentarzem. Dom pod numerem 121 nadal był pusty, nie widziała żadnego śladu chłopaka, który przestraszył ją podczas poprzedniej wizyty. Gdy spróbowała otworzyć tylne drzwi, okazało się, że nie są zamknięte na klucz. Wystarczyło je popchnąć. Wnętrze ekonomia - siła niewidoczna jak poltergeist i pozbawiona dostrzegalnych dążeń - podzieliła na pojedyncze pokoje. Łatwo było zauważyć ślady niedawnej aktywności: schody i korytarze pachnące wodną farbą emulsyjną i świeżym drewnem, nagie podłogi poplamione masą szpachlową, przewody elektryczne leżące cierpliwie na wielkich wachlarzach kurzu rozsyanego na parkiecie, drabiny i puszki farby, które zmieniły miejsca.

Anna wędrowała po domu, podnosząc z podłogi różne rzeczy, a potem odkładając je znowu, aż wreszcie usiadła w pokoju, który był ongiś dużą sypialnią na zapleczu, przedzieloną teraz ścianą z listew pokrytych tynkiem, starannie ustawioną tak, by podążała za wewnętrznym zarysem okna wykuszowego. Tak oto niewidzialna ręka szczerze przyznała potencjalnym mieszkańcom połowę widoku na ogród - klomby porośnięte krokosmią i kurdybankiem, stara zbutwiała siatka ogrodowa na krzakach agrestu, wypalony trawnik, na którym wały się mokre kartki koloru karmelu, wyrwane ze starej książki w miękkiej oprawie. Anna zamrugła, oślepiona nagłym światłem, dotknęła niepomalowanej ściany z listew i przesunęła palcami po parapecie. Kurz był ostry i granulowany, typowy dla robót budowlanych. W takich nieukończonych miejscach ból nie istnieje. Życie przechodzi w stan zawieszenia. Po minucie albo dwóch pojawiło się jakieś zwierzę. To był pies, chudy i gibki, szary i cętkowany, mający wokół pyska i na dolnych częściach łap kępy ostrej sierści. Przedarł się przez żywopłot z sąsiedniego ogrodu i zaczął węszyć z zapalem przy skraju trawnika. W pewnej chwili zatrzymał się i zaczął zawzięcie kopać przednimi łapami. Anna zastukała w szybę kostkami dłoni. Coś w tym psie wydawało się jej dziwne. Nagle spadł deszcz, choć świeciło słońce. Rozrzucone kartki zapadały się wyraźnie pod jego naporem, jakby były z papieru tak taniego, że rozpuszczał się przy zetknięciu z wodą. Anna znowu zastukała w szybę. Pies wzdrygnął się i obejrzał niepewnie za siebie, spoglądając w pustkę. Potem otrząsnął się z wigorem - pryzmaty kropli poleciały na wszystkie strony - i uciekł. Deszcz jeszcze się nasilił, a potem osłabł i po chwili się skończył. Gdy Anna wyszła na

trawnik, wilgoć spowiła jej twarz na podobieństwo mokrej torby. Kobieta zebrała tak dużą część książki, jak tylko zdołała, i przerzuciła kartki. To był *Zaginiony horyzont*, ta sama powieść, którą polecał Annie chłopak. Podarto ją, być może dlatego, że w końcu nie spełniła obietnicy świata ukrytego wewnątrz naszego. Żadna ze stron nie sąsiadowała z inną i Anna zdołała wyrobić sobie tylko słabe wyobrażenie o fabule. Pilot bombowca przewożącego broń jądrową, zapewne Amerykanin, trafia do ukrytej krainy tylko po to, by w ostatniej chwili utracić ją, a wraz z nią to, czego pragnie najbardziej. Paradoksalnie, ta utrata skłania czytelnika do wiary, że taka kraina może istnieć naprawdę. Przednią okładkę ze starannym gniewem przedarto na pół. „Klasyczna opowieść o Shangri-La” - przeczytała Anna. W domu zadzwonił telefon. Jego sygnał naśladował staromodny elektryczny dzwonek. Do najbliższego okna przylepiły się od środka wystrzępione pasy aluminiowej folii - poszarpanej i lepkiej, jakby pieczono w niej mięso. Anna zajrzała niespokojnie do środka w przerwach między nimi. Za szybą była jadalnia. Nie zaobserwowała żadnego postępu prac remontowych, nie było tam też zbyt wielu mebli ani ozdób. Dwa krzesła. Pięćdziesięcioletni rozkładany stół z odkręcanymi nogami. W słabym świetle widziała zmarszczki na zielonym linoleum. Na stole stał pojemnik z blachy wytłaczanej, o wymiarach dwadzieścia na dziesięć centymetrów, niewielka pamiątka przywieziona przez kogoś z Meksyku w dziesięcioleciach tanich podróży lotniczych. Wewnątrz można było zobaczyć osobliwą dioramę: obiekt o wyglądzie i rozmiarach czaszki dziecka spoczywał na podłożu z czerwonej koronki przywodzącej na myśl tanią bieliznę damską. Czarne tło usiane cekinami być może miało symbolizować Noc. Nie było tam nic więcej poza zwiniętym dywanem opartym o ścianę w kącie naprzeciwko drzwi. Choć wydawało się, że telefon dzwoni gdzieś blisko, Anna go nie widziała. Nie przestawał dzwonić przez minutę albo dwie. Potem rozległ się donośny, wzmocniony trzask, a po nim nastąpiła zanieczyszczona elektroniczna cisza otwartego połączenia.

- Nazywam się Pearlant i przybywam z przyszłości - zabrzmiał klarowny głos.

Połączenie zostało przerwane. W wewnętrznych drzwiach pojawiła się ciemna sylwetka, a po dwóch czy trzech cichych, lecz gwałtownych próbach do pokoju wepchnięto wózek inwalidzki. Stan jego pasażera znacznie się pogorszył od chwili ich ostatniego spotkania, gdy wsiadał do taksówki pod dworcem Carshalton. Jeden kącik jego ust unosił się sztywno, a łysa czaszka - pokryta jednorodną, intensywną opalenizną, jakby mężczyzna spędził dziesięć dni na jakiejś opustoszałej plaży w Almerii - lśniła od wrzodów. Siedział sztywno w wózku, krzyżując nogi w kostkach i rozstawiając szeroko kolana, a uniesioną do piersi ręką wykonywał nieświadomie hieratyczny gest. Niemal natychmiast osunął się do przodu, na szeroką nylonową uprząż. Głowa opadła mu bezwładnie w prawo, uwydatniając

ścięgnę z boku szyi i podsuwając lewe ucho białemu kotu siedzącemu na ramieniu mężczyzny. Zwierzę poprawiło pozycję, jakby czekało na taką okazję, zamruczało i wylizało wnętrze małżowiny delikatnymi precyzyjnymi ruchami. Przez cały czas spędzony w domu przez Annę staruszek również tu był. Tkwił w jakimś pustym gorącym pokoju, otwierał jedno niebieskie oko, a dolna warga barwy wątroby opadała mu bezwładnie. Uprząż z mechanizmem do otwierania jednym ruchem pośrodku sprawiała wrażenie zbyt solidnej na siły, jakie mógłby uwolnić ruch wózka, samo siedzenie wydawało się masywne i zbyt skomplikowane, jakby stworzono je w ramach jakiegoś przestarzałego już eksperymentu. Wiedziała, że powinna od razu go poznać. Być może tak rzeczywiście było. A czy on ją poznał? Nie była w stanie tego określić. Wspomnienie leżało opatulone pod warstwami jej amnezji. To było coś znanego, lecz niepomysłanego, coś zawsze starannie ukrywanego, samooszukiwanie wewnątrz samooszukiwania. Jak mógł się tak postarzyć? Telefon znowu się rozdzwonił. Biały kot skoczył na blat i zaczął chodzić po nim ze złością. W świetle deszczowego dnia wypełniającym niewyremontowaną jadalnię meksykańskie pudełko lśniło jak zaśniedziałe srebro. Mroczna sylwetka stojąca za wózkiem wyciągnęła rękę i uniosła je ze stołu.

To wystarczyło, by Anna uciekła z ogrodu, potykając się na chodniku. Chciała się znaleźć jak najdalej od domu pod numerem 121, umknąć do względnej normalności podmiejskiego popołudnia. Jego pozostałą część spędziła na bezładnych wędrówkach - szła pierwszą długą ulicą w jedną stronę, a potem wracała następną, spękany chodnik pod jej stopami promieniował ciepłem, aż wreszcie znalazła się, mrugając ze zdumienia, przy stawach Carshalton. High Street grzała się niepewnie w promieniach słońca, pełna wykopów - płytkich, pozbawionych serca zagłębień, produktów maszynierii z silnikami o zbyt małej mocy oraz niedowarzonych planów i ogrodzonych długim labiryntem czerwono-białych barierek, podobnie jak samochody na ulicy przypominających plastikowe zabawki powiększone do naturalnych rozmiarów w imię jakiejś infantylnej estetyki.

Pokój koloru bólu głowy, pomyślała. I dlaczego okno pokrywała folia do pieczenia?

\*\*\*

Do domu wracała powoli. Pociąg - w równie kiepskim stanie jak cała publiczna maszynieria od czasów seryjnych recesji na początku dwudziestego pierwszego stulecia - psuł się co chwila, minuta postoju tu, dwie minuty ówdzie; potem dwadzieścia minut na dworcu gdzieś w pobliżu Streatham. Podczas tego ostatniego postoju chłopak i dziewczyna w studenckim wieku, do tej pory całujący się energicznie, zaczęli grać w skomplikowaną grę przy otwartych drzwiach wagonu. Chłopak stał na peronie, a dziewczyna wychylała się ku



niemu z pociągu. On powtarzał:

- Dobra, nara, spotkamy się tam.

Ona czekała, żeby sobie poszedł, ale on nadal stał na peronie, półtora metra od niej, i uśmiechał się, aż wybuchła śmiechem i pytała:

- Tak ci się zdaje, co?

Wtedy oboje się śmiali, chłopak odwracał się bokiem i wszystko zaczynało się od nowa.

- Spotkamy się tam i zdecydujemy, gdzie to umieścimy. Będzie fajnie.

- Nie pójdzcie do kąta. Nie ma mowy.

- No to idę.

- Jasne.

Nagle drzwi zaczęły się zamykać.

- No to nara - rzucił chłopak. - Spotkamy się tam.

- Nara - odpowiedziała dziewczyna, odwracając się.

W ostatniej chwili przecisnęła się przez drzwi, wyszarpnęła się na zewnątrz i wzięła go w ramiona. Postąpili razem kilka chwiejnych kroków ku wyjściu z peronu, śmiejąc się, siłując i uderzając o siebie biodrami. Dziewczyna zacisnęła pięść i uderzyła chłopaka w głowę.

- Hej! - zaprotestował.

Gdy Anna wróciła, było już prawie ciemno. Komarnice tłukły o szyby. Łaziły po nich jak głupie, przyszpilone do nich papierową siłą swych skrzydeł. Kot gdzieś sobie poszedł. Anna wypełniła jego miskę tuńczykową niespodzianką, a dla siebie włożyła do mikrofalii dwie tartaletki z kozim serem i szpinakiem. Kiedy się grzały, zadzwoniła Marnie.

- Co za okropny dzień! - oznajmiła. - W pracy było naprawdę koszmarnie. - Wyjaśniła, że spóźniła się o godzinę z powodu korków. - Całe Clerkenwell było sparaliżowane.

- Kochanie - skwitowała Anna - ono jest sparaliżowane od dwudziestu lat. - Szukając czegoś równoważnego, co mogłaby oferować córce, opowiedziała jej o kochankach z pociągu. - Gdy już sobie poszli, przyjrzałam się innym pasażerom i zauważyłam, że tylko ja się uśmiecham - zakończyła.

- I jak się czułaś z tego powodu?

- Jak głupia - odparła bez chwili zastanowienia.

- Niemniej to romantyczne - stwierdziła Marnie. Potem dodała, że ma dziś wizytę w szpitalu. - To tylko badanie kontrolne - wyjaśniła. - Ale zastanawiałam się, czy nie poszłabyś

ze mną.

- Pewnie, że bym poszła! - odparła zdumiona Anna.

- To chyba nic - zapewniła Marnie. - Absolutnie nic.

O pierwszej w nocy, nie mogąc spać, Anna włączyła całodobowe wiadomości. Miała nadzieję, choć nie przyznałaby tego przed sobą, że zobaczy coś, co by wskazywało, że Michael Kearney wrócił do domu. Nic jawnego, pomyślała, po prostu jakaś przypadkowa informacja w relacji z konferencji naukowej. Wskazówka. Odnalazła jednak tylko wrażenie, że na świecie nie dzieje się już nic ważnego. Że cokolwiek pokazywały „wiadomości”, nie działo się to naprawdę, dopóki kamera nie zwróciła swego spojrzenia na kolejną krótką urywaną scenę. Palmy - odgrywające role „kołysanych wieczornym wiatrem” - ożywiały się nagle, niemal czując się winne, gdy tylko serwis informacyjny zapragnął je uprzedmiotowić. W chwili opóźnienia satelitarnego, nim zabrzmiał głos reportera, można było usłyszeć cichy, powtarzający się dźwięk brzmiący jak *gak, gak, gak*. Potem Anna poszła do nowej łazienki.

- Jesteś tam? - wyszeptała pełnym lęku głosem. - To ci się podoba, prawda? - dodała. - Mówiłeś, że ci się podoba!

Jej nieskoordynowane, trwające pięć lat wędrówki po przedmieściach i dzielnicach mieszkalnych południowego Londynu, które zaczęły się po śmierci Toma Watermana i przybrały na intensywności, gdy Marnie wyprowadziła się z domu, dobiegły końca. Dowodziły tego wydarzenia ostatniego popołudnia. Nic się nie rozwiązało. Nadal nie była w stanie sobie przypomnieć, co się wydarzyło przed tymi wszystkimi laty, owej nocy, gdy Michael dał jej przenośny dysk. Stała przy oknie sypialni, grzebiąc w torebce. Nad łąką unosiła się słaba mgielka, która napływała znad rzeki, wnikając między drzewa sadu. Wreszcie Anna znalazła dysk i przyłożyła go sobie do ucha niczym tytanową muszlę, jakby spodziewała się usłyszeć jakieś słowne wskazówki.

- Och, Michael, wiem, że tam jesteś. Czy nie możesz po prostu tu przyjść i mi pomóc?

Nie było żadnej odpowiedzi, poza tym, że altana na jej oczach eksplodowała wspaniałymi bezgłośnymi płomieniami, czarnymi na tle nieba, jak ilustracja drzeworytowa w książce z kartami tarota.

## STANY SKORELOWANE

Gdy Trakt Kefahuchiego się powiększał podczas incydentu nazwanego później „zdarzeniem”, jego fragmenty spadły na powierzchnię wszystkich planet na Plaży. Strefy zdarzenia pojawiły się wszędzie, niekiedy na pustyniach, podbiegunowych polach lodowych albo na dnie morza, ale też często obok miast. Były montowniami nienormalności - strefami, w których fizyka najwyraźniej zapominała o własnych prawach - rozszerzającymi się i wnikającymi w świat realny za pośrednictwem pogranicza pełnego mgieł, halucynacji, na wpół zauważanych ruchów. Z wnętrza strefy dobiegały zdziwione śmiechy, głośna muzyka, odgłosy pracującej maszynierii. Coś tam produkowano. Na zewnątrz wypadały fontannami przestarzałe obiekty. Wszystkie były pełne energii i miały anormalne rozmiary: deszcze emaliowanych odznak, tanich obrączek, nakręcanych plastikowych zabawek, śrub i nakrętek, filiżanek i spodków, koni i wozów, piór, gołębi i czarnych lakierowanych pudełek, przeznaczonych dla iluzjonistów rekwizytów wielkich jak domy. Pojawiały się w powietrzu nad linią dachów, a potem opadały ku ziemi i znikwały. Światłokopie planów rozwijały się na niebie, a potem zwijały się i znikwały. Te iluzje nikomu nie przeszkadzały, jeśli to rzeczywiście były iluzje. Ze stref zdarzenia wyłaniały się też jednak artefakty oraz nowe niewytłumaczalne technologie, znajdujące przyczółki po naszej stronie rzeczywistości. Niektóre były świadome i wyglądały jak ludzie. Przybywały do miast i próbowały się włączyć w ich życie. W tym punkcie wszystko zaczęło się psuć. Sprawą zainteresowało się EMC. Wzniesiono bariery z drutu kolczastego. Zbudowano wieże obserwacyjne. Wydział Przepływów Strefowych i Wydział Kwarantanny (znany potocznie jako Kwapo) stały się na pewien czas najpotężniejszymi siłami policyjnymi w Halo, ustępującymi tylko samemu Earth Military Contracts.

Irene i Liv słuchały, jak Gruby Antoyne Messner opowiadał o tych znanych im już faktach ze współczesnej historii.

- Antoyne, bla, bla, bla - odezwały się wreszcie jednym głosem. - Powiedz, co możemy z tego mieć?

- Pracę na orbitach kwarantannowych - odparł mężczyzna, a potem opowiedział im

historię o Andym i Marcie.

\*\*\*

Andy i Martha mieszkali na planecie zwanej Basel Dove. On miał dom jednorodzinny w mieście i pracował w dziale personalnym jakiejś korporacji. Martha kolekcjonowała obcą ceramikę. Mieli syna, któremu nadali imię Bobby, owego lata ukończył ósmy rok życia. Był bystrym chłopakiem, choć domagał się nieco zbyt wiele uwagi. Andy znalazł młodą inteligentną kobietę o zwyczajnym wyglądzie, która po południu udzielała chłopcu lekcji. Nazywała się Bella. Ubierała się dobrze, ale sprawiała wrażenie nieco nieobecnej, jakby nie do końca się orientowała, jak funkcjonuje dom albo rodzina. Na jej twarzy najczęściej gościła mina wyrażająca radosne zdziwienie. Miała własny pokój, tuż pod dachem. Spisywała się dobrze. Wczesnym wieczorem można ją było niekiedy spotkać w korytarzu, gdy gapiała się przed siebie, zastanawiając się, co robić dalej. Wkrótce jednak wciągnęła się w obowiązki i Bobby nie łąził już cały dzień za Martha, uskarżając się na nudę. Siedział cicho z Bellą, słuchając z zachwytem, jak kobieta rozwiązuje w pamięci problemy z zakresu klasycznej analizy harmoniczej. Świetnie się ze sobą dogadywali! Martha mówiła, że to prawdziwy romans. „Bella i Bobby to, Bella i Bobby tamto. Zawsze Bella i Bobby”. Oboje stali się naprawdę nierozłączni. Wkrótce jednak ta nierozłączność stała się głębsza, niż pragnęliby tego rodzice.

Przed przybyciem Belli popołudniowe zabawy chłopca polegały na tym, że zdejmował ubranie i gapił się na siebie w lustrze, aż wreszcie mu stanął. Trzepał go, ale nic jeszcze nie wypływało. Czuł, że coś się tam zbiera, ale na tym zawsze się kończyło. Mógł uzyskać jedynie szok, lekkie bolesne szarpnięcie. Bella zmieniła to całkowicie. Po lekcji matematyki prowadziła go na górę, do swego pokoju, i układała mu włosy. W takich chwilach ogarniał go bierny spokój. Chłopiec kochał jej zapach. Przy każdym ruchu szczotki, jego kutasik robił się twardszy. Gdy Bella dotknęła go przypadkowo grzbietem dłoni, oboje popatrzyli na siebie z zachwytem. Pewnego zimowego popołudnia Martha przyłapała ich na sofie. Nim jeszcze weszła do pokoju, było boleśnie oczywiste, co tam się dzieje. Bella odsłoniła piersi, a chłopiec opuścił spodnie. Trzymała w dłoni jego penisa. Pochylała się nad nim, a on gapił się na nią, jęczał i powarkiwał chłopięcym głosem, próbując doprowadzić się do wytrysku.

Fakt, że Martha przyłapała ośmioletniego syna w chwili, gdy właśnie miał się spuścić w dłoń wynajętej guwernantki, był wystarczająco okropny, okazało się jednak, że jest jeszcze gorzej. Spróbowała ich rozłączyć, ale skleili się ze sobą. Gdy Andy wrócił do domu, przekonał się, że jego żona również się do nich przykleiła.

Przedramię Marthy wniknęło w głowę Belli. Kobieta gapiała się gniewnie na własną

dłoń, wylaniającą się po drugiej stronie. Wszystko było miękkie. Troje ludzi pokrywała cienka warstwa śliskiej emulsji. Próbowali oderwać się do siebie, ale to najwyraźniej pogarszało jedynie sprawę. Andy zwymiotował. Potem wezwał Wydział Kwarantanny. O dziesiątej wieczorem tego samego dnia Bobby, Bella i Martha byli już pełnowymiarową ucieczką - półprzezroczystą, zakaźną galaretą, w części człowiekiem, w części wirusem, a w części kodem potomnym przybyłym prosto z miejscowej strefy zdarzenia. Za pozwoleniem Andy'ego ludzie z Wydziału Kwarantanny zamknęli tę substancję w solidnie zespawanym, zwężającym się na końcu żelaznym pojemniku o długości nieco ponad dwóch metrów, a szerokości niespełna jednego. Następnie zostawili pojemnik na podłodze w pokoju Belli. Wyjaśnili, że ponieważ Basel Dove jest zbyt spokojną planetą, by mieć własną orbitę kwarantannową, koncesjonowany operator będzie musiał przed upływem tygodnia dostarczyć sarkofag na orbitę wokół Nowego Wenusportu. Oznajmili Andy'emu, że przykro im z powodu poniesionej przez niego straty, a potem sobie poszli. Odrętwiały z żalu i zdumienia mężczyzna nie był w stanie znaleźć miejscowej firmy, która zgodziłaby się przewieźć tak małe ładunki, zwrócił się więc do Frachtu Luzem - Saudade.

- Nie chce sam odbyć tej podróży - wyjaśnił Antoine. - Jest załamany. To bardzo smutne.

- Zatem zostaliśmy przedsiębiorcami pogrzebowymi? - zapytała Liv Hula, wydymając wargi.

- Cieszę się z każdej roboty - odparł Gruby Antoine. - Zresztą i tak mieliśmy tam lecieć.

\*\*\*

Tak oto *Nova Swing* została kwarantannowym psem, a jej załoga musiała dzielić statek ze szczątkami Marthy, Bobby'ego i Belli. Umieścili sarkofag w kącie głównej ładowni. Jego zawartość zdążyła się już przerodzić w jednolitą masę ważącą nieco mniej niż wyjściowe ludzkie składniki. Ciecz była nadprzewodnikiem w temperaturze pokojowej i zachowała pewne wspomnienia o swym poprzednim stanie. Na przykład, za pancerną szybą można było niekiedy ujrzeć chłopca. Jego na wpół uformowana postać zwijała się w pozycji płodowej, wsadzając ręce między nogi. Ten widok zasmucał Irene.

- Och, jego mały penis - mówiła.

Nie była sobą. Budziła się, słysząc grzechot kości rzucanych w korytarzach, a także cichy śmiech oraz głosy. Jeśli toczyła się tam jakaś gra, Irene w niej nie uczestniczyła. Otwierała drzwi i nigdy nikogo za nimi nie znajdowała.

- To męczące - skarżyła się Antoine'owi, który bardzo schudł, a twarz porastała mu

szczecina.

Bał się życia z dnia na dzień. Uporządkowany świat definiowały teraz dla niego Liv i Irene, obawiał się, że wypadnie z niego i wróci do dawnych zwyczajów. Irene odnosiła wrażenie, że ostatnio zrobił się nieco roztargniony, zwłaszcza po tym popołudniu na Mambo Rey. Zastanawiała się na głos, czy Antoyne nie wspomina jakiejś byłej kochanki.

- To by było w porządku - oznajmiła mu. - Wszyscy pamiętamy o dawnych miłościach.

Antoyne spojrział na nią bez wyrazu. Sprawiał wrażenie, że się z tym nie zgadza. Irene przyznała, że w jej przypadku ta lista jest oczywiście bardzo długa, więc każdy, kto się na niej znajduje, musiałby się bardzo postarać, by go zauważyła. Nagle nawiedziła ją wizja: niekończąca się kolejka mężczyzn czekających na szansę, by podejść bliżej i znowu zrobić na niej wrażenie. Jeden był przekonany, że dobrze tańczy, następny sądził, że jego kutas jest całkiem spory, nigdy jednak nie zapłakałaby na jego widok jak na widok siusiaka tego martwego chłopca. Oczywiście, to nie byli prawdziwi kochankowie.

- Antoyne - zaczęła pośpiesznie - a co, jeśli w tej rakiecie straszysz?

Dotknął jej nadgarstka.

- We wszystkich rakietach są duchy - odparł. - Sądziłem, że o tym wiesz.

Liv Hula mogła się jedynie uśmiechnąć, słysząc tę naiwną rozmowę. Gdy jej towarzysze spali, podłączała się do systemów pilotażu i przyglądała się, jak trupie klatki od MP Renoko skupiają się wokół nowego ładunku, kiedy myślą, że nikt ich nie widzi. Obwąchiwały go jak psy, być może dochodząc do wniosku, że nie do końca należy do ich gatunku. Piątego dnia po opuszczeniu Basel Dove ujrzeli Nowy Wenusport, całkowicie ziemiopodobną planetę, jeśli chodzi o biotop, obecność wojskową oraz architekturę fiskalną. Władze kwarantannowe przywitały ich na wszystkich częstotliwościach. Słyszeli automatycznie nadawane ostrzeżenia. W pustce dryfowały ogromne sylwetki, migające słabymi światłami. Antoyne przeciągnął sarkofag do śluzy i wyrzucił go w pustą przestrzeń. Pojemnik zanurzył się w niewidocznym chaosie i zniknął.

- Biedne maleństwo - wyszeptała Irene.

- Kochanie, w tym pojemniku są z nim dwie dorosłe kobiety - przypomniała jej Liv Hula.

- Zastanów się, kto je tam umieścił.

Życie w kwarantannie: w odległości stu metrów widzieli spawacza w skafandrze kosmicznym, zasłaniającego okna stalowymi płytami. Gdzieś dalej rozbłysły silniki pSi. Dwa czy trzy wraki włączały się w lokalny nurt. W krótkich stroboskopowych rozbłyskach Liv

ujrzała szkielet frachtowca sprzed dwóch stuleci, długiego na blisko pięć kilometrów. Pozwoliła, by dryfująca *Nova Swing* zanurzyła się nieco głębiej w strumieniu, a potem znowu się z niego wyłoniła. Następny ładunek od Renoko czekał na nich kilkaset kilometrów w dole. Gdy się oddalali, pomiędzy wraków wyłonił się K-statek i podążył za nimi ku planecie. W pewnej chwili zbliżył się do starego frachtowca tak bardzo, że czuli produkowane przez jego wewnętrzne procesy ciepło odpadowe, którego nawet nie próbował ukrywać. Same jego sygnały komunikacyjne mogłyby usmażyć całe miasto. Chciał, żeby wiedzieli o jego obecności. Chciał, żeby wiedzieli, że są pytaniem, na które mógłby odpowiedzieć, gdyby zechciał.

Gdyby zechciał, mógłby zrobić wszystko. Towarzyszył im przez półtora cyklu hamowania aerodynamicznego, a potem zainteresowało go coś innego i odleciał. Liv, czując, jak K-kapitan zakrada się do jej mózgu przez przewody wchodzące do ust, a potem go opuszcza, zadrżała.

- Nienawidzę ich - stwierdziła.

Zapadła cisza. Potem słaby głos, odległy już o cztery światła wzdłuż Plaży, wyszeptał:

- Nigdy nie powiedziałem o tobie złego słowa, słodziutka.

\*\*\*

Nowy Wenusport, południowa półkula, trzecia w nocy: tereny należące dawniej do madame Shen, półtorahektarowy pas betonu między morzem a stoczniami raketowymi. Przez minutę czy dwie po lądowaniu *Nova Swing* panowała tam cisza. Potem wróciły nocne odgłosy: krzątania w stoczniach, płoty postukujące na wietrze od lądu. Gruby Antoyne Messner stał na pomoście ładunkowym, przeszywając spojrzeniem cienką warstwę nadmorskiej mgły z domieszką zanieczyszczeń ze stoczni. Z nadejściem świtu mgła rozproszy się szybko. Tymczasem stygnące silniki postukiwały, Antoyne zaś cieszył się dotykiem wilgotnego powietrza na twarzy. Na łukowatym brzegu zatoki było pełno plażowych moteli zbudowanych z desek szalunkowych, lokali sprzedających nielegalny alkohol oraz opustoszałych seksklubów - „Ivy Mikes”, motel Deleuze, „The Palmer Lounge”. Ich parkingi zasypał naniesiony przez wiatr piasek. Od horyzontu nadciągały z łoskotem fale.

- Popatrz! - zawołała Liv Hula. - Nie, tam!

Wzdłuż szeregu budynków zbliżała się jakaś postać, rysująca się na tle słabej luminescencji fal. Wysoka kobieta pełna nierozwiązanych napięć typowych dla osób poddanych poważnym modyfikacjom. Cicha i pozbawiona twarzy, opierała się przez chwilę o deskowanie motelu Deleuze. Unosiła jedną rękę pod kątem prostym i rozpościerała dłoń na ścianie. Wiatr niósł zapach chemikaliów. Kobieta uniosła głowę jak pies i spojrzała na morze,

a potem usiadła na brzegu betonowej płyty postojowej i zaczęła przesypywać piasek z jednej dłoni do drugiej, jak ktoś, kto spóźnił się na spotkanie i teraz żałuje, że w ogóle przyszedł.

- Znam tę kobietę - wyszeptała Liv - ale nie mam pojęcia skąd.

Antoyne nie potrafił jej pomóc. Widział bardzo wiele podobnych osób w barach od tego miejsca aż po Jądro. Gdy już ktoś przebuduje siebie w takim stopniu, język ciała wystarcza, by odgadnąć, jaką dwuwymiarową opowieść opuścił. Jest tak mocno połączony ze sobą, że już nie wie, kim jest. Każda reakcja wzmocniona. Każda powierzchnia przystosowana do odbioru promieni z kosmosu. Wszystko zaprojektowane z myślą o wyglądzie, szybkości, pewności siebie i bezpieczeństwie eksploatacji.

- Ale kto wie, jakie tylne wejście mógł zostawić krawiec? - zakończył.

Liv pomyślała, że ta krytyka w niczym jej nie pomogła.

- Skądś ją znam - powtórzyła. - Popatrz! - zawołała po chwili. - Antoyne! W wodzie!

W odległości dwustu metrów, z morza wyłaniał się długi cylindryczny przedmiot, przetaczający się pośród słonych bryzgów. Po trzech, może czterech minutach dotarł do brzegu. Wyglądał jak mina pozostała po jakiejś zapomnianej wojnie, zardzewiała, buchająca parą i rzucająca na wszystkie strony osobliwymi mrocznymi tęczami, nim zdecyduje, dokąd skierować się teraz. Kobieta stojąca przy motelu Deleuze również go obserwowała. Wstała i otrzepała dłonie z piasku. Gdy trupia klatka zaczęła się oddalać między wydmy, kobieta krzyknęła i pobiegła za nią w tempie, jakiego nie mógłby wytrzymać żaden człowiek. Po trzech czy czterech krokach zmieniła się w śluzowatą plamę. Niemal natychmiast zderzyła się z identyczną plamą, która wyskoczyła z płytkiej kryjówki w piasku i wydmowej trawie. Obie wrzasnęły przeraźliwie. To było tak, jakby kobieta wpadła na lustro z pełną szybkością. Sobowtór powtarzał każdy jej ruch. W górę wzbijały się tumany piasku i wkrótce nie sposób było określić, kto jest kim. Wreszcie jedna z nich zwolniła nagle i zaczęła chodzić w kółko ze zdziwioną miną, trzymając się za głowę. Usiadła ciężko, zwała się na piasek, zginając się w talii, i znieruchomiła. Ta, która przeżyła, popędziła między wydmami, wyrrywając kępy trawy i płosząc siedzące na brzegu ptaki.

- Zabili ją! - zawołała Liv.

- To nie ma nic wspólnego z nami - zapewnił Antoyne, kładąc dłoń na jej ramieniu.

Trzecia postać - niski stary mężczyzna, niewyraźny jak cień i odziany w krótki płaszcz przeciwdeszczowy - obserwowała starcie ze szczytu wydmy, klaszcząc w dłonie i rozglądając się w koło, jakby zwracała się do reszty widowni podczas ciekawych walk w Preter Coeur. Twarz nieznanego była białym owalem. Wyglądał na entuzjastę. Gdyby można było się zakładać, z pewnością wyłożyłby już pieniądze. Po minucie czy dwóch podszedł do martwej



kobiety, uklęknął przy jej głowie i zrobił z nią coś, chichocząc. Potem oddalił się między wydmy i czekał tam, tak nieruchomo, że trudno było go zauważyć, aż kobieta się ocknie.

- Jezu! Kurwa! - poskarżyła się tak głośno, że wyraźnie usłyszeli jej słowa.

Przetoczyła się, ale za późno, by uniknąć zwymiotowania na siebie wielkich ilości różowego płynu o złowrogim wyglądzie. Potem wstała i powlokła się do bocznych drzwi motelu Deleuze. Nad nimi migotał różowy neon z napisem GWIAZDZISTA KOMNATA, a wyżej dwie stylizowane, splecione ze sobą palmy. Kobieta oparła się o własny cień na pokrytej łuszczącą się farbą ścianie, znowu zwymiotowała, tym razem ostrożniej, i weszła do środka. Tymczasem mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym oddalił się ku morzu, ani razu się nie oglądając.

- Gruby Antoyne, coś jest tu bardzo nie w porządku!

Uwagę Antoyne'a zwróciło już jednak coś innego. U podstawy *Nova Swing*, tuż poza kręgiem jej jaskrawych świateł, czekała na niego piąta trupia klatka - cicha, nieprzyciągająca uwagi i pachnąca morzem.

Podszedł do niej i znalazł puszkę z przerdzewiałej blachy. Nieznana przeszłość wyciekała z niej niczym materialna substancja. Tym razem ktoś pomalował pojemnik niewysychającą farbą antyradarową, w której za pomocą czegoś w rodzaju rylca wytłoczono szereg pozbawionych znaczenia liter i cyfr. Klatka była cieplejsza od poprzednich. Gdy już umieścił ją w ładowni, przekonał się, że Irene opuściła statek. Liv nie wiedziała, dokąd poszła. Oboje wyszli między wydmy, by ją zawołać, ale Irene nie odpowiadała.

- Lepiej idź jej poszukać - poradziła mu Liv. - Ona nie jest szczęśliwa, Antoyne! - zawołała potem za nim.

Wiatr dał teraz silniej. Wszedł księżyc. Znad zatoki nadciągał szkwał.

\*\*\*

Wychowaną na rolniczej planecie Irene od początku dręczyły pytania, zwłaszcza dotyczące jej zdolności empatii. Gdy jednak ktoś kupuje pakiet, dają mu też złote serce, bo to zapewnia zadowolenie z pracy. Darmowo. To bardzo tania modyfikacja. Nikt nic nie traci, ani ty, ani twój klient. Irene podpisała umowę i nigdy tego nie żałowała, choć być może jej serce nastroiło się teraz na orbitę kwarantannową, ponieważ tutaj, na południowej półkuli Nowego Wenusportu, przybita historią chłopca z sarkofagu tak mocno, że nie mogłaby sobie pozwolić na to, by to pojąć rozumem, poczuła, że potrzebuje baru, butelki rumu „Black Heart” oraz towarzystwa nieznanym ludzi.

Jednakże po drugiej stronie płotu sytuacja jeszcze się pogorszyła. Zmierzając ku morzu przez mgłę, czuła, że odległość do wszystkiego się zwiększa. Żaluzje były zamknięte

wzdłuż całej plaży, od Lizard Sex aż po The Metropole. Staromodne szyldy stukały na wietrze. Farba z nich obłaziła, a na ziemię sypała się rdza. Pod lokalem o nazwie „90-Proof & Boys” w powietrzu unosił się smak soli. Lokal „Ivy Mikes” był cichy i opustoszały. Cyrk odjechał i nadchodził deszcz.

Wreszcie usłyszała głosy. Wejściowe drzwi motelu Deleuze były zamknięte na kłódkę. Po obu ich stronach znajdowały się okna z szybami z matowego szkła oraz wytarte drewniane panele pokryte miniaturowymi reklamami. Irene potrząsnęła drzwiami. Wewnątrz paliło się słabe żółte światło.

- Halo!

Nikt jej nie odpowiedział. Nawet nie przestali robić tego, co tam właściwie robili. Słyszała wyraźne grzechotliwe dźwięki, a od czasu do czasu serie stłumionych krzyków. Żółte światło gasło i zapalało się znowu, jakby ktoś chodził przed nim urywanym krokiem. Uszu Irene dobiegały również zwyczajne odgłosy: skrzypienie odsuwanego krzesła, brzęk lodu wrzucanego do szklanki. Pogłaskała drzwi, jakby były czyimś ramieniem.

- Hej - odezwała się. - Widzę, że dobrze się bawicie.

Okrzyżła narożnik domu i pod różowo-miętowym neonem z napisem GWIAZDZISTA KOMNATA znalazła drugie drzwi, luźno zamknięte na zasuwę i poruszające się na wietrze. Bez chwili zastanowienia przyłożyła oko do szczeliny. Farba była śliska od deszczu. Cokolwiek tam zobaczyła, sprawiło, że cofnęła się o krok, a potem uciekła tak szybko, jak tylko potrafi biec b-dziewczyna.

## TO ZAJMUJE MIEJSCE W PRÓŻNI

W niektóre dni operatory-cienie znikwały, gdy tylko padło na nie światło słońca. W inne wybiegały mu na spotkanie, unosząc się nad biurkiem asystentki z czymś bliskim zachwytu. Ich zachowanie było dla niej równie nieprzejrzyste, jak jej zachowanie dla nich. Były starsze niż ludzkość. Tę formę życia spotykało się wszędzie. Nikt jednak - nawet same operatory-cienie - nie wiedział, czym się zajmowały, nim człowiek przybył do Galaktyki, by zrobić z nich użytek. Jeśli ktoś je o to zapytał, robiły się nieśmiałe i zamyślane.

- To bardzo miło, że się tym interesujesz, moja droga.

Poprosiła, by wyszukały dla niej w aktach parę nazwisk. Zaproponowały jej Magellana, Radtkego i dos Santosa. Nevy Furstenberg i Johna K. Matsudę. Zaproponowały osławionego Ephraima Shacklette'a. Zaproponowały MP Renoko.

- To on - zdecydowała asystentka.

MP Renoko, znany też jako Ronostar Productions albo Dek Echidna, zaczął wyprzedawać majątek cyrku madame Shen pod koniec dwudziestego piątego wieku, po pięciu ćwierćwieczach mieszanych wyników. Papierowy ślad można było prześledzić przez całe Halo. Zaczynał się na południowej półkuli Nowego Wenusportu i wiódł aż do FUGA-Orthogen. Firma ta była kiedyś dobrze prosperującą filią EMC, zajmującą się górnictwem i eksploatacją wraków, ale obecnie pozostało z niej tylko jedno biuro rzeczy zagubionych na opustoszałej planecie, w swoim czasie odwiedzanej przez niszowych turystów. Potem trop rozpadał się na pozbawione znaczenia lokalne wiry. To były relacje handlowe na pograniczu tarcia wewnętrznego, aż do chwili, gdy Renoko zaczął dyskretnie skupować wyprzedany majątek. Obecnie przemieszczał odkupione obiekty, korzystając ze śmieciowych certyfikatów, na tym samym statku, który ongiś przewoził z planety na planetę najpopularniejszą wędrowną trupę w Halo.

- Co tu widzimy? - zapytała kobieta operatory-cienie.

W tej chwili nie były w stanie jej odpowiedzieć.

Asystentka nie spodziewała się niczego innego. Poleciała na Nowy Wenusport.

W podróży hotelach było pełno ludzi próbujących wrócić do domu. Wojna

podniosła stawki w ich życiu.

\*\*\*

Południowa półkula, Nowy Wenusport: z tanich brudnych wyrzutni wystrzeliwujących ładunki na bezpieczne orbity EMC przez całą noc buchał podświetlony blaskiem ognia dym. Dżokeje cząstek wypacali antyradiacyjne medykamenty wewnątrz poczerńiałych kadłubów K-statków. W stocznich przerabiających gwiazdoloty na złom obsługujący kontraktowy termin Nowi Ludzie, którzy nie otrzymali skórzanych rękawic, nie wspominając już o skafandrach z ołowianą osłoną, czólgali się tysiącami po wycofanych ze służby statkach z napędem Alcubierre'a, wielkich jak małe miasteczka. Gdziekolwiek się spojrzęło, widziało się maszyny, które - gdyby ich nauka na sekundę przestała działać - natychmiast obróciłyby się z powrotem w nanotechnologiczną maź oraz garstkę zapadających się pól magnetycznych. Jonizacja rozbłyskiwała w chmurach dwutlenku siarki oraz radioaktywnej pary.

To, co zostało z Obserwatorium i Hodowli Wrodzonej Karmy Sandry Shen, znanej też jako cyrk Patheta Lao, można było zobaczyć na półtorahektarowym obszarze ogrodzonego płotem betonu między wykopami dla rakiet a morzem. Po jednej stronie wznosiła się stoczniowa maszyneria falująca od złej fizyki, po drugiej zaś znajdowały się piaszczyste wydmy, regularnie absorbujące skorupę opuszczonych plażowych kabin, barów oraz hoteli - „Ivy Mikes”, motel Deleuze, „The Palmer Lounge”. Ociekające rosą płoty grzechotały na wietrze od lądu. Poza chemicznymi wyziewami stoczni asystentka czuła jedynie zapach soli i pyłu. Jej modyfikacje, wrażliwe na każdy powiew, odbierały zderzaki cząstkowe, zakodowane sygnały EMC oraz słabą elektromagnetyczną mgielkę pochodzącą od nieosłoniętej maszynierii. Poza tym nic. Potem K-statek pomknął ku rozrządowej orbicie z prędkością czterdziestu machów. Jego ślad produktów reakcji termojądrowej oświetlał wszystko w bliskim ultrafiolecie. Uwidocznił garstkę obcych maków, wyrastających z ziemi u podstawy bramy. Ich zmiętoszone metaliczne główki kołysały się w zakłóconym powietrzu. Cyrkowe życie w stylu Nowego Wenusportu. W odległym narożniku pola stał krótkozasięgowy frachtowiec o trzech statecznikach, pękaty i wysłużony. Jego obraz nadal zakłócały zmarszczki ciepła po niedawnym wejściu w atmosferę. *Nova Swing*.

Przez chwilę słuchała jego wewnętrznych komunikatorów. Proszę, proszę, pomyślała. Teraz wszyscy troje macie o czym rozmawiać. Nigdzie się jej nie śpieszyło. Uśmiechnęła się i usiadła nieopodal motelu Deleuze, spoglądając na oceaniczne grzywacze, białe na tle świetlistego indygo. Przesypała odrobinę piasku przez palce. Zastanawiała się, czy powinna wybrać dla siebie imię Queenie, Aspodoto, czy może Tienes mi Corazon. Roxie. Mexie. Albo

Backstep Cindy.

Po minucie czy dwóch kwaśne chmury rozstąpiły się, odsłaniając gwiazdy. Ich rozkład nieznacznie się różnił od tego, który znała.

Po dalszej minucie czy dwóch coś przemknęło szybko z lewej ku prawej wzdłuż linii załamujących się fal, osiemdziesiąt metrów przed asystentką. Następnie, na wpół zanurzone w turbulencji, przebiło się przez fale i wydostało na plażę. To był zaśnieżony hermetyczny zbiornik z brązu - w kształcie rury, o wymiarach około trzech metrów na jeden, niedawno pomalowany prostymi absorbentami Jaumanna na podłożu żywicznym. Widziała malowane obwody drukowane oraz boczną linię ciemnoniebieskich LEDów. Na jednym końcu lśniło okienko z kwarcu. We wszechświecie kipiącym od algorytmów wszystko może się zachowywać jak żywa istota. Trudniej jest robić wrażenie inteligentnego, nawet jeśli rzeczywiście taki jesteś, pomyślała asystentka. Trupia klatka, o ile obiekt rzeczywiście nią był, przez parę chwil obracała się o jakieś dwadzieścia, trzydzieści stopni w jedną i w drugą stronę, jakby próbowała się zorientować w terenie, a potem - unosząc się jakiś metr nad plażą i kołysząc się z oleistą sprężystością na każdym podmuchu wiatru - pomknęła w głąb lądu między wydrami, zmierając w stronę *Nova Swing*.

- Zaczekaj! - zawołała asystentka.

Jej modyfikacje włączyły się na maksa, ale coś znacznie bliższego niż statek zaczęło je już rozmontowywać. Cokolwiek mogło to być, okazało się dla niej za szybkie. Złożone pola magnetyczne sięgnęły do środka przez chemicznie wzmocnione siatki proteinowe otaczające pień jej mózgu, a potem zacisnęły się na osiem albo dziewięć milisekund. Oddaliła się, krztusząc się i chwiejąc na nogach. Czuła, że jej kroki wzbijają w powietrze chmury piasku. Punkty udarowe szerzyły się kaskadami przez korę mózgową. Propriocepcję trafił szlag. Rozpoznanie celu trafił szlag. Autonomiczne funkcje trafił szlag. Wszystko trafił szlag. To nie było zabójstwo w stylu *Preter Coeur*. To było coś z *EMC*. Nim system padł, wyświetlacz obrazów i aktywny sonar wykryły coś, co mogło być pochylającą się nad nią ludzką sylwetką. Potem asystentka odebrała: wrażenie zamykających się drzwi: odczucie, że coś się smaży w jej drodze rdzeniowo-wzgórzowej: zapach przypominający odór wytapianego tłuszczu. Wszystko to były iluzje. Padając, czuła tylko coś w rodzaju wstydu. Nic w tym rodzaju nigdy się jej nie przydarzyło.

Gdy się ocknęła, nadal trwała noc. Zbliżał się odpływ. Była sama. Wiatr przynosił zza wydym woń spalanego paliwa raketowego i asystentka przez chwilę interpretowała to jako objaw synestezji spowodowanej spierdoloną przez modyfikacje korą mózgową. Lepiej leżeć na porośniętej piaskowcem wydymie, wymiotować i znosić drgawki, podczas gdy zespoły

naprawcze spokojnie obleżą jej mózg. Nie czuła się tak źle od czasu, gdy wygramoliła się z tanku przy Preter Coeur, gdzie otrzymała nowy zawód i wyspecjalizowaną kończynę. W końcu wstała i powlokła się chwiejnie do motelu Deleuze, gdzie znalazła salę balową wypełnioną naniesionym przez wiatr piaskiem. W żyrandolu nadal paliły się dwie żarówki o niskiej mocy. Dalej, przy barze, siedziało trzech starych mężczyzn w białych czapkach z daszkiem i spodniach z poliestru. Gapili się na nią, grając w kości. Mieli skrzynkę z alkopopami oraz dwie albo trzy butelki rumu „Black Heart” pełnej mocy, który pili bez lodu.

- Jezu Chryste - odezwała się asystentka. - Gdybyście wiedzieli, co dla was dobre, dalibyście mi łyczek.

\*\*\*

Impasse van Sant przybył Linia Carlinga jako kropelka w pięćdziesięcotonowym transporcie zamrożonych gamet przeznaczonych na sprzedaż. Ich cena w transakcjach terminowych spadała. Przechodziły z rąk do rąk od dwustu lat, często jako dodatek do innych, atrakcyjniejszych transakcji: van Santa odmrożono w końcu jako potencjalnego robotnika rolnego. Potem nie mógł znaleźć dla siebie miejsca. W Halo było to często spotykanym objawem.

- Jesteście tam? - wyszeptał wpatrzony w pustą przestrzeń Imps, jeszcze przed narodzinami poświęcony bogom niepowstrzymanej ucieczki i pełnego determinacji, lecz nieprzewidywalnego ruchu.

Nikt mu nie odpowiedział. Potem pojawił się ulotny błysk, bardzo szybki i słaby. W odpowiedzi statek badawczy posortował efekty kwantowe. Oprogramowanie wprowadziło do systemu szerokopasmowy szum, wypełniając go stochastycznym rezonansem, by stał się opowieścią o chwilowym zaburzeniu równowagi energii próżni. Fala danych spiętrzyła się gwałtownie, osiągnęła szczyt, a potem szybko opadła. Liczba obiektów w przestrzeni lokalnej podwoiła się w jednej chwili. Pół parseka bliżej Jądra coś przechyliło się niczym białe skrzydło, uchwycone w chwili, gdy unosiło się na mrocznym tle, jakby miało do wykonania jakąś inną misję. Nie wiedział, ile razy umknęła mu w ten sposób, nim zdążył cokolwiek powiedzieć, jak wielka krucha sierota w substracie wszechświata. Zdarzały się dni, gdy nie mógł znieść takiej możliwości. Dziś był właśnie taki dzień. Choć Imps opowiadał Rigowi Gainesowi rozmaite bzdury przy piwie i ping-pongu, wiedział, że oszukuje siebie, sądząc, że potrafi sam sobie poradzić w kosmosie. Miotał się szaleńczo, próbując ją uchwycić. W blasku staromodnej tablicy rozdzielczej jego twarz nagle nabrała wyrazu łagodnej desperacji.

- Halo?! - wołał w ciemność. - Halo?!

Serce biło mu gwałtownie. Próbował wymyślić coś, co pozwoliłoby mu przywołać ich

poprzednie rozmowy, coś, co z pewnością przyciągnęłoby jej uwagę.

- Czym chciałabyś się stać, gdybyś mogła być tylko jednym?

- Tylko jednym?

- Tylko jednym.

Wirowała nieustannie w próżni. Jej cień padał na niego - elegancki, o szerokości większej niż wysokość, długi od końca do końca na tysiąc metrów. Czasami objawiała mu się w taki sposób, jako pióra. W innych przypadkach była plazmą, nadprzewodnikami, płataniną pól magnetycznych, wokół których mknęły cząstki o wszelkich możliwych energiach. Często wybierała też gruby płat zimnego ciała, falujący na podobieństwo płaszczki.

- Właściwie nigdy nie wiedziałam, czym jestem - odpowiedziała, jakby chciała przyznać, że jest świadoma problemów płynących z podobnej różnorodności.

- Nie wiesz, czym byłaś przedtem?

- Czymś byłam, ale nawet wtedy nie wiedziałam czym. - Zastanowiła się nad tym. - Nawet wtedy podróżowałam z powrotem do czegoś. To było dawno temu - dodała po chwili.

- Gdybym wiedziała, czym wówczas byłam, tym właśnie chciałabym się stać.

- Byłaś już wcześniej czymś innym?

- Nie potrafię tego wytłumaczyć.

- Ja zawsze byłem tylko sobą. Zawsze czułem się uwięziony.

Nie chciała mu w tej sprawie pomóc, nie tym razem.

- Wszyscy czasem podejmujemy błędne decyzje - odrzekła po pewnym czasie z przygnębieniem w głosie.

W tej samej chwili powierzchnią K-traktu wstrząsnął przypadkowy impuls energii. Ulotny obłok czegoś, co było czymś mniej niż gaz, ale czymś więcej niż nicłość - ciemnej materii przypominającej widmowy aksamit - rozszerzył się, wnikając do lokalnego wszechświata.

- Och, popatrz! - zawołała. - Czyż to nie śliczne!

Zmieniła pozycję, by spojrzeć na zjawisko. Stumetrowe pióra na szczycie fali skuliły się i oddzieliły od siebie. Tymczasem jej czoło spenetrowało kadłub Łajby van Santa, dając początek serii zdarzeń tak subtelnych, że nie dało się ich wykryć. Dotknęło jego twarzy delikatnie jak palce kochanki, zostawiając po sobie zamieszanie w obwodach.

- Ktoś tam wszedł - usłyszał jej szept.

- Tak mówią.

- To było niedawno. Zastanawiałam się, czy nie powinnam również tam się udać.

Egzotyczne promieniowanie omywało ich oboje przez dwadzieścia minut, z innym

rezultatem. Gdy van Sant wyłonił się z ogona, który ciągnęła za sobą, zdążyła już wrócić do nieustannego patrolowania pustej przestrzeni i znowu został sam.

„Nie odchódź!” - pragnął zawołać Imps. „Kim jesteś? Czym jesteś? Dlaczego oboje się tu znaleźliśmy? Jaka jest natura twojego dialogu ze wszechświatem? Co wydarzy się teraz? Czy przedstawiciele tak różnych gatunków mogą się ze sobą pieprzyć?”. Wszystkie te pytania zadawał w rzeczywistości samemu sobie i można je było streścić w jednym: „Czy wrócę kiedyś do domu?”.

Nic z tego nie miało jednak znaczenia, gdy ktoś współpracował z R. I. Gainesem. Wszystko, co kiedykolwiek robił Rig, sugerowało, że naprawdę ważne wydarzenia dzieją się gdzie indziej. W jakiejś alternatywnej domenie rzeczywistości, którą aktywnie eksplorowano jednocześnie z naszą. Motywy Gainesa były tak niejasne - o jego projektach nie informowano nawet kierownictwa EMC - że w ostatecznym rozrachunku mogłeś opisać tylko własny udział w operacji (z tego samego powodu raczej nie mogłeś go nazwać „wkładem”, ponieważ nie wiedziałeś, w co właściwie go wniosłeś). Po każdym odwiedzinach obcego gościa Imps był zmuszony zastanawiać się nie nad tym, dlaczego Rig Gaines wysłał go w to odległe miejsce, lecz nad tym, jaka cecha jego tak zwanej osobowości skłoniła go do wyrażenia na to zgody.

W podobne dni, gdy odeszła i światła w głowie van Santa zgasły, instrumenty nie pokazywały mu nic poza jego własną odrzuconą przeszłością: jeden lot z Eskadrą Levy’ego w pustą przestrzeń po drugim. Nie miał nic, co przynosiłoby mu pocieszenie, poza długą powolną walką o zrozumienie kursu, którym zmierzał. Poza tym oraz Traktem. To dlatego, że Trakt nas dogania, pomyślał Imps. Powoli zbliża się do realnego wszechświata. Najpierw zaleje Plażę. Był przekonany, że w tej chwili znajduje się bliżej Traktu niż jakikolwiek inny żyjący poszukiwacz, a to znaczyło, że jego fala pochłonie najpierw.

\*\*\*

Daleko stamtąd, w sali balowej motelu Deleuze, siedząca na podłodze asystentka wracała powoli do siebie. Popijała z butelki mocny rum, przyglądając się, jak starszyszkowie grają z zapalem w grę statkową, poprawiając białe czapeczki oraz otrzepując mankiety eleganckich koszul krótkimi ekonomicznymi gestami.

- No, no - szeptali. Albo: - Masz przejebane.

Ich zdaniem noc się przemieszczała. Co chwila któryś z nich unosił głowę, słysząc szum oceanu, a potem pochylał się w bok i jego czarne oczy, pozbawione wyrazu jak rodzynki, zapewniały asystentkę, że noc faktycznie się przemieszcza. Kości grzechotały, wydzielając obce szczęście, gdy tarcie zmuszało je do zatrzymania się. Asystentka uświadomiła sobie, że lekka woń wymiotów, to się pojawiająca, to znowu znikająca w



zimnym powietrzu, pochodzi od niej. Była trzecia rano i nadszedł szczyt odpływu. Ze zwróconej ku morzu ściany wyłonił się R. I. Gaines.

- O kurczę! - zawołał. - Gra statkowa! Zróbcie mi miejsce!

Staruszkowie spojrzeli nań, mrużąc oczy jak jaszczurki. Zrobili mu miejsce. Byli skłonni przyznać, że interesuje ich coś, co potrafił zrobić z kośćmi. Wkrótce wygrywali już od niego pieniądze, a on wygrywał je od nich.

- To system redystrybucyjny - stwierdził.

Zgodzili się, że gra faktycznie nosi nazwę „redystrybucja”. Asystentka przyglądała się tym zdarzeniom z oddali. Po chwili podeszła do drzwi. Wiała bryza od morza. Świt był już niedaleko. Gaines wreszcie postanowił zauważyć kobietę. Zerwał się na nogi i zaprowadził ją z powrotem do pokoju. Wskazał jednym gestem na pokryte plamami soli ściany, żyrandol z dwiema słabymi żarówkami oraz zakurzone plansze za barem.

- Czasami trudno cię znaleźć - wyznał.

Asystentka wzruszyła ramionami i zaproponowała mu rum.

- Chcesz, żebyśmy znowu usiedli na moim łóżku? - zapytała.

Przyjrzał się jej z namysłem.

- Alef przestał o ciebie pytać. Zastanawialiśmy się, czy wiesz coś na ten temat.

- Nigdy nie miałam pojęcia, o czym mówisz.

Gaines wyszczerzył zęby w uśmiechu, uniósł butelkę i przyjrzał się etykietce.

- „Black Heart” - zauważył. - Wszystkie słodkie uchyłki Morza Karaibskiego.

Asystentka przyjrzała się swemu przedramieniu. Nic się na nim nie działo.

- Zastanawiam się, czy nadszedł już czas na wasze spotkanie - powiedział Gaines.

\*\*\*

Prawda wyglądała tak, że nie potrafił zdecydować. Przed chwilą wrócił z miejsca, gdzie przechowywano Alefa. Zastał tam więcej aktywności niż się tego spodziewał. W błyszczących węglowych podłogach odbijał się blask inteligentnych monitorów, a w powietrzu unosiły się wonie jonizacji oraz konstrukcji. Ludzie Case'a pracowali nad nowymi metodami zamknięcia. Dla wszystkich był to okres wysokiego ryzyka. Nie mieli pojęcia, z czym się zetknęli. W chwili przybycia Gainesa spierali się, czy chcą zainstalować pęk grubych przewodów, dlatego że to nieźle wygląda, czy też załatwią wszystko za pomocą skupionej wiązki, bo, hej, to byłoby szybkie i brudne rozwiązanie. Atmosfera była profesjonalnie toksyczna, ale ożywiona. Case oznajmił Gainesowi, że powodem jest fakt, iż dziś rano Pearl zaczęła emitować pulsujące impulsy fal radiowych.

- O ile potrafimy to określić, nie są zorganizowane.

- No więc, co to jest?

Case wzruszył ramionami.

- Nie jest to również szum losowy.

- To mi zaimponowało. Czy jest coś, czego byście nie wiedzieli?

- Rig, robimy tu, co możemy - odparł znużonym głosem Case.

Specjaliści od obrazowania stworzyli hologram, w którym kobieta obracała się powoli wokół wszystkich możliwych osi. Wyglądała jak wirtualny obraz rzeźby w fałszywych kolorach. Wrażenie psuły jedynie słabe lokalne zakłócenia. Próby usunięcia ich nadały tylko obrazowi zarysy portretu w stylu art deco - unieruchomiły fałdy sukni, tworząc silne, pozbawione zawartości łuki, sugerujące moc i energię. Jej oczom nadano ten sam kolor, co twarzy. Nie było źrenic ani powiek.

- Po utworzeniu tego obrazu kazałem zbudować wokół niej połowy tomograf - ciągnął Case. - Możesz o tym zapomnieć. To było tak, jakbyśmy zaglądali w macicę perłową. - Dla promieni rentgenowskich wewnątrz kobiety było całkowicie jednorodne. - Wiązki pozytonów są tego samego zdania. Postanowiliśmy, że nie będziemy próbować neutronów, na wypadek gdyby zachowała jakieś ludzkie cechy.

- Wygląda, jakby spadała - zauważył Gaines. - Jakby pochwycono ją w chwili upadku.

Jej ciało rozciągnęło się w łuk tak, że tylko górna lewa część klatki piersiowej dotykała podłogi. Prawa noga unosiła się pod kątem trzydziestu stopni, druga zaś wyginała się nieco do tyłu w kolanie. Były rozstawione tak szeroko, jak tylko pozwalała na to suknia. Stopy miała bose. Ręce, wyciągnięte po obu stronach głowy, wyginała ku sufitowi pomieszczenia. Otwarte dłonie zwracała wewnętrznymi powierzchniami ku górze, a palce podginały się i prostowały powoli. Suknia powiewała sztywno, jakby od podłogi sali płynęły silne prądy powietrzne. Wyglądało to tak, jakby spadała bokiem z wielkiej wysokości.

- Jak blisko mogę podejść? - zapytał Gaines.

- Jak tylko zechcesz - odparł Case.

Dla Gainesa kobieta wyglądała na skupioną na sobie, jak ktoś ciężko chory.

- Hej, kim jesteś? - wyszeptał. - Czego właściwie w sobie nie lubisz?

Patrzyła tylko przez niego na wskroś, wyginając się powoli, jakby próbowała zmienić swe położenie w stosunku do linii upadku. Jej mina wyrażała gniew i strach. Podszedł bliżej i uklęknął. Ich twarze dzieliło od siebie nieco ponad pół metra, ale nie był w stanie przysunąć się bliżej - czuł się tak, jakby w niedozwolony sposób wtargnął w czyjąś przestrzeń osobistą, a właściwie gorzej. Spodziewał się poczuć poruszający jej suknią powiew, ale powietrze było całkowicie nieruchome.

- Wyczuwam promieniujące od niej ciepło - oznajmił Case'owi.

- Inni odnoszą wrażenie, że słyszą głos, zbyt odległy, by mogli zrozumieć słowa. Albo czują jakiś zapach, być może perfum. Sądzymy, że wszyscy próbują opisać to samo wrażenie, ale nikomu dotąd nie udało się zbliżyć do tego celu. Ty spisałeś się lepiej niż większość.

- Przedtem chyba z jej ust płynęła jakaś pasta?

- Ona pojawia się i znika - wyjaśnił Case. Dodał też, że fale radiowe mają bardzo niską moc i ściśle lokalny zasięg. - Jeśli łączy się z czymś, to coś dotarło już na miejsce. Jest w labiryncie.

- Jezu, Case. Macie pojęcie, skąd mogła przybyć?

- Nie - przyznał uczony z rozbawioną miną. - Jeszcze jedno. Czasami dostaje konwulsji. Coś cieknie jej z ust. Nie jesteśmy w stanie pobrać próbek, by określić, co to jest. Często zdarzają się też przesunięcia i częściowe zaniki. Przez chwilę wygląda na znacznie starszą. Nic tu się jeszcze nie skończyło.

## KAŻDY MOŻE POPEŁNIĆ BŁĄD

- Popatrz na te wszystkie kobiety - odezwała się Anna Waterman.

Była dziewiąta rano i poczekalnia tomografii szpitala St Narcissus w Farringdon była pełna kobiet. Ich strach wyrażał się tendencją do pisania SMS-ów. Z gorączkową prędkością poruszały kciukami na klawiaturach telefonów, nie unosząc wzroku w obawie, że może to je zmusić do wyznania czegoś na temat ich dolegliwości. Sala ułatwiała im zadanie. To była nie tyle poczekalnia, ile jej stylizowana wersja - spokojna postmodernistyczna fantazja na temat szeregów krzeseł stojących pod ścianami, pełna tapicerki w delikatnych ciepłych odcieniach szarości i błękitu, kierujących światło ku górze kloszy przypominających porcelanowe filiżanki, czystych okrągłych stolików wyłożonych papierowymi czasopismami poświęconymi plotkom lub nieruchomościom. Nikt już ich nie czytał. Na ścianie wisiały oprawione w ramki obrazy kotów. Gdy spojrzano się na nie pod odpowiednim kątem, okazywało się, że przypominają przekroje tych zwierząt. Ten żart wymyślili radiolodzy na spółkę ze szpitalnym malarzem. Pod powierzchnią żartu nadal można było jednak zobaczyć wszystko, do czego się odnosił. Spojrzawszy w górę, widziałaś plamę na sufitowych kafelkach. Zależnie od twojego nastroju, mogłaś ją uznać za mapę odległej wyspy albo za przekrój czyjegoś guza. - To wszystko tłumaczy - stwierdziła Anna, która nienawidziła szpitali.

Marnie parsknęła śmiechem.

- Lubię takie klosze - wyznała. - Mamo, muszę wysłać SMS-a - dodała po chwili.

- Z pewnością nikt nie może ich lubić?

- Mamo...

- Chodzi o wkładkę domaciczną, prawda?! - zawołał do Anny rejestrator, przerywając im.

- Słucham? Nie ja jestem pacjentką - odparła starsza kobieta.

- Badała sobie pani nerki, tak? W zeszłym tygodniu? Czy mogłaby mi pani przeczytać tę ulotkę, skoro pani tu czeka?

- A dlaczego? Nie może jej pan przeczytać sam?

Anna zerknęła na ulotkę i odczytała słowa: „Proszę natychmiast się zgłosić do rejestracji zakładu radiologii”.

- Nie ja jestem pacjentką - powtórzyła ze złowrogą wyrazistością, robiąc bardzo długie przerwy między słowami.

Podczas tej rozmowy Marnie wezwano na badanie.

- To nie potrwa długo - zapewniła. - Dlaczego nie miałabyś poczekać tutaj i pooglądać sobie telewizji?

- Nawet nie zaczynaj.

Czekając na córkę, Anna przeglądała czasopisma. „Domy, na Które Cię Nie Stać” zawierały zdjęcia o wysokiej rozdzielczości, przedstawiające budynki w Surrey i Perthshire. W starych egzemplarzach „Mine” i „Get” znalazła ubrania, gadżety, a zwłaszcza wymyślne zabiegi operacyjne przeznaczone dla bogaczy. Ośmioletni dziedzic jednego z większych przekrętów z funduszami z pierwszego dziesięciolecia dwudziestego pierwszego wieku przekonał chirurgów, by przeszczepili mu na miesiąc macicę i jajniki pochodzące od „nieznanej wschodnioazjatyckiej dawczyni”. Tymczasem jego matka, która zmodyfikowała sobie genetycznie skórę tak, by porosły ją puszyste pióra o zamówionej barwie węgla drzewnego, oznajmiła z satysfakcją, że „osiągnęła wygląd, jakiego zawsze pragnęła”, jakby sama wykonała w domu wszystkie niezbędne zabiegi. Przypominała nieco samochód firmy Porsche. Matka i syn uśmiechali się leniwie spomiędzy akapitów, gruntownie ogrzani własnym ciepłem. Tymczasem wrześnieowa „Strażnica” obiecywała Pocięgę dla Seniorów. Anna popatrzyła na to z antypatią. Potem - ponieważ nie spała przez całą noc - zapadła w sen. Śnił się jej seks. Wkrótce potem zjawiała się Marnie i poszły na drugą stronę ulicy, do restauracji Carluccios na cioccolata calda, „zemstę zakonnicy”, ulubioną czekoladę Marnie od ósmego roku życia. Anna zamówiła też migdałowego croissanta, ale okazało się, że zamiast pasty migdałowej pokrywa go cienka warstwa raczej niesmacznej polewy.

- Cieszę się, że mam to już za sobą - wyznała Marnie, kładąc dłoń na dłoni matki. - Dziękuję, że ze mną poszłaś. Naprawdę.

- Przypomnij mi, co to właściwie było za badanie.

Marnie cofnęła dłoń.

- Mogłabyś przynajmniej starać się śledzić moje życie - poskarżyła się z przygnębioną miną.

- Pewnie mi to powiedziałaś, ale zapomniałam.

- Anno, mam wrażenie, że straciłaś kontakt z rzeczywistością - odparła jej córka.

- Jeśli nadal jesteś na mnie zła za tę łazienkę...

- To nie ma nic wspólnego z łazienką.

- Marnie, każdy może popełnić błąd.

- Nie chodzi o łazienkę.

- A więc o co?

Młodsza kobieta odwróciła wzrok, wyglądając przez okno.

- Jestem chora, a ty wdajesz się w kłótnię z rejestratorem.

- Traktował mnie protekcjonalnie.

- Jestem chora - powtórzyła z uporem Marnie. - Nie poszłabym na to badanie, gdybym się dobrze czuła.

- Myślałam, że mówiłaś, że to nic.

- Bo to prawda. Jestem pewna, że to nic. Ale nie o to chodzi. Mówię ci, żebyś się nie martwiła, a ty po prostu przyjmujesz to do wiadomości. - Skinęła lekceważąco dłonią i nagle odsunęła krzesło od stolika. - Chyba nie żyjemy już w tym samym świecie, Anno - oznajmiła, a potem wstała i wyszła.

Anna siedziała za stołem, trzymając dłonie na kolanach. Nie wiedziała, co teraz zrobić ani o czym myśleć. Choć za ogromnymi szybami restauracji świeciło słońce, z nieba lały się strugi deszczu, zmieniające Farringdon - można by pomyśleć, że po raz pierwszy i ostatni - w romantyczny film o nim samym. Ludzie śpieszyli się ze śmiechem. Obserwowała ich aż do chwili, gdy przestało padać. Po drugiej stronie ulicy neon optyka mrugał, zmieniając się co chwila. Śledziła to wzrokiem. Gdy ekspres do kawy zasyczał, zwróciła głowę w jego stronę. Słuchała rozmów ludzi siedzących przy sąsiednim stoliku. Inni wchodzili do restauracji albo ją opuszczali.

Przez minutę albo dwie za jej plecami biegało małe dziecko, śmiejąc się i wrzeszcząc. Ludzie nigdy się nie zmieniają ani nie dorastają, pomyślała. Po półgodzinie Marnie wróciła i powiedziała, że ją przeprasza. Potem poszła do pracy. Anna pojechała metrem do Waterloo i w południe była już w domu. Wyszła do ogrodu, żeby zjeść obiad, i przekonała się, że pod jej nieobecność klomby u podstawy altany znowu porosła roślinność. Tym razem była wyższa. Grube gumowate łodygi barwy jaskrawej zieleni kołysały się w blasku słońca, jakby poruszały się o własnych siłach. Wyrastające z nich kwiaty przypominały trąbki albo abazury od Tiffany'ego. U stóp gęstwy rosły niezwykłe maki barwy miedzi. Glebę między nimi pokrywały galaretowate narządy - różowe albo jaskrawoniebieskie - takie same jak te, które kot co noc przynosił do domu. Spomiędzy roślin wylatywały maleńkie ptaszki - najróżniejszych kolorów, ale wszystkie jednobarwne; ptaszki ze szmacianych książeczek dla dzieci spoglądały na Annę, przechylając łebki. Sama altana wyglądała, jakby spadała ku górze

w jakiejś zniekształconej perspektywie, jej elementy opierały się o siebie, jakby ustawiono je tam byle jak, a potem porzucono, sfatygowana żółta tablica przypominająca rysunek samej siebie majaczyła na tle przesadnie błękitnego nieba.

Anna pociągnęła za drzwi altany, jak ktoś zdeterminowany, by dotrzeć do sedna sprawy, ale w środku była to tylko zwyczajna szopa ogrodowa - zakurzona, gorąca i pełna pękających powoli pudeł, licznych warstw pajęczyny oraz czegoś w rodzaju archeologicznego czasu. Przedmioty związane z ogrodnictwem. Przedmioty nieużywane. Przedmioty należące do Tima albo Marnie, pamiątki po modach bądź błędnych decyzjach sprzed wielu lat; tu zwinięty plakat, za kruchy, by można go jeszcze było rozwinąć; tam mała gliniana figurka, o kończynach ustawionych w taki sposób, by symbolizowała tancerkę Degasa. Anna nagle poczuła, że ma tego serdecznie dosyć. Nie potrafiła dłużej tego znieść, podobnie jak zagadkowego zachowania Marnie w restauracji. Zniosła obiad z powrotem do domu i wyrzuciła go do śmieci, a potem poszła zjeść posiłek w „de Spencer Arms”. Spotkała tam chłopaka od psów. Tym razem nie miał ich. Siedział za stolikiem, tak daleko od budynku, jak tylko mógł. Oplatał rękoma kolana, a robocza kurtka leżała obok niego.

- Postawię ci coś - zaproponowała Anna. - Pijesz o tej porze?

\*\*\*

Wczesne popołudnie w „de Spencer Arms”. Ciepły blask słońca. Lekki wietrzyk przynosił z drugiej strony wzgórz zapach janowca i soli. Puste torebki po chipsach unosiły się na nim między zewnętrznymi stolikami. Parking był pusty. Skowronki wisiały na niebie niczym nakręcane zabawki. Trzepotały skrzydłami i wydawały z siebie melodyjne tony, unosząc się i opadając bez dostrzegalnego planu. Wewnątrz było zwyczajne popołudnie dnia roboczego: ostry odór brudnej od tłuszczu wykładziny, sera i jarzyn zapiekanych w cieście; stare piwne opary; szaleństwo albo nuda w oczach barmana. Para w identycznych dwurzędowych garniturach granatowej barwy stała przy fałszywym kominku, upozowana, jakby był październik. Kobiętę można było poznać głównie po posturze i sterczących piersiach. Miała kolczyki przypominające małe samochodowe koła i nosiła kawałek wstążki jako krawat. Otaczała ją aura aktorki grającej w amerykańskich komediach slapstickowych z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku.

- Powiedziałał mi to w Niagrze - mówiła, gdy Anna weszła do środka. - I powiedziałał mi to w Datchet.

Oboje wyglądali na przewodników turystycznych. To zwyczajowe ostrzeżenie przed starzeniem się, pomyślała Anna.

Przyniosła ostrożnie szklanki.

- Tym razem zamówiłam harveya dla nas obojga. Poprzednio mi smakował. Gdzie się podziały twoje piękne psy? Bardzo chciałam znowu je zobaczyć.

- One nie żyją, te psy.

- Nie żyją?

- Zmarniały - wyjaśnił chłopak. - Niektórzy mówią, że to naturalne, ale ja w to nie wierzę.

- Na pewno masz złamane serce!

Zastanowił się nad tą kwestią, a potem wzruszył ramionami.

- Widzisz? Tam, nad Western Brow? Myszołów. - Roześmiał się. - Coś kombinuje, ten skurczybyk - dodał i wypił pół szklanki jednym długim haustem. - Ci na polach mówią, że to moja wina, ale ja w to nie wierzę.

- Nie rozumiem.

- Dlaczego miałabyś rozumieć? Ale dobrze biegały w świetle latarki, te psy.

Anna czekała, aż powie coś więcej, ale najwyraźniej to było już wszystko. Siedzieli w blasku słońca, na wpół skrępowani, a na wpół przyjacielscy, aż wreszcie kupiła im po drugim piwie. Wzgórza pokryła pozlota.

Coś w powolnym przechodzeniu popołudnia w wieczór, w stopniowym wydłużaniu się cieni pod Streat Hill, sprawiało, że wszystkie obiekty wydawały się bliższe, niż były w rzeczywistości. Odległe dźwięki również. Wszystko sprawiało wrażenie bardziej obecnego. Parking zaczął się wypełniać pojazdami przybyłymi z Londynu: samotni mężczyźni wciskali swoje TVR-y i włoskie motocykle między źle zaparkowane terenówki; monotematyczni turyści opuszczali wzgórza odziani w stroje rowerzystów, pieszych wędrowców czy obserwatorów ptaków. Kilka kobiet - jedna z nich nosząca spodnie w dwóch odcieniach oraz brązowe zamszowe buty z frędzlami - przybyło jednocześnie na nienagannie utrzymanych koniach. Dwie z nich poszły kupić coś do picia. Anna obserwowała chłopaka.

- Opowiedz mi o polowaniu z latarką - poprosiła.

Zastanowił się nad tym.

- Potrzebna jest dobra ciemna noc - zaczął po chwili.

Zdała sobie sprawę, jakie to dla niego trudne - że tę sprawę spowija dla niego emocjonalna mgła. Jak można opisać coś, co zna się tak dobrze? Był zbyt blisko tematu. Trudno mu było odróżnić wrażenia od praktyki, znaleźć odpowiedni dystans, nie połączyć wszystkich subtelności w jedną całość. A teraz stracił też psy.

- A do tego dobra latarka, stara lightforce albo coś w tym rodzaju. Można kupić używaną. I jeszcze jedno, bateria o płaskiej krzywej rozładowania. Ci na polach wiedzą o tym



wszystko, ciągle mówią o tym, jaką latarkę kupić. Dla nich to koniecznie ma być milion kandel. - Zastanawiał się przez chwilę. - Nie zwracam na to zbyt wielkiej uwagi - wyznał wreszcie, jakby był sobą zaskoczony. - Lubię, jak pies biegnie za światłem.

- Polujesz ze swoimi psami na króliki? - zapytała Anna.

Popatrzył na nią, jakby była szalona, jakby wygłosiła opinię tak uproszczoną, że nie potrafił jej obalić. Poczuł też jednak ulgę: miał od czego zacząć.

- Na króliki, na lisy - odparł. - Na wszystko. - Przedtem wołał zające, ale po ostatnim polowaniu przestały go obchodzić. - Potrzebna jest dobra ciemna noc i lekki wietrzyk.

- Znajdujesz zwierzę dzięki latarce? - zapytała. - A potem każesz psom je ścigać? To chyba okrutne.

- Wszystko mi jedno.

- Ale one zabijają to zwierzę? - zapytała Anna.

Dla niej to było okrutne, ale dla chłopaka liczyło się światło. Światło i pościg. Nic nie mogło się równać ze spuszczeniem psa ze smyczy i obserwowaniem, jak pędzi za plamą blasku.

- Nic nie mogłoby być bardziej ekscytujące! - zapewnił. Nie zależało mu nawet na tym, żeby coś upolować. Każdy królik mógł zdobyć metr albo dwa przewagi i w ten sposób zapewnić sobie ucieczkę.

- Znikają w żywopłocie, nim zdążysz się zorientować. - Mógł jej to pokazać, jeśli będzie chciała. - Sfilmowałem te psy, kiedy jeszcze żyły. - Wskazał ręką gdzieś w stronę Wyndlesham. - Trzymam tam te filmy. - Miał je po drugiej stronie Ampney, w chatce, w której mieszkał. To było niedaleko. - Mogę ci je pokazać! - zapewnił.

Oboje poczuli się tym zaskoczeni. Popatrzyli na siebie nawzajem, zdziwieni tak bliskim kontaktem. Chłopak odwrócił wzrok.

- Jeśli będziesz chciała - dodał zmienionym głosem.

Było wpół do szóstej. Za godzinę w „de Spencer Arms” znowu zrobi się tłoczno. Ogród na stoku na zapleczu zapełni się ludźmi, przepychającymi się w ciepłym mroku. Zabrzmią nerwowe śmiechy i narcystyczne krzyki. Gdy nadejdzie pora zamknięcia pubu, wzgórze staną się ciemnym zarysem, widocznym na tle gwiazd. Pochłoną wszystkie dźwięki, nie produkując w zamian echa. Anna uniosła szklanke, przyglądając się paru centymetrom piwa, które zostały na dnie.

- W porządku - zgodziła się.

\*\*\*

Chatka, długa parterowa konstrukcja z drewna, w której niegdyś mieszkali nieżonaci

służący biorący udział w miejscowym polowaniu na lisa (imprezie znanej w jej dniach chwały jako Ampney), stała pośrodku pola obok kilku kawałków drogi o ceglanej nawierzchni oraz porośniętego zielskiem brukowanego podwórza. Właściwie był to zwykły barak i choć było jeszcze popołudnie, już zrobiło się w nim zimno. Podłogi z nagiego betonu wygładziły lata użytkowania. Na jednym końcu ulokowano kuchnię, na drugim zaś magazyn pełen rdzewiejących metalowych łóżek oraz owiniętych w plastik palet z supermarketu wypełnionych karmą dla psów. Pośrodku znajdowało się pięć albo sześć pustych pokoiów, tworzących pozbawiony okien korytarz oświetlony przez jedną dwudziestowatową żarówkę. Cały swój skromny dobytek chłopak przeniósł do kuchni, gdzie było stosunkowo ciepło. Na dwóch półkach stały paczki z płatkami zbożowymi i puszki z fasolą w sosie pomidorowym oraz czteroprocentowym jasnym piwem. Jednoosobowe łóżko ustawiono pod ścianą w kącie.

- Nie potrzebuję wiele - wyjaśnił. - Nigdy nie zależało mi na rzeczach.

Był tu grzejnik na olej parafinowy, ale nie było czajnika. Chłopak robił herbatę z letniej wody ze starego grzejnika firmy Creda Heating, zamontowanego na ścianie nad zlewem, a czynsz płacił do ręki „tym na polach”, którzy pozyskali chatkę w jakiejś bezgotówkowej transakcji, której nie rozumiał, i czasami przeciągali łóżko z magazynu do jednego z pokoiów, by korzystać z niego podczas weekendu.

- Jest całkiem tanio - skwitował.

Jedynym nowoczesnym sprzętem w kuchni był naprawiony laptop z pierwszych lat dwudziestego pierwszego wieku, podłączony do umieszczonego na górze gniazdka za pośrednictwem listwy zasilającej.

- Wszystko w nim trzymam - zapewnił z czymś w rodzaju nieśmiałej ironii. - Całe swoje życie.

Był dumny z urządzenia w takim samym stopniu, jak z filmików, które umieszczał na YouTube. Te chwiejne, słabo oświetlone urywki nagrane kieszonkową kamerą wydawały się nie tyle okrutne, ile trudne do zinterpretowania. Rozedrgane elipsy i plamy białawego światła pojawiały się i znikły nagle na tle czarnego prostokąta. Pojawiał się w nich żywoplot, kawałek porośniętego wysoką trawą pola, ogrodzenie z siatki widoczne pod dziwnym kątem. Coś przecinało je zygzakiem i znowu znikowało w mroku. Coś innego zawracało raz po raz, by wreszcie skryć się w żywoplotcie. Na końcu każdego filmiku pojawiał się chłopak. Trzymał zabite króliki za uszy, a na jego twarzy widniał eteryczny uśmiezek. Na jednym psy zauważyły jelenia, który popatrzył na nie, a potem wyszedł powoli z pola widzenia. Chłopak dodał do niektórych filmików współczesną muzykę ludową, do innych zaś death metal sprzed trzydziestu lat. Oglądając je, znowu się podekscytował, jak ongiś jego psy, kiedy zwęszyły

trop. Siedział na łóżku obok Anny. Nie było tu żadnego innego miejsca, w którym mógłby usiąść. Czowała, jak jego ciało drży z podniecenia.

- I co o tym myślisz? - zapytał ją. - Co o tym myślisz!

Gdy już minął jej niesmak, Anna poczuła się znudzona. Ucieszyła się, gdy wreszcie wyłączył komputer i obalił ją na łóżko z nieśmiałym, a zarazem chytrym uśmiechem.

- Daj, zdejmę ci te dzinsy - odezwała się. - Przydałoby się je wyprać - zauważyła ze śmiechem. - Trochę mnie boli - dodała po chwili.

Robił dalej swoje, jakby jej nie usłyszał, i po chwili zapomniała o tym tak, jak zapomina się o skrzypieniu łóżka albo o ludziach przechodzących hotelowym korytarzem za drzwiami pokoju. Było błogosławieństwem, że w ogóle miała szansę się rznąć. Nie był Timem Watermanem, ale nie był też Michaeliem Kearneyem. Szybko stanął mu po raz drugi, jak większości młodzieńców.

Anna zasnęła. Kiedy się obudziła, w chatce było zimno. Chłopak stał nagi przy oknie, spoglądając ku leżącej za polami wiosce. Zaczynało robić się ciemno. Znad rzeki napływały już wstęgi mgły. Widziała, że chłopak ma na razie dosyć. Jego plecy, bielsze i chudsze niż się spodziewała, sprawiały wrażenie bezbronych, a zarazem rozświetlonych wewnętrznym blaskiem. Anna przyglądała mu się przez minutę czy dwie, a potem zgarnęła ubranie i zaczęła je wkładać.

- Mam trochę roboty, którą trzeba wykonać - odezwała się, gdy uznała, że chwila jest odpowiednia.

Chłopak poruszył lekko jednym barkiem - wzruszył ramionami, czy może wzdrygnął się boleśnie - i oznajmił, że nie szuka pracy. Miał jej pod dostatkiem.

- Co to za robota? - zapytał.

Odpowiedziała, że to nic takiego. Po prostu musi coś pomalować.

Odpowiedział, że ma już dość tego typu pracy.

- Chciałabym, żeby ktoś przyjrzał się mojej łazience - wyjaśniła. - Nie mieszkam daleko. Gdybyś wpadł w tygodniu, mógłbyś coś dla mnie zrobić.

Znowu poruszył barkiem, nie przestając wyglądać przez okno.

- Te psy były moimi towarzyszami, aż do chwili, gdy dorwał je szary zając.

Anna nie miała pojęcia, o co mu chodzi.

- To wszystko zepsuło. Przedtem mogłem z nimi rozmawiać.

Kiedy wychodziła, odwrócił się nagle.

- Ale przyjdę się z tobą zobaczyć? Przyjdę do ciebie?

Dotknęła z uśmiechem jego ramienia.

- Włóż ubranie. Tu jest zimno.

Ścieżkę na zewnątrz spowiła mgła, ale jeśli spojrzano się prosto w górę, można było zobaczyć gwiazdy. Anna skierowała się w stronę Wyndlesham, idąc tak szybko, jak tylko mogła. Raz czy drugi uniosła rękę nad głowę albo uśmiechnęła się bez powodu. Zastanawiała się, co naprawdę stało się z psami. To były takie piękne zwierzęta. Może je sprzedał. Albo po prostu się nimi znudził. Nie potrafię sobie wyobrazić, co by o nim pomyślała Marnie, przemknęło jej przez głowę, ale to w końcu nie jej interes. Poszukała komórki, ale nie mogła jej znaleźć. Zatrzymała się nagle, unosząc obie ręce do ust, i parsknęła śmiechem. Nie mogę wierzyć sobie, pomyślała. Gdy obejrzała się za siebie, odniosła wrażenie, że chatka unosi się bez oparcia w gęstniejącym mroku. Wszystko, co sobą reprezentowała, było już przeszłością. Od kryzysu bankowego w roku 2007 stajnie - zbudowane przez Johna Ampneya pod koniec osiemnastego wieku przy użyciu produkowanych na miejscu cegieł oraz dachówki holenderki budynki nie miały początkowo służyć do polowań - podążały ściśle za spadającą krzywą ekonomiczną; przebudowa, najpierw na prestiżową przestrzeń biurową, a potem na „strzelnicę” paintballową; dziesięć lat opuszczenia i dzikich lokatorów; a wreszcie aneksja przez miejscowe władze, gdy hrabstwa Kent i Sussex próbowały jakoś pomieścić tysiące chińskich uchodźców ekonomicznych wyrzuconych na brzeg w starych Cinque Ports. Następnie pozwolono im popaść w upadek.

\*\*\*

W domu czekało na nią kilka wiadomości od Marnie: „Mamo, próbowałam się dodzwonić, ale znowu wyłączyłaś komórkę. Mamo? Mamo, proszę odpowiedz”, a także jedna od Helen Alpert, przypominająca o wizycie jutro rano. Anna, która umierała z głodu, zrobiła sobie fasolę na grzance. Nim grzanka była gotowa, Anna krążyła w tę i w tę, jedząc kawałki galaretki z pigwy z odrobiną zimnej soczewicy, którą znalazła w głębi lodówki. Wzięła starego kota w ramiona i uściskała go w sposób, jaki nigdy mu się nie podobał.

- James, James, och, James - mówiła. - Co ty znowu kombinowałeś?

Przyznała sobie w nagrodę pół butelki wina „Calvet Prestige Rouge” i wskutek tego zasnęła przed telewizorem.

Kiedy się obudziła, było późno. Kot znowu sobie poszedł. Wypiła szklanekę wody i podeszła do wychodzącego na ogród okna. W altance było spokojnie. Ale te sny, które ją nawiedzały! Wyszła na dwór i stanęła boso na trawie, wciskając palce w wilgotną darni, żeby się obudzić.

- James! - zawołała.

Skądś zza domu padła potężna wiązka białawego światła, wyglądająca jak światła

samochodu skręcającego z drogi na podjazd, ale bezgłówna, zamarła w bezruchu i trwająca bardzo długo. Albo może jak ogromne drzwi, które otworzyły się nagle. Plama światła miała prostokątny kształt i ostre zarysy, szukała czegoś, co mogłaby ujawnić. W tym przypadku były to tysiące kotów, gnających przez podmokłą łąkę ku domowi Anny czujną, bezgłówną falą. Wszystkie były albo czarne, albo białe. Wlały się do ogrodu, rozdzieliły wokół altany i ruszyły ku Annie, nie poświęcając jej więcej uwagi niż ogrodowym meblom. Wciąż napływały nowe, jak problemy z zakresu mechaniki statystycznej. Nie zwalniały, ani nie stawały się mniej liczne, przybywały z łąki i przechodziły za dom. Anna padła ofiarą potężnego błędu wyjaśnienia i nie potrafiła się umiejscowić w stosunku do tego zdarzenia. W żadnym sensie tego słowa nie wiedziała, jak się do niego ustosunkować. Odwróciła się z niesmakiem i spróbowała się wdrapać na płot ogrodowy. Weszła prosto w strumień kotów i zatrzymała się ze łzami czystego zachwyty spływającymi po twarzy. Czowała, jak ją opływają, przynosząc ze sobą ciepło swych ciał, a także bliski, stęchły, ale całkiem przyjemny zapach - aż wreszcie światło zgasło i w ogrodzie znowu zrobiło się pusto. Stała tam jeszcze przez moment, śmiejąc się i ocierając oczy, aż wreszcie wróciła do domu i nagrała wiadomość na automatyczną sekretarkę doktor Alpert:

- Helen, nie sądzę, bym była w stanie kontynuować nasze rozmowy. Uważam, że powinnam sama wziąć odpowiedzialność za swoje życie.

Podobną wiadomość zostawiła córce:

- Nie jestem pewna, czy potrafię to wyjaśnić. Po prostu nie jest mi już tak trudno radzić sobie ze sobą, jak przedtem. - Przerwała na chwilę, zastanawiając się, co jeszcze powiedzieć. - Miałam dziś wieczorem w ogrodzie mnóstwo kotów! - To jednak nawet nie zbliżało się do faktów ani nic nie mówiło o tym, jak minęła jej reszta dnia. - I, Marnie, poznałam kogoś, ale nie wiem, czyby ci się spodobał - dodała.

Przerwała połączenie i rozejrzała się w poszukiwaniu przenośnego dysku Michaela Kearneya. Wydobyty ze śmieci na dnie jej torebki, leżał na kuchennej ladzie jak zaczarowane jajko. Jego bogata w rysy powierzchnia w magiczny sposób przetwarzała odbicie zwyczajnego domowego światła w wiele lat poczucia winy. Anna Waterman nie miała pojęcia, czy staruszek z południowego Londynu to rzeczywiście Brian Tate. Musi pogodzić się z faktem, że jej wspomnienia o skandalach otaczających śmierć Michaela i upadek Tate'a na zawsze pozostaną niejasne; że jej konflikty z Michałem - podobnie jak walka, którą toczyła z samą sobą - będą stopniowo traciły na znaczeniu. Rozumiała teraz, że w pewnym wieku człowiek nie jest już winien przeszłości nic poza zrozumieniem, że minęła. Michael mógł iść do diabła, jeśli do tej pory do niego nie trafił. Jutro zabierze dysk do Carshalton, by

w taki czy inny sposób uwolnić się od odpowiedzialności za dane, jakie mógł zawierać, i na tym koniec.

## NOWOCZESNA LUMINESCENCJA

- To zjawilo się znikąd.

- Nic nie zjawia się znikąd.

- Ha, ha. Co to jest?

- Napisali na tym „zawartość biologiczna”.

Tank przetrwał niedawno jakiś wysokotemperaturowy incydent, po którym wypadł w pustą przestrzeń w odległości minuty świetlnej od rufy *Nova Swingi* unosił się tam pośród rozpraszającej się piany energii punktu zerowego oraz materii odpadowej, aż wreszcie Gruby Antoyne wciągnął go na pokład. Podrapana i poobtłukiwana powierzchnia szybko traciła kolor, przechodząc przez paletę bożonarodzeniowych odcieni czerwieni, a potem barwę jasnośliwkową, by dotrzeć do matowej szarości, jaką identyfikowało się z obiektami wojskowymi. Większość zewnętrznych elementów wyparowała, te zaś, które ocalały, nie miały sensu, chyba że pierwotnie były wewnętrznymi częściami jakichś większych struktur. Gdy tank wystygł już na tyle, że można go było dotknąć, Antoyne zdjął pokrywę luku.

- Zapal światło.

Liv Hula zapaliła światło.

- Znikąd! - powtórzyła. - O mało na to nie wpadłam. Była podekscytowana, dopóki nie zauważyła, co jest w środku. Przewód wychodził z punktów początkowych w kręgosłupie. Rozciągnięta na czaszce skóra przypominała wygarbowaną albo zachowaną na cieple pochowanym w bagnie. Między nią a kością nie pozostał żaden ślad ciała. Skurczone wargi odsłaniały wielkie nierówne zęby. Oczy, przekrwione i większe niż za życia, spoglądały ze smolistych oczodołów. Z włosami coś było nie w porządku. Resztę trudno było dostrzec. Wypełniający tank proteom - trzydzieści tysięcy odmian białka połączonych w coś w rodzaju cieplej plwociny - krążył powoli wokół ciała.

Liv odwróciła się z niesmakiem.

- To nie jest obcy - stwierdziła. - To K-kapitan.

Dla niej była to metafora opisująca wszystkich kosmicznych pilotów: dysocjacja, halucynacja, inwazyjne zabiegi operacyjne, wyrzeczenie się człowieczeństwa w zamian za

sposób życia tak bezwartościowy, że aż budził śmiech.

- Wyrzucić to w przestrzeń - poradziła.

Antoyne nie chciał się wdawać w tę dyskusję. Słyszał już wszystkie argumenty.

- Mam wrażenie, że poznaję tego faceta - stwierdził, chcąc zmienić temat.

Liv raz jeszcze przyjrzała się ciału i wzruszyła ramionami.

- Oni wszyscy wyglądają tak samo. Skolioza. Pseudopolio. Brak połowy narządów.

Wszędzie pełno przewodów.

Potem Antoyne zaczął się zastanawiać, jakie niewyobrażalne siły wyrzuciły pilota z jego statku.

- Nie bądź pewien, że to mężczyzna. Ponad połowa ochotników to dziewczyny. To alternatywa dla anoreksji przeznaczona dla myślących dwunastolatek.

Antoyne przesunął nad ciałem lampę badawczą. Wyglądało jak wrak pod wodą. W blasku lampy można było zobaczyć delikatny ił unoszący się w cieczy.

- Czy już nie żyje? - zapytała mona Irene, czekająca w kabinach dla załogi.

Od najbliższego portu dzieliło ich trzydzieści światła, znajdowali się w obszarach pustki otaczających sam Trakt. Podczas gdy Antoyne zakręcał z powrotem pokrywę, trwał ożywiony spór o to, czy natrafili na tank przypadkowo, czy też była to kolejna pozycja w liście przewozowym MP Renoko. Liv Hula upierała się, że fakt, iż nie potrafią tego rozstrzygnąć, najlepiej świadczy o tym, jak dziwaczne stało się ich poczucie rzeczywistości. Stali tam przez pewien czas, wymieniając argumenty, aż wreszcie opuścili ładownię.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi grodzi, z K-tanku popłynęły impulsy kodu o wysokiej szybkości - ćwierknięcia i zająknięcia, dziwne fragmenty prostych rachunków oraz urywki zwyczajnego języka, tajemnicze, lecz empatyczne, jakby jego mieszkaniec próbował nawiązać kontakt, ale nie pamiętał, jak to się robi. Inne przechowywane w ładowni obiekty podekscytowały się tym przesadnie. Odpowiadały mu miganiem jaskrawych światła, infradźwiękowym nuceniem oraz krótkimi rozbłyskami promieniowania jonizującego. Po być może godzinie przybysz - barokowe ożebrowanie oraz wypukłości pozostałe po stopionej rurze wlotowej nadawały mu wygląd dziecięcej trumny udekorowanej wytłoczonymi podobiznami elfów, jednorożców i smoków - wreszcie się uspokoił.

- Powinniśmy go zrzucić na najbliższe słońce - stwierdziła Liv Hula.

Kiedy zgłaszasz się do służby na K-statkach, powstrzymujesz się od jedzenia przez czterdzieści osiem godzin. Dają ci zastrzyki i po dwudziestu czterech godzinach w twojej krwi roi się od patogenów, sztucznych pasożytów oraz skrojonych na miarę enzymów. Pojawiają się u ciebie objawy stwardnienia rozsianego, tocznia i schizofrenii. Przywiązują cię



pasami i przez trzy następne doby operatory cienie wykorzystujące nanomechanizmy rozbierają twój układ współczulny na części, nieustannie wypłukując odpadki przez okrężnicę. Do organizmu pompują ci pastę złożoną z nanofabryczek, farm proteinowych oraz monitorów metabolizmu. Podpinają ci się do rdzenia kręgowego. Cały ten czas jesteś przytomna, z wyjątkiem krótkiej chwili, gdy zapoznają cię z samym K-kodem. Wielu rekrutów nie przeżywa tej chwili. Jeśli przeżyjesz, zamykają cię na stałe w tanku ulokowanym z przodu statku. Nie masz już wtedy większości narządów. Jesteś ślepa i głucha. Przepływa przez ciebie coś w rodzaju mdlącej fali. Nacinają ci mózg, by mógł zaakceptować interfejs znany jako „krzyż Einsteina”. Łączysz się z pokładową matematyką. Wkrótce będziesz mogła przetwarzać piętnaście petabajtów danych na sekundę, ale nigdy już nie będziesz chodzić. Nigdy nikogo nie dotkniesz ani nikt nie dotknie ciebie. Nigdy nie będziesz się pierdolić. Niczego nie będziesz mogła robić sama. Nawet srać sama nie będziesz.

Podpis składasz w małym pokoju, w którym panuje przyjemna temperatura. Mimo to, ciągle jest ci zimno. Żegnasz się z rodzicami. Podają ci środki wymiotne, bez względu na to, czy cokolwiek jadłaś. Potem czekasz godzinę albo dwie na zastrzyki. Przed czterdziestu laty Liv Hula - drząc na skraju łóżka, wymiotując do plastikowej miski i próbując podtrzymać szpitalną koszulę nieustannie rozchylającą się z tyłu - uświadomiła sobie, że może przyjąć krzyż Einsteina, ale nigdy nie będzie w stanie się od niego uwolnić. Dlatego odstawiła ostrożnie miskę i - nie odzywając się do nikogo - ubrała się i wróciła do swego życia.

\*\*\*

Wszędzie, gdzie się potem zatrzymywali, rozmawiano o wojnie. Prowokacja gonila prowokację. Na każdą retorykę odpowiadała kontrretoryka, historię powszechnie rewidowano. W miastach Halo wybuchały zamieszki. Nieopodal Panamax IV dwa niezidentyfikowane krążowniki wciągnęły w zasadzkę bezbronny K-statek. To był ważny incydent. Chłopaki z Ziemi popełnili błąd. Jednostki Nastyków wtargnęły gwałtownie do znanej przestrzeni. Ich manewry w pobliżu Coahomy i Red Revenues nie przypominały nieudolnych, niezdecydowanych poczynań EMC. Stały za nimi zimne umysły o technicznym nastawieniu, nowe sprytne metody wojny szarpanej, sugerujące przygotowania do wielkiej ofensywy. W pewnym sensie była to bezbłędna psychodrama zdrady. Pojawili się już uchodźcy. Gapiąca się na wiadomości Irene poczuła się męczennicą empatii i nierekreacyjnych wahań nastroju. W jednej chwili mówiła: „Nigdy mnie nie znudzą wszystkie te nasze przygody, kosmiczne wiatry i fale przeszywające przestrzeń!”, w następnej zaś: „W osobowości każdego z nas kryje się czarne serce, Antoyne”. Nie chciała powiedzieć, co tak bardzo nią wstrząsnęło na Nowym Wenusporcie. Gruby Antoyne znalazł ją w

odległości półtora kilometra od motelu Deleuze. Stała chwiejnie na końcu linii śladów stóp pozostawionych w twardym wilgotnym piasku. Do świtu została jedna godzina. Irene zgubiła torebkę, a także jeden ze swych najlepszych butów. Jej twarz oraz ręce były zimne i słone. Poruszony na sposób, którego nie potrafił opisać, Antoine spróbował wziąć ją w ramiona, ale choć Irene wyglądała jak ktoś gotowy szukać pomocy wszędzie, gdzie tylko można ją znaleźć, odsunęła się.

- Antoine, nie - rzekła.

Na pokładzie *Nova Swing* znowu zaczęła unikać towarzystwa. Nawet w pustej przestrzeni, gdzie nic jej nie groziło, nie mogła spać. Na plaży, nim zjawił się Antoine, próbowała wyobrazić sobie cyrk madame Shen w dniach jego chwały: muzyka, pokazy obcych, marcepan, białe sukienki, świeży blask słońca na środku drogi. Ludzie się śmiali i rżnęli na tym samym piasku, na którym stała teraz Irene! Nie potrafiła jednak zapomnieć o tym, że zlała się, zaglądając do tajemniczej GWIAZDZISTEJ KOMNATY, w której trzy upiorne postacie w białych czapczkach - Dziwaczne Żarcie, Pan Wolność i Święty - rzucali swe kości. Gdy jej cudowny ciepły mężczyzna ją odnalazł, szyję wciąż miała sztywną od odwracania ze wszystkich sił głowy od tego przygnębiającego miejsca.

- Wybierz inną grę, a szczęście się odwróci - oznajmiła Liv Hula. - To wszystko, w co zawsze wierzyłam.

Przeszłość minęła. Tylko terażniejszość mogła wpłynąć na przyszłość, która zawsze była otwarta na nowe sposobności. Tak dotąd widziała to Irene.

- Ale, Liv, teraz rozumiem, że każda zmiana w naszym sercu jest tylko kolejną próbą samooszustwa!

Musiała przyznać, że długa perspektywa, z towarzyszącymi jej pustką oraz niepokojem, okazała się równie osłabiająca, jak krótka, która męczy cię, nalegając, byś zapomniała o wszystkim, co wiedziałaś w zeszłym tygodniu. Chciała wrócić do domu. Może poczuje się lepiej, gdy znowu ujrzy stare kąty. Liv Hula zapewniła, że może jej w tym pomóc.

\*\*\*

Na Perkins Rent IV, znanej mieszkańcom jako New Midland, gospodarka opierała się na burakach, ziemniakach oraz miejscowej odmianie dyni, uprawianych przez cały rok pod plastikiem. Tubylcy trudzili się za pieniądze pozaświatowców. Było tu kilka specjalnych stref ekonomicznych umieszczonych na otoczonych ogrodzeniami obszarach - zakłady montażu precyzyjnego wykorzystujące sprzedawane hurtowo elementy ze szkła metalicznego - skupionych na największym kontynencie. Każdą z nich obsługiwało miasto zamieszkałe przez pięćdziesiąt do siedemdziesięciu pięciu tysięcy ludzi. Przeprowadzane co dwa lata

sondaże ujawniały w nich uspokajająco wysoką częstość występowania zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych, jeśli zaś chodzi o ideologię, dominowało coś w rodzaju prawa Jante. Poza tym jedynym sposobem zarabiania na życie była na New Midland praca w pociągu widmie.

Porzucone wehikuły obcych o długości od jednego do trzydziestu kilometrów krążyły jeden za drugim po kometarnej orbicie w aphelium sięgającej połowy drogi do najbliższej gwiazdy. Właściciel, kimkolwiek był, porzucił je tu nim jeszcze na Ziemi pojawiły się białka. Grube i twarde jak skorupy kadłuby statków miały kolor matowej szarości. W kontraście z nimi lśniące perłowym blaskiem wnętrza o łodzиковatych kształtach były czyste i puste, jakby nikt w nich nigdy nie mieszkał. Od czasu do czasu fragment pociągu wpadał do słońca albo nurkował, statek za statkiem, w metanowe morza układowego gazowego olbrzyma. Mieszkańcy New Midland eksploatowali pociąg widmo jak zwykle zasoby naturalne. Nikt nie wiedział, jak te statki działają, skąd się wzięły ani jak je uruchomić, więc cięto je, przetapiano i sprzedawano przez pośrednika jakiejś korporacji w Jądrze. Prosta, czysta robota, fundament miejscowej gospodarki. Dobierano się do nich od środka. Wokół wyeksploatowanych kadłubów gromadziły się nieprzewidywalne chmury złomu: zużła, niepojętych konstrukcji wewnętrznych zrobionych z metali, których nikt nie chciał i nie rozumiał, odpady z automatycznych wytapiaczy. Nad nienaruszonymi skupiały się przemysłowe arkologie oraz futurystyczne światy bańki - fabryki, rafinerie, sortownie oraz stocznie pracujące bez chwili przerwy.

Liv Hula sprowadziła statek z pozycji położonej wysoko nad płaszczyznę orbity. Pragnęła ukryć go w dowolnie wybranym pasie odpadów. To, co zobaczyła, skłoniło ją jednak do zmiany zdania.

- Antoyne, popatrz na to.
- Co jest?
- Ktoś tu walczył. Może z pół doby temu?

Pociąg widmo wypadł z torów. Jego fabryki przybrały postać złożonych metalicznych oparów, przez które przemykało wszystko, od małych bryłek stopionego aluminium aż po całe kruszarki. Ów ośrodek nadal przesywały fale uderzeniowe, tu i ówdzie skupiające go w rzadkie strzępiaste łuki koloru rtęci. Routery padły pod naporem kryzysowych danych - sygnałów transponderów ze skafandrów kosmicznych i kapsuł ratunkowych, radiowych impulsów wyciekających na zewnątrz niczym powietrze z przedziurawionych kabin mieszkalnych oraz szeleszczących głosów nieżyjących już ludzi. Wszystko to wypełniało eter dotykana, rzeczową paniką. Owe sygnały mówiły to, co zawsze mówią umarli: „Nie został nikt oprócz mnie”. W jednej chwili próbowali rozwiązać problem racjonalnie, w następnej zaś

blągali, by ktoś ich stamtąd wydostał. Statkom widmom nie powodziło się lepiej: koziółkowały w przestrzeni, ich rozprute kadłuby wyglądały jak pełne plam od wody ilustracje przedstawiające spiralę Fibonacciego. Niektóre z tych większych, rozpędzone uderzeniami pocisków o wysokiej prędkości, niknęły już w dali, mknąc po nowych, interesujących trajektoriach. Kilka fragmentów o średnicy pięćdziesięciu metrów albo i większej znalazło drogę w dół, na powierzchnię New Midland, rozbijając w drzazgi specjalne strefy ekonomiczne.

Thing Fifty, małe nadmorskie miasteczko, które Irene pamiętała tak dobrze, zaczęło swój dzień od spotkania z atmosferycznym wybuchem o mocy pięćdziesięciu megaton, do którego doszło dwieście kilometrów w głąb lądu i dwanaście kilometrów nad ziemią. Na niebo padł gorący błękitny blask. Żar był tak potężny, że ludzie myśleli, że ich włosy stanęły w płomieniach. W tym czasie wszystkie płoty, drzewa, domy, rzadko stojące magazyny oraz słupy wysokiego napięcia przechyliły się w tym samym kierunku. Po półgodzinie w głąb lądu wtargnęła potężna fala oceaniczna, która zalała szczątki i zaniósła je do płytkich dolin na skraju miasteczka, układając wszystko warstwami. W chwili przybycia *Nova Swing Thing Fifty* było nie tyle miejscem, ile listą materiałów budowlanych.

Liv Hula posadziła statek na przedmieściach i pospacerowali trochę po okolicy. Irene próbowała odnaleźć swój stary dom. Ruiny przypominały stertę otwartych pudełek kartonowych. Wszystko miało taką samą wartość - martwe zwierzęta zaplątane w gałęzie, woda wracająca z bulgotem do morza ukrytymi ściekami i strumykami, plastikowe krzesła. U twoich stóp tysiąc kawałków rozbitych dachówek; dalej wyrwane z korzeniami krzewy ogrodowe oraz połamane drewniane belki; jeszcze dalej, w osobliwym odwróceniu perspektywy, domy przechylały się i wpadały na siebie, jakby nadal unosiły się na wodzie. Nad znakiem wody wysokiej ulice były pełne pluszowych zabawek. Co jakiś czas dostrzegałaś w oddali samotną postać, albo pies wędrował ulicą, obwąchując wszystko z entuzjazmem, jakby w każdej chwili spodziewał się powrotu tego, co znał. Wszystko spletało się ze sobą. Wszystko cuchnęło ściekami i morzem. Nie było żadnego planu ogólnego. Nie wiedziałaś, czemu przypisać wartość. Smoliste światło sprawiało wrażenie, że nie pochodzi od słońca. Rozpraszała je mgielka, ale sączyło się z samych szczątków. Irene usiadła na krawężniku. Rozejrzała się wkoło, spoglądając na to wszystko. Potem podciągnęła kolana, objęła je ramionami i rozplakała się.

- Chodźmy stąd, kochanie - odezwała się Liv. - Widzę wszystko, co masz.

Irene otarła oczy. Spróbowała się roześmiać.

- Wszyscy w Halo i tak już to widzieli - wyszeptała.

Ujęła dłoń Grubego Antoine'a i przytuliła jej grzbiet do swego policzka, ale potem odepchnęła ją nagle. Skórę miała błądą, a minę niewyraźną, jakby z jej twarzy wypłukano wszelkie emocje. Wszystko, za czym najbardziej tęskniła w tym miasteczku, zniknęło. Zresztą, nigdy nie istniało naprawdę. Nie padło ofiarą tej katastrofy, lecz jej własnej, która wydarzyła się przed laty. Przeszłość nie była realna, ale Irene nie miała nic więcej. Tak właśnie się czujesz, kiedy twoje życie się chwieje. Wstała i poprawiła spódnicę.

- Jeszcze tylko wejść do tego domu - zapowiedziała.

- Irene!

To był budynek pochwycony podczas skomplikowanego procesu klękania na własnym podwórku. Pełne potłuczonego szkła okna prowadziły do pokoju, w którym światło padało w nowych, nieoczekiwanych kierunkach. Irene poweselała, znalazłszy nieotworzoną butelkę koktajlu. Zaczęła wyciągać rozmaite przedmioty na środek pokoiów, gdzie mogła im się przyjrzeć.

- Hej, patrzcie! - zawołała, jakby Liv i Antoine byli tu z nią.

Spojrzeli na siebie ze skwaszonymi minami i wzruszyli ramionami.

Nie pytaj mnie. Słyszeli jej stopy drapiące o podłogę. Słyszeli, jak mamrotała do siebie, korzystając ze zniszczonej toalety.

- Moglibyście mi pomóc, gdybyście zechcieli! - zawołała. - Czy nie macie ochoty na...

- Spojrzała na etykietę na butelce. - „Kyshtym Cream”? On jest dobry!

Gdy wreszcie wyszła na zewnątrz, dźwigała całe naręcz ubrań, zabawek dla dzieci oraz sprzętów gospodarstwa domowego.

- Patrzcie - powtórzyła. - Po tylu latach!

To była sukienka dla małej dziewczynki, „Mój Pierwszy Raz”, tradycyjnej barwy neotenicznego różu.

- Miałam taką samą.

Liv popatrzyła na to z niedowierzaniem, a potem potrząsnęła głową.

- Irene, czy to naprawdę twój dawny dom?

- To możliwe - odparła mona. - Całkiem możliwe.

- Bo jeśli to nie jest...

- Oni już tego nie chcą, Liv - przerwała jej Irene. - Szkoda, że nie widziałas, w jakim są stanie. Naprawdę.

Jej nastrój, radosny przez całą drogę powrotną do statku, popsuł się, gdy tylko zabrakło „Kyshtym Cream”. Po umieszczeniu w jej kabine reprodukcji radia, hologram Traktu Kefahuchiego w fałszywych kolorach oraz kolekcja żeliwnych naczyń żaroodpornych

wyglądały znacznie mniej ciekawie niż *in situ*.

- Dekoracja w stylu katastrofy - oznajmiła. - Co o tym sądzisz?

Antoyne nic o nim nie sądził. Westchnęła.

- Antoyne, czyżbyśmy w końcu się sobą znudzili?

Na to pytanie również nie potrafił odpowiedzieć. Wzmógł czujność, zapadając w całkowity bezruch. Irene powiększyła kciukiem dziurę w szwie pluszowej zabawki w kształcie karalucha, a potem zapytała nagle Antoyne'a przymilnym tonem, czy uważa, że warto żyć. Mógł jedynie przytulić ją niezgrabnie i zapewnić:

- Sama decydujesz, czym jest twoje życie na tym świecie.

- Chyba właśnie o to mi chodziło, Antoyne.

\*\*\*

Historia, jak sądziły chłopaki z Ziemi, to pic na wodę.

Anioł Historii może spoglądać za siebie, ale jego poza nie ma żadnego wpływu na sztorm, który niesie go ku przyszłości. Nic dziwnego, że ma taką zdziwioną minę!

Ta filozofia skłoniła ich, w końcowych dziesięcioleciach dwudziestego pierwszego wieku, do skoczenia na oślep w przestrzeń dynafłow, bez znajomości obowiązujących w niej zasad nawigacji, na statkach wykonanych z zaskakująco prymitywnych materiałów. Nie mieli pojęcia, dokąd zaprowadzi ich pierwszy skok, przy drugim nie wiedzieli, gdzie leży punkt startowy, przy trzecim zaś nie rozumieli nawet znaczenia słowa „gdzie”. Problem był trudny, ale nie zaliczał się do nierozwiązywalnych. Po dziesięcioleciu albo dwóch stworzyli za pomocą równań Teta-Kearno jedenastowymiarowy algorytm oparty na zachowaniu polujących rekinów. Galaktyka należała do nich. Wszędzie, dokąd dotarli, natrafiali na archeologiczne pozostałości po rasach, które rozwiązały ten problem przed nimi - sztucznych inteligencjach, homarowych bogach, jaszczuroludziach z głębin czasu. Proces poznawania nowej nauki piął się w górę po stromej, satysfakcjonującej krzywej. Wszystko czekało na dotknięcie, powąchanie, zjedzenie. Łupiny wyrzucało się przez ramię. Niesamowite piękno tego wszystkiego polegało na tym, że można się było dobrać do nowej rzeczy, nim poprzednia zdążyła zblaknąć.

Choć jednak rasa ludzka jako całość potrafiła sobie poradzić, nadal nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Dlatego w czasach *mony* Irene paradygmatem indywidualnego ruchu pozostawało skakanie na oślep, nawet jeśli nie było w pełni losowe. Nim jeszcze przyjęła pakiet mony i dobrze na tym wyszła, Irene odwiedziła pięćdziesiąt światów. W wieku trzynastu lat była już wysoka i koścista. Uwielbiała się pieprzyć, ale stawiała niezgrabne kroki i miała wielkie stopy. Cesała włosy tak samo jak wszyscy wówczas: w lakierowane fale tak

skomplikowane, że można było na nich odbierać sygnał testowy Radia Wszechświat. Kiedy się uśmiechała, odsłaniała dziąsła, a po wejściu na pokład rakiety nigdy nie spoglądała za siebie. Przemierzyła Łabędzia, docierając na Pole Stevensona. Potem były Lila y Flag, L'Awentura, McKie oraz LaFuma RSX, gdzie w pewnym stopniu rozbiła się o ścianę i musiała odpoczywać przez rok ze słodkim obcym chłopakiem z Jesteś Tego Wart. Tam przyjęła pakiet, wybierając - z setek Marilyn Monroe zawartych w ofercie - tę o delikatnym wyglądzie, sfotografowaną w czerni i bieli przez Cecila Beatona w hotelu Ambassador w roku 1956. Nagle okazało się, że ma nieco ponad sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, cechuje się pełną ożywienia gotowością i ma przyciągające uwagę, łatwe do pielęgnacji blond włosy, zawsze pachnące szamponem miętowym. Potem podróż stała się dla niej łatwiejsza. Jej wewnętrzna i zewnętrzna trajektoria zgadzały się ze sobą. Była taka szczęśliwa! Z Magellana na O'Dowd, z Pixlet na Oxley; Odkrycia, Czwarta Część, Tysiąc Snów Stellavista; z Massive 49 na Świat Meniere'a; Tregetour, Charo, Entantiodroma, Max Party, Gay Lung i Ambo Danse, Amerykański Polaroid, Amerykańska Restauracja, Amerykański Krwotok z Nosa. Oxi, Krokodil, Waitrose Dwa i Santa Muerte. Jej walizka zawierała wówczas tampony, czternaście par butów na wysokich obcasach, oraz suknię, w której opuściła dom. Uszyto ją z żółtego rayonu w stylu przypominającym imitację art deco i Irene już nigdy później jej nie włożyła. Tamta dziewczyna miała słodki śmiech.

- Uwielbiam buty - tłumaczyła, gdy była pijana.

Chodziła za tobą wszędzie przez dwa tygodnie, a potem zaczęła chodzić za kimś innym, aż wreszcie rozsypała siebie niczym drobne po całym Halo, a nawet po Zatoce Radiowej. Właśnie tam, gdzie gwiazdy Plaży kończyły się nagle, jakby spadały z urwiska w pustkę, ona również spadła z uśmiechem na twarzy i ramionami rozpostartymi szeroko na przywitanie wszystkiego. Jeśli zapytało się ją o ulubione wspomnienie, wyjmowała mały holosześcian o bokach długości około dwóch i pół centymetra - czwarta rano, pod dziwnym, szaroniebieskim neonem. Ochryply śmiech. Trzy i pół minuty z życia b-dziewczyny. To była długa noc dla tego, kto kręcił film. Cienie migotały, kamera spoglądała to tu, to tam, bez wyraźnego celu. Ujęcia były innowacyjne. Irene zaczęła zwrócona plecami do kamery, stojąc obiema stopami w rynsztoku.

- Kinny, zabierz to! - mówiła. - Och, Kinny, ty skurwysynu!

Uniosła suknię i zsunęła stringi, żeby się wysikać, ale po jakichś dwudziestu sekundach upadła na jezdnię i zaczęła wymiotować, gładko i swobodnie. W zimnym powietrzu pojawiła się para. Po jakiejś minucie Irene najwyraźniej straciła przytomność. Jej ciało przesunęło się nieco do przodu, wygięła się w krzyżu, wciskając twarz mocniej w

nawierzchnię, i przez chwilę czy dwie zachowywała równowagę w tej pozycji, aż wreszcie opadła na bok i zwinęła się w pozycji płodowej. Kapelusz spadł jej z głowy, by toczyć się radośnie w tę i w tę. Kamera próbowała za nim podążać, potem rozległy się śmiechy i zapadła ciemność.

- Wiem, że to okropnie sentymentalne - oznajmiła teraz Grubemu Antoyne'owi. - Ale kochałam ten kapelusz. I bolerko z aksamitnymi kokardkami. - Spróbowała mu wyjaśnić, że tego typu stroje nie są właściwie strojami, lecz semiotyką w działaniu. - Imprezową semiotyką w działaniu. - Z westchnieniem położyła dłoń na jego dłoni. - Świat był wtedy cudowny. Czasami, jak w tej chwili, gdy jesteśmy razem w naszym wygodnym stateczku, z tymi wszystkimi nowymi ozdobami, nadal taki jest. - Na tym filmie bawiła się tak dobrze, że nic z tego nie pamiętała. - Czasami nawet nie jestem pewna, czy to ja!

Gruby Antoyne nie mógł powstrzymać śmiechu.

- Każdy zasługuje na chwilę dobrej zabawy - stwierdził. - Życie jest ciężkie.

Uśmiechnął się i zamknął jej dłoń na sześcianiku.

- Pilnuj go dobrze.



## KAŻDY JEST DLA KOGOŚ VIP-EM

Aurę położonej między Radia Marelli a Tupolev Avenue dzielnicy kryminalnych atrakcji określały strugi lejącego deszczu oraz zapowiedź krótkiego życia. Powietrze w blasku neonów zawsze wydawało się tu ziarniste. Każdy kierownik średniego szczebla z północnej półkuli Nowego Wenusport słyszał o tanich mordowniach z Saudade. Szansa złamania w nich prawa - doświadczenie bliskiej śmierci warte każdego wydanego dolara - w ciepłe letnie wieczory przyciągała tu z pasażerskich statków tłumy ustępujące tylko gromadzącym się w Preter Coeur. Żony kierowników szukały tu pornografii sensorium. Można je było poznać po futrach barwy miodu i jasnoblond włosach. Pornografię sensorium odbierało się jako bezpośredni przekaz z mózgow obcych próbujących zrozumieć ludzki seks albo użyteczność codziennych przedmiotów i wydarzeń z historii Ziemi, takich jak „grupa czytelnicza” albo lustro. To ostatnie było jedną z ulubionych możliwości. Żony ludzi z EMC - zdziwione wszystkim, nie tyle grające, ile reżyserujące swój nieudolny występ na scenie świata, jak robiły to przez całe życie - cierpiały z powodu luki poznawczej i konfliktu postrzegania. Atrakcyjność pornografii sensorium polegała na tym, że pozwalała ci ona wreszcie „ujrzeć świat z innego punktu widzenia”. Przybywały do Creda Line pełne ciekawości, a odchodziły stąd jako uzależnione. To była toksyczna wymiana.

Asystentka stała z chudym gliniarzem Epsteinem w zaułku nieopodal Tupolev Street, gdzie Toni Reno zrzucił swą śmiertelną powłokę. Patrzyli na jego trupa. Epstein wezwał ją przed półgodziną.

- Masz problem - oznajmił.

Od chwili śmierci współczynnik odbicia Toniego Reno spadł o osiemdziesiąt pięć procent w większej części elektromagnetycznego spektrum, wliczając w to światło widzialne. W rezultacie trudno go było zobaczyć, nawet przy dobrej pogodzie. Toni codziennie przyciągał tłum złożony częściowo z turystów zmierzających ku arkadom na Llubichik Street, a częściowo z dwunasto- albo trzynastoletnich chłopaków śledzących jego stan za pomocą uaktualnień w czasie rzeczywistym, które przekazywano im bezpośrednio do głowy. Toni stał się miejscową gwiazdą. Im bardziej zanikał, tym więcej gapiów przychodziło go oglądać.

Nosili identyczne granatowe kurtki robocze od Sadie Barnham i kupowali takie same buty, jakie miał na nogach. Czasami między nimi a turystami wybuchały spory. Albo sami fani spierali się o to, co znaczy dla nich Toni i jakiego rodzaju jest wzorcem do naśladowania. Paru z nich okazało się tak mu oddanymi, że popełnili samobójstwo i teraz sami mieli garstkę wielbicieli. Epstein oznajmił asystentce, że sekcja mundurowa nie wtrąca się w tego typu poczynania, uważając, że zaliczają się one do handlu albo do religii - a wolność tych dwóch dziedzin zaliczała się na Saudade do podstawowych praw.

- Zatem on nadal tu jest - stwierdziła asystentka.

- Tak - potwierdził Epstein.

- Na czym więc polega wasz problem?

- My nie mamy problemu.

- A kto go ma?

- Ty.

Asystentka dostroiła niektóre nakładki i przyjrzała się zwłokom. Nie tylko traciły widzialność, lecz również uniosły się o prawie pięć metrów wyżej w przesyconym deszczem powietrzu. Niektórzy uważali, że rotacja Toniego staje się wolniejsza, inni zaś sprzeciwiali się owej opinii. Chudy gliniarz Epstein po pewnych wahaniach przyłączył się do tego drugiego obozu. Postawił na to pieniądze. Asystentka miała wrażenie, że czuje słabą woń rozkładu dobiegającą z tajemniczej przestrzeni zajmowanej obecnie przez Toniego: może ze trzydzieści cząsteczek na kilometr sześcienny powietrza.

- Co to za problem? - zapytała.

Zamiast udzielić odpowiedzi, Epstein zaprowadził ją do budynku, z którego po raz pierwszy zobaczyli martwego brokera.

- Pamiętasz to miejsce? - zapytał.

Zapewniła, że pamięta.

- No więc, okazało się, że to salon pornografii sensorium. W tym pokoju, nie tutaj, tędy, trzymają jakiegoś ptakopodobnego obcego. Wywiercili mu dziury w głowie, żeby uzyskać dostęp. Jest podłączony w typowy sposób, głównie po to, by patrzeć na zwyczajne przedmioty: wieszak na płaszcze, trochę igieł, takie tam rzeczy. Ale jest jeszcze jedno.

- Co?

- Codziennie, przez jakąś godzinę, każą mu gapić się na ulicę. Nasi rzeczoznawcy odtworzyli zapis w tym, co zostało z jego głowy, kazali operatorowi go odcyfrować i przekonali się, że obcy zarejestrował chwilę śmierci Toniego Reno. - Wlepił w asystentkę intensywne spojrzenie. - Siedział przy oknie w chwili, gdy Toni zjawił się w zaułku - podjął,

gdy nie odpowiadała.

Odtworzony materiał pokazywał, że Reno przybył od strony niekorporacyjnego portu kosmicznego. Biegł, a gdy znalazł się na wysokości domu, zaatakował go ktoś, kto wypadł z drzwi na dole.

- Toni ogląda się przez ramię. Jest tak podekscytowany, że nie okazuje typowej dla siebie elegancji. Boi się czegoś, czego nie widzimy. Jakaś kobieta podnosi się z ziemi tak szybko, że ledwie ją widać, i strzela Toniemu w pachę z chambersa. Pod niektórymi kątami wygląda to tak, jakby wyłaniała się z ziemi.

- I?

- I to jesteś ty - odparł z uśmiechem.

Asystentka gapiała się na niego bez słowa. Przypomniała sobie obcego, który leżał na łóżku i spoglądał na nią bezradnie, otoczony obłoczkami własnych piór.

- Jestem tu - szeptął. - Jestem.

Nawiercili mu czaszkę. Co to za miejsce, pomyślała, by zakończyć twe dziwaczne życie. Analizując dowody, których subtelność wykraczała poza możliwości pojmowania Epsteina, podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Jeśli uruchomi odpowiednią kombinację nakładek, będzie mogła obejrzeć Toniego Reno jednocześnie w stanie obecnym i w takim, w jakim był w chwili, gdy zjawił się w zaułku. Skonsultowała się ze swym przedramieniem, po którym spływały ideogramy, czarne jak chiński tusz i czerwone jak rozgrzane żelazo, dotykalne i wyraźnie określone w aurze dzielnicy kryminalnych atrakcji. Znowu zaczęło padać, ale deszcz w ogóle nie zwracał uwagi na wiszącego w powietrzu mężczyznę. Przenikał przez niego na wskroś. Epstein podszedł bliżej i stanął u jej ramienia, by również wyjrzeć na ulicę.

- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego - oznajmił. - Zapis pójdzie prosto do twojego gabinetu, a moi ludzie wezmą na wstrzymanie z raportem.

Nie odpowiedziała, a jedynie uśmiechnęła się tajemniczo. Zrozumiał, że właśnie nadeszła najtrudniejsza chwila jego dnia. Nawet kierownicy piątego piętra w Wydziale Przystępstw Strefowych bali się asystentki. Mówili, że ona nie ma osobowości, że jest pozbawiona empatii. Że nie rozumie ludzi. Epstein wiedział, że to wszystko prawda. Jego przyszły los zależał od tego, jak zręcznie zdoła się odciąć od tego, co odkrył.

- Jestem tylko mundurowym - oznajmił z naciskiem. - To sprawa dla ciebie.

Asystentka nie sprzeciwiła się tej opinii.

\*\*\*

Sojusze załamywały się w całym Halo. W układach Pentre De, Uswank i Frand-Portie

nasilające się kryzysy przerodziły się w otwarte konflikty. Wojna była wszędzie, i to była twoja wojna. Mogłeś ją obserwować w taki sposób, jaki najlepiej pasował do twojego napiętego harmonogramu. Siedmiosekundowe segmenty, trzyminutowe dokumenty. Ukierunkowana debata, media wbudowane. Dwudziestoczwierogodzinna transmisja na żywo z bitwy między mieszanymi oddziałami w Małym Obłoku Magellana albo streszczenie całej kampanii - łącznie z interaktywnym mapowaniem wypadu EMC w stronę Beta Carinae - od jej pierwszego dnia. Dołączono do niej dogłębne analizy. „Jak doszło do użycia impulsów promieniowania gamma na Cassiotone 9”. „Odwieczna groźba laserów fal grawitacyjnych”. I: „Pytamy cię, co zrobiłbyś inaczej!”. Ludzie to uwielbiali. Atrapa wojny zmuszała ich do nawiązania pełnego kontaktu z terażniejszością, co pozwalało im wyostrzyć swe obawy i zinterpretować je jako ekscytację. Tymczasem, pod przykrywką medialnych relacji, prawdziwa wojna szerzyła się powoli w Halo, aż wreszcie zagroziła Panamax IV.

Rig Gaines, który nagle poczuł się niezadowolony z rozwoju wypadków, nie wspominając już o roli, jaką w nich odgrywał, wylądował swym statkiem *Uptown Six* przy wykopaliskach prowadzonych przez Alyssię Fignall, licząc na to, że przekona ją do opuszczenia z nim planety, nim nadejdzie nieunikniony zwrot ku gorszemu. Nie sądził, by miała się zgodzić.

Pogoda była upalna, a dom Alyssii pusty. W krużganku znalazł list, który dla niego zostawiła: „Rig, kiedy nadchodzą deszcze, dzieje się tu coś pięknego”. Nic nie wskazywało na to, by padał tu deszcz. Kamienie były gorące w dotyku. Wydawało się, że żar nie tyle przychodzi ze słońcem, ile tworzy się sam między ośmioma riolitowymi kolumnami otaczającymi fontannę i tryska stamtąd ku górze. Gaines siedział tam przez całe popołudnie, czekając na Alyssię, i obserwował blask, przesuwający się powoli po gładkich owalnych brukowcach. O czwartej niebo się zachmurzyło. Po kilku wspaniałych, lecz bezgłośnych błyskawicach wydawało się, że na tym koniec, ale o piątej lało już jak z cebra.

- Jezu, Alyssio - odezwał się Gaines. Wyszedł na zewnątrz, by jej poszukać, i natychmiast przemókł do suchej nitki.

Na miejskim rynku nie było nikogo poza garstką dzieci, które biegały przed Gainesem, śmiejąc się i wrzeszcząc z podnieceniem w głosie:

- La Cava! La Cava!

Podążył za nimi na zadaszoną część rynku. Ona również była opustoszała. W całym Halo ludzie sprzedają sobie nawzajem zwyczajne rzeczy: od pustych butelek po skórzane pasy. Tutaj na straganach można było nabyć tace ociekowe, buty oraz dwudziestopięciocentymetrowe hologramy bardzo grubych dzieci ubranych w koronki. Potem

bochny chleba przypominające wielkie gładkie kamienie leżące na plaży. Potem mięso. Pasy, polcie i platy mięsa. Długie cienkie plastry mięsa rozwieszane na podobieństwo półprzezroczystych zasłon prysznicowych, wydzielające kwaśną żelazną woń.

- Hej, dzieciaki - zawołał Gaines, chwilowo nie mogąc ich zlokalizować.

- La Cava! - odrzyknęły.

Rynek był mrocznym, przyprawiającym o dezorientację labiryntem. W jadłodajni dla robotników oferowano *sesos rebosadas*, smażone mózdzki jedzone na stojąco. Ta myśl wypełniała mu nozdrza aż do chwili, gdy dzieci zaprowadziły go w światło po drugiej stronie i przewagę zdobył inny zapach. Z okapów rynku spływały strugi deszczu. Dzieciaki wzywały go ruchami dłoni. Gaines zatrzymał się, wyglądając na zewnątrz. Nagle poczuł, że nie jest w stanie się poruszyć ani nawet opisać tego, co działo się na drugim, mniejszym placu, który nagle pojawił się przed jego oczami.

Pokrywała go ponadpółmetrowa warstwa wody. Kanalizacja się zatkała. Ludzie zebrali się na tańce, brodząc w sięgającej im ud cuchnącej cieczy, w której pływały najrozmaitsze odpadki, od kału aż po fragmenty rozbitych skrzyń. Ubrania, mokre i cuchnące, lepiły się do ich ciał. Krążyli i śpiewali w grupach, unosząc wysoko nogi, a potem opuszczając je, by opryskiwać się nawzajem rozcieńczonym gównem, jakby to było popołudnie na plaży. Niektórzy klęczeli w paskudztwie. Inni nie klęczeli ani nie stali, lecz opierali się o siebie nawzajem, ciasno objęci. Nie ulegało wątpliwości, że się pierdola. Gaines miał pewne wyobrażenia dotyczące świata, ale to nie mieściło się w nich w żaden sposób. Zobaczył wśród nich Alyssię. Śmiała się i przywoływała go skinieniem. Uśmiechnięte dzieci ciągnęły go za ręce. Gaines wrywał się im tak mocno, jak tylko mógł, i w końcu udało mu się uwolnić. Uciekając przez rynek, odnosił wrażenie, że słyszy niski łoskot, rozbrzmiewający gdzieś głęboko pod jego stopami.

Padalo jeszcze przez osiem godzin. Gaines nie chciał położyć się spać. Całą noc spędził w krużganku, połączony z nadświetlnym routerem, który zostawił na orbicie. Gdy deszcz się skończył i pojawiło się słońce, usiadł przy fontannie, czekając, aż wyschnie na porannym słońcu. Alyssia Fignall wróciła nieco po dziesiątej. Była zmęczona, ale czysta i szczęśliwa. Sprawiała wrażenie pełnej energii.

- Rig, upieczesz się tu! - zawołała ze śmiechem. - Chodź na śniadanie. Kupiłam na rynku trochę chleba.

Gaines potrząsnął głową.

- O co chodzi?

Nie odpowiedział. Puściła jego ramię.

- Wiedziałałam. Wiedziałałam! Rig, oni w ten sposób celebryją swój kontrakt ze światem.

Cieszyła się na spotkanie z nim, a on nic nie rozumiał. Miasteczko było silnikiem duchowym innego rodzaju. Jak mogła mu to wytłumaczyć? Pod rynkiem ciągnął się system wapiennych jaskiń. To była typowa krasowa okolica. Woda spływająca z pobliskich wzgórz wypełniała grotty przed upływem godziny od nadejścia deszczu, ale gdy tylko osiągała pewien poziom, uaktywniało się coś w rodzaju korka powietrznego.

- Jaskinie opróżniają się równie szybko, jak się wypełniają. Ścieki odpływają. Deszcz myje wszystkich do czysta, a potem urządza w miasteczku wspaniałą zabawę ze sztucznymi ogniami i jedzeniem. Wszyscy są czysti i odświeżeni, wkładają też najlepsze ubrania. Byli brudni, a teraz znowu są czysti. Rig, nie rozumiesz tego? - Znowu pociągnęła go za ramię, ale on nie chciał się ruszyć. - Czym to się różni od tego, co sto tysięcy lat temu robili oryginalni mieszkańcy, kimkolwiek byli, na tamtym wzgórzu? Czym to się różni od twojej pierdolonej wojny? Daj spokój, Rig, czym?

Gaines gapił się na nią. Półtora roku temu napisała do niego: „Głosy ptaków brzmią tu coraz dziwniej. Siedzę i liczę kolumny wokół fontanny, a turystyczne rakiety wzbijają się do lotu wokół mnie niczym walizki pełne tanich pamiątek. Tak bardzo to kocham. Och, Rig, proszę, przyleć!”.

- Muszę tylko załatwić tę rozmowę - odparł.

Alyssia przeszła go śmiertelnym spojrzeniem, na które odpowiedział jednym ze swych niejasnych uśmiezków.

- Widzę, że w tej sprawie dzieli nas od siebie bardzo wiele - stwierdził. - Widzę, że czujesz się rozczarowana. - Nagle jego uwagę przyciągnęła rozmowa. - Co? Jak to „ponowna zmiana”?

Gdy tylko pozbył się rozmówcy, *Uptown Six*, który od chwili przybycia czaił się przy punkcie L2, uruchomił na krótką chwilę silniki termojądrowe i opadł z orbity, zatrzymując się bezgłośnie piętnaście metrów nad domem. Alyssia popatrzyła bez zrozumienia na statek, a potem przeniosła wzrok na Gainesa.

- Zabierz stąd to obrzydlistwo - zażądała. - Nie chcę, żeby się do mnie zbliżało. Nie dzisiaj.

Weszła do domu.

\*\*\*

Gaines nadal zachował hologram przedstawiający Alyssię w wieku czternastu lat, ubraną w mundur jakiegoś młodzieżowego ruchu EMC. Zawsze śmiała się do niego, zawsze próbowała nawiązać kontakt. Dwadzieścia godzin po tym, jak odmówiła opuszczenia

Panamax IV, był już w Sterowni, gdzie znajdowała się PEARLANT. Czuł się zagubiony. Aktywność spadła drastycznie. Od czasu jego poprzedniej wizyty ekipa Case'a, pokonana przez labiryntowy charakter prądowej fizyki, porzuciła projekt zamknięcia. Zamiast tego utworzyli pośrodku sali namiot z halogenowego blasku barwy zamglonego błękitu. Wokół niego zbierały się grupki specjalistów przyglądających się z namysłem postaci zajmującej teraz Sterownię.

Pearl zakończyła swój długi upadek, świt przeszedł w rosisty wieczór. Leżała na boku na pokładzie z alotropowego węgla. Jedno kolano miała uniesione, a górną część ciała wyginała w tali, wspierając się na łokciu. W kącie ust miała teraz nadający jej bardziej ludzki charakter ślad czegoś, co wyglądało na zaschniętą pastę do zębów. Po drodze na dół spotkało ją coś, wskutek czego wyglądała teraz częściowo jak kobieta odziana w suknię w zmarszczki, o metalicznym odcieniu, noszoną jakieś pięćset lat temu, a częściowo jak kot. Części zmieniały się za każdym mrugnięciem Gainesa. Czasami cała górna połowa jej ciała wyglądała nie tak, w innych przypadkach zaś tylko jedna ręka albo noga. Kończyny, skóra, armatura, nic nie pasowało do siebie - struktura wydłużonego kociego pyska pod skórą kobiety, a potem na odwrót. Jednocześnie jej oczy - w chwilach, gdy były ludzkie - zasnuwała błonka hipnotycznego spokoju, a nawet wesołości, jakby zadawała jakieś pytanie, na które nie było odpowiedzi, albo jakbyś zaskoczył ją w jakiejś wyjątkowo wyrafinowanej postaci dezabilu, która mogła sprawić przyjemność wam obojgu. Tymczasem na brzegach obrazu kocie futro zbierało światło, prowadząc twoje spojrzenie ku niepewności, niepokojowi i wreszcie przejrzystości. Trudno było nie uznać powstałej w ten sposób chimery za deklarację - obraz albo posąg wyjęty z jednego z zapomnianych religijno-kulturowych panteonów Starożytnej Ziemi. Choć na pierwszy rzut oka postać wydawała się nieruchoma, poruszała się i wiała, starając się nie stać jednym albo drugim, lecz zachować oba style prezentacji jednocześnie. Gaines zaniemówił na myśl o straszliwej sile woli, jakiej to wymagało. Czuł, że jest świadkiem czegoś, czego nikt nie powinien zobaczyć, ukrytej gwałtowności wydarzeń poprzedzających rzeczywistość, wysiłku zachowania złożoności w obliczu sił wszechświata prowadzących do dekoherencji i udosłownienia. Poza areną tej walki - poza skupiskami obserwatorów z ich pozbawioną wyobraźni fizyką oraz wprowadzającą w błąd intuicją - światło rozpraszała się szybko, przechodząc w szarość. Ciągąca się powyżej ciemność stwarzała złudzenie nieograniczonej przestrzeni, na tle której mogły się rozgrywać zdarzenia tak konsekwentnie dziwaczne, jak to. Gaines spoglądał na to, kręcąc głową.

- Co teraz sądzisz? - zapytał go Case.

- Nic nie sądzę.

- Coś możemy ci powiedzieć - zaproponował uczony. - To nie jest Alef, ale Alef nadal jest tu obecny.

- Skąd wiecie?

- Kazaliśmy operatorowi przejrzeć wszystkie dane. Oto co znalazł: pięćdziesiąt minut przed rozpoczęciem konwulsji Alef zaczął się łączyć z labiryntem... - Case wyjął holograficzny schemat mający reprezentować sześcioczworopiętewymiarową topologię labiryntu - ...a ściślej mówiąc, z sektorem VF14/2b, strukturą tuneli wypełnionych ściśle wyspecjalizowanymi płynami nadprzewodzącymi.

- Pamiętam VF14 - przyznał Gaines, który przechodził tamtędy z grupą Emila Bonaventure'a. W roku dwa tysiące czterysta dwudziestym drugim albo dwudziestym trzecim, pomyślał. - Emil był przekonany, że on jest nastawiony na Trakt.

Co prawda, nie mieli czasu się zastanawiać. Tunele miały piętnaście metrów średnicy i ściany wyłożone płytkami. Panowała w nich wilgoć jak w porzuconym metrze i zakręcały w pozbawionych sensu kierunkach. W niektórych miejscach ciecz przypominała wodę, w innych zaś wżerała się w ich wycieczkowe skafandry, przepływała przez nich albo przelewała się jak ciepła ślina z ust kogoś obcego. Pamiętał tylko, że Johnnie Izzet wymiotował krwią w hełmie skafandra, a ktoś inny krzychał: „Kurwa mać!”. Krew Johnniego krzepła, gdy tylko dotknęła szyby, jakby wychodziła ze stanu przejściowego. Potem system korytarzy wypełniło promieniowanie jonizujące, a także coś, co brzmiało jak muzyka, lecz nie mogło nią być. Każdy kierunek był błędny. Za ich plecami, gdzie nic nie widzieli, coś się poruszało. Emil, Rig i dwaj inni mężczyźni próbowali odciągnąć stamtąd Johnniego, ale umarł, nim pokonali sto metrów.

- Myślał, że on może służyć do pomiaru czasu.

- Okazało się, że nie do pomiaru tylko do manipulowania nim - stwierdził Case. - Alef siedzi tu od pół miliona lat. Ma interesującą fizykę, bardzo różną od naszej...

- I co w tym nowego?

- ...ale nic z nią nie robił, dopóki nie sprowadził tu Pearl. Nie jesteśmy pewni, czy czekał tu na nią, udał się na jej poszukiwania, czy może znalazł ją przypadkowo. - Wskazał na stan superpozycji walczący na ich oczach z własnym głębokim odrzuceniem tożsamości. - Czy chciał, by to się wydarzyło? Podejrzewamy, że nie chciał. To, co teraz widzisz, nie jest Alefem. Nie jest też kobietą. Oboje starają się dać początek jakiejś trzeciej formie.

Gaines, który wciąż widział poczerniałą szybę hełmu Johnniego Izzeta i słyszał muzykę stanów nieabelowych, zmusił się do zadania pytania:

- A jaką rolę odgrywa w tym kot?



Przez chwilę Case miał zdziwioną minę.

- Ach, to - zrozumiał. - Przypuszczamy, że to nie jest prawdziwy kot. Tak samo, jak ona nie jest prawdziwą kobietą. Kapujesz?

- Nie sądziłem, że fizyka bawi się w metafory.

- W tym problem. To coś, czymkolwiek jest, wykazuje wszelkie cechy stanu emergentnego. Nie jest kompletne, ale już określa się samo. Już wyrwało się na swobodę. Wróciło do labiryntu i wykorzystuje anomalie z VFl4/2b jak maszynę. Wyruszyło na jakąś przygodę z przyczynowością odgórną, oddzielając się od tego, co ty czy ja uznalibyśmy za czas.

- Dlaczego? - zapytał Gaines.

- Dlatego że w jego przeszłości jest coś, czego nie lubi.

- Wymyślenie siebie na nowo nigdy dotąd nie było tak trudne. - Gaines podejrzewał, że trzeba by mieć bardzo niską samoocenę, by narazić się na coś takiego. - A co, gdybyśmy sprowadzili tu tę policjantkę? - zasugerował.

Case pokręcił głową.

- Jeśli spróbujesz, nie mieszaj mnie w to. - Wybuchnął śmiechem. - Wiesz co? Zasady gry zmieniły się do tego stopnia, że wątpię, by cokolwiek się wydarzyło. Obiekt nie pytał o nią od czasu poprzedzającego twoją poprzednią wizytę. Obecnie interesuje go coś innego.

\*\*\*

Gdy już doszli do porozumienia, asystentka rozstała się z Epsteinem i cały dzień jeździła po mieście swym cadillakiem. Działy tu niezwykle siły. Pamiętała wszystkich zabitych przez siebie ludzi i nie przypominała sobie, by pozbawiła życia Toniego Reno. W końcu, o północy albo później, zjawiała się w „Tango du Chat”, trzymając pod rękę krawca George’a. George wyglądał nie najlepiej, ale pozwolił, by postawiła mu kilka drinków, i uważnie słuchał wszystkiego, co mówiła. W „Tango du Chat” panował spokój. Muzyka już nie grała. Edith Bonaventure, właścicielka lokalu, siedziała za barem, czytając jeden z dzienników swego ojca. Ludzie przychodzili, by wypić późnego drinka, i na widok asystentki, która mieszała rum „Black Heart” z adżwanem, obrzucając wszystkich pełnymi dekadencjonalnymi spojrzeniami, wychodzili, nie zamawiając.

- Myślisz, że ktoś taki jak ja mógłby zapomnieć, że kogoś zabił? - zapytała George’a około wpół do trzeciej nad ranem.

Zaczęła mu opowiadać o wszystkim, czego o sobie nie pamiętała. Zapewniła, że rozmowa z nim jest dla niej jak wizyta u lekarza. Przynosiła jej ulgę.

- Ktoś taki jak ty wie wszystko o kimś takim jak ja.

George nie wiedział nic poza tym, że w swej obecnej postaci asystentka wyłoniła się z tanku w zakładzie krawieckim w Preter Coeur. Nie potrafił odgadnąć, kto jeszcze mógł mieć z tym coś wspólnego. Wydział Przepływów Sportowych? EMC? Kimkolwiek mogła być pierwotnie, pomyślał, od tej chwili los grał w kości przeciwko niej. Jakaś banda szarlatanów zrobiła sobie z niej okrutny żart. Czternastoletni spece od kodów i krawcy, naćpani hormonem wzrostu miejscowego gatunku lemura. Wyobrażał sobie zapach smażonych potraw i *café électrique*, którymi się żywili. Zakład wypełniały dźwięki Radia Retro, twojej Stacji do Gwiazd, grającego na cały głos rekonstruowane melodie z Krainy Oorta, a oni tymczasem dostrajali asystentkę, wyposażając ją w drugi układ nerwowy złożony z samoorganizujących się nanowłókien, podkreślali jej odruchy, zastanawiali się, czy zamontować jej radar, stawiali na nią w walkach, do których by jej nie dopuszczono, bo była zbyt nielegalna. Nigdy już nie będzie pamiętała, kim była przedtem.

- W chwili narodzin - zaczął - to tylko domysły, miałaś już ze trzydzieści lat, może trzydzieści dwa?

- Hej - odparła. - Za to właśnie cię lubię, George.

Po dwóch latach, wyjaśniła, gdy już minął okres przeznaczony na dojście do siebie i przekonanie się, czy nadal można zwać ją człowiekiem, pozwolili jej wrócić na scenę, razem z innymi chodzącymi psychodramami.

- W moim przypadku byli to śledczy i śledzeni. Wszyscy ci, którzy kryją się w cieniu, George - dodała, wykazując się odpowiednim podejściem. - Wszyscy ci, którzy noszą broń. Najpierw Wydział Przepływów Sportowych, a potem Strefowych. Trudno mi było się przystosować, ale już wkrótce zajęłam się przywracaniem porządku. Oczekiwano po mnie, że dobrze się spiszę. - Wypiła jeszcze trochę rumu. - George, gdzie moja nagroda? - Uśmiechnęła się do niego. - To tylko rypanko w twinkowym tanku. Raz na tydzień. Bardzo ekskluzywna rozrywka.

- Wyszłaś z jednego tanku i całe życie starasz się wrócić do drugiego.

Odparła, że nie jest tego pewna.

- Ale szybko można się przekonać, że każdy kontekst jest zapakowany w drugi, a ten znowu w trzeci - dodał.

Zaśmiała się niespokojnie. Po kilku minutach zostawiła genowego krawca z jego trunkami i poszła w miejsce, gdzie wypukłość ulicy sprawiała, że jej cadillac wtaczał się na krawężnik. Jego składany dach z białej imitacji skóry był śliski od mżawki. Wsiadła do samochodu, poruszając się ostrożnie jak wszyscy, którzy są na cyku. Włączyła wielki, niezawodny, ośmiocylindrowy silnik i rozejrzała się po Straint Street. Włączyła radio,

pomyślała. Noc była żółta. Wąska perspektywa ulicy znikła przed asystentką w fosforescencji neonów - Zwykle Krawiectwo, Krawiectwo New Nueva, hotel Ambiente - ciągnących się aż po samą strefę zdarzenia. Asystentka zakończy tę noc tak samo jak wiele poprzednich - na skraju strefy, pod gwiazdami Traktu Kefahuchiego. Będzie się gapiała na puste Place i na samotnych kochanków, szamoczących się na tylnych siedzeniach samochodów, bardzo podobnych do tego, który należał do niej, w owym miejscu, gdzie fizyka była jeszcze dziwniejsza od niej i asystentka mogła choć przez godzinę odpocząć. Chwaliła się krawcowi George'owi, że strefy liminalne to jej specjalność. Sama była strefą liminalną.

- W chwili, gdy to sobie uświadomiłam, zrozumiałam, że muszę poszukać dla siebie imienia.

W Halo imię to wszystko. Bez niego jesteś nikim. Wypróbowała imiona Fortunata, Ceres, Szalony Cyryl i Berenice. Była Queenie Key, panią Smith. Biznesem, Obyczajówką, Pleśnią, Mirandą, Calder & Arp oraz gitarą Washburn. Wypróbowała imiona Mani Pedi, Wellness Lux, Liso Wróc, Fedy Pantera, REX-ISOLDE, Ogou Feray, Restylane i Aniceta. Była Jet Tone, Justine, Pantoponową Różą, Kleptopastyczną Fantastką, Lauren Bacall, Awtomatem i dziewczynką, która potrafi rozgryźć wszystko. Wypróbowała imiona Frankie Machine i Morderstwo sp. z o.o., Własność Markowa, Elise, Ellis i Elissa. Była Elissą Mae, Ruby Mae, Lułą Mae, Ruby Tuesday, Mae West i May Day. Była Wybraną, Jedyną, Dwudolarowym Radiem i Flamingo Layne. Przez jeden dzień była Uczestniczką Wesela. Potem Spanky. Potem Misty. Hanną Reitsch, Jacqueline Auriol, Zhang Yumei, Helen Keller, Christine Keller, Olgą Tojewską, KM, LM, M3 w gwiazdozbiornie Oriona. Podobało się jej „Sabiha Gökçen”, ale nie była pewna, jak to się wymawia. Była Pauline Gower, Jamesem Newel em Osterbergiem i Celią Renfrew-Marx. Emmeline Parkhurst. Irmą X. Colette. Mamą Doc. Dot Doc. Czy ośmieli się użyć nazwiska „Blister Sisters”? Najlepszy Cylinder na Świecie?

Wkrótce po tym, jak odjechała, pogrążona w tych myślach, George wyszedł z „Tango du Chat”, oparł się o ścianę i zwymiotował. Potem otarł usta, przyglądając się, jak tylne światła cadillaca nikną w oddali. Zastanawiał się, czy asystentka kiedykolwiek zostawi go w spokoju.

## BRAMA NIEWIDKA

Annę Waterman obudziły z okropnego koszmaru telefony ochrzaniającej ją delikatnie córki. Dała się przekonać do jeszcze jednej, ostatniej sesji z Helen Alpert. Lekarka większość poranka spędziła na sprzecaniu się z dilerem części Citroena z Richmond i poczuła się miło zaskoczona, gdy zjawiała się jej pacjentka z cafe latte i migdałowymi croissantami dla nich obu. Czyżby Anna straciła na wadze od poprzedniej wizyty? Może jednak nie, zdecydowała Helen Alpert. Może tylko przybiera teraz inną pozę.

- To bardzo miło z twojej strony, Anno - rzekła, mimo że nigdy nie piła kawy po ósmej rano.

Ze swej strony Anna czuła się zawstydzona. To było tak, jakby była stroną zrywającą związek. Nim kupiła kawę, spędziła pół godziny na Hammersmith Bridge, spoglądając z góry na brązową wodę i na ludzi uczących się wiosłować, i z przygnębieniem próbując się przygotować na spotkanie z lekarką. W porównaniu z tym gabinet ze swymi ciętymi kwiatami i łagodnym oświetleniem wydawał się strefą spokoju, a Helen Alpert nadzwyczaj miłą gospodynią. Anna nie wiedziała, od czego zacząć. Wyjaśniła, że od wielu lat trwała w czymś w rodzaju zawieszenia życia, ale teraz ma wrażenie, że to się skończyło. Od kilku miesięcy życie budziło ją ze snu, którego nie chciała się wyrzec, zmuszało ją do ponownego zaangażowania.

- To właśnie mi się nie podobało.

- Nikt tego nie lubi - przyznała lekarka.

- To prawda. Ale ludzie i tak tego chcą.

- Anno, interesuje mnie sposób, w jaki to ujęłaś. Życie „zmuszało” cię do zaangażowania. Co miałaś na myśli?

- Na przykład, Marnie nie czuje się dobrze.

- Słyszę to z przykrością.

- Przekonałam się, że się z tego cieszę. Wiem, że to brzmi dziwnie. - Anna wprowadziła Marnie do negocjacji, ale nie była pewna, ile miejsca jej poświęcić. - Tak czy inaczej czas już, by dla odmiany ktoś zajął się nią.

- Uważasz, że zbyt długo grała rolę twojego rodzica?

- Wydarzyło się coś jeszcze - przyznała Anna - ale wolałabym o tym nie mówić.

- Twoje prywatne sprawy należą do ciebie - odparła z uśmiechem lekarka.

Biorąc pod uwagę sytuację, Anna uznała tę odpowiedź za najtańszą możliwą drwinę.

- Szczerze mówiąc, pragnę jedynie żyć własnym życiem - usłyszała własny głos, brzmiący z emfazą większą, niż było to jej zamiarem.

- Wszyscy tego pragną. Co właściwie dolega Marnie?

- Robią jej badania.

Zapadła cisza, podczas której doktor Alpert bawiła się jednym ze swych długopisów żelowych, dając wyraźnie do zrozumienia, że czeka na coś więcej. Anna zastanawiała się, czy nie opowiedzieć jej o wizycie w St Narcissus - o kobietach przykutych do swych objawów przez system i do swego życia przez telefony komórkowe. O głupekowatym rejestratorze i plamie na suficie przypominającej kształtem nowotwór. Wolała jednak unikać nieuniknionych prób interpretacji, w których musiałaby wziąć udział ze względu na uprzejmość.

- Nigdy nie chciałam analizować swego życia - rzekła zamiast tego. - Pragnęłam tylko znaleźć się w jego wnętrzu. - Uświadomiła sobie, że to przypomina rozpoczęcie licytacji albo gambit. - To nie znaczy, że nigdy nie potrafiłam spojrzeć na siebie z zewnątrz - uściśliła, nim Helen Alpert zdążyła zareagować. - Pewnie, że potrafiłam. - Posłuchaj. Prawdę mówiąc, Helen, zrozumiesz mnie, wiem, że mnie zrozumiesz, poznałam kogoś. Mężczyznę. - Roześmiała się. - Właściwie to raczej chłopaka. Czy to okropne? Michael nie żyje, ale ja znowu czuję się żywa. Tego właśnie pragnę. Czuć się żywa.

Tak wielka dawka zaprzeczenia rzeczywistości wypełniła serce lekarki smętnym podziwem.

- Jestem zachwycona - oznajmiła, choć musiało być oczywiste, że to nieprawda. Zastanawiała się, dlaczego zadaje sobie trud. Wyciągnęła ręce i położyła je na dłoniach Anny.

- Powiedz, co ci się śniło dziś w nocy - poprosiła - a ja ci powiem, dlaczego nie możesz przestać tu przychodzić. Jeszcze nie.

- Wiesz co? - odparła Anna. - Nic mi się nie śniło. Czy to nie dziwne?

\*\*\*

Po półgodzinie Helen Alpert odprowadziła pacjentkę do drzwi, gdzie pożegnały się, z zapalem wyznając, jak bardzo będzie im siebie brakowało. Anna ruszyła szybko Hammersmith w stronę Chiswick Mail, nie oglądając się za siebie, Helen zaś przeszła na drugą stronę ulicy i oparła się o nadržeczny mur. Był słoneczny poranek, ale w powietrzu

wyczuwało się chłód. Wrzesień przyznawał, że zabawa skończona. Poziom wody w Tamizie był niski. Posepny nurt sugerował, że kierunek pływu się zmienia. Dwie albo trzy krzyżówki, które kwakały i przepychały się w błocie, jakby miały zamiar spędzić tu cały poranek, zerwały się nagle do lotu i pomknęły na zachód, wzbijając się coraz wyżej, aż wreszcie zniknęły za drzewami na przeciwległym brzegu.

Wróciła do środka i odłożyła na bok teczkę Anny Waterman. Potem zmieniła zdanie i zaczęła przerzucać gniewnie papiery, robiąc nowe notatki. Pacjentka, kobieta o osobowości na stałe uwięzionej w wieku młodzieńczym, udawała osobę dorosłą przez cały czas trwania małżeństwa z Timem Watermanem. W jakim celu? Zdołała w praktyce wymazać swe żalose życie z pierwszym mężem, ale nadal była z nim związana, a za jego pośrednictwem z tym co znane, lecz niepomysłane. Dlaczego teraz pozwalała, by maska spadła? Jeśli zaś chodzi o znaczenie powtarzającego się snu, inne sny sprawiały wrażenie równie wartościowych diagnostycznie, a co więcej przynosiły ze sobą narzędzia potrzebne do ich odkodowania. Centralnym problemem był rzecz jasna Michael Kearney. Helen Alpert nie potrafiła sobie wyobrazić, jak to możliwe, że ktoś nie potrafi zapomnieć o drugim człowieku, a jednocześnie nie jest w stanie go sobie przypomnieć. To było tak, jakby samooszukiwanie się Anny - zręczne i uparte - rozszerzyło się na świat rzeczywisty. Ubóstwo szczegółów w biografii Kearneya - matematyka, samobójcy, plamy mgły w życiu każdego, z kim się zetknął - nadawała mu nieokreślony charakter.

Dzisiaj jednak learkę bardziej interesował Brian Tate, który - grając rolę asystenta, pozbawionego ambicji doświadczalnika, wołu roboczego wspierającego koncepcyjny geniusz przyjaciela - zniszczył swoją karierę, jakby nie chciał, by pominięto go w ostatnim akcie wielkiego finału psychodramy Kearneya. Najważniejsza różnica między obydwoima mężczyznami polegała na tym, że doktor Alpert wiedziała wystarczająco wiele o późniejszym życiu Tate'a, by móc go odnaleźć. Miała nawet jego adres, gdzieś w głębi spokojnego Walthamshow, kokonu spowijającego akademicką mafię północnego Londynu. Teczka leżała na jej biurku. Zabrała ją ze sobą do ulubionej restauracji, „Le Vacherin” w Acton Green, gdzie przeczytała wszystko raz jeszcze, podczas gdy obiad przebiegał przez swe przyjemne, spokojne i nieuniknione fazy - kacze jajo *en cocotte*, *assiette* z zająca, tarta z suszonymi śliwkami z armaniakiem - a stoliki wokół niej opróżniały się stopniowo.

- Wie pani co? - powiedziała do kelnerki, unosząc wzrok, by przekonać się z zaskoczeniem, że jest już druga. - Chyba chciałabym poprosić o rachunek.

Wkrótce była już w drodze do Walthamstow. Jeśli uda się jej odszukać Briana Tate'a, być może zdoła skłonić go do mówienia - o Kearneyu, o ówczesnych wydarzeniach, o tym,

jaka była początkowo Anna. Z pewnością skontaktowanie się z nim byłoby nieetyczne. Musiałaby też przyznać, że ujawnia w ten sposób pewną nieoczekiwaną cechę swej osobowości. Do tej chwili zawsze starannie oddzielała własne życie od życia pacjentów, szczyliła się tym, że w obliczu niepowodzenia zawsze potrafiła zamknąć sprawę, nie angażując się w nią.

\*\*\*

O trzeciej po południu powietrze nad Carshalton High Street zrobiło się gęste i wilgotne. Rześki poranek dawno już ustąpił miejsca parnemu, płynącemu niewiadomo skąd żarowi. Anna Waterman spacerowała nerwowo w tę i we w tę, chcąc odwlec nieuniknione spotkanie.

Przerzuciła antykwaryczne książki w sklepie prowadzonym przez Oxfam; zatrzymała się na chwilę przy sztucznej kaskadzie w Grove Parku, gdzie spadająca woda parowała, pozostawiając po sobie zapach przypominający woń stęchłych ptasich piór. W końcu, pod pretekstem pory obiadowej, weszła do pubu i zamówiła pintę piwa. Jego smak sprawił, że przypomniała sobie leżącego na niej chłopaka. Był taki twardy i podenerwowany, a jego spojrzenie zwracało się ku wewnątrz. Spędzone z nim popołudnie było dla niej nie tyle wspomnieniem o wydarzeniach, ile ciągłym nieprzerwanym strumieniem wrażeń - dreszczykiem, który wszyscy znali, lecz nikt nie potrafił go nazwać. Potem musiała chodzić w kółko, spoglądając na plakaty wiszące na ścianie przy barze, by uniknąć beczynności. „Club Chat Noir”. „The Aviator Club”. W październiku wyścigi lokomobil, w grudniu chiński cyrk. Po chwili dała za wygraną i usiadła w kącie; popołudnie przechodziło w wieczór. Lokal odwiedzali ludzie mówiący takie rzeczy, jak: „Nie daję rady. Nie spodziewano się, że wyżyję”. Usłyszała słowo „deseń”, czy może „deser”. Potem wyraźnie „kontrakty”, a może „kontakty”. W ulokowanym nad barem telewizorze zaczęła się transmisja meczu europejskiego futbolu. Nalewając Annie trzecią pintę younga, barman obrzucił ją pustym spojrzeniem, a potem odwrócił wzrok.

Fałszywe belki, arteksowy sufit i dywan w kwiaty mają głębokie - choć niedostatecznie zbadane - działanie przeciwlękowe. O siódmej wieczorem Anna zdołała zapomnieć o krępującym spotkaniu z doktor Alpert i wziąć się w garść na tyle, by była w stanie stawić czoło domowi pod numerem 121 przy The Oaks.

Gdy wyszła z pubu, trwała już wieczorna godzina szczytu.

- Nie może jeść steku! - zawołał ktoś. - Dostanie od niego wilka!

Rozległ się śmiech. Z dała od centrum wypełniające ulice powietrze wydawało się obce. Ocieplało noc i nadawało jej żółtą barwę, ale jej nie przeobrażało. Spodziewałaś się, że

usłyszysz cykady, zobaczysz własny cień na łukowatym otynkowanym murze, za którym szeregi palm albo jakarand jeszcze szczelniej zamykają osłoniętą domenę. Jednakże widzisz tylko zwykły ostrokrzew albo brudny tynk kamyczkowy, a na porośniętym mchem podejździe często się psujący brytyjski samochód sportowy z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku albo land rovera o krótkim rozstawie osi kupionego na wycieczkę podczas roku przerwy przed pójściem na studia - projekt z lat młodości, porzucony pod zielonym brezentem przed piętnastu laty, gdy zglobalizowanym gospodarkom w końcu zabrakło nowych usług, które mogłyby sobie nawzajem sprzedawać, i skupiły uwagę na własnym upadku.

Trzymając w ręce przenośny dysk niczym przepustkę, Anna okrążyła dom od tyłu. W głównym oknie paliło się światło, ale słabe, jakby jego źródło znajdowało się w jakiejś innej części domu. Przycisnęła twarz do szyby. Wszystko wyglądało tak samo jak podczas jej poprzedniej wizyty: pomarszczone zielone linoleum, zwinięty dywan oparty w kącie naprzeciwko drzwi, a na stole meksykańskie pudełko z tłoczonej blachy z miniaturową ludzką czaszką spoczywającą na czerwonych koronkach. Stara sofa, luźno nakryta czymś, co mogło być perkalem, zwracała się teraz w stronę stołu. Siedziały na niej dwie kobiety, niskie, masywnie zbudowane i ubrane w czarne stroje. Na ich kolanach spoczywały identyczne torby na zakupy od Harrodsa. Anna słyszała ich głosy, ale nie rozumiała słów. Po kilku minutach w drzwiach pojawiła się chuda niewyraźna postać pchająca wózek inwalidzki. To był chłopak, który zaoferował jej kiedyś *Zaginiony horyzont*.

Brian Tate wyglądał gorzej niż kiedykolwiek dotąd. Górna część jego ciała, niezdolna już utrzymać równowagi, osuwała się na nylonowe pasy. Czaszka - łysa i owrzodziała - sprawiała wrażenie kruchej, jakby kość z roku na rok stawała się coraz cieńsza od chwili, gdy Michael Kearney go opuścił, pozostawiając mu tylko jego własną, skazaną na niepowodzenie, interpretację danych. Przechylał się na bok tak mocno, że wspierał się na lewym barku. Usta miał cały czas otwarte, a jedno oko zamknięte - powieka po tej stronie mu opadała, a policzek zwisał bezwładnie. Drugie oko, niebieskie jak ptasie jajo, spoglądało z błyskiem na ścianę, okno, meksykańskie pudełko z jego osobliwą zawartością, czy na co tam akurat się skierowało. Było żywe i skupione, ale to było tylko oko i wcale nie musiało się łączyć z czymkolwiek innym. Na kolanach miał przetłuszczoną torebkę z brązowego papieru. Chłopak zatrzymał wózek przy stole, zwracając go w stronę sofy, i zaciągnął ostrożnie hamulec. Następnie wcisnął Tate'owi na głowę biały motocyklowy hełm z lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia oraz narciarskie gogle - ten proces wymagał trochę fizycznego wysiłku - i usiadł po turecku na podłodze.

- Proszę - rzucił od niechcenia. - Jest tutaj.



Kobiety milczały, apatyczne i znudzone jak pacjentki w poczekalni u dentysty. Zostawiły na sofie bardzo niewiele miejsca, ale jej trzeci lokator - drobny mężczyzna w średnim wieku, o jaskraworudych włosach - zdołał się jakoś między nie wcisnąć. Wiercił się i uśmiechał, jakby toczył tę walkę w interesie publicznym. Ze swą brudną kurtką, ogorzałą od alkoholu twarzą oraz ochrypłym, specyficznym oddechem sprawiał wrażenie kogoś, kogo wybrany styl życia wkrótce zmusi do porzucenia domu i przeniesienia się do centrum Londynu, gdzie będzie kuśtykał w tę i we w tę po Shaftesbury Avenue, wołając: „Pogryzło mnie” i demonstrując turystom wrzody na karku od brania krokodila. „Hej, koleś, popatrz, pogryzło mnie!”.

Przez dwie, może trzy minuty wszyscy troje gapili się na Briana Tate'a - nie tyle przyjmując jego istnienie do wiadomości, ile próbując je w jakiś sposób potwierdzić, pomyślała Anna - a potem, bez słowa i bez żadnego znaku, że zdają sobie nawzajem sprawę ze swej obecności albo łączą ich wspólny cel - zajęli się swym ubraniem. Kobiety podwinęły spódnice na udach i przesunęły się do przodu, by móc rozstawić nogi, mężczyzna zaś próbował otworzyć rozporek swych ciasnych lewisów. Rozległ się szelest tkaniny oraz parę westchnień. Wszyscy zaczęli się onanizować. Po jakichś dwóch, trzech minutach, gdy nadal byli zajęci tą czynnością, wpatrując się przed siebie z twarzami całkowicie pozbawionymi wyrazu, Anna odniosła wrażenie, że czuje przez szkło ich zapach. Ostra, przywodząca na myśl drożdże woń nie była nieprzyjemna, lecz trudno ją również było uznać za atrakcyjną. W tej samej chwili pokryte plamami starczymi dłonie Briana Tate'a zaczęły grzebać w papierowej torebce i wyciągnęły z niej niedojedzonego podwójnego cheeseburgera z boczkiem. Tate rozerwał go na kawałki, starannie oddzielając bułkę od mięsa, które następnie uniósł, kiwając głową i uśmiechając się do pustego miejsca położonego gdzieś nad meksykańskim pudełkiem.

- Nadchodzi - odezwał się nagle chłopak zdławionym głosem. Pozostali milczeli, być może tylko w ledwie dostrzegalnym stopniu przyśpieszyli swe wysiłki. - Nadchodzi!

Siedzące na sofie kobiety jęknęły. Rudy mężczyzna pisnął, wciągając gwałtownie powietrze. W oddali zabrzmiał telefon. Meksykańskie pudełko, rozświetlone nagle od wewnątrz, wyemitowało obłoczek drobnego białego popiołu, który powoli rozpraszał się w pokoju.

- Nazywam się... - dobiegł z niego głos. - Nazywam się... Jest tu kto?

Brian Tate próbował odpowiedzieć, ale z jego ust nie mogły się wydobyć żadne słowa. Wsadził rękę w obłok popiołu. Wydawało się, że składa w ofierze resztki cheeseburgera, próbując zdobyć aprobatę czegoś, czego Anna nie widziała. Po chwili szklane drzwi pudełka

spadły z zawiasów i ze środka wybiegła biała orientalna kotka Tate'a. Złapała cheeseburgera, skoczyła właścicielowi na ramię i zaczęła jeść. Na ten widok kobiety zdwoiły swe wysiłki. Jęczały i naprężyły mięśnie, wkładając w to wiele pracy. Ich aktywność popychała pokój ku stanowi, w którym mógł się stać pozbawiony wymiarów, a zarazem pełen możliwości. Powietrze wokół sofy zamigotało nagle. Chłopak zerwał się na nogi i popchnął wózek w pozbawionym logiki kierunku. Równoległym do osi, której pokój z nim nie dzielił, pomyślała Anna. Wózek zaczął się oddalać po osobliwej, spiralnej trajektorii. Tate i kotka mknęli razem z nim, przyśpieszając z każdą chwilą. Stawali się coraz mniejsi, aż wreszcie zniknęli w jednym z górnych kątów. Siedzący na sofie ludzie umilkli. Ich siła woli rozproszyła się, ubrania mieli rozchełstane, a ramiona pokryte pyłem jak ofiary bombardowania. Wszyscy oklapli w pozycji płodowej. Szyba pękła w poprzek z głośnym trzaskiem i spadła na kwietnik u stóp Anny. Chłopak wystawił głowę na dwór.

- Hej, trzeba było wejść! - zawołał, chowając do spodni penisa przypominającego zwitek miękkiej białej irchy.

Anna zadrżała rozpaczliwie. Uciekła na ulicę i obejrzała się ze złością na dach domu pod numerem 121. Co spodziewała się tam zobaczyć? Nie była pewna. Być może Briana Tate'a i jego kotkę, umykających ku mlecznym chmurom, za którymi udawało się od czasu do czasu dostrzec dwie albo trzy niemożliwe do zidentyfikowania gwiazdy, jedyny znany komukolwiek dowód na istnienie nieskończonej przestrzeni, w której uważamy, że żyjemy. Pamiętała wszystko, ale nic z tego nie miało sensu.

- Mam już tego dość, Michael - oznajmiła, jakby Kearney rzeczywiście wrócił z martwych i stał obok niej, tak samo jak prawie trzydzieści lat temu przed tym samym domem, wkrótce po wydarzeniach równie niezwykłych i destabilizujących. - Mam tego po dziurki w nosie.

Wsiadła do pociągu o dziewiątej dwadzieścia siedem, odjeżdżającego z Carshalton Beeches do śródmieścia. Miejscowe połączenia były opóźnione z powodu robót drogowych. Przez Clapham mknęły z łoskotem pociągi towarowe: suchy cement luzem, gęstszy i bardziej realny niż samo to miejsce czy przechodzący przez nie ludzie z miękkimi częściami umeblowania w plastikowych torbach albo kotem w koszu. Anna rozglądała się w koło, żałując, że wypowiedziała kiedyś na głos marzenie o zamieszkaniu tutaj. W blasku rtęciowych lamp okazało się, że to tylko kolejny dworzec.

- Zachęcałabym pociągi, żeby nadal tam kursowały - powiedziała wówczas do Helen Alpert. - Po prostu dla towarzystwa.

To był tylko kolejny kiepski żart z terapeutki, jeszcze jedna próba przyciągnięcia jej

uwagi. Po peronie chodził mężczyzna w żółtej kamizelce odblaskowej, zatrzymując się od czasu do czasu, by zajrzeć w oświetlone okno dworcowej kawiarni, jakby znajdujące się w środku objekty - filiżanki, ciastka, szafki, papierowe serwetki - nie były całkowicie zwyczajne, w pełni dostrzegalne i absolutnie zrozumiałe. Poza nim nie było tu prawie nikogo. Pociąg był powolny. Jego koła wypełniały dźwięcznym żalobnym łoskotem zagajniki i puste pastwisko. Dotarła do domu dopiero trzydzieści pięć minut po północy i wysłuchała wiadomości od Marnie.

- Mamo, proszę, nie znikaj tak, nie zawiadomiwszy mnie przedtem. Jak poszło ci dziś rano?

Anna usiadła na sedesie ze spuszczoneymi majtkami, zdjęła buty i podrapała się w podeszwę stopy. W szkole, pod koniec pierwszej dekady dwudziestego pierwszego wieku, Marnie nie znosiła telefonów komórkowych i nie chciała mieć z nimi nic wspólnego, mimo że były już wówczas filarem młodzieżowej kultury. Co się popsulo od tego czasu?

- Chcę się dowiedzieć, jak ci poszło! - dodała Marnie.

Anna nie potrafiła odgadnąć znaczenia scen, których świadkiem była w Carshalton, i nie rozumiała też własnej historii. Zważywszy wszystko razem, jeśli masz pewien szczególny rodzaj umysłu, nie umiesz nawet odróżnić normalności od dziwaczności. Dlatego w wieku osiemnastu lat leżysz twarzą do dołu w łazience, przyglądając się odbiciu własnych przyszców w czarnych, lśniących kafelkach posadzki. A jeśli potem wybierasz na swego zbawcę kogoś całkowicie dysfunkcyjnego, jak może to być twoja wina? Któż potrafiłby odgadnąć prawdę? A co ważniejsze, przeszłości nie da się naprawić. Można ją jedynie zostawić za sobą. Ludzie, w tym również zmarli, zawsze żądają za wiele. Miała już dość biegania na posyłki. Robiłam, co mogłam, pomyślała, ale teraz już mi się nie chce.

Przez bardzo długi czas kiepsko radziła sobie z życiem, a teraz chciała się tylko nim nacieszyć. Na początek otworzyła drzwi i okna na parterze, a potem butelkę czerwonego wina. Przenośny dysk wyrzuciła do kosza.

Gdyby zadzwoniła do Marnie, tylko by na siebie nawrzeszczały. Wołała tego uniknąć, poszła więc z butelką na sofę...

\*\*\*

...i niemal w tej samej chwili przedarła się przez warstwy bezgłośnego chaosu ku świadomości, by ujrzeć kota Jamesa, który wpatrywał się w jej twarz, mrucząc ochryple z czymś pomiędzy przyjemnością a zaborczością.

Była naga. W pewnej chwili z pewnością wstała, choć tego nie pamiętała, zamknęła dom i położyła się spać.

- Zmykaj, James... - Odtoczyła się od niego i wstała, podskakując na potężnej sprężynie. Rozpaczliwie chciała czegoś się napić. - Nawet nie należymy do tego samego gatunku.

Choć nie była tego bezpośrednio świadoma, sen trwał. Leżała na boku na czarnej szklanej podłodze w swej sukni od Versacego i długich czarnych rękawiczkach. Górna połowa jej ciała wspierała się na jednym łokciu. Nie zmieniała się z kobiety w zwierzę ani ze zwierzęcia w kobietę. Nie była w trakcie przejścia i nie była też, w żadnym sensie tego słowa, „uwięziona” między owymi stanami, lecz pracowicie okupowała oba jednocześnie. Choć sama sobie nie wydawała się w pełni Anną, nie odnosiła też wrażenia, by była całkowicie kimś innym: czuła się zamazana, rozsmarowana po ważnych punktach paradoksu albo konfliktu na sposób Francisa Bacona. Budzenie się nigdy nie przerywało ciężkiej niewdzięcznej pracy, jaką była ta superpozycja (wyobraziła sobie, że mówi do Marnie: „Ktoś musi to robić, kochanie”) ani nawet nie czyniło właściwie Anny mniej świadomą jej trwania. Pod nieobecność świadomości wszystko to wydawało się bardziej aktualne i oczywiste. Co tylko pogarszało sytuację, ponieważ odnosiła wrażenie, że to komentarz dotyczący jej życia, płynący z jakiegoś wewnętrznego źródła, którego wolałaby nie zauważać. Zatrzymała się w połowie drogi do wyjścia i wróciła uściskać kota.

- Tak mi przykro, tak mi przykro, tak mi przykro - mówiła. - James, jeśli pragniesz mojej rady, nigdy nie popełniaj nieudanego samobójstwa. Nigdy nie przestanę ci tego wypominać. Nawet ty sam nie przestaniesz.

James pozwolił zanieść się na dół. Umknął w noc, gdy tylko Anna otworzyła kuchenne drzwi, ale po kilku minutach wrócił podekscytowany, trzymając w zębach neonową nerkę. Narząd o wymiarach pięć na cztery centymetry miał pełne, przyciągające spojrzenie krzywizny oraz intensywną jasnoniebieską barwę. Jego przezroczysta skórka była odporna, a zarazem elastyczna. James przycupnął na blacie i zabrał się do nerki tylnymi zębami, oddychając głęboko tą samą stroną pyska.

- Och, Boże - mruknęła Anna, odwracając się na wszelki wypadek, by nie zobaczyć, jak nerka eksploduje. - Zamykam drzwi.

W wyjściu zaskoczył ją jednak długi łagodny blask błyskawicy. Cień sylwetki Anny padł na przeciwległą ścianę. Nie było gromu. Do kuchni napłynęła fala wilgotnego ciepła. To była pogoda towarzysząca transformacji, odpowiednia dla innego kraju: gęste, nisko wiszące chmury; woń stojącej wody zlewanej deszczem. Kot uniósł wzrok, a potem znowu spojrzął w dół.

- Halo? - wyszeptała Anna. - Halo?

Wyrzała do ogrodu. Ciągnął się w dal, wydłużony, za wąski, przesłonięty zmarszczkami od upału. W bezgłośnych, lecz znamionujących katastrofę rozbłyskach ukazała się widoczna w oddali altana.

- Znowu się pali - pomyślała Anna. - Jakie to nużące.

Tym razem ukazała się jej jako cały szereg budynków - szesnastowieczny wiatrak ze wzgórz, dickensowska chata, osmalona jak odwrócona do góry dnem łódź leżąca na plaży, palladiański kaprys zapadający się w pogańskie ruiny, na których go wzniesiono. Owe budynki zastępowały się kolejno w zmiennym polu widzenia. Powiększały się i kurczyły, jakby zbliżały się bądź oddalały. Każdy przynosił ze sobą własny styl nie tylko architektury, lecz również obrazowania - od fotograficznej ostrości zarysu po impresjonizm przypominający St Ives; od sylwetki wyciętej z kolorowego kartonu aż po hobbistyczny gotyk z zapalek. W jednej chwili drzeworyt przedstawiający altanę z nieruchomymi płomieniami, w następnej zaś impast rozmazany kciukiem.

Zatrzymując się tylko na chwilę, by wyjąć z kosza przenośny dysk Kearneya, Anna wyszła do sadu i zatrzymała się w nim naga, bosa i cicha, niepewna już, ile właściwie może mieć lat.

- Kimkolwiek jesteś - zaczęła rozsądnym tonem - nie mam pojęcia, czego chcesz.

Jakby w odpowiedzi, altana zaprezentowała jej kilka nowych wersji siebie, stając się kolejno kartą tarota (Wieża, zawsze upadająca, zawsze w płomieniach, wskaźnik i zwiastun życia w okresie przemiany); kanonicznymi sztucznymi ogniami z czyjegoś dawno minionego dzieciństwa, „wulkanem” owiniętym w czerwony i niebieski papier, wypuszczającym z siebie różowe światło, dym, fontanny iskier oraz gęste strużki lawy; a na koniec zapadającym się namiotem jarmarcznym z wycinanym w półokrągłe ząbki okapem oraz z proporcami w wielu różnych kolorach. Za nim wzbijały się głośno do lotu rakiety z butelek, jak z filmów rysunkowych, sypiące kaskadami przedmiotów, które spadały z niepasującymi do nich dźwiękami - plastikowe naczynia stołowe dźwięczały jak dzwony, z edwardiańskiej kolejki płynął świst skrzydeł gołębia w pustej fabrycznej hali - składając się w locie i znikając, nim dotknęły ziemi. Owe obiekty pachniały wygarbowaną skórą, szronem, cytrynowymi bezami; pachniały prekursorami chemicznymi. Pachniały mydłem „Pears”. Anna podeszła tak blisko, że skóra nad oczami zeszytniała jej od żaru. W tej odległości altana się ustabilizowała, wracając do znajomej postaci. Potem gęsty strumień mniejszych obiektów trysnął w górę z klombów, wylał się z drzwi, spłynął z dachu, przeradzając się w pokaz tysiąca świetlików, deszcz ze śniegiem padający w blasku samochodowych świateł, prysznic klejnotów i twardych cukierków, emaliowanych znaczków do przypinania i odłamków kolorowego szkła.

Sznury kolorowych lampek choinkowych, fałszywe perły i bożonarodzeniowe bombki. Małe zabawki mechaniczne - chrząszcze, pływacy, skaczące kangury - bez wyjątku napędzane rdzewiejącymi sprężynami z pierwszego okresu chińskiej industrializacji. Wielobarwne piłeczki do żonglowania. Tysiąc reklamowych długopisów. Tysiąc tanich GPS-ów, które już nie działały. Dzwonki i paski. Ptaki, które naprawdę gwizdały; ptaki, które śpiewały. Milion małych elektrycznych części oraz kawałki archaicznych płytek obwodów scalonych, jakby każde radio, które kiedykolwiek wyprodukowano, pochowano w ziemi, a wraz z nim - jako coś w rodzaju pogrzebowej ofiary! - ledwie słyszalną muzykę i głosy z *Worker's Playtime*, *Womans Hour* albo *Journey Into Space*, wszystkich programów, jakie kiedykolwiek odbierały. Mgła złożona z małych towarów konsumpcyjnych. Wszystkie śmieci z jej życia albo z życia kogoś innego.

Anna Waterman, z domu Selve, zatrzymała się krok albo dwa przed drzwiami altany. Przekrzywiła głowę i wytężyła słuch.

- Halo? - odezwała się. - Och, co to znowu?

Było bardzo cicho i spokojnie. Wszystko pachniało hotelową łazienką. Weszła do środka i zaczęła spadać. Zaskoczona wypuściła z rąk przenośny dysk. W ostatniej chwili między jej nogami przemknął James, czarno - biały kot. Cała trójka - kobieta, zwierzę i dane - razem wypadła z tego świata. Blask i ciemność przeszły w nagłą ciszę oraz stroboskopowe emisje przesuwające się w obie strony wzdłuż całego spektrum elektromagnetycznego.

## TONY I SZUMY SERCA

MP Renoko - tajemnicze softwarowe jestestwo będące ponoć wszystkim, co pozostało z cyrku Sandry Shen - wrócił niedawno z inspekcji ważniejszych orbit kwarantannowych w całym Halo.

Czuł się zmęczony, ale szczęśliwy. Na tych wizytach, interesujących, lecz z konieczności utrzymywanych w tajemnicy, jego rola się skończyła. Ładunek dostarczono na miejsce, klient usadowił się w ładowni statku zwanego *Nova Swing*. Renoko wybrał się na ostatni spacer brzegiem morza, półtora kilometra od cyrku, na południowej półkuli Nowego Wenusportu. Z dala od motelu i baru na plaży widział tylko morskie bryzgi i blask słońca, fale uderzające o stromy brzeg usiany głazami wielkości lodówek, gdzie opalający się mężczyźni i kobiety grzali się na słońcu jak jaszczurki, gapiąc się bez wyrazu na rozpryskującą się przed nimi morską pianę. Zwracali na potężne fale tak mało uwagi, jakby były hologramami, zauważył MP Renoko.

- To dziwne - dodał, zwracając się do towarzyszącej mu zjawy - że mają tak mało zdrowego rozsądku.

- Ale popatrz! - zawołała kobieta. - Popatrz!

Wbiła piętę w pokrywające plażę kamyki, a potem pochylili się szybko i wydobyła coś spomiędzy nich. Po usunięciu odrobiny wodorostów okazało się, że to stara okrągła moneta z kwadratową dziurką w środku, z jakiegoś powodu nadal błyszcząca i wolna od śniedzi.

- Między tymi głazami pająki przędą swe sieci - zauważyła zjawa. - Pół metra nad tymi bałwanami! Drżą za każdym razem, gdy nadchodzi fala, i nie potrafimy wyrazić lęku, jakim nas to napełnia. - Wzruszyła ramionami. - Ale co roku są tu sieci i pająki.

Rzucona w górę moneta zaślśniła.

- Orzeł czy reszka? - zapytała zjawa.

- Zawsze byłaś najlepszą dyskusantką - przyznał Renoko. - Wiem, że popełniam błąd, mówiąc „myśle”. Powinienem mówić „jestem myślany”.

Ujęła go za rękę ze swym bladym, orientalnym uśmiechem.

- Powinieneś - potwierdziła. - Nie mogę tu zostać długo. Wracamy do cyrku? Czy do restauracji?

- Jestem gotowy pójść gdziekolwiek.

W odległości niespełna kilometra, u podstawy klifu, ocean wściekał się i tańczył. Nikt nie wiedział dlaczego. Nie chodziło o temperaturę. To był jakiś mniej codzienny rodzaj fizyki. Piana morska tworzyła wiszące w powietrzu pryzmatyczne zasłony, wysokie na trzysta metrów i pełne niezwykłych kolorów - przejrzystego różu, żółtozielonej oranżady w proszku albo dziwacznego metalicznego błękitu. Mewy krążyły w nich, ogarnięte ekstazą. Na samym szczycie klifu, by maksymalnie wykorzystać niezwykły, głęboko przedludzki charakter ukształtowania terenu planety, zbudowano budynek o długości dwudziestu metrów, a wysokości pięciu - restaurację w stylu O'Mahony, zwaną „Mann Hill Tambourine”, ale znaną stałym klientom - młodym i modnym kierownikom średniego szczebla z przybrzeżnych stoczni raketowych - po prostu jako „Tambourine”. Za dnia nad budynkiem w stylu art deco, z jego nierdzewną stalą i szklanymi płytkami, krążyły mewy. Nocą „Tambourine” ogarniała tęsknota za falami, jakby pragnął runąć z urwiska, i pozdrawiał morze odcieniami miętovej zieleni, głębokiej migotliwej czerwieni oraz nieciąglymi rozbłyskami samej nierdzewnej stali. Po siódmej stoliki porzucano. Nikt nie przychodził do „Tambourine” dla jedzenia. Wszyscy wciskali twarze w zwrócone ku morzu okno, gdzie swój przywoływał swego w jak dotąd nieudoskonalonej fazie wszechświata.

- Jeśli zostaniesz tu sama - odezwał się Renoko - możesz usłyszeć głosy w szumie fal. Zdumiewało go, jak bardzo czuje się zmęczony.

\*\*\*

Wkrótce po tych wydarzeniach na pokładzie *Nova Swing* rozegrała się dziwna scena. Światła w kabinach zamigotały. Silniki dynaflow zakrzusiły się, przestały na chwilę działać, a potem włączyły się znowu, tworząc we wspomnieniach przerwę przypominającą skutki przemijającego ataku niedokrwiennego.

Fala przeszła też przez płyty pokładu ładowni, jakby materia również mogła paść ofiarą udaru. Światło i ciemność straciły na ostrości. Trupie klatki obijały się o siebie jak zacumowane łodzie. Pokrywa K-tanku spadła gwałtownie i odtoczyła się z brzękiem, odsłaniając ukryty wewnątrz proteom, pluskający jak brudna słona woda nocą. Spod jego powierzchni wyłonił się mieszkaniec tanku - wychudzony Ziemianin z częściowo odrosłym irokezem i dwoma wytatuowanymi wężami. Od przepony w dół jego ciało przypominało zwęglony wystrzępiony płaszcz. Do kręgosłupa w neurotypowych punktach energetycznych podłączono przewody. Na wpół utopiony, wymiotujący z powodu zawrotów głowy



spowodowanych przerwaniem lotem międzygwiazdowym mężczyzna rozejrział się w panice po ładowni z jej trupimi klatkami. Spływał z niego proteom cuchnący klejem z końskich kopyt, wytapianym tłuszczem, białkiem zepsutych jaj. Cokolwiek mogło mu się śnić, zniknęło bez śladu. Nie był przyzwyczajony do nieelektronicznej obecności we wszechświecie: minął jakiś czas, odkąd ostatnio był dostępny w tej formie. Spojrzał na siebie.

- Jezu, Renoko - poskarżył się pustemu powietrzu. - Nie mam nóg, niech to chuj. Nie powiedziałaś mi o tym.

Zaczął wyciągać z kręgosłupa grube gumowe kable.

- Kurwa - dodał.

Stan, w jakim był K-tank, wyraźnie mu zaimponował.

- Przypomnij mi, żebym następnym razem wrócił łatwą drogą. Czy ktoś ma serwetki?  
- zapytał, zwracając się do trupich klatek.

Co sądziły o tym występie?

Spodobał im się. Były obcymi. Spędziły już dwa tygodnie w klaustrofobicznej ładowni *Nova Swing* z jej czarno-żółtymi ostrzegawczymi pasami, luźnymi drzwiami szafek na narzędzia oraz ostrzeżeniem nakazującym ostrożne obchodzenie się z plazmą. Zdawały sobie sprawę, gdzie są, i rozumiały, dlaczego się tu znalazły. Nie robiły tego po raz pierwszy. Praca dla Sandry Shen wymagała co najmniej stuleci podróży z odległych miejsc. Grały kluczowe role w zakończeniu działalności jej Obserwatorium i Hodowli Wrodzonej Karmy. Porzuciły sensowne środowiska, zostawiły za sobą domy i rodziny, by stać się elementami produkującej zmianę maszyny kierowanej przez pseudo-Chinkę. Podobnie jak ona, przybyły tu, by pracować dla innych. Spalony mężczyzna przypadł im do gustu, ponieważ akceptowały ten fakt.

\*\*\*

*Nova Swing* wygryzała długą dziurę między gwiazdami, a załoga straceńców wyglądała na zewnątrz. Twarze jej członków czasami pojawiały się przy lukach razem, a w innych przypadkach pojedynczo. Policja szukała jej na kilku światach. Zarzut: przemyt artefaktów. Możliwe złamanie zasad kwarantanny. Poszukiwana w związku ze śmiercią faktora z Saudade znanego jako Toni Reno. Przekradała się wzdłuż Plaży ze świata na świat. Odkąd przyjęła na pokład uszkodzone K-tanki zakradła się dyskretnie na Kozie Oko i na Odwróconego Łabędzia; spadła przez puste przestrzenie między Zatoką Radiową a samym Traktem; dryfowała przez siedemdziesiąt cztery godziny, wyłączwszy wszystkie systemy, w punkcie o starannie zakodowanych współrzędnych, znajdującym się w obłoku Oorta osławionej dXVII-Channing. MP Renoko nie pokazał się w żadnym z tych miejsc. Potem,

gdy już stracili nadzieję, że go odnajdą, wsadził głowę do środka przez ścianę kabiny dla załogi i oznajmił Grubemu Antoyne'owi, jakby kontynuując rozmowę, którą zaczęli w „Wschodniouralskim Rezerwacie Przyrody” na Świecie Very Rubin:

- Każdy jest swym własnym projektem ewolucyjnym, Gruby Antoyne!

- Jezu! - zawołał Antoyne.

- Kim jest ta mała stara pizda? - zainteresowała się Irene. Obrzuciła Renoko spojrzeniem od stóp do głów. Jej tęczęwki pociemniały w zapowiedzi satyry. - Och, to ty. Antoyne, zejdź ze mnie.

To nie bródka Renoko budziła jej niechęć, ani nawet nie wygląd pedofila z lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Odnosiła wrażenie, że Renoko zawsze ukrywa jakąś część siebie. A może nawet nie część, lecz całość.

- Wejź - zaprosiła go, zakrywając biodra fragmentami stroju. - Mamy twoje bezużyteczne zabawki.

- Spisaliście się bardzo dobrze - przyznał.

- Takie gadki nic ci nie dadzą, Renoko. Może ci pomóc jedynie to... - wykonała powszechnie zrozumiały gest oznaczający pieniądze - ...potem zabierz swoje zardzewiałe żelastwo i znikaj.

Mowa ciała Irene sugerowała, że jeśli kierują nim nieznane siły, lepiej niech się do niej nie zbliża.

Antoyne położył dłoń na jej ramieniu.

- Dlaczego zabiliście Toniego Reno? - zapytał gościa. - Nie rozumiem tego.

- Nie zrobiliśmy tego - odparł Renoko ze zdziwioną miną.

Irene znowu wyciągnęła rękę, zwracając dłoń wewnętrzną powierzchnią ku górze.

- My również nie - oznajmiła.

- Dziękuję za informację - odparł Renoko. - Wszystko załatwię - zapewnił Antoyne'a. Mrugnął znacząco i jego twarz znowu zanurzyła się w ścianie. Nie miał na myśli pieniędzy, ale Antoyne nie mógł o tym wiedzieć. - W ciągu najbliższej godziny możecie mieć pewne trudności z komunikacją - dodał jeszcze przed zniknięciem. - Bez paniki.

W głównej ładowni, gdzie następnie się zmaterializował, znalazł zwęglonego mężczyznę, który trudził się przy jednej z trupich klatek ze spawarką impulsową sprzed czterystu lat. Iskry sypały się na wszystkie strony. W ich żarze i blasku obskurne ciasne pomieszczenie wyglądało jak kuchnia samego Boga. Renoko przyglądał się temu przez minutę albo dwie. Wyraźnie był pod wrażeniem.

- Osłona gazu aktywnego? - zapytał.

Zwęglony mężczyzna przesunął gogle na czoło i potrząsnął głową.

- Obojętnego. Spawałeś kiedyś?

- Nigdy - odparł Renoko. - Ale uwielbiam na to patrzeć.

Zwęglony mężczyzna skinął głową. Ów gest świadczył, że słyszał to już wiele razy, lecz mimo to docenia komplement. Nie każdy potrafi spawać. Pozwolili sobie na chwilę dzielenia się wspólnym entuzjazmem.

- Hej, znalazłeś mi naprawdę gówniane ciało! - poskarżył się wreszcie.

- To twoje własne - zauważył Renoko.

- Nie przypominam sobie, żebym zrobił mu coś takiego.

- Spełni swoje zadanie. Powiedziała, że możesz zacząć w każdej chwili. Na orbitach kwarantannowych są gotowi na twoje przybycie.

Zwęglony mężczyzna podrapał się po irokezie.

- Jeśli nie teraz, to kiedy? - zapytał sam siebie, sprawiał jednak wrażenie, że ma zastrzeżenia. Po chwili wzruszył ramionami, roześmiał się i klepnął Renoko w bark. - Hej, a więc jednak przyszła się z tobą pożegnać? *La Chinoise*?

- W końcu przyszła - potwierdził z uśmiechem Renoko.

- Zatem czujesz się dobrze?

- Tak - zgodził się Renoko.

- To świetnie - stwierdził węglony mężczyzna. Wyciągnął rękę i wsadził dłoń do głowy rozmówcy.

- Och! - zawołał Renoko. Widział coś bardzo szczególnego. - Ona stara się dać wszystkim to co najlepsze.

Upadł na plecy i pomknął z westchnieniem wzdłuż grodzi. Po chwili zdołał usiąść i zaczął tracić siebie z oczu. To było niesamowite wrażenie. „W moim przypadku”, powiedział sobie po raz kolejny, „błędem jest mówić »myślę«. Zawsze powinienem używać formy »Jestem myślany«”. A potem przestał. Przestał być myślany. Choć dopóki chłopaki z Ziemi będą jadać obiady, maleńka cząstka Renoko będzie żyła nadal jako fraktalne wspomnienie w bazie danych Faint Dime - *schwymane & rozproszone światło wszelkich rodzajów słabe światło przez pofalowane szkło ostre światło chromowanych powłok refleksyjnych światło różowych neonów rozproszone na sufitach plastikowy laminat w fantastycznych pastelowych kolorach chromowane żłobkowanie w stylu art deco za barem osobliwy odcień podłogi w szachownicę światło barwy żółtozielonej oranżady w proszku padające na wszystkie obite różową imitacją skóry stolki wszystkie idealnie przedstawione w idealnym cukierkowym kolorze jak słodczyce każdy przedmiot jest idealny jest idealnie sobą & wszystkie są idealnie*

*identyczne te plastikowe ławeczki dziwacznej barwy metalicznego błękitu* - mniej zakłóceń niż rezonansu, pozostałości rezydentnego programu, który drukuje się jako lista estetycznych możliwości w kasach sklepowych całego Halo, ze szczególną sympatią do „The Tambourine” na Nowym Wenusporcie.

\*\*\*

Po czterdziestu sekundach główną ładownię wypełniło światło.

Wewnętrzne komunikatory trafił szlag. Tablice rozdzielcze w sterowni zapchały sygnały błędu.

- Akceptuję! - zawołała Liv Hula do złącza pilota. Nic się nie wydarzyło. Ręcznie wepchnęła sobie przewody do ust. - Akseptuję!

Za późno. Przewody pokonały dopiero połowę drogi, gdy połączenie się przerwało. Liv wpychała je głębiej, aż zaczęła krwawić, ale system nic nie odbierał. Zamiast tego została wyrwana z samej siebie i rozpoczęła długie, pozbawione tożsamości przejście.

Gdy wszystko wróciło, widziała świat za pośrednictwem zewnętrznego roju kamer. Jednostki samonaprawcze przemykały po kadłubie barwy mosiądzu, gęste jak kurz pokrywający upalną ulicę. Zestaw rufowy pojawiał się i znikał. Wysięgniki, termojądrowe szalupy, przysadzista wypukłość, w której mieścił się napęd dynafłow; było przez nie widać gwiazdy. Ze źródła na dole, gdzie kiedyś były ładownie i silniki, wypływał w pustkę przerywany strumień rozmytej plazmy. Miał już całą jednostkę astronomiczną długości i był krzywy jak bułat. Ponieważ złącze ze złotych przewodów na w pół stopiło się w jej podniebieniu miękkim, mogła jedynie poruszać przełącznikami.

- Antoyne? Halo?

Nikt jej nie odpowiedział. Maszynownie, ładownie, zejściówki, szyby wentylacyjne, klatki schodowe i inne elementy znajdujące się wewnątrz statku znikwały kolejno. Jeśli przejdziesz przez niewłaściwe drzwi, kto wie, co możesz zobaczyć? Liv była świadoma, ale ślepa. Gdybyś mógł nałożyć szarość na szarość, otrzymałbyś to, co wypełniało ekrany w sterowni - coś w rodzaju świetlistego mroku, w którym znajdował się jej statek. Nie było tam nic, ale owa pustka wywierała silne wrażenie ładu.

- Jezu, Antoyne - odezwała się. - Co ty znowu odpierdalasz?

\*\*\*

Nikt jej nie słyszał.

Antoyne srał z zadowoleniem, a Irene, która nawet w najmniejszym stopniu nie ufała Renoko, włożyła lekki biały skafander kosmiczny, zabrała ze stojaka swój ulubiony samopowtarzalny lekki karabin „Fukushima” i, trzymając pod ręką okrągły przezroczysty

hełm, opuściła kabiny dla załogi, kierując się ku głównej ładowni. Kratownicowe schody wyginały się pod ekspresjonistycznymi kątami na tle posępnych świateł alarmowych. Na tylnej zejściówce pokładowa grawitacja stała się niestabilna. Łączność nie istniała. Trudno było określić, gdzie jest góra. Niemniej Irene wyglądała świetnie w ciasnym skafandrze, ze swą zdeterminowaną miną i przyciągającymi spojrzenie blond włosami.

- Tu jest piekielnie gorąco - oznajmiła. - Halo?

Przyłożyła ucho do drzwi głównej ładowni.

- O kurde. Liv? Antoyne? Słyszę coś!

Położyła hełm i broń na podłodze, otworzyła drzwi i weszła do środka.

\*\*\*

W tej samej chwili, gdy Liv usłyszała dziwne krzyki Irene, brakujące fragmenty statku powróciły. Antoyne nawet nie zauważył ich zniknięcia. Pojawił się w sterowni, podciągając spodnie, i wspólnie z Liv przeszukali *Nova Swing*, skacząc w głąb klatek schodowych, by uniknąć stref rozpadającej się fizyki. Statek odbudował się wokół nich. Jego kadłub nie przestawał dźwięczeć. Drzwi głównej ładowni otworzyły się, odsłaniając pionową linię cytrynowożółtego światła. Wewnątrz częściowo dokonała się już jakaś transformacja, której nie dało się zaakceptować. Niewyraźne cienie, hałasy przypominające religijną muzykę, wszędzie pełno iskier i jakiś głos powtarzający: „Kurwa!”. Antoyne z determinacją odwrócił od tego wzrok, w tej samej chwili sięgając jedną ręką do środka. To było trudne. Musiał przez pewien czas poruszać kończyną na oślep, w końcu jednak zdołał złapać Irene za kostkę i wyciągnąć ją na zewnątrz.

- Antoyne - wyszeptała z czymś w rodzaju rzeczowego zdziwienia. - Wszechświat nie jest taki, jak myślimy. - Dotknęła Liv Huli miękką dłonią. - Niczego w nim nie stworzono dla nas! - Nagle szarpnęła się w objęciach Antoyne'a, by móc spojrzeć mu w oczy. - Nie patrz! Nie patrz!

- Nie patrzył - uspokoiła ją Liv, choć nie była pewna, czy tego nie zrobił.

Dziąsła krwawiły jej w miejscach, gdzie wyrwała złącze pilota. Czuła tam mnóstwo luźnej tkanki. Czasami odnosiła wrażenie, że umarła sto światel stąd, na tajemniczej planetoidzie. Od owej chwili miała koszmary o tym, że ekipa poszukiwaczy znajduje ją, gdy unosi się w słabym promieniowaniu jonizującym na skrzyżowaniu dwóch korytarzy, a nad szybą jej skafandra jest nabazgrane nieczytelne nazwisko. Dzień za dniem, gdy leżała w fotelu pilota, podłączona bezpośrednio do życia wewnętrznego maszynierii i przeglądała dane systemów monitoringu, było jej za zimno. Coś tam było nie w porządku już od pierwszego dnia kontraktu, jaki zawarli z Renoko, a z każdym nowym artefaktem, który przyjmowali na

pokład, obserwacja życia stawała się trudniejsza. Liv nie miała pojęcia, czy *Nova Swing* jest w stanie sobie poradzić w swym obecnym stanie.

- Trupie klatki! - wrzeszczała Irene. - Trupie klatki!

Liv Hula zatrzasnęła drzwi głównej ładowni i odsunęła się od nich ostrożnie, trzymając w obu rękach samopowtarzalny karabin.

Zaciągnęli Irene z powrotem do kabin dla załogi. Przez cały czas ledwie się trzymała. Krzyczała i dręczyły ją halucynacje. Gdy dotarli na miejsce, poleciała Grubemu Antoyne'owi, żeby ubrał ją w najnowsze ciuchy i zaniósł do luku. Nie mogli znaleźć na niej nawet najmniejszego śladu, ale oddalała się tak szybko, że czuć, jak przechodzi obok ciebie i znika w pustej przestrzeni.

- Te gwiazdy! Takie piękne! - odezwała się i zamknęła oczy. Jej skóra nabrała odcienia ołowiu.

Antoyne, który czuł, że jego ręka zrobiła się jakaś dziwna, odkąd wsadził ją do ładowni, spojrzął na Irene i doszedł do wniosku, że umarła. Po chwili uśmiechnęła się jednak do niego.

- Antoyne, obiecaj, że nie zrobisz sobie mojego kultywara - zażądała. - Jeśli muszę umrzeć, chcę, żeby to było na zawsze, tu i teraz, w tym naprawdę prawdziwym miejscu. - Zastanawiała się przez chwilę, a potem uściśnęła mocno jego ramię. - Hej, chcę też, żebyś znalazł sobie kogoś innego! Pewnie, że chcę! W tym życiu nigdy nie powinniśmy być sami, Antoyne, bo po to właśnie istnieją ludzie. Jeszcze wiele razy doświadczysz miłości. Ale, kochanie, pragnę, żebyś mnie utracił. Rozumiesz?

Antoyne, odrętwiały już od tego wszystkiego, zapewnił, że rozumie.

- Świetnie - ucieszyła się. Westchnęła i uśmiechnęła się, jakby przynajmniej ten ciężar spadł z jej umysłu.

- Spójrz na te gwiazdy - zachęciła Antoyne'a po raz kolejny. Nagle, z niezrozumiałych dla niego powodów, zmieniła temat. - Wszystkie te buty, które możesz zjeść!

Podciągnęła się, łapiąc go za barki, by rozejrzeć się po kabinie.

- Och, Liv - rzekła. - I nasza piękna, piękna rakieta!

Antoyne poczuł, że zaczyna płakać. Potem rozplakali się wszyscy troje.

## SERIA IMPULSÓW

O trzeciej pięćdziesiąt rano asystentka odwiedziła Ou Lou Lu na Retiro Street. Dopiero niedawno dodała ten punkt do swego conocnego obchodu. Wypiła tam filiżankę kawy espresso, trzymając ją w obu dłoniach i tańcząc z namysłem w rytm muzyki chodnikowej, jak nauczył ją R. I. Gaines. Wypatrywała rozbłysku przedświtowego światła nad miastem. Kiedy nadszedł, pojechała z powrotem na Straint Street, żeby porozmawiać ze swym przyjacielem i powiernikiem, krawcem George'em. Padał drobny deszczyk przypominający mgłę. Cadillac toczył się wzdłuż Straint Street, wyłączony silnik o mocy tysiąca koni, aż wreszcie zatrzymał się przy „Oстрыm Szyciu”. Asystentka - nazwijmy ją Pantoponową Różą - wysoka kobieta o białoblond włosach, przyciętych tak krótko, że prawie nic z nich nie zostało, obdarzona wzrostem i kurewsko przerażającą urodą wpływającą w naturalny sposób z najbardziej ekstremalnych modyfikacji krawieckich - wysiadła na chodnik.

- Hej, George! - zawołała.

Nie usłyszała odpowiedzi. Na twarzy kobiety pojawiło się zdziwienie. Drzwi były szeroko otwarte i deszcz z ulicy padał do środka.

Czuła zapach stoczni. Słyszała dobiegające od strony fabryk odgłosy odbijania kart zegarowych na początku porannej zmiany. Światło miało żółtą barwę: wyraźnie uwidaczniało ceramiczną obudowę pistoletu odrzutowego, który wyjęła teraz i trzymała przy udzie. W jednej chwili była na zewnątrz, a w następnej już w środku, bezgłośnie i nieruchoma, rozglądała się wokół z uśmiechem na twarzy. Zakład krawiecki wyglądał na opuszczony, ale nie czuła się tu sama. Coś maskowało swą obecność w trybach podczerwieni, fal radiowych, akustyki oraz aktywnego sonaru. Było blisko. Słyszała oddech szczura dwa pomieszczenia stąd, ale nie o niego chodziło. Coś było w pokoju razem z nią. Coś nieczystego, w tym sensie, że nie pasowało. To było coś, co nie pasuje, i jeśli nie zauważyłaś tego faktu, to znaczy, że już popełniłaś błąd. Nie czuła jego zapachu, ale wiedziała, że ma zapach. Nie potrafiła go umiejscowić, lecz była pewna, że zajmuje jakieś miejsce. Potem rozległ się szept, którego niemal się spodziewała, rozbawiony głos dobiegający z jakiegoś kąta:

- Nazywam się Pearlant...

Asystentka wystrzeliła pocisk z chambersa dokładnie w to miejsce, gdzie systemy zlokalizowały głos. Rozległ się cichy łoskot przypominający kasznięcie i cały kąt pomieszczenia eksplodował szaro-różowymi płomieniami. Uderzyła w nią fala ciepła. W tej migotliwej chwili - ciepłym rozbłysku geometrii, po którym nastąpiła ciemność - asystentka zidentyfikowała poruszający się obiekt. To był fałszywy cel. Wypełniał sobą cały pokój. Otaczał ją ze wszystkich stron swym... *nazywam się Pearlant nazywam się Pearla nazywam się Pearl* ...oraz cichym, charyzmatycznym śmiechem czegoś przebudowanego. Jeśli odpowie ogniem na ogień, asystentka zginie. Obiekt był tu, nie było go: był tu, nie było go. Nagle ujrzała ją tuż przed sobą. Wysoka kobieta o białoblond włosach przyciętych tak krótko, że prawie nic z nich nie zostało. Kurewsko przerażający język ciała kogoś, kto potrafi biegać z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę i widzieć w falach sonaru. Kogoś, kto nawet mocz oddaje nieludzki.

Widziała samą siebie.

Obiekt zniknął. Był tuż obok, ale poza zasięgiem. Na chwilę wszystko zamarło w zawieszaniu, a potem opadło.

- Jezu! - krzyknęła asystentka i włączyła sprzęt na maksa.

Była tak szybka, że zdążyła wystrzelić do zamazanej plamy. Pocisk pomknął przed siebie z dźwiękiem, jaki wydaje rozwścieczony kot, i eksplodował na ulicy. Gdy asystentka wyszła na zewnątrz, przekonała się, że postrzeliła własny samochód. Płomienie odbijały się już w oknie „Tango du Chat”. Wydawały się dziwnie nieruchome, jak wycięte z papieru albo przedstawione na ilustracji w starej książce. Wystraszeni goście lokalu wyglądali na ulicę. Nawet nie zaczęli się kryć. Słyszała oddalające się kroki. Choć były nieśpieszne, dzieliły je już od niej trzy przecznice. To było coś, nad czym mogłaś się potem zastanowić w swym pokoju, wspominając twarz identyczną jak twoja własna i oczy wpatrujące się w ciebie szaleńczo z odległości dwudziestu pięciu centymetrów - obiekt pozwolił, byś go zobaczyła w pięciu nakładkach o fałszywych kolorach, szczyrzył zęby i śmiał się z twoją wyćwiczoną, kurewsko przerażającą arogancją - i przyznając, jak dalece wszystko wymknęło się spod twojej kontroli. Będziesz zmuszona wyrazić to, pomyślała, jakoś tak: „Przecież nikt nie jest szybszy ode mnie!”.

Tymczasem w zakładzie kilka snopów pomarańczowego światła z płonącego cadillaca przemknęło między zasłaniającymi okno deskami, ledwie dotykając zakurzonej lady, plakatów reklamujących dożylnie dragi oraz wyłączonych tanków proteomowych. Gdyby światło można było opisać jako smażone, pomyślała asystentka, tak właśnie by wyglądało, tak oświetlałoby żywiczną podłogę i padało na otwarte oczy trupa. Uklękła. George wykrwawił



się przed godziną z głębokiej rany pod prawą pachą - jakby ktoś zaatakował go od dołu, czekał całkowicie bezgłośnie przez całą noc w spragnionym fotonów mroku na brudnej podłodze, a potem podniósł się, wyprostował sztywno palce dłoni, składając je w stożek, i wbił głęboko w pachę ofiary. Zabity wyglądał niemal spokojnie, jakby najgorsze, co mógł sobie wyobrazić - to, czego najbardziej się bał - wreszcie się wydarzyło, uwalniając go od lęków, a jednocześnie potwierdzając ich trafność.

- George - wyszeptała. - Mój biedny George.

Wyobrażała sobie, że coś takiego mogłaby powiedzieć Pantoponowa Róża. Gdyby George żył, asystentka mogłaby go poprosić o profesjonalną opinię:

- Jak to możliwe, żeby ktoś taki jak ja dygotał tak gwałtownie?

\*\*\*

Czterdzieści światel dalej wzdłuż Plaży. Doborowa ekipa EMC zajmująca się szarymi operacjami próbowała wyświadczyć przysługę przyjacielowi. Powiedzieli głośno „Nie!” psychopatycznemu konformizmowi typowych K-ekip. Zamiast tego ich personel składał się z często wymienianych dzieci w wieku dziesięciu do trzynastu lat, zainteresowanych kolekcjonerskimi ciekawostkami ze Starej Ziemi. Ich obecna misja mogła się wydawać współczesnym dzieciakom dziwaczna, a nawet obciachowa, dopóki nie uświadomiłeś sobie, że sto tysięcy lat temu na Panamax IV mieszkały kurewsko przerażające telepatyczne gady-Aztecy spoza wszechświata. To brzmiało atrakcyjnie.

Izolacja planety w normalnej sytuacji wymagałaby, żeby jeden ze statków zatrzymał się w punkcie L2, by stamtąd kierować poczynaniami reszty eskadry. Masakra, do jakiej doszło na Panamax IV, zniechęcała jednak do tego. W konflikcie uczestniczyły co najmniej cztery strony, nie licząc samej ekipy, walczone w kilku miejscach jednocześnie - od położonego w odległości pięciu światel sąsiedniego układu zaznaczonego w katalogach jako Alpha 5 Flexitone, aż po dolne obszary orbity parkingowej Panamax. Ciężkie jednostki EMC starły się w czasie rzeczywistym z nastycią Ósmą Flotą w klasycznej wymianie ciosów, która wkrótce podpaliła pobliskiego gazowego olbrzyma. Dwa tuziny denebańskich skoczków wydobywały surowce z miejscowego słońca. Zbuntowani tubylcy uzbrajali samoloty z silnikami strumieniowymi i prosto z fabryk kierowali je na niepełne orbity, podczas gdy postrzelony w brzuch okręt liniowy z napędem Alcubierre'a - *Codziennie Umowy & Wielkie Oszczędności* - obsadzony przez załogę najemników złożoną z Nowych Ludzi pod dowództwem dwóch chłopaków-cieni dzielących imię „Fermionowy Joe” - próbował wyhamować w atmosferze, by dotrzeć na powierzchnię planety. Dlatego właśnie połowa eskadry Levy'ego, w tym *Whiskey Bravo, Pizza Night, Gruby Mickey z Detroit* oraz *Uptown*

*Six* wpadła w atmosferę - która dla nikogo nie była ulubionym środowiskiem - z prędkością dwóch machów albo niższą, musząc dzielić przestrzeń lotu ze sobą nawzajem oraz z jednostkami przeciwnika. Druga połowa, rozciągnięta między Flexistone a obłokiem Oorta układu Panamax, służyła jej wsparciem, wykonując wszystkie zwyczajowe manewry w zwiniętych wymiarach w czasie pikosekund. Statki pojawiały się w trójwymiarowej przestrzeni i znikły z niej, zależnie od wymogów sytuacji.

- ...nadchodzi, cztery stopnie nad ekliptyką, odległość dwóch światel.

- Mam go.

- Tak trzymać. W kontakcie. Tak trzymać, tak trzymać...

- Tuż pod tobą, *Gruby Mickey*...

- Wszystkie jego bazy należą do nas.

Obserwując wysiłki eskadry - które w zwyczajnym czasie były dla niego jedynie barwnymi cętkami płaskich błyskawic przebiegających przez holograficzne obrazy pustej przestrzeni, kilkoma cichymi głosami w nadświetlnym przekazie, historycznymi zapisami wydarzeń, które rozegrały się milion nanosekund temu w odległości jednostki astronomicznej - R. I. Gaines nie mógł nie podziwiać spokoju i umiejętności towarzyszy. Cekało tu na nich tak wiele roboty, że sprawiali wrażenie zażenowanych. Ciche rytmy i napięcia towarzyszące ich rozmowom przywracały językowi status czegoś godnego zaufania. W kontraście z nimi wbudowane dziennikarskie SI, których komentarze sami piloci przekazywali z komercyjnych routerów, relacjonowały: „Dla Eskadry Levy’ego nie ma chwili wytchnienia. Te chłopaki by go nie chciały. Pragną pracować”.

- Eskadra Levy’ego przyleciała tu pracować - oznajmił Peat Teeter Tanky’emu Labromowi. - Robota poprawia samoocenę tych chłopaków.

Spóźnili się według wszelkich możliwych kryteriów. Wzgórze, na którym Alyssia Fignall prowadziła wykopaliska, zamieniło się w parę przed ich przybyciem. Jej dom również unosił się na wietrze jako chmura czarnego oleistego pyłu wyprodukowanego przez termobaryczne wymiany ciosów na wielką skalę. Fontanna, kamienne łuki, długie chłodne przestrzenie i rozświetlone szare cienie krużganka: wszystko to zniknęło, a być może Alyssia również. Na dole leżała ostatnia szansa na jej odnalezienie. Miasteczko postarzało się, odkąd Gaines ostatnio je widział, wyglądało jak fotografia ruin przechodzących w linię brzegową. Gdzieś wyżej pękła tama i przez La Cava w ciągu godziny przepłynął milion ton wody. Krasowe jaskinie zawaliły się i miasteczko wpadło w powstałą w ten sposób dziurę. Nie widział szans, by ktokolwiek mógł to przeżyć. K-kapitan Carlo zatrzymał jednak *Uptown Six* najwyżej piętnaście metrów od szarawobrazowej turbulencji, Gaines postanowił więc okazać

mu szacunek i przeszukał wszelkie możliwe nisze w skale. Po prawej i po lewej pozostałe elementy eskadry krążyły nerwowo, starając się na siebie nie wpaść, tak nisko, że pokrywała je wodna piana. Wydawały się tu nie na miejscu - jak grupa katów na przyjęciu urodzinowym, okazujących intensywne zainteresowanie wagą ludzi albo umięśnieniem ich szyj - ale starały się pomóc w miarę swych możliwości, a takie zachowanie bynajmniej nie było dla nich naturalne. Światło dnia nadchodziło i znikało nagle, bez widocznego powodu. Impuls promieniowania gamma rozświetlał lokalne niebo, zrywał szczyt wzgórza i wykopywał rów długości kilometra, a potem znowu robiło się ciemno. W takich chwilach K-statki drżały i ruszały na polowanie, ich zarysy stawały się zamazane, gdy włączały się opcje maskowania, a broń wysuwała się z czymś w rodzaju ospałej gwałtowności. Impulsy promieniowania gamma były dla nich bardziej odpowiednim środowiskiem.

- Na dole trwa masakra - zauważył Carlo. - Tanky, nadal masz mnie za rufą po prawej - ostrzegł jeden z pozostałych statków. - Dziesięć metrów i coraz bliżej. Trzymaj prędkość.

Gaines obserwował fragmenty odpadające z budynków i mostów, by spaść do morza.

- Nic tu nie zostało - był zmuszony przyznać.

- Jezu, Rig, naprawdę mi przykro - odparł Carlo. - Hej, możemy zejść niżej! Co by się stało, gdybyśmy to zrobili?

- Zabierz nas stąd, Carlo.

Pilot przełączył statek na silniki y-RAM. Wszystkie statki wokół *Uptown Six* również włączały napędy. Eskadra Levy'ego stanęła dęba i wzniosła się przez obłoki radioaktywnego popiołu z prędkością czterdziestu machów. Ktoś na górze - ktoś niezbyt daleki, mający dostęp do uzbrojenia najwyższej klasy - stracił cierpliwość. Panamax, jak ujął to Tanky LaBrom, miał przejebane. Potężne lasery promieniowania X przecinały ziemię, już w chwili kontaktu zamieniając w parę pierwsze pięćdziesiąt metrów, a potem stopniowo topiąc resztę. Wyniosłości terenu o wysokości przekraczającej sześćdziesiąt metrów zamieniły się już w coś w rodzaju geologicznej pasty, mającej na krawędziach barwę jarmarcznego szkarłatu i wciskającej się w pozostałości krajobrazu jak język między twoje wargi. Wzmogła się aktywność tektoniki płyt. Atmosfera ryczała i gwizdała od rozgrzanych gazów. Gaines spoglądał w dół, żałując, że nie rozumiał córki tak dobrze, jak ona rozumiała jego. Przypomniawszy sobie, jak powiedziała mu: „Rig, oni byli tacy starzy!”. Gdyby tylko na dole został choć jeden skrawek niespalonego gruntu. Gdy myślał o Alyssii, nastycy krążownik - znajdujący się po drugiej stronie planety, tylko piętnaście kilometrów nad jej powierzchnią - włączył silnik grawitacyjny i wbił się w miękącą skorupę. Fizyka oszalała. Na powierzchni poniżej *Uptown Six* zaczęła się tworzyć ogromna wypukłość.

- Niech to chuj, chłopaki, on się przebija na drugą stronę - odezwał się Carlo.  
Eskadra Levy'ego nie zamierzała pozwolić, by ominęło ją coś podobnego.

\*\*\*

Impasse van Sant był przekonany, że możesz pochodzić z lodówki, ale i tak zdobyć dla siebie tożsamość, problem jednak w tym, że nigdzie nie czujesz się u siebie. Dzień za dniem wisiał w pustej przestrzeni, zastanawiając się nie tyle nad tym, dlaczego nie ma żadnych wieści z domu, ile nad tym, gdzie właściwie jest jego dom. Słyszał, że trwa wojna, ale nie wiedział po której stronie powinien się opowiedzieć. Czuł się przez to nierealny i pełen nostalgii. Jak możesz odczuwać nostalgię za czymś, czego nigdy nie miałeś? Złapał się na myśli: „O kurczę, w domu wybuchła wojna!”. To naprawdę coś, jeśli wszystko, co uważałeś za pewne, rozpada się tak nagle. Od czasu do czasu odbierał urywki przekazów medialnych. Wraki koziółkujące powoli w twardym świetle; długie relacje z planet, o których nigdy nie słyszał. Dzieci śpiewające coś na czarnym tle. Nagłówek głoszący po prostu:

#### WOJNA

wzbudził w nim ciepłe uczucia, jak „Boże Narodzenie” albo „dojrzewanie”. Tylko pomyśleć, że inni przeżywają to najbardziej ucłowieczające z doświadczeń, tracą wszystko, na czym im zależało, wszystko, co czyniło ich tym, kim byli. Większość odbieranych przez Impsa sygnałów nadchodziła z K-Traktu pod postacią danych, których nie potrafił odcyfrować. Za wiadomości mógł je uznać jedynie ktoś, kogo interesowały wysokoenergetyczne pola magnetyczne. Gdy myślał o tym, padł na niego cień jego przyjaciółki. Jeden monitor nie wystarczał, by wyświetlić jej obraz. Szeroka sylwetka wisiała na trzech ekranach, pozwalając, by K-Trakt malował końcówki jej piór na kolor miętowego błękitu oraz intensywnego różu.

- Hej - wydyszał Imps.

- Czego chcesz? - zapytała.

- Pięknie dziś wyglądasz.

- Nadajesz na wszystkich możliwych częstotliwościach. Wzywaj mnie. Wpatrujesz się w ciemność, dopóki mnie tam nie znajdziesz. Czego ode mnie chcesz?

Imps zastanowił się nad tym pytaniem. Miał wrażenie, że powinien jej odpowiedzieć: „Mój dzień jest do dupy, jeśli z tobą nie porozmawiam”, albo: „Myślę, że ty również czujesz się samotna”, ale obie te możliwości były zbyt bliskie prawdy. Dlatego zdecydował się wypowiedzieć pierwsze, co przyszło mu na myśl. Czasami sporządzał listy miejsc, z których mógłby pochodzić. Na przykład, podobało mu się brzmienie nazw Acrux, Adara, Rigil Kentaurus, a zwłaszcza Mögliche Wälder. Jego faworytem był jednak Motel VI. Motelowe

życie, o ile dobrze je rozumiał, nie było zbyt wymagające. Było tam znacznie ciasniej niż w pustej przestrzeni, ale nadal dogodnie daleko od środka. To brzmiało jak zadowalający kompromis między tym, czego doświadczał teraz, a jakąś postacią pełnego człowieczeństwa. Pragnął wśliznąć się w taką egzystencję. Ściągnął broszurę pod tytułem *Ruchome domy Galaktyki*, która prezentowała również domostwa naśladowujące kiosk z hamburgerami w stylu klasycznego modernizmu - pastelowe neony i falista blacha aluminiowa - widoczne na tle zachodów słońca albo górskich świtów. Pokazał jej niektóre z nich.

- Chcę, żebyś pomogła mi wrócić - oznajmił.

- Przybyłeś tu z własnej woli.

- Na pewno?

Zastanowiła się nad tym.

- A teraz pragniesz wrócić tam, skąd wyruszyłeś? - zapytała.

- Zawędrowałem za daleko - odparł.

- Myślałeś, że tego właśnie chcesz.

- Przywiodła mnie tu presja grupy. Nie potrafiłbym znieść dezaprobaty przyjaciół.

Rig, Emil i Fedy von Gang trudzili się nad rozwiązaniem tajemnic Zatoki Radiowej; Ed Chianese ponoć podłączył się do K-statku i poleciał do samego Traktu; z pewnością nikt nigdy nie zrobił nic głupszego. Entradiści, piloci przestrzeni, tacy jak Billy Anker i Liv Hula. Ludzie nadający swoim statkom nazwy takie jak *Oślepiiony przez Światło*, *Ukryte Światło* albo *500% Światła*. Wszystko, co zawierało słowo „światło”. Ludzie, którzy zostawiali list przy łóżku albo wiadomość na orbicie parkingowej, o treści: „Odleciałem, spotkamy się później”. Od początku byli nieprawidłowo skonstruowani. Ich silniki kipiały twardym promieniowaniem X. Wyruszali w drogę pełni niemożliwych do zaspokojenia pragnień, a wracali bogaci albo szaleni, holując za sobą wrak gwiazdolotu z innej galaktyki. Rakietowi dżokeje, których Halo znało z imienia. Imps wzruszył ramionami. Przeprosił ją na chwilę, by wziąć sobie piwo. Gdy wrócił na fotel, nadal tam była.

- Jestem tu od trzydziestu lat i przekonałem się, że nigdy nie byłem taki jak oni - zaczął. - Hej! Co to ma znaczyć? Imps, czy chcesz wrócić, odnaleźć dom? Przestań się wpatrywać w ciemność w poszukiwaniu rzeczy, których nikt nigdy nie zrozumie.

- Zawędrowałeś za daleko - powtórzyła z namysłem.

Van Sant nie wiedział, czy się z nim zgadza. Gdy ponownie spojrzął na monitor, już jej nie było.

Opuściła go na dwa dni, a kiedy wróciła, zrobiła to tylko po to, by mogli na siebie popatrzeć z nieustającym zdziwieniem - szczerym z jego strony, pomyślał Imps, z jej strony

zaś gniewnym.

- Słucham? - odezwał się.

Włączył się kolejny ekran i zaczął pokazywać obrazy wojny. Nagie ciała w próżni, szeregi K-statków tak długie, że nikały w mroku. Cała planeta z dziurą w środku. Chaotyczne sceny przedstawiające uchodźców. Turyści, którzy przed tygodniem zatrzymali się tu na chwilę po drodze na Kunene, gdzie chcieli zrobić sobie zdjęcia, gdy będą się rżnęli w strefie półmroku, znaleźli się nagle, brudni i niewyspani, w tym samym terminalu, który tak wiele obiecywał. Albo przedstawiano ich, nadal ubranych w wygodne stroje w modnym szarobeżowym kolorze, jak wysiadają pośpiesznie z wycarterowanego statku o krótkim zasięgu sto lat świetlnych od domu, a potem przewozi się ich autobusami do tymczasowych miast, w których roi się już od uchodźców, reporterów, pracowników agencji pomocowych oraz nieprzystosowanych nastolatków, którzy wyruszyli w podróż przed pójściem na studia i z niezrozumiałych dla siebie powodów znaleźli się w piekle.

- W całym Halo ludzie tracą swój sposób życia - wyszeptał van Sant, mając na myśli: „I to ma być fart?”.

Zrozumiała go jednak inaczej.

- Pamiętam te wszystkie okropności, na które patrzysz - oznajmiła. - Dopuszczałam się gorszych - dodała. - Czy to dobrze myśleć tak wiele o sobie? - zakończyła.

Imps wziął to do siebie i poczuł się urażony.

- Hej, starałam się o wszystko cię pytać! Mówiłaś, że nic nie pamiętasz!

Ale ona już od niego odpływała, biała, wąska i pochylona na tle niezmaconego łuku próżni.

- Czy to nasza pierwsza sprzeczka?! - zawołał za nią Imps.

Odpowiedziała mu, ale zbyt cicho, by mógł to usłyszeć, jakby opuściła już coś więcej niż tylko przestrzeń lokalną.

\*\*\*

Po znalezieniu zwłok asystentka czekała godzinę w „Oстрыm Szyciu”, nie wiedząc, co robić dalej. Raz czy drugi oddaliła się od George’a, by wyrzucić na ulicę przez luki między zasłaniającymi okno deskami. W końcu połączyła się z chudym gliniarzem Epsteinem. Powiedziała mu, że nie chce, by za bardzo zbliżał się do problemu, ale przydałaby się jej odrobina pomocy. Odparł, że nie ma nic przeciwko temu, ale słyszał, że asystentka niedługo wypadnie z łask gdzie indziej. Ludzie z sekcji mundurowej zjawili się wkrótce. Przegonili porannych pijaków i ugasili płonącego cadillaca, a po chwili odholowali wrak.

- Kochałam ten samochód - stwierdziła asystentka z roztargnieniem w głosie.

Czwarte piętro budynku na skrzyżowaniu Uniment i Poe przysłało jej nowy pojazd z puli policyjnej. Posadziła George'a na przednim siedzeniu i zawiozła go na drugi koniec miasta: do swego pokoju przy porcie raketowym w GlobeTown.

- To raczej kiepskie auto - poskarżyła się, gdy mijali Kościół na Skale. - Popatrz na kościół, George.

Przy każdym zakręcie górna część ciała zabitego przechylała się na jedną albo drugą stronę. Na koniec musiała prowadzić jedną ręką, a podtrzymywać je drugą. Choć przesuwanie trupa nie było niczym szczególnym dla kogoś takiego jak ona, przynajmniej miała coś do roboty. Coś, w czym mogła się pogrążyć.

- George, za łatwo cię nieść - zauważyła ze śmiechem. - Naprawdę powinieneś więcej jeść. I mniej ćpać.

Wniosła go po schodach na drugie piętro i położyła na swoim łóżku. Potem rozebrała go, umyła wilgotnym ręcznikiem, zwracając uwagę na zakrzepłą krew pod pachą, i nakryła kocem.

- Proszę bardzo - skwitowała. - Widzisz?

George leżał bez ruchu, wpatrując się w sufit. Wyglądał, jakby zapadł się w siebie. Na ulicy ktoś grał *Ya Skaju Tebe* w tonacji moll, trochę za bardzo przeciągając pauzy. To była sentymentalna muzyka dla ludzi, muzyka skłaniająca do wyrzeczeń, muzyka na czas wojny. Statki pasażerskie, przerobione teraz na wojskowe transportowce, co chwila lądowały i startowały w porcie. Bijące od nich snopy kolorowego światła przesuwwały się po ścianach pokoju asystentki, zostawiając na nich małe aktywne plamy rubinowej fluorescencji, pełzające po pionowej powierzchni jak żywe tatuaże. Chudą twarz George'a rozświetliły jedna po drugiej trzy różne postacie parapsychicznej reakcji. Przez chwilę wydawało się, że zaraz coś powie, choć przecież nie żył.

Tak wyglądała sytuacja do chwili zapadnięcia zmroku. George sprawiał wrażenie, że zaraz się odezwie, a asystentka siedziała na skraju łóżka, czekając, aż usłyszy jego słowa. Potem przez ścianę wszedł do środka R. I. Gaines. Spodnie od munduru polowego miał podwinięte do połowy chudych opalonych łydek.

Poza spodniami miał na sobie swą zwykłą kurtkę przeciwdeszczową, krótką i lekką. Jej rękawy również podwinął aż do łokci. W ręce trzymał płócienną torbę z dużymi kieszeniami oraz paskami z jasnobrązowej skóry. Sterczała z niej rękojeść oraz część obudowy chambersa. Stopy miał bose. Wyglądał na zmęczonego.

- Hej, cześć - powiedział do asystentki, jakby nie spodziewał się jej tu zastać. Gapili się na siebie przez chwilę. - Czaszkowe Radio - zażądał wreszcie.

Spędzili kilka minut na przeszukiwaniu jej rzeczy. Kiedy znalazła radio, nie był w stanie go uruchomić. Ukłękął i walił nim o podłogę, aż wreszcie szyba pękła i zuchwa dziecka wypadła na zewnątrz. Tu i ówdzie w powietrzu uniosło się kilka białych pyłków.

- To wystarczy - stwierdził i wdał się w rozmowę, która po jego stronie zakończyła się następująco:

- No wiesz, tutaj może się niemal wydawać, że jesteśmy w realnym świecie. Może ty również powinieneś tak na to spojrzeć.

Cisnął radio w kąt.

- Główne kierownictwo - wyjaśnił asystentce. - Co można na nie poradzić? - Nagle zauważył biednego martwego George'a, który wpatrywał się w sufit, nakryty kocem po szyję.

- Co to jest? - zapytał.

- Zabiłam go - odparła asystentka. - Nie wiem jak.

- Wszyscy popełniamy błędy. - Gaines przyjrzał się trupowi. - Próbowalaś uprawiać z nim seks?

- To się wydarzyło po drugiej stronie miasta.

Podejrzewając, że to coś więcej niż zwykła awaria, Gaines ujął asystentkę za rękę i zachęcił do stanięcia przy oknie, by móc się przyjrzeć danym przepływającym przez jej przedramię. Nadal były widoczne, ale w tym świetle gotycka czerń oraz chińska czerwień wyblakły do bladej szarości i oranżu. Skóra kobiety miała kolor starej kości słoniowej. Powąchał wewnętrzną powierzchnię jej dłoni, a potem ją puścił.

- Masz problem z ekspresją Kv12.2 - oznajmił. - Padaczka.

Spojrzała na własną dłoń, a potem przeniosła wzrok na twarz Gainesa.

Jakby próbowała nadać moim słowom charakter raczej emocjonalny niż diagnostyczny, pomyślał.

- Chcesz usiąść na łóżku i porozmawiać? - zapytała po chwili.

- Naprawdę jesteś czymś projektem - stwierdził.

Które z nich było szyfrem? Siedzieli na łóżku, a krawiec George leżał między nimi. Oboje wpatrywali się w ścianę. Gaines czuł się zmęczony po wydarzeniach na Panamax IV. Nagle jedyną sceną, jaką pamiętał z całego życia, była ta, gdy szedł z Emilem Bonaventure'em przez labirynt PEARLANT, ciągnąc za sobą jakiegoś martwego entradistę. Szybę skafandra zabitego pokrywała gruba na ponad dwa centymetry warstwa szczątków jego własnych płuc. Po chwili czy dwóch położył rękę na ramionach kobiety.

- Będę chciał, żebyś coś dla mnie zrobiła - rzekł.



## ORBITY NACZEPOWE

Wyrzucili Irene w przestrzeń, by mogła się po kres wieków unosić pośród niewiarygodnych odpadków Plaży, którą kochała.

Bez niej wkrótce ulegli depresji i utracili poczucie kierunku. Życie płynęło ospale dnem rowu. Łączność się psuła. Kłamstwa wróciły do domu. Nadświatłne media nadawały wyłącznie wiadomości o wojnie, a każda zmiana światła przypominała im o jakichś lepszych czasach w ich życiu. Żadne z nich nie było w stanie pilotować statku. Liv poszła do Antoyne'a i oznajmiła mu:

- Usta mam uszkodzone, ale mój umysł jest w jeszcze gorszym stanie.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Nie było szans, by on mógł wykonać to zadanie. Różni się, szukając pocieszenia - cóż to był za straszliwy błąd. *Nova Swing* wisiała nieruchomo pośrodku pustki. Gdy statek wreszcie uruchomił silniki dynafłow i sam wytyczył kurs wiodący z powrotem na Saudade, gdzie to wszystko się zaczęło, poczuli niemal ulgę na myśl, że zdjęto problem z ich barków. Nadal unikali ładowni. Spali i spali, żyjąc oddzielnym życiem, opatuleni poczuciem winy z powodu Irene. Gdy statek wreszcie ruszył w drogę, nieświadoma aktywność mogła się tylko nasilić: Antoyne'owi śniło się, że znowu jest gruby. Gruby i twardy jak południowoamerykański pancernik albo połowa beczki. Śniło mu się, że umarł. Liv natomiast śniły się duchy. Niekiedy wydawało się jej, że w słabo oświetlonych zejściówkach i klatkach schodowych statku unosi się podarty płaszcz (przyznawała z ironią, że w owym śnie płaszcz ma nad nią ontologiczną przewagę: to Liv czuła się jak duch); w innych przypadkach, jakby jej sny szukały radosnych, klarownych chwil, widziała dni swej chwały w hotelu Venice na Marnej Szansie...

Położony między morzem a miastem, rzut kamieniem od portu sportu raketowego, hotel Venice - ze swymi wysokimi, pozbawionymi zasłon oknami i spokojnymi, marnymi pokoikami o podłodze z bladej dębiny, która zawsze chwytiała światło poranka - przez pięć lat przyciągał raketowych dżokejów z całego Halo. Pod starym hotelem dwadzieścia cztery godziny na dobę trwał cyrk: kiepskie kolory kadłubów, niegustowne fryzury, beznadziejne planowanie. Ludzie budowali własne gwiazdoloty w barakach na skraju lądowiska. Wewnątrz

mogłaś znaleźć najpiękniejszego pilota. Miał dziewiętnaście lat, spał w pustym barze o czwartej nad ranem i wkrótce miał się udać do swego pokoju w tylnym korytarzu na czwartym piętrze. Rano obudziłaś się sama i uśmiechnięta, owinięta w różowy, luźno tkany pled, który potem ukradłaś i przechowywałaś przez całe życie, a następnie podeszłaś do okna, by posłuchać nielegalnych gromów dźwiękowych dobiegających znad morza, gdy powracające hiperskoczki wytracały prędkość w atmosferze.

Kilka godzin wcześniej te lekkie łódeczki z obcymi silnikami spadały przez chromosferę Marnej Szansy (sfilmowane w idealnych obrazach - wszystkie prawa do nich były zastrzeżone - przy użyciu filtru H-alfa). Teraz chłopaki latające tymi skoczkami były zdeterminowane zostać pierwszymi ludźmi, którzy zdołają wytracić więcej niż dwadzieścia tysięcy kilometrów na godzinę na wysokości mniejszej niż sto pięćdziesiąt metrów nad poziomem morza. Jedno było niepokojąco i niewzruszenie pewne: ty również to robiłaś i ciągle nie mogłaś się tym nasycić. Będziesz to powtarzała raz po raz, aż wreszcie przestaniesz być do tego zdolna. Później się dowiedziałaś, że twój piękny pilot to był legendarny Ed Chianese, i że oboje rywalizujecie o nagrodę Najgłupszego Wyczynu Roku. Właśnie z perspektywy tego marzenia oszołomiona Liv uświadomiła sobie, gdzie przedtem widziała mieszkańca K-tanku. Połączyła się z Antoine'em, który od trzech dni nie chciał opuścić kabin dla załogi. Odtwarzał w nieskończonej pętli *Ya Skaju Tebe* i jadł malinowe lody rękami.

- Gruby Antoine, posłuchaj. Musimy iść do ładowni.

On jednak nie chciał ustąpić.

\*\*\*

Ściany poczerniały od przypominających kwiaty graffiti, pancerne grodzie zdeformowane nie przez eksplozję czy nawet topnienie metalu, lecz wskutek wymuszonego przejścia przez stany nienaturalnej fizyki, wszędzie pełno jednostek samonaprawczych; ktoś, pomyślała Liv, nacisnął tu niewłaściwy przełącznik.

Jedna sekcja kadłuba nadal pozostała przezroczysta. To była ściana nicości. Niesamowite światło padające z narożnika Traktu sprawiało, że główna ładownia wydawała się dłuższa, jakby była przestrzenią zewnętrzną, nie wnętrzem. Iluzję pogłębiał jeszcze nieład panujący wśród trupich klatek. Trudno je było teraz policzyć. Leżały, zwalone jedna na drugą, gdzieś w oddali, jak skorodowane bojery na złomowisku. Gdzieś wśród nich trwały prace naprawcze, ale nie widziałaś dokładnie gdzie. W powietrzu unosił się trzaskający dźwięk. Skry sypały się w górę i opadały na dół, pozostawiając złote łuki w oku obserwatora, a potem odbijały się od pokładu i stygły, przybierając ciemnowiśniową barwę. Na grodziach tańczyły olbrzymie cienie.

Wszystko pachniało spleśniałym chlebem oraz MP Renoko, który leżał jak tradycyjna drewniana marionetka w nieprzerwanym, lecz niegodnym zaufania blasku łuku spawalniczego. Jego strój poczerniał, a lewa ręka spoczywała na kolanach, wygięta pod dziwnym kątem. Jedna strona twarzy spłynęła do zagłębienia nad obojczykiem, gdzie utworzyła kałużę czegoś przypominającego stopiony plastik. Druga połowa demonstrowała sceptyczny uśmieszek oraz błysk wdzięczności w oku, jakby Renoko umarł dopiero przed chwilą - albo jakby nadal żył, ale z jakiegoś powodu wolał się odgradzić od świata zewnętrznego. W tym środowisku nawet martwy człowiek przynosił pocieszenie. Zatrzymała się obok niego i zajrzała w fontannę iskier.

- Możesz już wyjść, Ed! - zawołała.

- Liv? Liv Hula?

Od tygodni obserwowała, jak dryfował bez celu po statku, gdy myślał, że wszyscy śpią. Teraz popłynął w powietrzu ku niej, rozpościerając ramiona i uśmiechając się szeroko. Z biegiem lat wspomnienie o nim zatarło się w jej umyśle. Było gładkie od zużycia i niezbyt przypominało to, jak wyglądał pod koniec życia. Halo jest jednak stuprocentowym pokazem dziwolągów: dlaczego Ed Chianese miałby być wyjątkiem? Wystrzępione płachty i wstążki ugotowanych narządów ciągnęły się za nim. - To ty, Liv? Jezu!

Nie odpowiadała. Ed zrobił niezadowoloną minę, jakby pomylił ją z kimś innym, mimo że pamiętał jej imię. Na przykład, z jakąś późniejszą wielbicielką.

- Przepraszam - dodał, skupiając wzrok na punkcie położonym nieco na lewo od niej.

- Za co? - zapytała. - Co ci się stało, Ed?

- Po prostu czas nie był dla mnie łaskawy.

- Widzę.

Nie zareagował.

- Próbowałam się z tobą połączyć, ale nigdy nie odpowiadałeś - dodała. - Umilkła na chwilę, ale tym razem również nie wypełnił ciszy. - Hej! - spróbowała. - Ktoś mi mówił, że porwałeś K-statek i poleciałeś do traktu!

- To było wiele lat temu - odparł Ed, jakby przepraszał za to, że kiedyś żył w przeszłości. - Każdy mógłby to zrobić.

- Nie pierdol, Ed. Stamtąd nikt nie wraca.

- Ja wróciłem - odparł z żalem tak głębokim, że natychmiast mu uwierzyła. - Nie chciałem tego, bo gdy już tam się znajdziesz, zrobisz wszystko, żeby tam pozostać, ale tak czy inaczej, widzisz mnie. - Zamyślił się na chwilę. - Właściwie to K-statek mnie porwał - dodał, jakby był zdeterminowany zdać obiektywną, wiarygodną relację.

- I dlatego teraz porywasz *Nova Swing*.

- Czy tak się obecnie nazywa? - Rozejrzył się niepewnie. - Ładnie.

- Jest tania, Ed. Dlatego ci się podoba. - Po chwili dodała: - Jak to „obecnie”? Czy naprawdę jesteś Edem Chianese?

- A kto inny mógłby być tak popierdolony?

- Masz trochę racji, Ed.

Gdzieś pośród stosów trupich klatek ktoś znowu zaczął spawać w osłonie gazu obojętnego. A może to było coś innego. Tak czy inaczej, w górę sypały się fontanny iskier tak jasnych, że Trakt niemal całkowicie gasł w ich blasku. Było słychać dźwięk przypominający brzęczenie roju ospałych much.

- Czy jest tu ktoś jeszcze? - zapytała Liv.

Ed nagle złapał ją za barki. Przestrzeń między nimi wypełnił jego dziwny, całkiem przyjemny zapach, kojarzący się raczej z ozonem niż z kebabem.

- Znikaj stąd! - zawołał. Jego ręce sprawiały jej ból.

- Kurwa, Ed! - zaprotestowała.

Choć szarpała się i kopała, a on właściwie nie był tu do końca obecny, nie miał trudności z popchnięciem jej ku drzwiom.

Liv, usiłująca spojrzeć za siebie przez ramię, zobaczyła coś pięknego i niezwykłego, co zaczęło się formować z iskier.

- Co to jest? Ed, co to jest?

- Nie patrz! - zawołał i wypchnął ją na zewnątrz.

Drzwi się zasunęły, a potem znowu otworzyły. Ed wysunął głowę, niżej niż można by się tego spodziewać.

- Porozmawiajmy wkrótce - zaproponował.

- Dajmy sobie z tym spokój - odparła Liv, odnosząca wrażenie, że słyszy dobiegający z ładowni kobiecy głos. - Pierdole cię, Ed! - zawołała. - Razem z twoimi opowieściami. I z tym, że wiesz więcej od nas, a nasze życie nagle stało się częścią jakiegoś twojego dziwnego interesu. Nasza przyjaciółka nie żyje, a to, co zrobiłeś z tym statkiem, kurewsko utrudnia nam życie.

\*\*\*

Najgorsze było nie to, że tak wielka jego część zniknęła, również nie to, że reszta wyglądała jak na wpół upieczone mięso na rynku pod gołym niebem, gdy zbliżał się koniec dnia, ani nawet nie to, że sprawiał wrażenie tylko w części świadomego, że byłas razem z nim w pomieszczeniu. Rzecz w tym, że minęło trzydzieści lat. W ciągu tak długiego okresu ludzie

bez większych odchyień zmierzają ku najprostszej ekspresji tego, kim są. A tymczasem ty z nich wyrastasz. Jediną charakterystyczną cechą, jaką zachował Ed, był blady uśmieszek, taki sam jak wtedy, gdy go poznałaś. W hotelu Venice i jeszcze przez miesiąc albo dwa później interpretowała tę minę jako dowód na to, że Ed jest bardzo sympatyczny. Widziała teraz, że od tego czasu uśmieszek stał się dlań substytutem poprawy zachowania. Czemu się tego nie spodziewała?

Wróciła do kabin dla załogi i wyjaśniła sytuację.

- Posłuchaj, Antoyne - mówiła. - Musimy go stamtąd wyciągnąć.

Antoyne, śmierdzący intensywnie rumem „Black Heart”, odchrząknął tylko. Jak często przewidywała Irene, każdego prędzej czy później spotyka coś nowego, ale on zawsze źle sobie radził z odmianą losu. Stracił na wadze, pomijając jedynie górną część brzucha, gdzie w ciągu niewielu dni złożona z lodów dieta pozwoliła mu wyhodować bulwę o rakowatym wyglądzie.

- Ed nie jest już człowiekiem, którego znałam - ciągnęła Liv.

W gruncie rzeczy problem polegał na czymś dokładnie odwrotnym. Ed - który zerwał z Liv, ponieważ pokonała go w wyścigu do fotosfery Marnej Szansy; który spokojnie czekał, aż Dany LeFebre umrze na Tumblehome; który, gdy miał już dość samego siebie tak samo jak wszyscy, spędził piętnaście lat w twinkowym tanku, pochłaniając jakiś tajemniczy syf produkowany dla dzieci przez tankowe media - pozostał tym samym człowiekiem, którego znała.

- Antoyne, obudź się! On już nie jest człowiekiem. Ma jakiś plan, który nie liczy się z nami ani z nikim. Obudź się!

Antoyne otworzył oczy i przez chwilę przyglądał się jej z budzącym się zainteresowaniem. Wreszcie beknął, odwrócił się i zaczął płakać. Niedawne doświadczenia nauczyły Liv, że po czymś takim nawet najsilniejsze potrząsanie nie przyciągnie jego uwagi.

- Antoyne, ty bezużyteczny skurwielu - warknęła.

Życie z samym sobą nauczyło go, że to trafne określenie. Potem, gdy Liv wróciła do sterowni, przetoczył się na bok, rzygnął lekko, umył się w zlewie umieszczonym w kącie, a na koniec popatrzył na walającą się wszędzie bieliznę Irene: semiotyka imprezowa w działaniu. Mały sześcian odtwarzał w pętli jej nagranie. Dźwięk wydawał się zgrzytliwy, tani i odległy. Mężczyzna słyszał w głowie jej prawdziwy głos:

- Świat był wtedy cudowny. - A potem: - Antoyne, musisz mnie utracić.

Doprowadził się do porządku, a potem poszedł do głównej ładowni i zajrzał do środka, stojąc w drzwiach.

- I co? - zapytał.

- Hej - odparł Ed, wycierając palce w brudną od oleju szmatę. - To dostarczyli ci pizzę. Ile się należy?

- Bardzo zabawne - mruknął Antoyne, wzruszając ramionami.

- Jesteś... - Ed strzelił palcami - ...Gruby Anthony. Zgadza się?

- To było wiele lat temu. Już mnie tak nie nazywają. - Wlepił spojrzenie w Eda. - Kurwa, co tym razem sobie zrobiłeś?

- Mówisz o tym? - zapytał z uśmiechem Ed. - Nie jestem pewien. Podoba ci się? Złapałem to wewnątrz Traktu.

- Słyszałem, że tam byłeś.

- Gruby Anthony, ty też powinieneś tam polecieć, dopóki możesz. - Ed dodał, że nie przychodzi mu do głowy żaden sposób, by to opisać. To było wielkie osiągnięcie. Wewnątrz wszystko miało jedenaście wymiarów. - Gruby Anthony, tam jest kurewsko inaczej. Rozumiesz?

- Jeśli tam jest tak świetnie, czemu nie zostałeś? - zapytał Antoyne pełnym przygnębienia głosem.

- Polec tam ze mną.

- Słucham?

- Polec tam ze mną. Teraz. Kiedy już byłeś wewnątrz Traktu, nic tutaj nie wydaje ci się realne. Polec tam ze mną i przekonaj się na własne oczy.

Ed potrafiłby sprzedać ci swój najgorszy koszmar, zarejestrowany trzęsącą się kamerą. To zawsze był skok na oślep w coś z definicji zakrojonego na epicką skalę. Bardzo często się zdarzało, że z wyprawy wracał jedynie on. Antoyne zastanawiał się przez krótką chwilę, jaką decyzję podejmie.

- Dlaczego miałbym zrobić sobie coś takiego, Ed? - zapytał wreszcie.

\*\*\*

Wszechświat ciągnął się dalej. *Nova Swing* brnęła przez niego, poskrzypując pod wpływem wewnętrznych napięć. Antoyne wziął się w garść, zrywając z nałogiem miętowych lodów pewnego wypełnionego nieróbstwem popołudnia. Zebrał z podłogi i schował bieliznę Irene, tworząc w miejscu tej pełnej desperacji kaplicy inną, wykorzystując rzeczy, które zachowała z Perkins Rent. Palił tam kadzidło, ale po kilku dniach usłyszał jej głos, mówiący mu, żeby nie był głabem.

- Musisz stworzyć dla siebie życie w tym życiu, Antoyne.

Tymczasem Ed Chianese spędzał czas w ładowni, trudząc się przy trupich kłatkach.

Różne jestestwa pojawiały się tam i znikaly. Jedne wygladały jak anioły, inne zaś jak operatory. Nie chialbyś zblizyc się do nich na tyle, by móc zauwazyć różnicę.

Liv Hula, która stala się pasażerką na własnym statku, spała w fotelu pilota, na zewnątrz zaś ciagnęło się Halo, przetworzone przez fizykę i wojnę w oślepiającą futurystyczną mozaikę. Wiadomości wciąż były złe. Ed pojawiał się i znikal o nieprzewidywalnych porach dnia, by wisiec w powietrzu i gapić się na zewnętrzne ekrany. To ją irytowało.

- Nie możesz usiąść albo coś?

- Gdy po raz pierwszy przybyłaś na ten statek, znalazłaś w systemie nawigacyjnym nadmiarowy kod - odparł. - Nie potrafiłaś określić co on robi.

- Skąd wiesz? - zapytała, gapiąc się nań ze zdziwieniem.

Wzruszył ramionami. Pamiętała chwilę, gdy pierwszy raz usiadła w tym fotelu. Po wielu latach spędzonych z dala od pilotażu poczuła się straszliwie wolna, nawet jeśli ta wolność ograniczała się do połknięcia nanowłókien i sprawdzenia stanu statku: elektroniczna infrastruktura. Architektura napędu. Schemat systemu łączności, w tym również starego już nadświatelnego połączenia, z niejasnych powodów przekazującego obrazy z wybranych orbit kwarantannowych, położonych w odległości od trzech do stu światel wzdłuż Plaży. Poza tym były też nawigacyjne nibyksiążki, manifesty ładunkowe, rachunki za zakupione paliwo i stemple z orbit parkingowych. Przypomniała sobie, jak mówiła do Grubego Antoine'a:

- Guano zbierało się tam przez pięćdziesiąt lat. Ponadto używali kodu, by kierować czymś, czego moje udoskonalenia nie potrafią sforsować.

Spojrzała z namysłem na Eda.

- Odgrodziłam to - poinformowała go. - Nie chcę, żeby nocą wlało komuś do odbytnicy. Zwłaszcza mnie.

Ed przywołał obrazy wewnętrzne.

- Widzisz ten złom, który zgromadziłaś w ładowni? - zapytał. - To silnik. *Nova Swing* to jedyny statek w całej Galaktyce wyposażony w oprogramowanie potrzebne, by nim kierować. To właśnie znaleźliście.

Westchnęła niecierpliwie.

- Powiedz, po co wróciłeś, Ed. Może potrafię ci pomóc.

- Wróciłem dać ludziom wolność. - Ed wykonał gest, który być może miał obejmować całą Galaktykę, ale niczego nie wyjaśniał. - Tu robi się naprawdę paskudnie. - Powiedział, że to jest wielka Wojna. - Przygotowywali się do niej od stu pięćdziesięciu lat. - A to będzie oznaczało poważne załamanie się infrastruktury EMC. To będzie oznaczało, że nikt już nie

ma prawa liczyć na ciągły postęp. Wręcz przeciwnie. Na dłuższą metę mogło się to okazać korzystne dla chłopaków z Ziemi. - Będą musieli zacząć od nowa, z bardziej interesującym spojrzeniem na sprawy. Jednakże, nim będzie lepiej, musiało zrobić się gorzej.

- Serdeczne dzięki za tę przepowiednię, Ed.

- Byłem kiedyś prorokiem - odparł - ale zostawiłem to wszystko za sobą. - Przez chwilę obserwował przepływający na zewnątrz ośrodek dynafłow. - Chciałbym pogadać z grubym Anthonym, ale on mnie unika.

- On ma na imię Antoyne i to porządny człowiek. W dniach chwały kochał cię i podziwiał, jak my wszyscy. Ja byłem taka sama. Byłeś szalony i piękny, a tego właśnie pragnęliśmy. Gdybyś nas poprosił, żebyśmy zostali bohaterami, poszlibyśmy za tobą wszędzie. Ale to Marna Szansa, Ed, zwycięstwo albo przegrana za każdym razem, gdy włączasz silnik. Pamiętasz? - Przerwała na chwilę. - I co teraz? - dodała, gdy tylko zaczął odpowiadać. - Jesteś jedynym człowiekiem, który kiedykolwiek wrócił z Traktu. To wielkie osiągnięcie. Ale co stamtąd przywozisz? Może wpadłeś na coś dobrego, a może wpadłeś w gówno głębiej niż kiedykolwiek dotąd. - Na jej twarzy pojawił się uśmiech świadczący o tym, że w tej sprawie nie może mu pomóc. - Weź statek. Nie sądzę, by któreś z nas go chciało po tym, co się wydarzyło. Z łatwością możemy znaleźć inny.

\*\*\*

Pewnego dnia, wkrótce po tej rozmowie, wyjrzała przez luk i zobaczyła, że wrócili na orbitę kwarantannową wokół Saudade. Planeta pod nimi obracała się niczym ogromne koło zamachowe. Z rufy sypały się ogniki. Ze wszystkich stron otaczał ich pozaświatowy magazyn nienazwanego: milion ton substancji będącej pół białkiem, pół kodem, odpadki interakcji ludzi z matematyką. Włączyła wewnętrzny komunikator.

- Ed, to nie jest właściwa orbita - oznajmiła. - Parkingowa jest głębiej. Czy potrzebujesz pomocy? - W głównej ładowni panowała cisza. - Ed?

Po zejściu na dół zobaczyła, że kadłub wrócił na miejsce, a trumny klatki stoją w równym szeregu.

Nie sprawiały wrażenia mniej opuszczonych niż zwykle.

- Na co patrzycie, skurwysyny? - zapytała je.

Jakby w odpowiedzi, rozsunęły się nagle, odsłaniając Eda Chianese, który leżał na pokładzie twarzą w dół. Tam, gdzie miał kiedyś krzyż, klęczała bardzo drobna Chinka, rozsuwając szeroko kolana. Twarz Eda była wciśnięta w podłogę, a kobieta unosiła do talii szmaragdowy cheongsam. Skórę miała bardzo białą. Nie mogłaś być pewna, co się dzieje między nimi, ale wydawało się, że z jej małej gładkiej pochwy barwy kości słoniowej sypią



się białe pyłki wielkości moli odzieżowych.

- Ed?

Sprawiał wrażenie zbyt zaabsorbowanego, by jej odpowiedzieć. Kobieta, jeśli to rzeczywiście była kobieta, spojrzała z chichotem na Liv. Ta odwróciła się i uciekła, nim mogła być zmuszona przyjrzeć się bliżej. Nim mogła być zmuszona zrozumieć więcej. Czuła, że od tej chwili wszystko w jej życiu będzie zależało od powstrzymania się przed interpretacją tego, co tam ujrzała. Będzie zależało od tego, czy zdoła nie zapamiętać więcej niż znaczące mrugnięcie, papieros i uśmiech na bladoczerwonych ustach. Ed dogonił ją w zejściówce prowadzącej na zewnątrz.

- Jezu, Liv. Mogłaś przynajmniej zapukać.

- Wysadź nas w Saudade City - zażądała. - A potem zmiataj.

\*\*\*

Po godzinie wszyscy troje stali na pomoście załadunkowym, spoglądając na widoczne za obszarem pokrytego mokrym betonem Carver Field budynki Władz Portowych oraz na położone dalej miasto. Padał deszcz. Nowy dzień sprawiał wrażenie używanego: jego światło można było opisać jako już obejrzone podczas drogi z Retiro Street do Kościoła na Skale. W dzielnicach kryminalnych atrakcji hotelowe neony jeszcze nie zgasły, ale wyblakły już do pastelowych barw. Ed Chianese oparł się o barierkę pomostu. Jego wystrzępiona dolna połowa grzechotała cicho na wietrze.

- Jesteś pewna, że nie chcesz polecieć ze mną? - zapytał.

Liv znalazła dla niego uśmiech.

- Przeszedłeś przez zbyt wiele ścian, Ed. Popatrz, jak wyglądasz.

- Przyzwyczailem się do życia - rzekł Antoyne. Nie przychodziło mu do głowy nic innego.

Gdy Ed ich opuścił, oboje stali na betonie, wyciągając szyje, gdy *Nova Swing* wznosiła się z głośnym jękiem ku orbicie kwarantannowej, ciągnąc za sobą ogon dymu.

- Te stare pierdolone silniki! - zawołała Liv Hula.

- Ależ to była łódka.

- To był rupieć, Antoyne.

Roześmiali się i ruszyli razem w stronę Saudade City. Na ulicach wyczuwało się rosnące podniecenie, pełno na nich było uchodźców i żandarmerii. Zaśniła błyskawica - K-statek rozpruł niebo, ciągnąc za sobą grom! Ujęła Antoyne'a za ramię, wsunęła je pod swoje i przytuliła do boku. Tak właśnie chodziła z Irene.

- Dokąd teraz? - zapytała.

- W jakieś miejsce, gdzie Mgławica Kraba to nazwa dania, a nie cel podróży.

## JASZCZUROLUDZIE Z GŁĘBIN CZASU

*Uptown Six* pokonało autostradą dynafłow połowę drogi przez Halo. To była szybka podróż bez żadnych zakłóceń. Oglądane z wewnątrz pola dynowe przypominają ludzi - coś w rodzaju origami o paskudnym usposobieniu, złożonego jak akordeon, by pomieścić więcej, niż wydaje się możliwe czy rozsądne. Czy tak właśnie wszechświat śni o sobie? Węgorze płynące w lśniących ławicach przez jakiś aksamitny ośrodek? Rozbłyśki zabarwionego światła odchylane nagle na boki przez niewyobrażalne napięcie nieistnienia naprawdę? Asystentka, która sama przeżywała podobne stesy, siedziała skrępowana przy bulaju w kwaterach dla ludzi, starając się zrozumieć owe zjawiska.

- Nie lubię podróżować w taki sposób - oznajmiła operatorom-cieniom - kiedy za oknami są te ryby.

Nie lubiła jedzenia podawanego na pokładzie *Uptown Six*. Nie podobała się jej puszczana przez Carla muzyka Vicente Fernandez, idola ludzi jeżdżących lowriderami, bardzo silnie oparta na tradycyjnej muzyce ranczerskiej. Kiedy ją wyłączył, asystentkę irytował hałas produkowany jej zdaniem przez klimatyzację. Nikt oprócz niej go nie słyszał.

- Czy to powinno tak brzmieć? - pytała za każdym razem, gdy statek zmieniał kurs. Źródłem jej problemów nie była sama podróż, lecz fakt, że nie potrafiła czuć się dobrze z dala od Saudade. Operatory-cienie - dla których wszystko co nowe i dysfunkcjonalne stawało się obsesją, i w związku z tym były nią głęboko zainteresowane - przybierały szare, lekko przejrzyste postacie pogrążonych w żałobie kobiet, zacierały kościste, stwardniałe od pracy dłonie i błagały:

- Może wolałabyś zjeść coś innego, moja droga? - Kabinę na chwilę wypełniał zapach fiołków i mydła „Vinolia”. - Czy możemy przynieść ci koc?

Po godzinie czy dwóch lotu R. I. Gaines uruchomił nadświetlne routery i podjął próbę zapoznania się z bieżącą sytuacją w Galaktyce. Zasnął jednak i śniło mu się, że jest w porcie raketowym, otoczony przez uchodźców. Przypominali ludzi, lecz również coś w rodzaju roju nietoperzy albo szarańczy - a może nawet roju operatorów-cieni, jako że ich zachłanność i tęsknota cechowały się podobnym rodzajem smutku. Były toczącym się procesem, lecz

jednocześnie nigdy się nie zmieniały. Gaines siedział za stołem, trzymając ręce na kolanach. Przez minutę albo dwie za jego plecami biegało małe dziecko, śmiejąc się i wrzeszcząc. Nie wiedział, co teraz zrobić ani o czym myśleć. Reklamy latały nad jego głową niby ćmy: jego oczy je śledziły. Ludzie wchodzili i wychodzili przez drzwi terminalu: jego głowa zwracała się w tamtą stronę. Słuchając dźwięcznych sygnałów systemu nagłaśniającego, uświadomił sobie, że, w dosłownym sensie, nie jest sobą. Był kimś, kogo znał, ale nie potrafił sobie przypomnieć, kim. W końcu wymieniono jego numer. Wstał i ruszył ku bramce.

Podczas gdy Gaines szarpał się z tymi problemami, czymkolwiek mogły one być, Carlo - przyjemnie uspokojony przez medykamenty na całą dobę - próbował zwabić asystentkę do swego tanku pilota. Choć sprawiała wrażenie zainteresowanej, nawet gdy już uniosła pokrywę, mogła uprawiać seks jedynie wewnątrz spersonalizowanej symulacji artystycznej pod tytułem *Joan w roku 1956*. Najwyraźniej pewną rolę grał w niej stary samochód i coś, co opisywała jako „bawelniane reformy”. Carlo nie dał się zniechęcić.

- Kurwa, jestem zakochany - oznajmił Gainesowi, gdy ten się obudził.

Byli już wówczas pod poboczem Traktu, spadali w głęboką na trzydzieści lat świetlnych studnię między chmurami gazu o wysokiej temperaturze. Wkrótce ekrany wypełnił wielki obraz znaleziska Galta i Cole'a, które nie było w pełni planetą ani w pełni maszyną, lecz geologicznym domem dla obłąkanych, wykazującym cechy i jednej, i drugiej. Grawitacyjne cechy charakterystyczne studni sugerowały stos gruzu o niskiej gęstości, ale wartości Coulomba-Mohra przywoływały łzy w oczach. Jej materia była porowata jak gąbka, lecz nic nie mogło jej rozerwać. Pokryta licznymi kraterami powierzchnia miała jednorodny pomarańczowy kolor, nieco zbyt jasny na rdzę. Wędrowały po niej cienie intensywnie kobaltowej barwy oraz rzeki pyłu o osobliwym wyglądzie.

- Z powrotem w domu - odezwał się Gaines. - Nie przestawaj obserwować nieba, Carlo! - zawołał, gdy wysiadali ze statku. - Obecnie nie musimy już przechodzić labiryntu - oznajmił asystentce, ale i tak zabrał ją ze sobą. Jakaś część jego jaźni wciąż się nie uwolniła od potrzeby popisywania się jego znajomością.

\*\*\*

Z początku było to chaotyczne doświadczenie, wywołujące poczucie nieciągłości. Przestrzeń migotała od złego światła i jeszcze gorszej topologii. Tunele, w jednej chwili wąskie i pełne wymyślnych zakrętów, w następnej stawały się ogromne i proste; pełne sztucznie generowanych dźwięków w równym stopniu jak odbijających się od ścian ech - jednych nie sposób było odróżnić od drugich.

- Co gorsza, tunele zmieniały swą naturę - wyjaśnił asystentce Gaines, służąc jej jako

przewodnik. - W jednej chwili były wyłożone błyszczącymi ceramicznymi kafelkami, w następnej zaś wszystko pokrywały skłębione włókna o organicznym wyglądzie. Mogłaś się znajdować w naczyniu krwionośnym, czekać na pociąg albo odnosić wrażenie, że płyniesz jak ciecz między szklanymi taflami: to była archeologia, w której wszystko można było intuicyjnie zgadywać, ale nic nie było prawdą. Rzecz nie tyle w tym, co mogłaś znaleźć za następnym rogiem, ale w tym, że mijałaś ten róg, nim zdążyłaś go zauważyć.

W rezultacie - przynajmniej początkowo - labirynt wydawał się im raczej stanem niż systemem. Znajdujące się w nim obiekty sprawiały wrażenie abstrakcyjnych.

- W czym właściwie brodzę? - zapytała asystentka.

Gaines zatrzymał się.

- To woda. To tylko woda. - Spojrzał niepewnie pod nogi. - To są bezpieczne odcinki - zapewnił. - W dawnych czasach potrafiły zniknąć całe sekcje. Były jednym, kiedy je zgubiliśmy, a czymś zupełnie innym, gdy znaleźliśmy je znowu. Musisz sobie uświadomić, że w podobnych warunkach to twoje postrzeganie jest fragmentaryczne, nie sama przestrzeń. Na jakimś poziomie istnieje organizująca całość zasada, ale nigdy nie uda ci się tego potwierdzić. Na zawsze pozostanie dla ciebie nieosiągalna. A potem, gdy już wszyscy przestaną wierzyć własnym spostrzeżeniom, ktoś znajduje drogę wyjścia z pułapki i wyprawa może się zapuścić nieco głębiej.

Wyjaśnił jej, że wszystkie ekspedycje pod jakimś względem poniosły porażkę, ale każda z nich miała własny charakter, który przez pewien czas wydawał się jej członkom charakterem badanych przestrzeni. Nie mogli liczyć na nic więcej.

- Można się nauczyć z tym żyć. Byliśmy stuprocentowymi kolonizatorami. Zawsze zmuszeni do defensywy. Zawsze żyjący w wąskim plasterku teraźniejszości.

- Kto to wybudował? - podjął po chwili, jakby go o to zapytała. - Skąd mam wiedzieć? Jaszczuroludzie z głębin czasu. Przez krótką chwilę było ich pełno w całym Halo. Można odnaleźć ich ślady nawet na takim zadupiu jak Panamax IV.

Asystentka zadrżała. Gdy tylko opuścili powierzchnię, poczuła, że włączyły się jej modyfikacje. Teraz obejrzała się za siebie, spoglądając na korytarz. Przed chwilą wypełniało go brązowe światło i biegła w nim stara linia kolei jednoszynowej.

- Coś jest tu z nami - odezwała się.

- Ludzie często tak myślą. - Gaines wyjaśnił jej, że labirynt jest idealnym środowiskiem dla stojących fal dźwiękowych. Przy częstotliwości dziewiętnastu herców wywoływały one u większości strach, ataki paniki, zaburzenia widzenia oraz halucynacje. - Kiedy częstotliwość spadnie do dwunastu, po prostu wymiotujesz bez końca.

Niespełna kilometr dalej architektura zmieniała się nagle. Znaleźli się w prymitywnych kwadratowych korytarzach poprowadzonych w bazalcie. Gdy przybyły tu chłopaki z Ziemi, w korytarzach od stu tysięcy nie było światła godnego tej nazwy.

- Nazywamy to KMP - wyjaśnił Gaines. - Kulturowe Minimum Pearlant. Nagle dostrzegasz ślady pozostawione przez narzędzia. Te sekcje mogą być najstarsze ze wszystkich. Tunele poprowadzono przez skalny materiał, nim jeszcze się scalił, gdy był częścią czegoś innego. A może ich cywilizacja straciła na jakiś czas kontakt z rzeczywistością. Albo te fragmenty służyły celom religijnym. Tu nie ma fizyki godnej tej nazwy, ale za to są naścienne dzieła sztuki. Popatrz.

Zatrzymał się przed czymś, co wyglądało na serię płaskorzeźb przedstawiających trzy zmodyfikowane diapsydy w wymyślnych rytualnych strojach. Jedna z istot dusiła czwartą, leżącą spokojnie na czymś w rodzaju kamiennych mar.

- Te istoty wyprzedzały nas o milion lat, ale nadal nie nauczyły się postępować racjonalnie. Nie sądzę, by kiedykolwiek im się to udało. Alef był tylko jednym z ich projektów.

Ponownie ujął ją pod rękę.

- Gotowa? Jest za tymi drzwiami.

\*\*\*

Na Saudade chudy gliniarz Epstein odebrał komunikat wzywający go do jednego z magazynów w niekorporacyjnym porcie kosmicznym. Było dwadzieścia po czwartej rano. Przed dokładnie dwiema minutami zwłoki Enki Mercury zniknęły. Zapis nanokamer pokazywał, że półprzezroczyste ciało rybiego koloru - można było przez nie ujrzeć ściany z blachy falistej - nagle ustąpiło miejsca pustce. Bez względu na wszelkie wysiłki operatora, nie udało się uchwycić fazy przejściowej. W jednej chwili Enka nadal trzymała się tego miejsca - z wyrazem twarzy, gdy było ją widać, równie pełnym determinacji jak na początku, wyrazem twarzy kogoś, kto umarł, ale nie dał za wygraną - w następnej zaś już jej nie było. Epstein wpatrywał się w pustkę magazynu, jakby jego głęboko zakorzeniony zdrowy rozsądek mógł się spisać lepiej niż technologia. Następnie ruszył do zaułka przy Tupolev Avenue i dotarł tam akurat na czas, by zobaczyć, jak Toni Reno podąża za swą dokerką w nicość. Był zimny deszczowy poranek, ruch na Tupolev Avenue był niewielki, a światło zakradało się powoli z boku. Odkąd wojna na nowo obudziła we wszystkich libido, zainteresowanie Tonim spadło. Na chodniku nadal jednak stało dwóch trzynastolatków o czarnych włosach ostrzyżonych z wykalkulowaną asymetrią. Ich mokasyny ręcznej roboty z firmy Fantin & Moretti były mokre od deszczu.

- Toni nigdy nikogo nie skrzywdził - poskarżył się Epsteinowi jeden z nich. -  
Dlaczego musiało go to spotkać?

- Nie mam pojęcia, chłopcze - przyznał gliniarz.

- Widzisz? - zwrócił się chłopak do kolegi, jakby Epsteina tu nie było. - To właśnie chciałem ci powiedzieć.

Kazał im zmiatać i wezwał pomoc. Chciał się połączyć z asystentką, ale ludzie z budynku na skrzyżowaniu Uniment i Poe nie chcieli mu powiedzieć, gdzie można ją znaleźć. W końcu wzruszył ramionami i zapomniał o tym. W tym miesiącu nie mieli tu wielu bogatych turystów poszukujących kryminalnych atrakcji, ale za to w nowych obozach dla uchodźców w Placebo Heights i White Train Park, a także w ich okolicach, wykroczenia o zaskakująco staroświeckiej naturze - proste pobicia, zwyczajne kradzieże żywności albo pieniędzy - dawały mundurowym gliniarzom zajęcie przez szesnaście godzin na dobę. Nikt nigdy nie widział nic w tym rodzaju. Będą musieli opracować nową teorię. Podczas gdy Epstein zajmował się swoimi zadaniami, Halo wstrzymywało oddech, spadając do lustra. Wyższa kadra kierownicza była sobą zachwycona podczas wojny. W korporacyjnych enklawach - które starały się upodobnić do miasteczek targowych, nosiły nazwy takie, jak Saulsignon, Burnham Overy czy Brandett Hershman, miały kamienne kościoły, podmokłe łąki pod błękitnym, wypranym deszczem niebem, idealną wietrzną pogodę oraz kucyki na błoniach - wydawała się ona czymś realnym i przeznaczonym dla dorosłych, trudną sytuacją, na którą przygotowało cię wykształcenie i wyznawane przez siebie wartości. Choć oczywiście nie uniknie się pewnych poświęceń.

\*\*\*

Inne grupy społeczne nie były przekonane. Alyssia Fignall, która wsiadła na ostatni wahadłowiec z Panamax IV, nim przybyła tam wojna, wylądowała z trzystoma rodzinami w obozie dla uchodźców na Alum Rock. To był mały obóz, hektar albo dwa pokryte namiotami, na przylądku, gdzie padał drobny, niesiony wiatrem deszcz. Za płotem można było zobaczyć pola buraczane ciągnące się w głąb lądu. Wczesnym popołudniem kobiety o zmęczonym wyglądzie zbierały się między namiotami, by wymieniać nieliczne posiadane informacje. Nikogo w obozie nie dopuszczano do nadświatelnego routera ani nawet zwykłych połączeń, nie było więc tego zbyt wiele. Nikt nie wiedział, kiedy ich stąd zabiorą.

- Mnóstwo pogłosek, ale żadnych rakiet - oznajmiły Alyssii kobiety.

Najwyraźniej powtarzały to bardzo często. Pierwszego dnia po spotkaniu położyła się na plecach w swym namiocie, słuchając deszczu, łoskotu produkowanego przez mężczyznę rozbijającego drewniane palety tasakiem z pazurem oraz krzyków chłopców biegnących za

piłką po przestrzeni życiowej innych ludzi. Zamknęła oczy i spróbowała zasnąć. Sąsiednia rodzina odgradziła się od niej ścianą ze słomianych bel. Pracowali powoli i ostrożnie, rozmawiając nieustannie i cierpliwie z trzyletnią córką, która pomagała im w miarę swych możliwości, choć sprawiała wrażenie chorej.

To była zdeterminowana deklaracja, w języku, który mógł być skierowany nie tyle do Alyssii, ile do samej sytuacji. Odpowiedź na nieuporządkowanie świata, w którym znaleźli się wszyscy.

- Teraz gotuję! - zawołała kobieta, gdy tylko zrobiło się ciemno.

Alyssia krążyła po obozie, starając się spotkać ludzi i zdobyć wieści. Potem spróbowała go opuścić, ale zatrzymano ją przy bramie. Po tygodniu nadal tam była, pośród śmieci, źle umocowanych, łopoczących na wietrze namiotów, ognisk o gryzącym zapachu, palonych tuż po zachodzie słońca, nagłych szalonych okrzyków oraz brzydkich, półmuzycznych dźwięków produkowanych przez młodzieżowe gangi. Jej ciało - czy może jej ubrania, a może po prostu cały obóz - zaczęło śmierdzieć toaletą kompostującą. Krążyły pogłoski, że nikogo nie repatriują, ale cały obóz przeniosą gdzie indziej. Rozepchnęła bele na boki i zapytała sąsiadkę, czy mogłaby jej pomóc przy dziecku. W ciągu następnych miesięcy często myślała o Rigu, zastanawiając się, czy wszystko z nim w porządku. Wiedziała, że tak. W końcu to był Rig.

\*\*\*

W pobliżu samego Traktu Kefahuchiego wiadomości nie wiązały się z wojną.

Kolizja *Codziennych Umów & Wielkich Oszczędności* z Panamax IV była znakomitym newsem. Sprzedana za pośrednictwem agencji na tysiąc planet relacja, do której dołączono rozmaite komentarze i faktoidy, cieszyła się zasłużonymi trzema minutami w słońcu. Początkowa kolizja uwolniła około dwustu bilionów bilionów ergów energii - równoważnik pięciu albo sześciu gigaton konwencjonalnego materiału wybuchowego. Gdy *Codziennie Umowy & Wielkie Oszczędności* wyrwały się z żelaznego jądra planety, przepływ wsteczny o sile odpowiadającej pięciu tysiącom gigaton przeciął powstały kanał niczym wiązka światła przesywająca przegrzane gazy atmosferyczne oraz szczątki skorupy planety. Choć energia uwolniona, gdy jądro planety eksplodowało w lokalną przestrzeń, z pewnością nie była niepoliczalna, według ludzkich pojęć trzeba ją było uznać za niemal nedorzecznie olbrzymią. Jednakże zdarzenia uwalniające nedorzecznie olbrzymią energię są czymś codziennym na Trakcie, gdzie erupcje wydostające się z centralnej nagiej osobliwości - jeśli ów obiekt rzeczywiście tym jest - mają moc tak potężną, że generują w otaczającej go chmurze gazu fale ciśnienia manifestujące się jako dźwięk.



Ów tytaniczny ryk, odbijający się echem w dziurach w obłokach gazu o objętości miliona parseków sześciennych, jest obywatelskim dziennikarstwem Traktu; pętle i bazgroły pozostawione przez czoła fal uderzeniowych stanowią jego nagłówki. Dlatego dla instrumentów Impsa van Santa newsem nie było zniszczenie Panamax IV, lecz seria dysharmonijnych, skomplikowanych jęków, niższych o sześćdziesiąt oktaf od środkowego C.

- Kurwa - mruknął Imps, który nigdy w życiu nie słyszał czegoś takiego.

Czasami sytuacja, w której się znalazłeś, staje się dla ciebie zbyt oczywista. W grę włączają się dziwne siły. Imps zerwał słuchawki i tłukł nimi o tablicę rozdzielczą, aż wreszcie bakelit pękł: mimo to, mężczyzna odnosił wrażenie, że Trakt nadal na niego ryczy niczym gigantyczna twarz o wyrazie niemożliwym do opisanie ludzkimi słowami. Gniew, zachwyty, rozpacz - a nawet, pomyślał, coś w rodzaju rodzicielskiej miłości, ogromnej i dziwacznej. Wszystkie te uczucia jednocześnie, a zarazem żadne z nich. Jeśli zaś chodzi o fizykę: nikt nigdy nie potrafił jej pojąć. Niektórzy twierdzili, że to fizyka wczesnego okresu wszechświata, nadal funkcjonująca w przeciekającej otocze, torbieli uchwyconej w chwili bardzo długiego pęknięcia - prawidłowa fizyka, ale w niewłaściwym momencie. Imps nie wiedział, jak jest naprawdę. Nie chciał tego wiedzieć. Dla niego to była fizyka twarzy. Odsunął się od konsoli, pocierając powieki. Pomyślał, że mógłby spróbować wziąć prysznic, a potem wypić piwo. Gdy podnosił się ciężko z fotela, usłyszał szept dobiegający z rozbitych słuchawek. Złapał je.

- Halo?

\*\*\*

Krawiec genowy George leżał tam, gdzie zostawiła go asystentka, w jej pokoju w GlobeTown. Koce podciągnięto mu miłośniczo pod brodę. George nie żył, ale nie był w tym osamotniony. Blask statków kosmicznych rozświetlał ciepłe powietrze w pokoju, parapsychofizyczna fala zwrotna ich dziwacznej nauki pokrywała ściany nowymi inskrypcjami - warstwami kolorowych wirów przypominającymi graffiti - wyrażającymi myśli i uczucia każdego, kto zakończył tam życie. Czy martwy George znajdował pocieszenie w tych mapach, motylach oraz innych częściowo przedstawionych obiektach z obcych światów? Czy był świadomy ulicy na dole, rozkwitającej niby szklany anemon pod wpływem narastającego gradientu żywności nocy? Linii basów rokit duba rozprzestrzeniających się po Saudade na sposób fal? Barów i lokali nuevo tango, otwierających się powoli, oraz ich pulsujących, wabiących fasad? Nawet jeśli tak, wszystko to był jedynie kulturowy bełkot. Jeśli umarli czegoś pragną, to z pewnością odpoczynku od takich rzeczy.

\*\*\*

Choć asystentka nigdy nie miała imienia, była przyzwyczajona do tego, że jest kimś. Na przykład, ludzie się jej bali - na czwartym piętrze budynku na skrzyżowaniu Uniment i Poe, na Straint Street albo Tupolev Avenue, na chodniku przy straganie z ciastkami na Retiro Street. Była przyzwyczajona, że w podobnych miejscach zauważano jej obecność. Tutaj nie było tak samo. Wszyscy byli z EMC. Mówili, a także chodzili, jakby ich myśli przebywały gdzie indziej. Była po prostu kimś, kto przybył z Rigiem Gainesem. Kiedy podchodzili bliżej, by z nim porozmawiać, ignorowali ją. Jej chemia nie działała na nich tak jak na Epsteina albo jej przyjaciela George'a. Na przykład, mężczyzna zwany Case'em podszedł do niej i zapytał:

- Czy to ona? Jezu.

Case wyglądał, jakby przeżył sam siebie. Wysoki mężczyzna o aurze kogoś, kto był kiedyś potężnie zbudowany, chodził zgarbiony, wspierając się niezgrabnie na dwóch laskach. Nie miał obu bioder. Mógłby się naprawić, jak wszyscy, ale zwlekał z tym zbyt długo, z powodu nieostrożności albo odwróconej próżności, a teraz wolał ten wygląd kogoś ugotowanego i bezwłosego. Na dłoniach miał wydatne sznury żył, pokrywająca je skóra była obwisła i błyszcząca. Jego zbrązowiała głowa wydawała się za duża w stosunku do szyi, a dolna warga o teksturze gotowanej wątroby opadała nieustannie ze zdumienia, że jej właściciel jeszcze żyje. Stał przed asystentką, gapiąc się na nią chciwie, lecz jednocześnie z osobliwym brakiem zainteresowania, jakby on pamiętał kobiety, ale jego ciało już nie. Szeptał do siebie. Po chwili czy dwóch pochylił się i puknął ją mocno w przedramię.

- Rig powiedział mi, że masz problemy z ekspresją Kv12.2 - oznajmił.

- Czy on mówi do mnie? - zapytała Gainesa.

- Moglibyśmy ci pomóc - ciągnął Case. - To tylko drobny błąd konstrukcyjny. Rozumiesz, że w praktyce masz padaczkę? - Nie odpowiadała. - Czy ona cokolwiek rozumie? - zapytał po chwili Gainesa.

- Kochanie, mógłbyś mniej oddychać przez usta - odezwała się asystentka.

Case przyjrzał się jej z uwagą.

- Nigdy nie oczekiwałem od ciebie niczego sensownego, Rig - oznajmił Gainesowi - ale to już kretynstwo. Nie mamy pojęcia, co się stanie, jeśli to zrobimy.

Gaines odpowiedział wzruszeniem ramion. Był przekonany, że tak czy inaczej nauka na tym skorzysta. To obojętne stwierdzenie zmieniło się w kłótnię, do której włączyli się współpracownicy Case'a. Wszyscy mówili jednocześnie.

- Nauka?! - krzyknął w pewnej chwili Case, chwytając obie laski w jedną rękę, by móc skinąć pogardliwie drugą. - Nauka jest martwa. Już od chwili, gdy Emil odnalazł to

pierdolone miejsce!

Odpowiedziały mu śmiechy.

- Nie lubię tych ludzi - oznajmiła asystentka. Wszyscy umilkli.

Gaines ujął ją za ramię.

- Hej - rzekł. - Wszystko w porządku, naprawdę.

Stali, patrząc na siebie, podczas gdy Case i jego ekipa gapili się na nich. Rig obdarzył ją jednym ze swych najbardziej ironicznych uśmiezków.

- Czy istnieje tu możliwość dostania kawy? - zapytał kogoś stojącego w pobliżu, nadal uśmiechając się do niej.

Mężczyzna odpowiedział, że jasne. Może przynieść im kawę, jeśli chcą. Zwykłą z mlekiem albo zwykłą bez mleka.

- Nie musisz nam towarzyszyć - poinformował asystentkę Gaines, gdy już przyniesiono kawę. - Rozejrzyj się wokoło. Przyjrzyj się wszystkiemu.

Od tej chwili została sama ze sobą w nieznanym jej dotąd stopniu. Sala była wielka jak terminal dla podróżnych, pogrążona w mroku, ale usiana wyspami aktywności. Jeździły po niej pojazdy, niektóre z nich dość ciężkie. W pobliżu centrum znajdowało się coś izolowanego. Na obiekt padały potężne światła. Poruszał się sporadycznie, jak coś naturalnego, ale asystentka nie widziała, co to właściwie jest. Znalazła miejsce, w którym mogła usiąść, rozstawiła szeroko nogi i uśmiechała się do niektórych ludzi Case'a, aż wreszcie odwracali wzrok. Myślała o imionach dla siebie: Bruna, Kyshtym, Korolev R-7 i Anioł Orbity Parkingowej". Spojrzała na swe przedramię. Odbierało „Brak Danych”. Tymczasem ludzie Case'a sprowadzili nowy sprzęt i ustawiali go wewnątrz kręgu światła. Czymkolwiek mógł być, dla asystentki nic nie znaczył.

Poza oświetlonym obszarem mieli tu trochę prostego sprzętu krawieckiego - zupełnie nowy tank proteomowy, pokryty emalią barwy lodówek z roku 1953, stół operacyjny oraz garstkę chirurgicznych instrumentów. Nie przeszkadzało jej to. Kiedy dopiła kawę, Gaines zaprowadził ją tam.

- Skoro już tu czekamy, czemu nie mielibyśmy się przyjrzeć tym twoim atakom? - rzekł. - Wskakuj na stół.

Wskoczyła na stół i pozwoliła, by wprowadził jej parę sond w neurotypowych punktach. Jedna z nich wśliznęła się do górnej części klatki piersiowej. Asystentka czuła przez chwilę, jak sonda opiera się o obojczyk, wnikając do środka. Trudno było zinterpretować to wrażenie - nie tyle bolesne, ile wyraźne i inwazyjne. Po chwili owładnęły nią przyjemnie ciepłe, letargiczne uczucia. Wszystko odsunęło się daleko, jakby nie miało z

nią nic wspólnego.

- Świetnie - pochwalił ją Gaines. - Zrelaksuj się. Kurwa - dodał, zwracając się do kogoś innego. - Ci ludzie, kimkolwiek byli. Spójrz na to. I na to.

Dotknął czegoś i kolory wypełniły jej głowę niczym małe ptaszki. Usłyszała własny śmiech.

- O kurczę - ciągnął Gaines. - Niewłaściwy przełącznik. Podobało ci się?

Poczuła smak metalu, a potem odniosła wrażenie, że w jej wnętrzu otworzyły się dwa albo trzy warsztaty. Gaines zaczął pracować w jednym z nich. Później Case podszedł bliżej, żeby się przyjrzeć.

- Nie chcę go tu - zaprotestowała.

- Wszystko w porządku - uspokajał ją Gaines. - Wszystko będzie w porządku.

- Chcę, żebyś mnie teraz obudził - zażądała.

Pochylił się nad nią i zobaczyła jego uśmiech.

- Nic ci się nie stanie - zapewnił.

- Udusisz mnie?

- Nic ci się nie stanie.

Potem nie odzyskała już pełni świadomości. Wiedziała, co się dzieje, ale to jej nie obchodziło.

- Wiedziałaś, że masz wbudowaną opcję radaru o częstotliwości od dwudziestu siedmiu do czterdziestu gigaherców? - zapytał Gaines. Jego głos dobiegał teraz z jej wnętrza i towarzyszyło mu wyraźne echo, jakby wrócili do tuneli. - Krótkozasięgowy instrument kontroli lokalnego obszaru. Niezłe. Mam go teraz włączyć?

Zrobił to i ujrzała wszystko w odcieniu szarości, jak w sterowni. Ludzie Case'a potoczyli stół na sam środek sali, w najjaśniejsze światło, i zostawili go tam. Asystentkę otaczała miła mgiełka, rozświetlana wewnątrz przez radar. Gaines go nie wyłączył. Wykrywała zbliżających się i oddalających ludzi, ale nie była w stanie poruszyć głową. W końcu obrócili stół diagnostyczny wokół osi i zrobili coś z sondami. Niewymuszone systemy zmysłowe znowu zaczęły działać. Asystentka zobaczyła, co znajduje się na oświetlonym obszarze i dlaczego ją tu przywieziono.

\*\*\*

Dwa albo trzy dni wcześniej, po tym, jak strefą, w której zamknięto obiekt znany ludziom Case'a jako „Pearl” albo „Perła”, targnęły konwulsje, rzeczony obiekt znowu zaczął spadać. Ów proces - nie tyle ruch, ile próba wyrażenia ruchu w statycznym medium - sprawiał wrażenie zamierzonego, a zarazem stylizowanego. Język jej ciała, pomyślał Gaines, wyrażał

nieustającą walkę z sytuacją, na której zrozumienie nie można było pozwolić nikomu innemu.

Case był innego zdania.

- Pierdolić to - mówił.

Rozsądnie byłoby pamiętać, że spadająca kobieta nie spada ani nie jest kobietą. To był potwór, artefakt rozpaczliwie błędnej interpretacji danych. Instrumenty nie były w stanie bardziej się zbliżyć do tego, co działo się naprawdę.

- Podobnie jak sam wszechświat, to bezużyteczna analogia nieopisywalnego stanu - oznajmił ze śmiechem.

W rezultacie między dwoma mężczyznami wybuchł spór o oryginalną naturę Alefa. Case był przekonany, że w tej sprawie również się mylą.

- Nigdy nie zawierał fragmentu Traktatu - zapewnił.

- W takim razie, co zawierał?

- Cały Traktat. I nadal go zawiera.

Gdy już unieruchomili policjantkę i zawieźli ją na miejsce, naukowcy zajmujący się badaniami Alefa przynieśli ostatni element sprzętu. W jednej chwili błyszczący, w następnej zaś zamazany, nadal składał się w całość z niespokojnego szlamu materiałów - węglowych nanowłókien, nieabelowych nadprzewodników zachowujących swe właściwości w temperaturze pokojowej. Szybko ewoluujących rojów SI opartych na pikotechnologii. Potem wprowadzono operatora, który przybrał postać małej dziewczynki, chudej i smagłej, być może ośmioletniej, ubranej w ciemnoniebieskie szorty oraz koszulkę z krótkimi rękawami firmy Aertex, pamiątkę po niekończących się letnich wakacjach na St Steven's Withy albo Burnam Agnate. Przypominała Gainesowi jego córkę, kiedy była w tym wieku. Operator szybko to wyczuł.

- Och, Rig! - zawołał, chwytając go za rękę i śmiejąc się do niego. Stopy miał bose. - Co mi tym razem przywiozłeś?

Operator mrugnął. Z jego oczu, ust i nosa popłynęło ostre białe światło. Potem rozpadł się na fontannę iskier i wszedł do wnętrza maszyny. Zabrzmiały muzyczne tony.

- Działają tu niezwykle siły - rozległ się pełen bojaźni głos.

- Kurwa, Case, bierzmy się wreszcie do roboty - zażądał Gaines.

Ludzie Case'a ruszyli tyłki. Przez chwilę nic się nie działo. Potem policjantka zeskoczyła ze stołu, postąpiła trzy chwiejne kroki naprzód i spróbowała włączyć modyfikacje. To, co uczynił jej Gaines, wyłączyło je znowu. Krzyknęła gniewnie i spróbowała po raz drugi, z takim samym skutkiem. Wizualne nagrania zarejestrowały dwu- albo trzykrotne powtórzenie tego zachowania podczas pięciosekundowego okresu. Systemy zarządzające

asystentki tworzyły nowe ścieżki neuronowe, omijające ustanowione przez Gainesa blokady. Uczyły się imponująco szybko, ale wkrótce dały za wygraną: po dwóch minutach była w stanie pozostać w stanie przyśpieszenia przez dwanaście sekund, ale repertuar - i zasięg - jej ruchów stał się ściśle ograniczony. Lęk spowodował kilka kolejnych powtórzeń tego zachowania. Zaobserwowano wówczas, że obiekt: zeskoczył ze stołu operacyjnego (raz); przykucnął na podłodze i poruszał szybko głową z boku na bok, emitując impulsy aktywnego sonaru o częstotliwości od dwustu do tysiąca kiloherców (trzy razy); wykonywał inne czynności służące identyfikacji celu (dwa razy); zdał sobie sprawę z obecności Pearl (dwa razy); zwymiotował białym płynem (raz); uniósł ręce nad głowę i krzyknął coś niezrozumiałego (cztery razy), odwrócił się w lewo i przebiegł trzy kroki (cztery razy); odwrócił się w lewo i przebiegł cztery kroki (trzy razy); zwolnił nagle (za każdym razem); i krzyczał (za każdym razem). Ktoś się zaśmiał.

- Przestań - rozkazał Case.

Przyśpieszony ruch wyglądał na obrazie jak śluzowata plama. Systemy odprowadzania ciepła zwolniły, podnosząc temperaturę ciała obiektu nieco powyżej norm operacyjnych, do 110 stopni Celsjusza; poziom kortyzolu, androsteronu oraz estradiolu wzrósł gwałtownie. Po czwartym powtórzeniu zaczął się manifestować zestaw nieplanowanych ruchów rąk. Nikt nie potrafił tego wytłumaczyć.

Cały ten czas Pearl pozostawała stabilna. Fałdy jej metalicznej sukni, widzianej w fałszywych kolorach, poruszały się pod wpływem niewykrywalnych podmuchów. Otaczała ją niewyraźna strefa załamania światła, powodująca, że obraz - o wielkości być może dwukrotnie przewyższającej już naturalną - przeszywały drobne fale, jakby znajdował się pod wodą. Twarz przypominała ludzką, by po chwili upodobnić się bardziej do kociego pyska. Po kilku minutach współczynnik załamania się zmienił, jakby nagle doszło do drobnego przesunięcia poziomów energetycznych. W tej samej chwili główne narzędzie badawcze obudziło się do życia; elementy labiryntu zaczęły zmieniać konfigurację, w podłodze wyczuwało się zgrzytliwą wibrację. Holograficzne schematy zamigotały. Sejsmografy wykrywały aktywność na skalę płyt tektonicznych.

- VF14/2b się rozgrzewa - oznajmił ktoś i zaczął podawać dane z przestrzeni fazowej.

- W tunelach jest coś masywnego - zameldował ze spokojem operator Case'a. Światła na górze pociemniały, ich blask przesunął się ku czerwieni. - Możecie być zmuszeni mnie wyciągnąć.

- Patrzcie! Patrzcie! - zawołał nagle. - W labiryncie! Głębiny czasu!

Potem nie usłyszeli od niego już nic.

Tymczasem Pearl otworzyła i zamknęła usta, wymachując rękami nad głową w czymś w rodzaju bezkostnej, pełnej zdumienia paniki. Wydawało się, że spada teraz szybciej. Towarzyszyły jej tysiące małych obiektów, jakby wyrzucanych przez samo powietrze, rozżarzonych węgielków albo odprysków barwionego szkła, które grzechotały, odbijając się od siebie z gwałtownością entrefieksowych kości. Starą Sterownię wypełniły fale woni perfum - tanich, staromodnych i dziwacznie seksualnych, w rodzaju tych, jakie można było poczuć na Pierpoint Street o czwartej nad ranem. Policjantka zmęczyła się wyraźnie, jakby te wrażenia odebrały jej wolę walki. Po raz ostatni spróbowała złamać behawioralne ograniczenia wprowadzone przez Gainesa, po czym uniosła lewą pięść do ust i ugryzła się w kostki dłoni. Potem obejrzała się na niego przez ramię.

- Ratunku! - zawołała (raz).

Potem skoczyła na Pearl i zniknęła. Sama Pearl również się ulotniła. Zapadła ciemność.

- Jezu Chryste - odezwał się Gaines, mącąc ciszę.

Zastanawiał się, jak się zdystansować od projektu i przejść do innych spraw, gdy nagle ujrzał wysoki biały kwiat światła, który rozkwitał powoli, a także usłyszał głosy i dźwięki brzmiące, przynajmniej dla niego, jak głosy i dźwięki czegoś, co - jak to ujął - przybywa. Podobnie jak wszyscy, rzucił się do ucieczki ku tylnym drzwiom sali, za którymi leżał obiecujący wątpliwe bezpieczeństwo labirynt. Spanikowani naukowcy stratowali po drodze postarzałego Case'a, który zgubił obie laski.

## ŚRODEK PRZEKAZU NIE JEST PRZEKAZEM

*Aspodoto, Tienes mi Corazon, Backstep Cindy: w Halo imię to wszystko. Bez niego jesteś nikim. Fortunata. Ceres. Berenice. Queenie Key. Calder &Arp. Gitara Washbum. Mani Pedi. Wellness Lux. Fedy Pantera. REX-ISOLDE. Ogou Feray. Restylane, Aniceta...*

\*\*\*

Gdy Anna Waterman spadła przez podłogę altany do Alefa, zbliżał się świt. W Londynie wstawał wilgotny wrześnieowy poranek. Trudniej określić, która godzina była w Alefie.

Przestrzeń, przez którą spadała Anna, miała przyprawiający o dezorientację kolor, jak ciemność w wietrzną noc. Była za szeroka, by można ją było uznać za tunel, ale zbyt wąska, by mogła być czymkolwiek innym. Jego warunki graniczne pozwalały jej spadać, ale uniemożliwiały dotykanie boków. Niebo szybko skurczyło się do niemal niewidzialnego punktu nad nią. Przez chwilę kot dotrzymywał jej towarzystwa. Spadał z komiczną miną, a następnie przesunął się jakoś ku niej, przesywając powietrze łapami i mruczac głośno. Potem stracili się nawzajem z oczu.

- James, ty utrapieńcu - poskarżyła się Anna. Na górze coś się osunęło, jakby altana, tym razem płonąca naprawdę, zaczęła się zapadać. Ku Annie posypał się strumień grzechoczących obiektów barwy czerwonego wina, bursztynu bądź też - jeśli prędkość spadania roznieciła ogień - jaskrawożółtych włosów lalki Barbie. Owe gorące lalki, płonące węgielki i stopione buteleczki z lekami spadały znacznie szybciej od Anny. Mijając ją, dostosowywały na chwilę swą prędkość, aż miała wrażenie, że mogłaby wyciągnąć rękę i ich dotknąć, a potem przyśpieszały znowu i wkrótce zniknęły jej z oczu. Wiedziała, że w życiu można: Wpaść w pułapkę. Wpaść z kimś. Wpaść na gorącym uczynku.

Bóg wie, że zdarzyły się jej wszystkie te trzy rzeczy. Wyobraziła sobie, że tłumaczy komuś:

- Moje życie to jedna wielka wpadka. Razem ze mną wpadło tu mnóstwo śmieci, choć myślałam, że dawno już zostawiłam je za sobą.

- Powiedz, co jest twoją *jouissance* - dodała, zwracając się do kota.



Spadając, zdała sobie sprawę, że macha rękami, powoli i bezkrotnie, a także pedałuje nogami. Wrażenie spadania, pomyślała, przypomina pływanie w miejscu. Im silniej się szarpiesz, tym bardziej tracisz kontrolę. Twoje serce biło coraz szybciej, wszystkie te wysiłki zdawały się na nic. Czułaś, że jesteś bliska utonięcia. Błędem było dopuszczenie do siebie tej myśli. Najważniejszą różnicą w dzieciństwie jest ta między zapadnięciem w sen a zapadnięciem w śmierć. Na długo przed tym, nim zapadła na anoreksję, przeczytała u Milтона o spadaniu od poranku aż do rosistego wieczoru albo padła ofiarą Michaela Kearneya, Anna obawiała się zapaść w sen. Gdy tylko uświadomiła sobie ten fakt, zaczęła walczyć. Nastąpiły łatwe do przewidzenia chwile paniki, napierające na nią ze wszystkich stron, rozbłyśki udreżonego światła, po których znalazła się w pełnej ech przestrzeni, której naturę trudno by jej było opisać. Była ona bardzo wysoka, ciemna i jasna jednocześnie. Przypominała restaurację, do której chodziły kiedyś z Marnie na obiad, zbudowaną wewnątrz opuszczonej elektrowni w Wapping. Poczowała lęk. Widziała coś, choć niezbyt wiele, ale nie miała pojęcia, co właściwie widzi. Ze wszystkich stron otaczali ją ludzie. Gestykulowali i wytrzeszczali oczy, starając się przybliżyć do niej twarzą. Ich usta otwierały się i zamykały, ale to Anna czuła się jak ryba w akwarium. Obserwowali ją.

- Jak bardzo mogę się zbliżyć? - zapytał jeden z nich drugiego. - Czy mamy pojęcie, skąd ona przybyła?

- O niczym nie mamy pojęcia.

Rozległ się śmiech.

- Wygląda, jakby spadała. Jak pochwycona w chwili upadku.

- Nie sądzę, by takie założenie miało nam w czymś pomóc, Gaines.

W rzeczywistości Anna czuła się jak ktoś pochwycony w chwili, gdy udawał się do toalety na dworcu Waterloo w samym środku godziny szczytu. Wyczuwała przyprawiającą o lekkie mdłości obecność kota Jamesa, tak bliską, że nie była w stanie go zobaczyć. To ją zawstydziło. Choć odnosiła wrażenie, że nie jest już w pełni Anną, nie czuła się też w pełni czymś innym. Coś było nie tak z jej kośćmi policzkowymi. Czuła się rozmazana i niestabilna w znaczących miejscach, jak na obrazie Francisca Bacona. Jednocześnie odnosiła też wrażenie, że coś ogromnego spenetrowało nieodpowiednią część jej ciała; albo jeszcze gorzej: że to ona sama to spenetrowała. Ową sytuację tak bardzo niewiarygodną czyniła natura tego obiektu.

To było jej własne życie.

\*\*\*

*Sekhet. Słodziutka. Minnie. Matty. Mutti. Różyczka. Radtke. Emily-Misere. Złamane Serce! & Imogen. LI Dominette. Ja ciągnę w jedną stronę, a ona w drugą. Ta kobieta nigdy*

*nie stanie się częścią mnie. Mówię ci, spadaj sama. Spadaj sama, ty suko. Nie obok mnie. Mówi, że jest tu też coś trzeciego & czwartego, i piątego. Śmierdzi tu kotem, jakimś brudnym zwierzęciem. W ten sposób nigdy nie dotrzemy tam, gdzie chcemy dotrzeć. Mam na imię. (Ysabeau. Mirabelle. Rosy Glo. Słodziutka & Pak 43. Shacklette. Puxie. Temeraire. Stormo!, Te Faaturuma). Spadam do altany i krzyczę niewłaściwe słowa. Nikt mnie nie słucha...*

\*\*\*

W Saudade City sprawę Toniego Reno z czasem zamknięto jako „nierozwiązana”. Wkrótce potem chudy gliniarz Epstein wyruszył na patrol z mundurową policjantką nazwiskiem Grills. Noc była ciepła. Trochę padało. Ruch na Tupolev Avenue był mniejszy niż zwykle. B-dziewczynom paradującym w swych różowych szpilach na rogu Johnson i Chrome szło dzisiaj kiepsko. Walki w Preter Coeur też przyciągały niewielu widzów. Od Placebo Heights po Funnel, od Retiro Street aż do Beausley Street, klienci przemysłu rozrywkowego woleli zostać w domu.

GlobeTown, druga w nocy: Epstein i Grills znaleźli czas, by porozmawiać o wojnie. Grills była przekonana, że doprowadzi ona do trwałych zmian w obrazie społeczeństwa. Liczba turystów poszukujących kryminalnych atrakcji spadała gwałtownie; zaobserwowali też zastój w nielegalnym krawiectwie, seksie międzygatunkowym, a także w pornografii sensorium oraz innych ingerencjach w osobowość. Epstein uważał mimo to, że wojna jest tylko kolejną warstwą dodaną do zepsutego tortu - spadkowe trendy, o których mówiła policjantka, równoważył rosnący popyt na fałszywe chipy tożsamości i kartki żywnościowe, a także paskarskie czyny. Przestępczość osobowościowa spadała, ale przemysł rokrocznie rósł o siedemnaście procent. Grills zastanowiła się nad tym, po czym stwierdziła, że w najbliższych miesiącach będą mogli sporo zarobić za pracę w nadgodzinach przy pilnowaniu porządku. Epstein nie mógł się z nią nie zgodzić. Na tym zakończyli dyskusję. Nagle na niebie rozbłysło białe światło, bezgłośnie, ale bardzo ostre i intensywne. Epstein osłonił oczy szeroką dłonią.

- Czy to atak? - zapytał.

- Nie sędzę - zaprzeczyła Grills. - Widziałam już atak i... - przerwała na chwilę, szukając odpowiednich słów - ...było tego więcej.

Osiemset kilometrów nad ich głowami K-statki zniknęły z jednej orbity, by niemal natychmiast pojawić się na drugiej. Pusta przestrzeń skwierczała od wymienianych przez nie komunikatów. Przed minutą pilnowały swej trzódki rdzewiejących kadłubów, a teraz zwracały się ku pustce. Dziesięć milionów ton psychofizycznej mazi zaspawanej w pojemnikach o wielkości od trumny do sporej planetoidy zniknęło bez śladu. Informowały o

tym wszystkie media. Jakiś nowy, gwałtowny rodzaj fizyki rozświetlił niebo i w ciągu nanosekund cała zawartość orbity kwarantannowej Saudade odpłynęła na ludzkich oczach niczym brudna woda. Policja Kwarantanna była zdumiona. Wszyscy poza nią byli podekscytowani. W całym GlobeTown ludzie wybiegali z barów i lokali Nueva Tango, by gapić się na zasnuwane deszczem niebo. Epstein i Grills, zadowoleni, że mają coś do roboty, pilnowali porządku.

- Nie ma tu nic ciekawego - powtarzali, choć sami również patrzyli w niebo.

- Komu był potrzebny cały ten syf? - mruknęła Grills, dając wyraz poczuciu ulgi, które w ciągu kilku następnych godzin miało się stać powszechne.

Dwie albo trzy przecznice od nich, w kamienicy położonej tak blisko korporacyjnego portu, że jej geometria wypaczała się nieco za każdym razem, gdy przyleciał statek, wszystko układało się dobrze dla krawca genowego George'a. Być może jego ciało zrobiło się nieco rozdęte. Zaszły w nim wewnętrzne zmiany. Gdybyś na niego natrafił, rozsądnie byłoby go nie ruszać. Rzecz jasna, był też martwy, jego kontakt ze światem zewnętrznym nie zaliczał się więc do pewnych. Nadal jednak zostawiał w dawnym pokoju asystentki coś, co można było opisać jako jego ślad. Przynajmniej w tej skali. Gdybyś był w stanie zobaczyć pokój jako kontekst postrzegany na odcinku paru stuleci, George, podobnie jak wszyscy, którzy spędzili tam pewien czas, byłby częścią strumienia ciemnego dymu przepływającego przez pokój. Choć w jednej skali wszyscy próbowali zdobyć stałą tożsamość, inna skala im ją odbierała. Uważali się za ludzi, ale w rzeczywistości przypominali raczej duchy lub reklamy - wszystko, co się gromadzi albo roi.

\*\*\*

*...Lucky Pantera, Bruna, Kyshtym, Korolev R-7, Anioł Orbity Parkingowej. Janice. Jenny. Geraldine. Ty cholerna krwawa kiszko. Pierdolisz się we mnie. Wylaż! & nie wchodź do środka! Październik spada w listopad. Zachodni Londyn owija się wokół siebie & przez krótką chwilę wydaje się przytulny. Potem Michael wchodzi do środka & wybucha kłótnia. Marnie, siedmioletnia. To psia kupa w papierowej torbie & on ją zapala. - Nie jesteś kamerą, ale we wszystkim, co robisz, jesteś opisem terażniejszości. Spadamy na ciemną ulicę & zabijamy kogoś. Moje imię! - woła. Znowu kogoś zabijamy...*

\*\*\*

Tymczasem, tysiąc lat świetlnych od domu, asystentka również przechodziła szereg transformacji, szybkich i brudnych. Świat rozpadł się na piksele płynące niczym węgorze, a potem ponownie scalił się wokół niej. Zaglądała - jak przez barwioną szybę albo z jakiegoś zupełnie odrębnego miejsca - do pokoju.

Część asystentki miała milion lat i dorównywała rozmiarami brązowemu karłowi; pozostałe części można było, przynajmniej w tej chwili, opisać jedynie jako „coś innego”. Nie była ani świadoma, ani nieświadoma; ani martwa, ani żywa. Z kącika jej ust sączył się osad. Gdybyś ją zapytał, jak się czuje, odpowiedziałaby: „Jestem rozsmarowana”. Pod sufitem zebrały się głębokie cienie. Słyszała jakiś dźwięk, brzmiący jak szum w uszach. Ludzie przychodzili i odchodzili, poruszając się z niewłaściwą szybkością, w grupach i plamach przypominających animowane dane statystyczne. Z niektórymi z nich asystentka przedtem rozmawiała. Niektórzy pchali przed sobą stoliki ze sprzętem. Wszyscy ją ignorowali. Mogła jedynie czekać, aż zauważą, co się wydarzyło, aż sytuacja się ustabilizuje, co zachęci ich do zajęcia się nią. Była cierpliwa i spokojna. Może i nie miała imienia, ale przynajmniej potrafiła się zidentyfikować.

- Wydział Przepływów Strefowych, Saudade City - powtarzała przy każdej sposobności. - Skrzyżowanie Uniment i Poe. Śledcza z piątego piętra.

Ktoś przyjrzał się jej z bardzo bliska.

- Gaines? - odezwał się, podnosząc głos i pochylając głowę niemal poziomo, aż weszła w jej pole widzenia. - To może cię zainteresować. Czegoś się domaga.

- Nagły skok danych w VF14/2b! - zawołał ktoś.

Asystentka znalazła się na szczycie tego skoku. Przeszedł przez nią, a ona przeszła przez niego. Nie sposób było opisać tego, co się z nimi stało.

- Ciągłe powtarza ten adres.

- Adres?

- Pyta o policjantkę z jakiegoś zadupia na drugim końcu Halo.

\*\*\*

*...To jest jak granie samej siebie, w jednym zdaniu powtarzonym bez końca. Włączyłam sprzęt na maksa & wykonuję ruchy. Ta suka zbliża się szybko, ale nigdy nie będzie taka szybka jak ja. Wykrzykuję ostrzeżenie, ale nie chcą go usłyszeć, więc zabijam ich znowu. Nie słyszę języka, w jakim ze sobą rozmawiają. Wiesz, co to znaczy być jak ja? Mojego stanu nie sposób nazwać. Jest pozbawiony wszelkich uprzednich kontekstów. Ta wolność! Kurde, kiedy jesteś taki jak ja, nawet mocz oddajesz nieludzki.*

\*\*\*

Pewnej nocy w roku 1999 Anna Waterman mogła obserwować mydło spływające z krawędzi wanny. W stygnącej wodzie klęczała biała postać, podczas gdy druga przytulała się do niej od tyłu. Śmiech. Plusk rozlewanej wody. Z wanny dobiegały pełne wigoru, lecz zarazem smętne dźwięki.

Anna nie była przyzwyczajona do podglądania własnego życia i zaobserwowane szczegóły wydały się jej zaskakujące: nie tyle same w sobie, ile przez fakt, że w ogóle istniały. To było na swój sposób ekscytujące, ujrzeć, jak twoje nagie ciało oddala się od ciebie, usłyszeć, jak pytasz ze śmiechem: „Co możemy zjeść?”. Wszystko jednak miało fałszywą klarowność, jak na pewnego rodzaju zdjęciach. W jej nowym punkcie widzenia był dla niej dostępny mikroskopowy obraz każdej powierzchni, lecz żaden z nich nic nie znaczył. Fakty często również się nie zgadzały. Na przykład, mężczyzna w wannie, którego zawsze pamiętała jako Michaela, okazał się Timem. Bardzo niezręczna sytuacja. Wszystko wyglądało tak samo, ale w ostatecznym rozrachunku zupełnie inaczej. Mogłaś policzyć rodzaje pasty do zębów w łazience, do czego wspomnienie o seksie z reguły nie zachęca. Widziała każdy aspekt owego zdarzenia, podobnie jak tych, które je otaczały, a także wszystkich zdarzeń w jej życiu. Pokolenie później pachnąca drożdżami woda przesuwiała się nad koroną przelewu w Brownlow; kucyki biegały po polu, jakby przed chwilą wypuszczono je na wolność; skowronki wznosiły się i opadały nad South Downs na podobieństwo ruchliwych wind; w dokładnie tej samej chwili Anna mogła obserwować samą siebie, jak - spokojnie uwięziona w tym, co nauczyła się zwać latami zerowymi - stuka od wewnątrz w kuchenne okno, wołając: „Marnie! Ty okropny bachorze! Zostaw ten wąż!”.

Sześćioletnia Marnie. Anna przygotowująca się na przybycie Tima. Anna wreszcie sam na sam ze swoim życiem, wyglądająca na pole w czerwcowy wieczór i pijąca czwarty kieliszek wina „Pinot Noir”. Zawołała kota do domu.

- James, ty stary durniu. Co znowu znalazłeś?

Widziała, jak rozebrała się pod wierzbami, schowała buty i weszła do rzeki w blasku księżycy. Choć wszystkie te sceny były jaskrawe i wyraziste, jakby oglądała je przez lunetę, przypominały tylko Annie o jej obecnej sytuacji. Gdy obserwowała samą siebie chodzącą po ogrodzie - zgrabną, podobną do lalki postać o nieco przyspieszonych ruchach, widywaną codziennie przy zmieniającym się oświetleniu i zmierzającą nieubłaganie ku upadkowi - zaczynała się zastanawiać, jak można by uratować sytuację. Mogła się połączyć z każdą z tych chwil. Mogła mieć głos we własnej przeszłości. Wszystko, co było w niej złe, wywodziło się z altany.

Co, gdyby Anna nie spadła?

\*\*\*

*...Ciągłe próbuje powiedzieć, jak ma na imię, opowiedzieć o tym, że bardzo wcześniej przestała kochać rodziców. „Upokorzyli mnie w jakiś sposób, nim jeszcze skończyłam pięć lat”. Była małą, przyjazną, nerwową dziewczynką, lubiącą wcześniej wstawać i późno się*

*kłaść. Zbyt bojaźliwą, by być sama, i zbyt bojaźliwą wśród innych. Najlepiej się czułam w towarzystwie tylko jednej osoby. Widziałam rzeczy, w które nigdy byś nie uwierzyła: mężczyzn z kutasami długimi na sześćdziesiąt centymetrów...*

\*\*\*

W całym Halo, czasami ukradkiem, w innych zaś przypadkach z wydatkiem energii równającym się niemal fanfantom, orbity kwarantannowe zaczęły się opróżniać. Relacje były sprzeczne. Sytuacja niejasna. Trzysta kilometrów nad Mas d'Elies wykryto serię krótkotrwałych manifestacji egzotycznej próżni, spoczywających w zwyczajnej pianie kwantowej jak perły w garści czarnej koronki. Tego rodzaju subtelne fajerwerki, generowane głęboko w ziarnistości samego wszechświata, zwykle kojarzono z najbardziej obcymi typami silników... Dwudziestu pięciu seksualnych turystów z Keks-Varley III twierdziło, że widziało „krąg ognia” przecinający nocne niebo nad Kunene. Był widoczny gołym okiem przez trzy godziny, a następnie rozpadł się na serię przypominających zorzę polarną fal i zniknął za horyzontem. Przez cały ten okres na orbicie kwarantannowej nie zaobserwowano żadnej aktywności; choć wkrótce potem stała się ona niewidzialna dla instrumentów... Lśniącą w bezlitosnym blasku, niczym pierścienie z brudnego lodu otaczające metanowego olbrzyma, rozległa orbita Mycenae od lat przyciągała turystów z miejsc położonych tak daleko, jak Laboratoria Bella i Anais Anais. Ta największa kolekcja martwych ludzi w całym wszechświecie rozpadła się w ciągu jednego dnia, po to tylko, by wkrótce zebrać się za nowo tuż poza heliosferą układu, a potem odpłynąć w przestrzeń międzygwiazdną jak spokojna, szeroka rzeka. K-statki wpadające do niej i wyrywające się z powrotem na zewnątrz niczym zimorodki. Nic jednak nie złapały: to, co widziały, nie było tym, co odnalazły... W zimnej ciemności nad Nowym Wenusportem wraki znikwały jeden po drugim. Ostatni był maleńki sarkofag zawierający Bobby'ego i Marthę razem z fragmentem zbiegłego kodu znanym jako Bella. Chłopiec, który nie pamiętał zbyt wiele, uważał, że jego obecna sytuacja jest fazą, przez którą muszą przejść wszyscy. Życie, na przemian kuszące i niewytłumaczalne, dowiodło mu już swej dziwaczności. Jedno było pewne, myślał Bobby: większość spraw po roku masz za sobą. Kobiety wiedziały lepiej. Od chwili wydarzeń w jej pokoju Bella była w pewnym sensie całą trójką. Już na długo przedtem wyrzekła się myśli o wiedzy: sarkofag był dla niej równie niezrozumiały jak korytarz w domu. Tymczasem Martha, przechodząca od paniki do akceptacji i z powrotem, czekała na rozstrzygnięcie.

\*\*\*

*...Sześćdziesiąt centymetrów długości i nie do końca sztywne: nie potrafiłaś uwierzyć, by coś takiego mogło kogokolwiek spenetrować. To była raczej flaga niż kutas, coś, czym*

*można machać na oczach świata. Jet Tone. Justine. Pantoponowa Róża. Kleptopastyczna Fantastka. Awtomat, dziewczynka, która potrafi rozgryźć wszystko. Frankie Machine i Morderstwo sp. z o.o. Własność Markowa. Mam rybę, mówi tamta. Nie idź do altany! Potrafię coś zrobić swoim umysłem, ale choć wszystko staje w płomieniach & wyrastają kwiaty, nie dzieje się nic więcej. Możesz sobie zachować takiego kutasa, ale nie chciałabym, żebyś się z nim do mnie zbliżał. Ich nogi bardziej mi się podobają. To mali chłopcy, lubią mój smród, ale się boją. „Czy tego właśnie chcesz, kochanie?”...*

\*\*\*

Jak we wszystkich złych snach, pewne stany fizyczne były w przypadku asystentki zabronione: a dokładniej, wszystko, co uprzednio rozumiała jako ruch. Jednocześnie w innych kierunkach otworzyły się przed nią rozległe obszary wolności. Dzięki fizyce VFl4/2b jej „życie” - czymkolwiek mogło naprawdę być - stało się dla niej dostępne we wszystkich punktach i wzdłuż wszystkich osi. Wkrótce mogła już bez trudu wracać raz po raz do własnej przeszłości.

Saudade City w deszczową piątkową noc. Dwóch agentów i jeździec przewodów przebywali w celi w piwnicy starego budynku Wydziału Przepływów Strefowych na skrzyżowaniu ulic Uniment i Poe, zajęci obsługą klienta. Asystentka obserwowała swą poprzednią wersję, która stała w drzwiach i zaglądała do środka, przyciągnięta energią i ciepłem przesłuchania. To, czego wówczas doświadczała, było tak podobne do poczucia bliskości, jak to tylko możliwe w przypadku kogoś takiego jak ona.

- Chłopaki, musimy to zrobić jeszcze raz - usłyszała własny, prowokujący agentów głos.

Zaczekała, aż jej poprzednia wersja sobie pójdzie, a potem weszła do pokoju.

- Cześć - odezwała się - nazywam się Pearlant...

Popatrzyli na nią ze zdumieniem, rozdziawiając szeroko usta.

Południowa półkula, Nowy Wenusport. Śledziła samą siebie aż do terenów cyrkowych, gdzie puste motele lśniły od lekkiego deszczu niesionego wiatrem od morza. Nie było powodów do pośpiechu, ale wkrótce usłyszała, jak jej poprzednia wersja woła do niej swym mewim głosem:

- Zaczekaj!

To właśnie była ta chwila. Wskocz na piasek. Sięgnij do pnia mózgu przez otaczające go chemicznie wzmocnione siatki proteinowe. Zaciśnij dłoń. Odsuń się. Pozwól, by problemy z ekspresją Kv12.2 wykonały robotę za ciebie. Punkty udarowe szerzyły się kaskadami przez korę mózgową. Autonomiczne funkcje wywalały się jedna po drugiej. To

miało ją unieruchomić na chwilę wystarczająco długą, by mogła z nią porozmawiać.

- Posłuchaj, kochanie, posłuchaj mnie. Nie skacz!

Próbowała przyciągnąć jej uwagę, ale zamiast tego uruchomiła wbudowane przez EMC polecenie zamknięcia; rano ktoś będzie się musiał tego wstydzić. Tak samo było wszędzie, dokąd się udała.

Toni Reno gapił się z rozdziawionymi ustami, gdy wyskoczyła na niego z czasu. Myślał, że posiada najnowocześniejsze udoskonalenia, ale okazało się, że się mylił. Biedny krawiec genowy George w swym małym zakładzie - przekształcone kairomony w jej pocie pociągały go, a zarazem przerażały - przewycięzył w końcu strach, złapał ją z wdzięcznością za cycki i padł martwy w ciemności u jej stóp. Zaledwie tydzień czy dwa wcześniej tkanki eksplodowały spod pachy Enki Mercury na podobieństwo brudnego kapoka. Asystentka po prostu nie miała szczęścia do tych ludzi. Można też powiedzieć, że do siebie samej miała go jeszcze mniej. Była obecna w przeszłości, naprawdę obecna. Ale jako strategia nawiązania łączności próby komunikacji nie mogły się okazać skuteczne. Nie w przypadku kogoś takiego jak ona. Nie zbudowano jej z myślą o tym. Nikt nie rozumiał, że chce z nimi porozmawiać, że naprawdę ma coś do powiedzenia. Nie potrafiła powstrzymać gniewu na ludzi, którzy ją zbudowali, na to, co zrobił jej Gaines, ani na samą siebie. Natomiast jej ofiary nie były w stanie zapanować nad strachem. To była toksyczna mieszanka. W konfrontacji z łatwymi celami - które złapała w pułapkę ze stuprocentową, zwinną, kocią bezmyślnością, by następnie zostawić je poćwiartowane, wypatroszone i zawieszane w stworzonych sztucznie, lecz chaotycznych wirach czasoprzestrzennych VF14/2b - miała jedynie nagromadzoną przez całe życie frustrację czegoś syntetycznego. Próbowała ostrzec wszystkich w swej przeszłości przed tym, co miało się wydarzyć, ale jej przewidywalny wkład zawsze ograniczał się do trupa oraz kieszeni ziarnistego, ciemnosinego powietrza, w której cienie padały pod niewłaściwymi kątami, ponieważ zwyczajna fizyka nie miała tam zastosowania. Udało się jej osiągnąć tylko tyle, że sama stała się obiektem własnego dochodzenia, tajemnicą, której nie była w stanie rozwiązać.

A te spotkania, które zachowała dla siebie - południowa półkula NW; Strefa Postindustrialna Mambo Rey na Kunene; tylne schody w budynku Wydziału Przestępstw Strefowych na skrzyżowaniu Uniment i Poe, gdzie oślepiające światło spływało w dół klatki schodowej jak na religijnym obrazie ze Starej Ziemi - co w sumie jej dały? Nic. Okazało się, że nawet nie lubi samej siebie. Nie mogły się ze sobą porozumieć. Były zbyt podobne do siebie. Obie szybkość i doskonałość tej drugiej zaskakiwały tak bardzo, że nie mogły nie zareagować źle. Upór, jaki okazywały, irytował je tak bardzo, że nie były w stanie ze sobą



rozmawiać. Na Nowym Wenusporcie pokazała tej suce, kto tu rządzi. Potem, widząc trupa biednego George'a, zadała sobie pytanie, czy nie posunęła się za daleko.

- Czy ktoś taki jak ja zabija zbyt łatwo?

Pamiętała, że zapytała go o to kiedyś, w spokojniejszych czasach.

\*\*\*

*...Otworzył moją głowę i wsadził rękę do środka. To było takie delikatne. Zupełnie się rozpuściłam. Po takim czymś samobójstwo jest łatwe. To niepomysłane znane, pasta do zębów w kąciku ust, odbicie na posadzce z fałszywego marmuru. Ale gdy opuszczasz swój punkt widzenia, świat gwałtownie traci spójność, okazuje się tak bardzo niezrozumiały, że nie można nic na tym skorzystać. Szylid na aptece: FA Strange. Faktycznie kurewsko dziwne. Nie rozumiem, stwierdził Michael. Czemu miałbyś rozumieć? - zapytałam. Czemu właściwie miałbyś rozumieć?...*

\*\*\*

Altana wabiła poprzednią wersję Anny, ponieważ ciepło, jakie w niej wyczuwała, było jej własnym ciepłem. W środku czuła gniew. Była bliżej własnej powierzchni. Łatwiej było przyciągnąć jej uwagę. Jednakże ingerencja okazała się trudniejsza niż nadzór...

Lato. Noc. Wrażenie nadchodzącej burzy. Dom Watermanów tkwi - pozbawiony śladów zużycia jak architektoniczny projekt, gorący i duszny - pośrodku rzecznej doliny. To był dziwny, wypełniony samotnością dzień. Anna Waterman spogląda na własne dłonie. Woła kota.

- James, ty stary durniu!

O dziewiątej dzwoni telefon. Kiedy go odbiera, spodziewając się usłyszeć swą córkę Marnie, na drugim końcu linii nie ma nikogo. Odkłada już słuchawkę, ale nagle słyszy elektroniczny zgrzyt, a potem odległy krzyk:

- Nie idź tam! Nie idź do altany!

Po półgodzinie altana staje w płomieniach i Anna widzi samą siebie - kobietę w trudnym do określenia wieku, odzianą w suknię w kwiaty w stylu lat trzydziestych minionego stulecia. Kobieta biegnie ku niej od strony płonącego budynku. Na jej twarzy maluje się konsternacja.

- Uciekaj! - krzyczy. - Uciekaj stąd!

Po kilku dniach, skłonna do nagłych ataków płaczu po osłabiającej rozmowie z doktor Helen Alpert w Chiswick, Anna budzi się w blasku księżyca, czując powiew marokańskiego powietrza. Ma wrażenie, że przed chwilą ktoś coś powiedział. Wchodzi do rzeki i świat nagle staje się nieznanym, a nawet niepoznawalnym. Wszystko jest pełne tajemnic, gdy wraca do domu

owej magicznej nocy i widzi, że altana znowu się pali! Jest pewna, że słyszy głos przebijający się przez huk płomieni. Woła ją po imieniu, ale ona potrafi odpowiedzieć tylko:

- Michael! Czy to ty?

Tak to wyglądało za każdym razem, gdy Anna próbowała nawiązać kontakt.

- Anno! - wołała. - Wysłuchaj mnie! Nie idź do altany!

Anna jednak zachowywała się strasznie głupio. Zawsze była obsesyjnie skupiona na sobie. Nie sposób było przyciągnąć jej uwagi, i to właśnie tak bardzo cię niecierpliwiło, cała ta farsa z krzyżeniem „Anno! Anno!”, aż ochrypnął.

W dodatku, fizyczne ograniczenia najwyraźniej miały tu znaczenie. Przeszłość była wyraźnie widoczna, ale odnosiłaś wrażenie, że próbujesz do niej dotrzeć ze zbyt wielkiej odległości. Czasami mowa zawodziła ją całkowicie i Anna mogła objawić swą obecność tylko innymi sposobami, na przykład, za pomocą pogody albo deszczu obiektów o dużym emocjonalnym znaczeniu. To było tak, jakby wszechświat, który obecnie zamieszkiwała, doznał uszkodzenia mózgu i doświadczał pomieszania nie tylko poszczególnych zmysłów, lecz również różnych stanów energii i materii. Jej doznania zostały zredukowane do czegoś w praktyce równającego się synestezji. Była zmuszona korzystać z teatru, metafory, symboli oraz emocji. Próbowwała wszelkiego, ale pozostała epifenomenem własnego życia, odległą postacią przekazującą telegraficznymi gestami tragiczne wieści ze szczytu wzgórza. Zrobiła z altany nocne ognisko sygnałowe, ale jej poprzednia wersja nie zrozumiała przekazu. Spowodowała, że w blasku poranka na wzgórzach wyrosło kilkanaście maków barwy miedzi, lecz język kwiatów po prostu nie był tak skuteczny jak język języka i po pewnym czasie Anna zorientowała się, że jej wysiłki jedynie pogarszają sytuację. Tymczasem jej ciało rozciągnęło się w łuk tak, że tylko górna lewa część klatki piersiowej dotykała podłogi. Prawa noga unosiła się pod kątem trzydziestu stopni, druga zaś wyginała się nieco do tyłu w kolanie. Były rozstawione tak szeroko, jak tylko pozwalała na to suknia. Stopy miała bosc. Ręce, wyciągnięte po obu stronach głowy, wyginała ku sufitowi. Otwarte dłonie zwracała wewnętrznymi powierzchniami ku górze, a palce podginały się i prostowały powoli. Z tej niewygodnej pozycji była zmuszona wpatrywać się w nawę wypełnioną oślepiającym światłem, znajdującą się za lśniąca czarną powierzchnią pełną odbić. Spadała w tę przestrzeń i jednocześnie przez nią. Wszystko pachniało elektrycznością. Ludzie pchali przed sobą wózki wypełnione dziwnym sprzętem. Albo podchodzili bliżej i rozmawiali o niej, jakby jej tu nie było.

- Chwytny go w czasie Plancka - wyjaśniali sobie nawzajem. - Nie można go oglądać dłużej, ponieważ już jest we własnej przyszłości, już stał się czymś innym.

- A jaką rolę gra w tym kot? - pytali.

Odpowiedzią był śmiech.

- Ludzie z ksenobiologii już nazywają ją Pearl - dodawał ktoś.

Czuła się jak w cholernym szpitalu. Nienawidziła ich i upiornego świata, który zamieszkiwali. Co gorsza, po chwili, która mogła trwać sekundy lub lata, uświadomiła sobie, że razem z nią jest tu uwięziony ktoś inny. Czasami Anna czuła, że kości zgrzytają o siebie. Było tu za mało miejsca dla nich obu. To nie był kot James, choć wiedziała, że on również jest wewnątrz niej. Krążył wkoło i nakładał swoje motywy na jej własne. Narastające poczucie napięcia i uwięzienia wypychało z jej umysłu wszystko inne. Zaprzestała prób nawiązania kontaktu ze swą poprzednią wersją. Słyszała głos, odległy, ale z całą pewnością dobiegający z wnętrza jej głowy. Wściekał się i skarżył. Ktokolwiek to był - cokolwiek to było - spadał razem z nią. Były nawzajem świadome swej obecności. Wszystko stało się nudną walką o ciało, czy o to, co za nie uważały.

\*\*\*

*...Chciałabym miłości, gdybym wiedziała, co to jest. Można dostać do niej patcha, jest czymś w rodzaju aplikacji. To nastrój bardzo ekonomiczny i pełen emocji, miłosny patch od Wuja Suwaka na sobotnią noc. Mary Rose, Marokańska Róża, Mexicali Rose, Róża z Tralee, Rose Selavi, Immordino, Gianetta, Ona Lukoszaite. Są ślady dwóch małych udarów, powiedziała doktor Alpert, ale nie ma się czym przejmować. Czy straciłam pamięć po to, bym mogła utracić wspomnienia? Jeśli tak to ująć, wydaje się to nie tylko możliwe, lecz wręcz zwyczajne...*

\*\*\*

Sam w Łajbie, spychany ku zawietrznej stronie Traktu Kefahuchiego przez długie, łagodne fale grawitacyjne, Impasse van Sant utracił kontakt z kierownictwem małego projektu, w którym uczestniczył. Razem z Rigiem Gainesem zniknęły ostatnie więzy łączące Impsa z tym, co można by dla śmiechu nazwać człowieczeństwem. Pod nieobecność nadzoru zaniedbał prace badawcze, skupiając się na obserwacji postępów wojny w mediach Halo. Gwiazdy eksplodowały jako bomby typu „nowa”. Umysły implodowały pod wpływem bomb logicznych. Całe populacje planetarne zmieniały się w uchodźców. Wymieniano impulsy gamma o temperaturze pięćdziesięciu milionów kelwinów. Okręty liniowe dryfowały, podziurawione i pozbawione załóg, w obłokach różowego gazu. K-statki pojawiały się i znikwały we wszystkich ramach czasowych, których nikt nie mógłby sobie wyobrazić, i w stanach świadomości, których istnienia nikt nie podejrzewał, kontrolowanych przez matematykę, której nikt nie rozumiał. Pod nieobecność tajemniczej broni Gainesa EMC nie

mogło dyktować zasad gry i zaczęło już ustępować pola luźnej koalicji obcych, których motywy były niejasne, a nazwy, jakie sobie nadawali, zawsze kończyły się na „x”. Podobne wydatki energii mogły się zdaniem van Santa zakończyć tylko jak najgorzej. Chłopaki z Ziemi, wyprowadzone z równowagi na krótką, idealną chwilę przez psychodramy krwi, ryzyka, przerażenia i, hej, faktu, że przecież są tu ofiarami, wkrótce ulegną desperacji jak dzieci pragnące powrócić do domu. Nawet to nadawało im ludzkie cechy, w przeciwieństwie do Impsa, który nie tylko przez całe życie czuł się wyobcowany, lecz również uważał, że ów fakt w jakiś niesprawiedliwy sposób zapewnia mu ochronę.

W tej właśnie chwili pustka za nim otworzyła się jak ogromne drzwi. Było w niej pełno statków. Setki milionów statków, flota światła zlatujących się z całej Plaży. Przybywały z miejsc tak dalekich, jak Sektor 47, Obłok da Silvy i Mokitowa Ławka, zebrały się na krótko pośród chaotycznych atraktorów i grawitacyjnych prądów odpływowych Zatoki Radiowej, a potem popłynęły w stronę Traktu Kefahuchiego. Gdy przyjrzał się im w powiększeniu, okazało się, że reprezentują wszelkie możliwe rozmiary i wieki, od masywnych jednostek z napędem warp aż po zeszłoroczne jednoosobowe kapsuły ratunkowe. Były poobtłukiwane, zardzewiałe i na wpół rozmontowane, lecz jednocześnie błyszczały od nowiutkich spawów. Ciągnęły za sobą chmury inteligentnych jednostek samonaprawczych. Na samym przodzie mknął frachtowiec o trzech statecznikach wyposażony w napęd dynaflow HS-HE. Jego pękaty kadłub lśnił mosiężnym blaskiem, w jednych miejscach zmatowiały od ablacji, w innych zaś zabrudzony ptasimi odchodami, jakby ostatnie czterdzieści lat statek spędził na parkingu dla używanych jednostek jakiegoś niekorporacyjnego portu. Na jego dziobie ktoś napisał półtorametrowymi literami spod sztancy FRACHT LUZEM - SAUDADE, a pod spodem, mniejszymi, *Nova Swing*. Przestrzeń wokół jego rufy wypełniała mgła promieniowania jonizującego o nieubłaganie fiołkowym kolorze. Było przez nią widać nieokreśloną liczbę zewnętrznych silników, krążących po ciasnych, skomplikowanych i tylko częściowo widocznych orbitach, tworzących topologię samego napędu.

- Co tu się dzieje, do chuja? - zapytał sam siebie Imps.

Wciąż napływały nowe, jak problemy z zakresu mechaniki statystycznej. Nie zwalniały ani nie stawały się mniej liczne. Wypływały z mroku i omijały badawczy stateczek Impsa, nie poświęcając mu więcej uwagi niż samej pustce. FRACHT LUZEM - SAUDADE, o kadłubie drżącym w zapowiedzi jakiegoś katastrofalnego zdarzenia - zmiany fazowej, przeskoku do następnego stanu stabilnego - skierował się w samo serce osobliwości, która w odpowiedzi zamigotała i zakipiała impulsami wysokoenergetycznych fotonów emitowanych w czasie rzeczywistym. Obce silniki krążyły coraz szybciej i szybciej, emitując osobliwe

gładkie impulsy, prezentujące się obserwatorowi nie jako światło, lecz jako dźwięk, zapach, smak w ustach, wibracja w ścianach, nieustanny, lecz nieustannie słabnący efekt echa w kontekście wszystkiego. Flota zatrzymała się na mgnienie oka, widoczna jako nieruchome sylwetki, a potem pomknęła do celu.

Przez chwilę, po zniknięciu statków, sama próżnia sprawiała wrażenie zamieszkaną. Potem znowu stała się pustką. Imps van Sant gapił się w okulary swych przestarzałych instrumentów. Padł ofiarą głębokiego błędu wyjaśnienia i nie potrafił się umiejscowić w stosunku do tego, czego był świadkiem. Kurde, pomyślał. Kto to właściwie był? Flota sprawiała wrażenie pełnej szaleństwa i odrzucenia wszystkiego, co mógłby nazwać człowieczeństwem. Poczul się bardziej samotny niż kiedykolwiek dotąd. Gdy się nad tym zastanawiał, pusta przestrzeń zaszeptała do niego.

- Halo? - rzekła. Wisiała na zewnątrz, długa na kilometr i czysta jak mewa srebrzysta nad wietrzną plażą. Kiedy na nią patrzyłeś, czuleś smak soli, lodów oraz jodu. Przez krótką chwilę byłeś w pełni sobą. - Mogę być wszystkim, czym tylko zapragnę - oznajmiła - ale wcale tego nie chcę. Wolę być jednym, tym, czym jestem naprawdę. - Van Santowi nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź. - Co pamiętasz najlepiej? - zapytała po chwili.

- W ogóle nic nie pamiętam - odparł. - Nie byłem zwyczajnym dzieckiem.

Grzebał w stosie pustych puszek po piwie, zgniecionych piłeczek pingpongowych oraz reprodukcji pornosów z lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku leżących wokół jego fotela, aż wreszcie znalazł kilka broszur reklamujących nieruchomości.

- Nic nie pamiętam, ale chciałbym mieszkać w miejscu takim jak to. - Uniósł broszurę, by mogła zobaczyć tableau Sandry Shen pod tytułem *Przyczepy „Airstream Trailer” nad Salton Sea, 2001*. - Albo jak to - dodał: obraz dwojga wyglądających na Japończyków ludzi, rżnących się w falach przyboju. Kobieta ma na sobie suknię ślubną. W tle widać góry. - To też mi się podoba. - Drewniany dom z molo wybiegającym w jezioro: trzy pelikany brunatne nurkują w poszukiwaniu ryb. Potem jego ulubiony obraz: sklep z lodami w Roswell w Nowym Meksyku na Starej Ziemi. Neon pastelowej, miętowo-różowej barwy na tle kolumn z lekko falistej blachy aluminiowej: święty półmrok na parkingu. - To jest to - oznajmił Imps.

- Nie przypominam sobie niczego w tym rodzaju - odparła. - Czym chciałbyś się stać, gdybyś mógł być tylko jednym? - zapytała niemal natychmiast.

- Tylko jednym?

- Tak.

- Porzuciłbym to miejsce.

- Ja też pragnę wrócić do domu - zgodziła się. - Zaczniemy wkrótce.

W tej samej chwili, w kącie głównego ekranu Łajby, jak jakaś halucynacja towarzysząca zaburzeniom neurologicznym, rozkwitła delikatna biała eksplozja, przypominająca włóknisty powiew albo obłoczek zarodników. To było słabe źródło, oddalone o mniej niż dzień świetlny w kierunku Zatoki Radiowej. Nie tak odległe jak Imps van Sant, ale i tak dość odległe.

- Hej! - zawołał. - Co to jest?

Przez chwilę sądził, że wojna w końcu go odnalazła. Gdy przyjrzał się dokładniej, przekonał się jednak, że to tylko stare, porzucone narzędzie badawcze, które popadło w obłęd po milionie lat wpatrywania się w pustkę i wysadziło się. Tak blisko Traktu zawsze kończyło się to w ten sposób. Czym w końcu była Plaża, jeśli nie składem zanikających wspomnień?

\*\*\*

*...Powiedziałam, że zrobiłaś ze swojego życia opis chwili bieżącej, ciepły neon nad restauracjami „Pizza Hut” i pubami, zamazany przez lekki deszczyk i odbijający się w każdej płytkiej kałuży; odpowiedziała, że słyszy oddech szczura dwa pomieszczenia stąd, ale nikt w to nie uwierzył. Mówi: co to właściwie jest czas? Nie wciskaj mi kitu, wiem, co to czas. Cokolwiek robisz, ty suko, nie wciskaj mi kitu. Nastala noc. Chodzi o to, że to mem. Wysyłam sygnał w zakresie fal radiowych, radaru oraz popierdolonych 27-40 kiloherców, i natychmiast otrzymuję odpowiedź z wydm, odbieram impuls sonaru i w jednej chwili zjawia się ona: to patch miłosny, moja droga, patch miłosny. W tym świecie jesteśmy pozostałościami własnego człowieczeństwa. Nie skacz! - wołam. Wołam do niej. Altana! - wołam. Nie zaczynaj tego! Nie stawaj się częścią tego wszystkiego! Ale ona mnie nie słyszy. Tak czy inaczej, możemy jedynie zabijać. Elise, Ellis i Elissa. Blister Sisters. Elissa Mae. Ruby Mae. Lula Mae. Ruby Tuesday. Mae West i May Day. Jest Wybraną. Dwudolarowym Radiem. Flamingo Layne. KM. LM. KLF. Uczestniczką Wesela. Spanky. Misty. Najlepszym małym cylindrem na świecie. Hanną Reitsch. Jacqueline Auriol. Zhang Yumei. Olgą Tojewską. M3 w Orionie. „Sabiha Gökçen”. Pauline Gower i Celią Renjrew-Marx. Irmą X. Colette. Mamą Doc. Sfascamentą. Nazywam się Pearlant! Nazywam się Pearlant i przybywam z przyszłości! Nie przejmuj się, kochanie, mówi tej drugiej. Proszę, spróbuj się trochę uspokoić. To niewiele, ale zawsze to lepsze niż śmierć.*

## PRZESTAŃ GRAĆ SWĄ STARĄ MELODIĘ

Ochotniczą straż pożarną z dystryktu Wyndlesham wezwano do domu na Coldmorton Lane, gdy tuż po świcie zauważono unoszący się nad nim dym. Wysłano beczkowóz z przełomu stulecia, na podwoziu firmy Man, i jeszcze starszą jednostkę firmy Mercedes wyposażoną w obrotową drabinę (dar jakiegoś miejscowego entuzjasty funduszu „Big Society”, uratowany z pola w południowej Francji i starannie odnowiony). Właścicielka domu, pięćdziesięcio- albo sześćdziesięcioletnia kobieta leżała naga, z niewytłumaczalnym uśmiechem na twarzy, w połowie wystając z drewnianego budynekczku na końcu ogrodu. Przygotowując się do polania budynku, strażacy przekonali się, że zawalił się on w osobiście chaotyczny sposób - jakby zniszczyły go krótkie, wirujące, ściśle zlokalizowane podmuchy wiatru. Zbudowanej z desek szopy, mniej więcej w tym samym wieku co ich mercedes, nie tknęły żadne płomienie. Nie było żaru. Nie było śladów ognia. Nie było smrodu. To, co, zbliżając się, uważali za sterty gorejących węgielków otaczających budynekczek, okazało się jego zawartością, stosami kolorowych rupieci, które wysypały się z przemoczonych kartonowych pudeł, gdy dach się zawalił. Policja, ratownicy medyczni i lekarz pierwszego kontaktu zmarłej zjawili się jednocześnie. Samochód z obrotową drabiną wrócił już wówczas do garażu w walących się budynkach rolniczego college'u w Plumpton; a dowódca ekipy - ogorzały mężczyzna z Yorkshire nazwiskiem Weatherburn, o krótko obciętych siwych włosach, mający trzydziestoletnie doświadczenie i obdarzony specyficznym poczuciem humoru - zawracał już przed domem beczkowóz firmy Man, próbując wyjechać na Coldmorton Lane bez wjeżdżania na trawnik.

- Cokolwiek zauważył człowiek, który nas wezwał, to nie mógł być pożar - oznajmił lekarzowi Weatherburn, wystawiając głowę przez boczną szybę.

- Jest pan pewien?

- Na ogół potrafimy rozpoznać ślady pożaru.

Lekarz uśmiechnął się, odsłaniając białe zęby. Nic nie odpowiedział. Miał już dość przekrzykiwania wysokoprężnego silnika.

Wkrótce potem ściągnął pudrowane nitrylowe rękawiczki i poinformował

policjantów:

- To był udar. Potężny. - Wszyscy w jego poradni znali Annę Waterman. - Co ona ma w ręce?

Gdy wyrwali obiekt z jej uścisku, okazało się, że to przenośny dysk twardy w gładkiej tytanowej obudowie, wyposażony w porty, jakie widywało się już tylko w muzeum. Podawali go sobie nawzajem, pocierając palcami głębokie znaki w rogu, wyglądające na wytrawione. Tymczasem ratownicy załadowali ciało na wózek i popchnęli go bez wysiłku po trawie, zostawiając ślady na rosie. Lekarz odprowadzał ich wzrokiem.

- To była miła kobieta - rzekł, nie zwracając się właściwie do nikogo. - Trochę zwariowana, jak większość z jej pokolenia.

Nagle poczuł się przygnębiony. Wsparł się o płot otaczający sad i spojrzał na łąkę. Nad rzeką unosiły się jeszcze kosmyki rozpraszającej się mgły. Miał trzydzieści lat. Wiek Anny przytłaczał go swym ciężarem. Widziała świat, gdy on był jeszcze dumny ze swej przyszłości, unosił się jak strumień baniek powietrza, podobnie jak jego gospodarka. Za plecami mężczyzny ruiny altany osunęły się nagle. W górę buchnęły obłoczki pyłu. Ze środka dobiegło słabe drapanie.

- Tam chyba jest jakieś zwierzę - stwierdził jeden z policjantów.

- To wyciągnijcie je szybko - odparł lekarz, nie spoglądając w tamtą stronę. - Nie spodziewam się, by było zagrożeniem dla zdrowia publicznego - dodał ze śmiechem i odszedł, zostawiając im to zadanie. Skierował się do domu zmarłej, by spisać akt zgonu i zawiadomić jej córkę.

\*\*\*

Gdy Marnie Waterman się zjawiła, znalazła list od niego. Precyzyjnym i starannym charakterem pisma lekarz zawiadomił ją, jak załatwić wszystkie sprawy. Zostawił jej też ulotkę zatytułowaną *Co zrobić, gdy ktoś umrze*. Złożyła ją na pół raz, a potem drugi. Nikt nie miał pojęcia, co się stało z altaną, a tym bardziej z kotem. Przyglądała się, jak policjanci, nadal brodzący po pas w szczątkach, próbują go przywołać. Nie bardzo wiedzieli, jak się obchodzić ze zwierzętami. Gdy zatrzymała przedtem samochód, by przepuścić karetkę na wąskiej drodze między Cottishead a Wyndlesham, nie przyszło jej do głowy, że w pojeździe może być ciało jej matki.

- Och, Anno - wyszeptała, jakby matka w jakiś sposób ją zawiodła.

Powtarzała sobie bezgłośnie te słowa - to takim, to innym tonem - przez cały ranek, gdy rozmawiała z policjantami, jechała do Lewes, by zidentyfikować ciało w kostnicy, wypełniała druki i załatwiała formalności.



- Och, Anno.

To był szept niedowierzania, mniej pejoratywny, niżby się zdawało.

Po czterech godzinach wróciła do ogrodu, gdzie - zatopiona w myślach w blasku słońca - popełniła ten sam błąd, co strażacy, choć nie zobaczyła u podstawy budyneczku rozżarzonych węgielków, lecz ilustrację ze staromodnej książki dla dzieci. Przedstawiono na niej beczułki oraz szkatułki z mosiężnymi okuciami, których zawartość - chyba „skarby”? - wysypywała się na podłoże w wygładzonej przez morskie fale jaskini. Panował w niej półmrok i trudno było odróżnić słone od wody kamienie od klejnotów wielkości kurzych jaj, a kłęby wodorostów od tkanin, cennych i egzotycznych.

Akt chwiejnej woli pozwolił jej zamienić ten semiotyczny butik w coś, co potrafiła zrozumieć: popękane kartonowe pudła do przewodzących, niekiedy aż dwudziestoletnie, wypełnione rzeczami, o których niemal zdołała już zapomnieć. Kolekcja antycznych map jej ojca, zasłony, których Anna za nic nie chciała wyrzucić. Ozdoby na choinkę. Kolejka firmy Hornby, nadal niewyjęta z pudełka. Działo zabawka. Kolorowe naczynia stołowe z plastiku, za małe na piknik. Magiczne rekwizyty, kolekcjonowane przez Marnie w wieku siedmiu lat, gdy chciała zostać iluzjonistką: bicz z lukrecji, „rentgenowskie okulary”, kajdanki, których nie można zdjąć. Była tam też pokryta laką szkatułka, do której mogłaś włożyć kulę bilardową, żeby już nigdy jej nie odnaleźć, choć słyszałaś, jak stuka w niej po wieki wieków. Filizanka z odbitą w dniu twarzą, która nie była twoja; walentynkowe serce rozświetlające się samo dzięki miłosnym diodom ukrytym wewnątrz. To były dziecięce zabawki, wykonane z chińskiego plastiku, taniej gumy oraz piór: przedmioty w swoim czasie bezwartościowe, lecz obecnie bardzo cenne dla kolekcjonerów.

- Czuję się zagubiona - przyznała przed samą sobą.

Kiedy była w Lewes, policjanci dali sobie spokój z poszukiwaniem kota Jamesa i odjechali, by zająć się innymi sprawami. Marnie poczuła ulgę. Ich energia była dla niej obciążeniem, jako że nie miała dziś zbyt wiele własnej. Czy powinna była zaproponować im herbatę? Nie sprawiali wrażenia, że tego oczekują.

James był już starym kotem. Nigdy go zbyt nie lubiła, ale jej rodzice z łagodną determinacją nalegali, by miała jakieś zwierzę. To było tak, jakby próbowali zachęcić trzynastoletnią córkę do nawiązania emocjonalnych więzów, do pokochania czegoś tak mocno, jak oni kochali się nawzajem, postawienia pierwszego kroku na ścieżce wiodącej do stania się taką jak oni. Marnie nie wykazywała aż tak wielkiego entuzjazmu, ale była skłonna się zgodzić. Niestety, James już jako mały kociak był nieprzystępny, uparty i pełen obsesji, jej wysiłki wkrótce więc spełzły na niczym. Z początku mu zazdrościła, a potem w pewnym

sensie o nim zapomniwała. Gdyby teraz zniknął, jego nieobecność byłaby tylko kolejną w długiej serii nieobecności. Wszystko to - kot po cichu tworzący własne królestwo w wysokiej trawie i ostach między sadem a rzeką, potem śmierć Tima, a teraz odejście Anny - spowodowało, że życie wydało się jej tak złowieszcze, że zamarła na chwilę, nie mogąc ruszyć się z miejsca. W domu zadzwonił telefon, ale umilkł, nim dotarła na miejsce.

Nie chcąc siedzieć beczynnie, sprawdziła wiadomości na automatycznej sekretarce. Pierwsza pochodziła od dekoratora wnętrz, żądającego dość wygórowanej ceny za łazienkę; druga była typową nieodebraną rozmową z automatycznego serwisu reklamowego; trzecią zaś zostawiła sama Marnie wczoraj wieczorem. Jej głos był tak zmęczony, że ledwie siebie poznała.

- Mamo, mam informacje w sprawie moich badań.

Sześć pozostałych wiadomości pochodziło od psychiatry Anny. Wyglądało na to, że były dość pilne. Marnie chciała już do niej zadzwonić, gdy usłyszała dobiegający z kuchni stukot. To kot poruszał miską na posadzce.

- James! - zawołała. - Och, James!

\*\*\*

Uwięziona w sieci przeniesień, przeciwprzeniesień i identyfikacji projekcyjnych, tkanej naiwnie, lecz skutecznie przez pacjentkę - a także bardziej poirytowana dezercją Anny, niż była gotowa to przyznać - Helen Alpert po raz pierwszy próbowała się do niej dodzwonić poprzedniego wieczoru, gdy wracała z Walthamstow. Bez rezultatu. Szybko skojarzyła to z myślą o niemożliwości nawiązania połączenia, zatrzymała citroena na poboczu A406, gdzieś na długim łuku dotkniętych błędnym planowaniem obszarów między Brent Cross a Neasden, dwadzieścia metrów od głośnego ruchu, by mieć pewność, że będzie sygnał. Taksówkarz zatrzymał swój pojazd i - przekonany, że jej samochód się zepsuł - najpierw otworzył maskę bez pozwolenia, a potem uparcie proponował kobiecie, że ją podwiezie. W końcu zdołała go przekonać, by zostawił ją w spokoju, i przez pół godziny tkwiła zmęczona na tylnym siedzeniu, jakby w końcu dała za wygraną i pozwoliła sobie na luksus bycia pasażerką. Wróciwszy bezpiecznie do Richmond, znowu spróbowała się dodzwonić, trzy razy w ciągu pięciu minut.

- Anno, dowiedziałam się czegoś. Jestem przekonana, że to mogłoby cię skłonić do zmiany zdania. Czy mogłybyśmy porozmawiać jeszcze ten jeden raz? Zadzwoń do mnie, kiedy wrócisz do domu!

Przerzucała dokumentację Anny do późna w nocy, aż wreszcie zasnęła, próbując dociec, w którym punkcie złamała własne zasady.

Teraz była czwarta po południu. Za oknami gabinetu Helen Tamiza płynęła wstecz, pełna niesionego przez przyływ mułu. Woda wystąpiła z brzegów, zalewając Mall na skrzyżowaniu z Chiswick Lane. Blask słońca, osłabiony i złagodzony przez nadrzeczne powietrze, odbijał się od papierów rozrzuconych bezładnie na biurku i padał na jej ulubiony wazon w płatki gladioli. Doktor Alpert próbowała czytać. Napisała: „Anna wierzy, że...”, ale nie była w stanie posunąć się dalej. Na marginesach diagnozy neurologicznej odkryła własne nazwisko, napisane kilkakrotnie jej charakterem pisma, jakby ktoś próbował rozwiązać anagram. Była przekonana, że to nie pozbawiona ładu natura tych odpowiedzi budzi jej niepokój.

Sięgnęła po telefon.

- Anno! - przywitała automatyczną sekretarkę pacjentki. - Posłuchaj, mam dla ciebie ekscytujące wieści. Wczoraj pojechałam spotkać się z Brianem Tate'em. On jeszcze żyje. Mieszka w tym samym domu, w północnym Londynie. Przez trzydzieści lat uczył fizyki w szkole w Walthamstow. Oczywiście, nie bardzo chciał ze mną rozmawiać o tym, co się wydarzyło. To zrozumiałe. Sądzę jednak, że z tobą mógłby być bardziej otwarty. Anno, myślę, że bardzo by ci pomogło, gdybyś mogła pomówić z kimś, kto znał Michaela...

Na drugim końcu połączenia rozległ się głuchy szczełk.

- Halo? Halo? Kto mówi?

- Anno? - odpowiedziała lekarka. - Tak się cieszę! Bałam się...

- Nie jestem Anną. Jestem jej córką. - Nastąpiła chwila przerwy. - Przykro mi, ale Anna nie żyje.

Helen Alpert wlepiała wzrok w telefon.

- Ojej! - zawołała. Nie przychodziło jej do głowy nic więcej. - Ojej, tak mi przykro. Czy to Marnie?

Nie potrafiła sobie przypomnieć, czy Anna miała też drugą córkę. Z jej opowieści o związkach z Marnie zapamiętała tylko ich zgrabną, nieświadomą symetrię. Anna obsadzała córkę w roli nieudanej dorosłej osoby, skrępowała rozwój jej wczesnej seksualności, zmuszając ją do podjęcia się zadania nieeleganckiej, niespełnionej pomocnicy. To z kolei zachęciło Marnie do traktowania matki jak starzejącego się dziecka, którego narcystyczne żądania były dla niej brzemieniem.

- Bardzo mi przykro, że to słyszę - powtórzyła.

- To był udar - stwierdziła Marnie. - Ma pani jakąś sprawę? - dodała po chwili milczenia. - Jestem raczej zajęta.

- Nie, nie, to już nie ma znaczenia.

- Niech pani mi prześle rachunek, zgoda? - poprosiła Marnie.

Helen Alpert zapewniła, że to zrobi.

\*\*\*

Kiedy Marnie Waterman miała sześć lat, chciała wyjść za mąż. Była przekonana, że to się zdarzy, gdy ukończy dwadzieścia jeden lat, jako nieunikniona konsekwencja osiągnięcia tego wieku. Będzie też miała konie i prowadziła samochód. Inna nieunikniona konsekwencja wyglądała tak, że będzie wysoka. Choć nie miała żadnego planu mającego ją zaprowadzić do tej przyszłości, sądziła, że czeka ona już na nią wymarzona i wypełniona fabrycznie załadowaną zawartością. W wieku siedmiu lat odpowiadała każdemu, kto ją o to pytał: „Na pewno będę podróżowała”. Jako dziesięciolatka dodała do tego obraz samej siebie w różowych atlasowych baletkach, choć z nieśmiałości tą wizją z nikim się nie dzieliła. Mniej więcej w tym samym czasie załamała się chińska gospodarka i cała reszta poszła w jej ślady. Media nazwały to „doskonałą burzą”. Podobnie jak większość ojców w Wyndlesham, Tim Waterman zamontował okna sztormowe rok czy dwa przedtem. Byli jedną z rodzin, do których uśmiechnęło się szczęście, tłumaczył Marnie, gdy miała trzynaście lat: mimo to, mniej więcej w tym czasie z jej przyszłości wypadło wiele elementów. Poza Wyndlesham oznaki stagnacji stały się wszechobecne jak graffiti. Peak oil nadszedł i minął. Nikt nie wiedział, jak nadmuchać kolejną bańkę. Sektor finansowy, oszołomiony odkryciem, że pieniądze spostmodernizowały się w równym stopniu, jak wszystko inne, biernie pozwolił, by państwo przycięło mu skrzydła. Bankierzy szukający wyjaśnień przeczytali z czterdziestoletnim opóźnieniem Baudrillarda. Premie spadły na łeb, na szyję. Garstka szeregowych pracowników znalazła zatrudnienie w ocalałych ośrodkach przemysłu, gdzie rywalizacja była bardzo ostra. Rodziny takie jak rodzina Marnie nadal jeździły wszędzie samochodem, ale przez wiele lat nie wymieniały swych range roverów i audi na nowsze. Choć nadal zarabiali dobrze, oni również odczuwali trudności. Dorośli byli zmuszeni do znalezienia nowych definicji sukcesu, dzieci zaś musiały wcześniej dojrzewać. Niektóre z nich okazywały niezadowolenie z tego powodu. Na górnej granicy klasy średniej pojawiły się ostre podziały. Nagle okazało się, że albo twoi rodzice mogą sobie pozwolić na kupowanie serów w miejscowym sklepie, albo nie. To właśnie definiowało pozycję wśród rówieśników Marnie. Jako nastolatka zrewidowała swą wizję przyszłości, ale nadal sądziła, że zdoła ją zrealizować. Tymczasem jej ojciec sprawiał wrażenie coraz bardziej znużonego, aż nagle i niespodziewanie zmarł na raka trzustki. Na szczęście, także przed tym zdołał obronić rodzinę. Marnie - która miała wtedy dziewiętnaście i pół roku - wróciła z pogrzebu pociągiem - długa uciążliwa podróż przez krajobraz wypełniony zamkniętymi zakładami przemysłowymi oraz

opustoszałymi parkingami. Zastała matkę smutną, lecz zarazem podekscytowaną. Rozmawiały o tym, jak bardzo wolna czuje się teraz Anna, ale okazało się, że ona również nie ma żadnych planów. Przez cały ten czas Marnie osiągała dobre wyniki na porządnym uniwersytecie, lecz gdy nadeszły jej dwudzieste pierwsze urodziny, okazało się, że jednak nie wyszła za mąż. Pod koniec ostatniego roku studiów przyjęła ofertę pracy w jednym z nowo powstających banków pomocy wzajemnej.

Spoglądając obecnie wstecz na to wszystko, Marnie odnosiła wrażenie, że jej życie było trudne, lecz satysfakcjonujące. Kobiety zaledwie dziesięć lat starsze od niej, które zachęcano, by do trzydziestki pozostały nastolatkami, nie zdołały dokonać udanego przejścia z płynnego świata. Gdy miały to, czego pragnęły, sprawiały wrażenie niepewnych, gdy zaś tego nie miały - rozpieszczonych i zgorzkniałych. Te młodsze, starające się uniknąć trafienia do enklaw podklasy w Eastbourne i Hastings, były po prostu znużone. W przeciwieństwie do nich, Marnie w wieku dwudziestu ośmiu lat była panią własnego losu. Choć kariera w finansach nie znaczyła już wiele, „nowa gospodarka” - ostrożna, uproszczona i znacznie przesunięta w stronę spółdzielczości - zapewniała jej bezpieczeństwo. Mimo że od ostatniego roku studiów była samotną matką, mogła sobie pozwolić na wynajęcie małego domku z dala od chaotycznych przedmieść. Jej pracodawca pokrywał koszty opieki nad dzieckiem, aż Enny Mae ukończyła pięć lat, a potem opłacał dla niej niezłą szkołę. Marnie mogła sobie pozwolić na ubezpieczenie medyczne. Nadal widywała się z ojcem Enny Mae, mężczyzną imieniem William. Rozmawiali ze sobą raz czy dwa razy do roku, by dopilnować wypełnienia planu, który pozwoli dziewczynce osiągnąć taką przyszłość, jaką tylko sobie wymarzy. Anna, widząca w Enny Mae rywalkę, nie interesowała się nią zbyt. Pragnąc uniknąć sporów i napadów złości, Marnie nauczyła się trzymać ją z dala od córki.

Ta sytuacja utrzymywała się do dzisiejszego ranka.

\*\*\*

Marnie odłożyła słuchawkę, kończąc rozmowę z Helen Alpert, i wyjrzała na zewnątrz przez okno domu na Coldmorton Lane, zapewne należącego teraz do niej. Zastanawiała się, co będzie dalej. Kiedy się obudziła, pragnęła jak najszybciej podzielić się z Anną wynikami swych badań. Nagle mogła znowu poczuć się szczęśliwa po niewytłumaczalnych napadach lęku, które przeżyła nocą (radość, że nie ma raka, z jakiegoś powodu ustępowała podczas nich strachowi przed zupełnie nową przyszłością, w której możliwość nowotworu zakorzeniła się już na dobre). Anna jednak znowu się jej wymknęła, aż do samego końca biegle grając rolę nieobecnego rodzica. Marnie czuła się nieważka. Było jeszcze za wcześnie, by zabrać Enny Mae ze szkoły. Pragnąc zapobiec dalszym zmianom w swym trybie życia, kot James zjadł

wszystko pośpiesznie i schował się pod szafą. Marnie umyła w zlewie naczynie pozostawione przez Annę po kolacji - w domu była zmywarka, ale nie potrafiła się zdobyć na to, by ją włączyć - a potem zaczęła się włóczyć po pokojach. Anna nadal miała książki. Wielką rolę grała w nich kwestia poszukiwań tożsamości. Były tam poradniki na ten temat, powieści o kobietach próbujących odnaleźć siebie, a nawet album fotograficzny pod tytułem *W poszukiwaniu własnego ja*. Włączyła telewizor, ale nadawano tylko informacje o reokupacji Pakistanu przez Indie, więc go wyłączyła.

Po dziesięciu albo piętnastu minutach zauważyła kogoś, kto kręcił się po ogrodzie. To był chłopak w wieku około szesnastu lat, trochę niższy od Marnie, ubrany w obcisłe szare dżinsy o nogawkach podwiniętych do połowy łydek. Biały T-shirt był na niego za mały, a czarne sznurowane buty pokryte wyschniętymi kroplami oraz plamami żółtej albo różowej farby emaliowej. Towarzyszył mu mały pies, coś w rodzaju długonogiego border teriera. Zwierzę w kolorze piasku miało krótką, szorstką sierść oraz wystrzępione uszy. Chłopak i pies stali pośrodku trawnika. Obaj sprawiali wrażenie zafascynowanych ruinami altany. Marnie zapukała w okno.

- Przepraszam! - zawołała. - Przepraszam! W czym mogę ci pomóc?

Wyglądało na to, że jej nie słyszał. Marnie wyszła na trawnik i podeszła do chłopaka od tyłu.

- Przepraszam! - zawołała raz jeszcze, być może głośniejszym głosem niż było to jej zamiarem. - Czy mogę zapytać, co tu robisz?

Drgnął, zaskoczony. Twarz miał ogorzałą, jakby mieszkał gdzieś pośród wzgórz, nieustannie narażony na silny wiatr, jego ramiona były zaś chude i żylaste.

- Nie wiem, co pani sobie myśli, ale przyszedłem popracować dla kobiety, która tu mieszka. - Popatrzył z nadzieją na Marnie. - To starsza kobieta - dodał, gdy nie odpowiadała. - Mieszka tu od lat. Robi zakupy w Wyndlesham. - Wzruszył jednym ramieniem w geście wyrażającym obojętność, czy może ból. - Niektórzy ją lubią, a inni nie. Mówiła, że ma robotę, którą trzeba wykonać.

- Co to za robota?

Chłopak wyjaśnił, że to nic wielkiego, po prostu trochę malowania.

- Mieszkam niedaleko - dodał. - Powiedziała, że jeśli do niej wpadnę, będę mógł wykonać dla niej tę robotę.

- Tu nie ma żadnej roboty. Nikt tu niczego nie potrzebuje.

Chłopak próbował przetrwać tę odpowiedź. Marnie widziała, że dla niego całe znaczenie kryje się w słowach, całkowicie oddzielonych od języka ciała czy tonu głosu.

- Robi zakupy w Wyndlesham - powtórzył, jakby to cokolwiek wyjaśniało. - Lubi wypić pintę harveya.

Otarł twarz lewym przedramieniem. Pies zaszczekał nagle. Cichy, lecz ostry dźwięk poniósł się echem po ogrodzie jak głos jakiegoś mniej znanego zwierzęcia.

- To moja nowa suka - wyjaśnił. - Dostałem ją od tych z posiadłości. Niektórzy mówią, że jest niebezpieczna, ale ja wiem, że to nieprawda.

Zwierzę rozstawiło szeroko przednie łapy i uniosło kudłaty pysk, wężąc intensywnie. Sprawiało wrażenie zbyt małego i pełnego zapachu, by mogło być groźne dla kogokolwiek. Od czasu do czasu spoglądało na Marnie albo na chłopaka, jakby szukało potwierdzenia tego, co widzi. Tak, miała ochotę wyjaśnić mu Marnie, to jest trawa. To jest trawnik. A tam jest drzewo. Siedzi na nim gołąb. A to kiedyś była altana w rosyjskim stylu należąca do mojego taty, ale teraz został z niej tylko stos drewna: zgadza się. Dziś rano umarła moja mama. To do niej podobne: umarła bez ubrania na sobie w drzwiach altany w rosyjskim stylu, a potem znaleźli ją strażacy. To mówi o niej bardzo wiele. Nie wiem, co powie na to Enny Mae, pomyślała nagle.

- Nie musi się pani bać tej suki - zapewnił chłopak. - Nie skrzywdziłaby nawet dziecka.

- Co to za pies?

- Pracujący - odparł chłopak, obrzucając ją chytrym spojrzeniem. - Mieszka tu starsza kobieta, ma na imię Anna. Powiedziała, że ma trochę roboty, którą trzeba wykonać.

- Nie ma tu żadnej roboty - odparła Marnie. - Nie wiem, kim jesteś i czego od niej chciałeś, ale tutaj tego nie znajdziesz. Nie mieszka tu nikt oprócz mnie - dodała.

Chłopak zamrugał.

- Podobno mieszka gdzieś tutaj - odparł.

Potem pogodził się z sytuacją i zerwał nagle do biegu. Pochylał ramiona, a mięśnie tułowia miał silnie napięte, ale jego kroki były długie i swobodne. Wyglądało to tak, jakby górna i dolna połowa jego ciała nie miały ze sobą zbyt wiele wspólnego. Terier popędził za nim, ujadając, podskakując i szczypiąc go w kostki, by przyciągnąć do siebie uwagę. Chłopak zatrzymał się przy budynku, sięgając do zasuwy bocznej furtki.

- Gdybym dostał tę pracę, nie musiałbym korzystać z toalety - zapewnił. - Poszedłbym do wioski.

Marnie, kompletnie niezdolna do zinterpretowania jego słów, doszła do wniosku, że nie rozumieją się nawzajem w stopniu tak głębokim, że może to być jedynie jej winą. „Lubi wypić pintę harveya”. Woląla nie myśleć o tym, gdzie i w jakich okolicznościach jej matka

poznała chłopaka.

- Zaczekaj! - zawołała. - Zaczekaj chwilę.

Jeśli szukał pracy, mógł przynajmniej coś poradzić w sprawie bałaganu, jakiego Anna narobiła w łazience. Wyglądał na wystarczająco silnego.

\*\*\*

Następnego dnia doktor Helen Alpert po przebudzeniu uświadomiła sobie ze zdumieniem, że śnił się jej jeden ze snów Anny Waterman. Rzuciła na tylne siedzenie Citroëna znoszoną torbę podróżną firmy Mulberry, odwołała wszystkie wizyty w najbliższej przyszłości i zamknęła gabinet.

O czwartej po południu, zużywwszy kartki na paliwo na prawie dwa tygodnie, znalazła się w Studland na wybrzeżu Dorset. Tam, pomimo wiatru od morza, woni soli oraz mew srebrzystych unoszących się na burzliwych prądach powietrznych nad Great Harry Rocks, przekonała się, że nie potrafi się uwolnić od snu.

Śniło się jej, że wszystkie jej drobiazgi zniknęły ze staromodnego sekretarzyka, z którego korzystała, a w ukrytych szufladach i na licznych półeczkach znalazła rzeczy pozostawione w zamian przez złodzieja. Te zepsute kanapki zawinięte w papier oraz kawałki niedojedzonych owoców przyprawiły ją nie tylko o niesmak, lecz również o lęk. Obawiała się, że sprawca w każdej chwili może wrócić. Samo miejsce było zaniedbane i znajdowało się częściowo pod gołym niebem - na parterze, być może jedynej kondygnacji walącego się budynku, z którego nadal korzystano z uwagi na długi, powolny kryzys, spowodowany załamaniem się ludzkiego albo politycznego zaufania. W futrynach nie było drzwi. Okna, choć nietknięte, nie miały zasłon. Zawsze padał deszcz. Wilgoć wniknęła w meble - głównie tanie, fornirowane szafki oraz półki, na których werniks wyblakł od słońca i zużycia - ściany zaś pokrywały włókniste, pierścieniowate plamy przypominające łuski. Spoglądając na ścianę przy drzwiach, Helen zauważyła, że na podobieństwo grzyba wyłoniła się z niej pochwa o wielkości nieco większej niż naturalna. Jej kolory nie były do końca prawidłowe. Wargi sromowe miały żółtobrazowy odcień i były sztywne, jak w drewnianym modelu. Do pochwy było przytwierdzone ciało, ale pojawiła się tylko jego niewielka część. Wciąż się wyłaniało, ale bardzo powoli. Joan miała wrażenie, że miną lata, nim w całości przesączy się do kuchni. Choć pochwa niewątpliwie należała do dorosłej kobiety, ciało było znacznie młodsze. Nadal zachowało tłusty brzusek i niedorozwiniętą klatkę piersiową niemowlęcia. Pochwa była widoczna w pionowej płaszczyźnie ściany, ale ciało oraz twarz wydawały się skrócone i odchyłały się od niej pod nieprawidłowym anatomicznie kątem. We wszystkich punktach ciało łączyło się ze ścianą bez żadnych spoin. Helen widziała tylko mały fragment twarzy,



lecz widniał na niej uśmiech. We śnie z jej ust wyrwał się krzyk, dźwięk przesycony niezwykle przerażającym żalem i grozą. Słyszała siebie, ale nie potrafiła przestać.

To bardzo wyraźnie łączy się w całość, pomyślała: utrata albo zastąpienie jej rzeczy, rozpadający się budynek wystawiony na działanie żywiołów, lecz nadal nadający się do użytku, ciało wyłaniające się bardzo powoli ze ściany, bez żadnych widocznych spoin. Po przebudzeniu doświadczyła przestrzennej dezorientacji i przez większą część poranka nie mogła odzyskać równowagi. Nawet teraz, gdy spoglądała na tytanowe wody Studland Bay i małą białą łódź brnącą ku szaremu horyzontowi, odnosiła wrażenie, że nadal nie jest w pełni sobą. To było tak, jakby jakieś ważne części wewnątrz jej ciała oddzieliły się od siebie. Czuła, że w jej osobowości coś pękło - być może już dawno temu - ale nigdy nie będzie w stanie zrozumieć, co to właściwie było.

Później, w hotelowej restauracji, słuchała, jak jakiś członek kadry kierowniczej średniego szczebla, zatrudniony w farmaceutycznej korporacji, opowiada znajomym o niedawnej podróży do Peru. Szczerze mówiąc, pomyślała, jego relacja była mniej interesująca niż instrukcja obsługi. Poleciał KLM, nie omieszkał podkreślić, ponieważ dzięki temu mógł po drodze pobawić się w nurka, ale oni mogą woleć bardziej bezpośrednią trasę. Po przybyciu natrafiają na pewne rzeczy, za które pod żadnym pozorem nie powinni płacić. Jeśli zaś chodzi o ruiny, no cóż, widoczność była słaba, ale w charakterze „przeprosin” za to, że nie byli w stanie zapewnić spodziewanych widoków, tubylcy przygotowali jemu i jego dziewczynie specjalny posiłek.

- Oczywiście, nie wzięli za niego pieniędzy.

Doktor Alpert gapiała się na mężczyznę z nieskrywaną niechęcią, aż wreszcie ją zauważył, a potem zmusił go do odwrócenia wzroku. O ile potrafiła to określić, miał na imię Dominic. W wieku czterdziestu lat nadal mówił jak student wydziału zarządzania udający własnego ojca. Sprawiał wrażenie reliktu minionej epoki, podobnie jak jego znajomi, z ich swobodnymi ubraniami kupionymi w Boden oraz sympatycznym pozytywnym podejściem. Pomyślała, że to samo można powiedzieć o niej.

Zawsze trzymała w citroenie parę turystycznych butów: miała zamiar spędzić dzień albo dwa na wędrowaniu po wzgórzach - z pewnością dojdzie do Corfe, a może nawet do Purbeck Hills i Lulworth Cove. Będzie szła tak długo, aż poczuje się lepiej. Ale najpierw oddzieli Dominica z korporacji farmaceutycznej od jego kolegów, zaprowadzi go na górę i będzie ostrożnie pierdoliła się z nim przez całą noc, aż wreszcie ze łzami w oczach zrozumieją życie, które teraz wiedą.

## PODZIĘKOWANIA

Tim Etchells wniósł swój wkład w listę imion asystentki pod koniec rozdziału dwudziestego pierwszego. Urywki z rozdziału trzeciego ukazały się w „Locusie” jako fragmenty eseju. Jak zwykle dziękuję Sarah Cunningham za to, że pozwoliła mi korzystać ze swego pięknego domu, a także Cath i jej rodzinie za wsparcie.